Mirosław Prandota
Taniec życia

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
Warszawa 1983

Niech nikt nie myśli, że fakty przedstawione w tej książce mają jakikolwiek związek z rzeczywistością.

Proszę państwa! Wszystko od początku do końca jest tylko wytworem chorobliwej wyobraźni autora. Kto nie wierzy, niech rozejrzy się po świecie w pierwszy lepszy słoneczny dzień. Wszak życie jest piękne, a ludzie wspaniali. Czyż nie tak?

Z poważaniem
autor

Krok do przodu

1

Świat pokawałkowany był żelaznymi prętami kraty. Wyglądanie przez okno odbywało się więc w ograniczonym zakresie, bo z przodu była krata, a wnęka dopiero za nią. Podobno ta metalowa dekoracja powstała dwa lata temu. Kiedyś błyszczały tylko szyby. Miało to nawet swój sens, bo na piętro wypuszczano tylko spokojnych i w dużym stopniu podleczonych już pacjentów. Ale właśnie dwa lata temu trafił się nieprzyjemny fuks. Położyli na parterze deliryka i wszystkim wydawało się, że po trzech dniach wyzdrowiał. Był spokojny, żartował z pielęgniarkami, kłaniał się lekarzom, więc go przenieśli na piętro. Podobno od razu mu się pogorszyło. Wrzasnął, że gonią go węże, rozpędził się i wyskoczył przez okno razem z szybą. Na dole sterczała metalowa barierka okalająca schody prowadzące do piwnicy. Ta barierka od razu się wygięła, a pacjent przeszedł do wieczności.

A ja nie. Ja sobie oglądam świat na tyle, na ile pozwalają mi kraty, gryzę kromkę chleba z masłem, bo akurat jestem głodny, i – czekam na wizytę lekarską. Oprócz mnie czeka tu jeszcze kilku zdziecinniałych staruszków, trzech podejrzanych o psychozy kryminalistów, których wyciszono fenactilem, oraz ośmiu zwykłych alkoholików, którzy nigdy jeszcze nie mieli delirium i myślą tylko cały czas o tym, kiedy wreszcie uchlają się na przepustce.

Wszedł doktor Kawecki. Miły pan w średnim wieku. Nikt go nie widywał zdenerwowanego. Jak tylko któryś pacjent zaczynał rozrabiać, to doktor natychmiast zlecał mu z uśmiechem zastrzyki. Tyłek bolał później od tych rozkoszy tak, że nie wiadomo było, co ze sobą zrobić. Ale chęć do rozrabiania odchodziła na długi czas.

– To jak, panie Zadura? – zagaił doktor podchodząc do miejsca, w którym od dłuższego czasu stałem. – Chce pan już jechać do domu?

– Wszystko mi jedno, panie doktorze – odparłem wzruszając ramionami.

– Oho! – zgorszył się. – Zachowuje się pan jak schizofrenik!

– Nic dziwnego, doktorze – mruknąłem niechętnie. – Otrzymuję przecież te same lekarstwa.

– Sądzi pan, że nie pomogły?

– Wątpię. Przyćmiły mnie tylko. Nic mi się nie chce. Nawet na baby nie mam ochoty.

– Po tygodniu wszystkiego się zachce! – roześmiał się jowialnie. – Zobaczy pan! Żona postawi pana na nogi!

– O! To już przegwizdana sprawa! – zareagowałem żywiej. – Stoję na pozycji kawalera z odzysku!

– Coś podobnego! Przecież stale dzwoni i pyta o pańskie zdrowie.

– Naprawdę?

Tym razem mnie zaskoczył. Palce u rąk zaczęły kręcić odruchowego młynka, a obojętnie opuszczone powieki uniosły mi się automatycznie.

– Może ona ma nadzieję, że ja tu się wykończę, co? I dlatego pyta o zdrowie? Co ona w ogóle mówiła panu o sobie i o nas? Na pewno nakłamała, ile się tylko dało!

Lekarz popatrzył na mnie z niepokojem w oczach.

– Z panem znowu jest niedobrze, panie Zadura. Głupstwa pan opowiada.

– Ho! ho! Panie doktorze! – zaśmiałem się ironicznie. – Moja żona to wyjątkowy egzemplarz. Jej nie pomogłoby nawet dziesięć serii takich zastrzyków, jakimi poczęstował pan mnie!

– To było konieczne – zauważył usprawiedliwiająco. – Był pan agresywny, mógł pan nawet samemu sobie zrobić krzywdę.

Machnąłem ręką i spojrzałem mu zdecydowanie w oczy.

– Panie doktorze, miał pan kiedy żonę?

Wyprostował się z godnością.

– Miałem i mam nadal.

– I nie wywinęła panu jeszcze żadnego numeru?

– Nie i chyba…

– To znaczy, że ona pana lekceważy! – uciąłem jednoznacznie.

Lekarz przełknął ślinę, zastanowił się chwilę i zapytał:

– Chce pan być dzisiaj wypisany ze szpitala?

– Zastanowię się – odparłem obojętnie.

– Byle szybko i przed trzecią, jeśli wybiera się pan dziś.

Zostawił mnie, podszedł teraz do następnego pacjenta. Poświęcił mu najwyżej pół minuty, potem popatrzył na pozostałych i opuścił salę. Najwyraźniej zaszkodziła mu ta rozmowa ze mną. Pójdzie teraz do swojego gabinetu, zamknie się tam i będzie snuł rozważania na temat własnej żony, która dotychczas nie wywinęła mu żadnego hopla. Powinien zaprosić mnie na konsultanta. Mógłbym mu nawet herbatę zaparzyć.

Poczułem dłoń na ramieniu i odwróciłem głowę. Za mną stał Edek przewodniczący rady pacjentów, podobno nieźle już podleczony alkoholik.

– Masz jeszcze ten swój płyn po goleniu, Bartek? – zapytał z przymilnym uśmiechem.

– Mam, a bo co?

– Suszy mnie.

– To napij się wody – poradziłem mu spokojnie.

– Kawał sukinsyna z ciebie! – ustalił groźnie.

– Odpieprz się, bo powiem Kaweckiemu o twoich upodobaniach i zaraz cię przeniesie na parter. Skończą się przywileje ze swobodą i wychodzeniem na przepustki.

– Pogadamy na wolności! – wycedził przez zęby.

– Nie zdążymy – powiedziałem z cynicznym uśmiechem. – Zwiną cię w tym samym dniu, w którym cię wypiszą ze szpitala. Ciesz się, że dotychczas nikt nie wie o twoich skłonnościach, bo miałbyś dupę jak sitko. Kaweckiemu ciągle wydaje się, że ty jesteś podatny na psychoterapię. A ty jesteś już kompletne dno! – zacząłem dygotać ze złości. – Powinieneś jak najszybciej utopić się w gorzale! – wykrzyczałem na koniec.

Już wiedziałem, że poproszę o wypisanie do domu. Bo oto uświadomiłem sobie, że mój przypadek to pestka. U mnie wszystko może się zmienić. A taki Edek to niemal denat! Żaden szpital już go z tego bagna nie wyrwie. O! Patrzy na mnie wilkiem. Zjadłby mnie, gdyby mógł i gdyby nie bał się konsekwencji. Jako przewodniczący ma wolne wyjścia, po południu lekarzy nie ma, pielęgniarki zajęte są plotkami, więc można sobie zawsze wyciągnąć ukrytą butelkę i strzelić jednego albo dwa głębsze. A taki z parteru nic nie może. „Głupiego Jasia” w dupę i do wyra!

Mnie też tak kłuto. Ale od tygodnia już nie. Teraz jestem panisko, bo ordynator pyta, czybym sobie już do domu nie poszedł. Może bym i poszedł, ale jeszcze muszę zjeść obiad. Zresztą jeszcze nie wiem, czy pójdę, a właściwie – czy pojadę do domu. Nikt mnie tam specjalnie nie oczekuje. Moje miejsce prawdopodobnie zajęła teściowa. Siedzi przy moim biurku i codziennie tłumaczy żonie, jaka była głupia, że za mnie kiedyś tam wyszła. Dziecko jest małe, więc nic nie pojmuje. Jak chce podkreślić swoją indywidualność, to wali w majtki i na tym się jego udział w tym cholernym życiu kończy.

Zszedłem na dół i zajrzałem do gabinetu zabiegowego.

– Dzień dobry – powiedziałem obojętnie.

– Aha! – zawołała rozpromieniona oddziałowa. – Pan Zadura! Podobno chce pan nas już

opuścić?

– Dlaczego już? – spojrzałem na nią z wyrzutem. – A obiad?

Pokręciła głową ze zgorszeniem.

– Chłop całe życie będzie chłopem! – stwierdziła mocno. – Niech pan przynajmniej pójdzie po swoje dokumenty do sekretariatu.

– Mogę iść. A wypiska od doktora?

– Już tam leży.

– Skąd doktor wiedział, że ja się wybiorę do domu?

Oddziałowa zrobiła wielkie oczy.

– Doktor wszystko wie! Nasz doktor jest najlepszym psychiatrą w szpitalu!

– Tak jest – zgodziłem się potulnie. – Idę do sekretariatu.

Szpital miał trzydzieści oddziałów, toteż sekretariat wybudowano na miarę liczebności łóżek. Aż kilkanaście pokoi składało się na ten sekretariat. Zapukałem pod „dziewiątkę", bo właśnie tam mieściła się dokumentacja naszego oddziału. Wewnątrz siedziały cztery panienki w wieku zachęcającym i wyglądały przez okno. Moje przybycie nie wywołało u nich żadnej reakcji. Wszedłem drzwiami, i może dlatego nie miały powodu, aby odwracać głowy. Postanowiłem, że trochę poczekam. Stanąłem więc za barierką i stoję. A za oknem rozkwitały akurat na żółto mlecze. Widok był wspaniały. Oparłem się łokciami o barierkę i przestąpiłem z nogi na nogę. A tu nic. Mlecze jak kwitły, tak kwitną nadal.

Zerknąłem na zegarek. Dochodziło wpół do dwunastej. Za pół godziny obiad, a mnie trzeba wypisać kartę informacyjną, zalecenia lekarskie i różne takie pozdrowienia dla macierzystego zakładu pracy. Spojrzałem przeciągle na plecy panienek, westchnąłem, otworzyłem drzwi i wyszedłem. Okrążyłem budynek z drugiej strony. Były tam drzewa, trawnik i żółte mlecze. A w uchylonym oknie cztery panienki. Parter był w miarę niski, nie musiałem nawet brać specjalnego rozbiegu. Skoczyłem niemal w objęcia rozmarzonych dziewczyn.

– A pan co za jeden? – wrzasnęła blondynka. Widocznie była najbardziej nerwowa z nich wszystkich.

– Bartłomiej Zadura jestem – przedstawiłem się. – Bardzo mi przyjemnie.

– Ale skąd pan tu się wziął?

– Stamtąd – pokazałem park za oknem.

– Kim pan w ogóle jest?

– Byłym wariatem – odpowiadałem bardzo uprzejmie, bo te żółte kwiaty nastroiły mnie lirycznie.

Pytania padały jednak coraz głupsze. Widocznie szpital psychiatryczny otumania przede wszystkim personel.

– O co panu chodzi?

– O obiad.

– O co?

– O obiad – perswadowałem łagodnie. – Ma być o dwunastej.

– Przecież tu nie stołówka!

– Tak, ale ja muszę na ten obiad zdążyć.

Popatrzyły na siebie, wciąż niewiele rozumiejąc. Nabrałem powietrza do płuc i zacząłem szybko recytować:

– Jestem Bartłomiej Zadura, pacjent oddziału dwunastego, przywieziony tutaj przed dwoma miesiącami z podejrzeniami o chorobę psychiczną. Obecnie czuję się wyleczony, zresztą nie wiem, czy na pewno, ale mój ordynator twierdzi, że tak, wobec tego proszę o dokumenty i cześć!

– I cześć? – bezmyślnie powtórzyła blondynka.

– I cześć! – kiwnąłem głową.

Dopiero wtedy pojęły. Znalazły moją teczkę z dokumentami, wypisały mi kartę informacyjną i skierowanie do lokalnej poradni zdrowia psychicznego. Miałem diagnozę: „Nerwica reaktywna z silnym odczynem emocjonalnym". A pod spodem: „Nie obserwuje się zmian psychotycznych, trwałe cechy osobowości w normie".

No, no! Pracowicie ten mój doktorek sobie to wykoncypował. Wystarczyło przecież napisać „psychopatia". Byłoby szybciej, a odpowiedzialność za terminologię o wiele mniejsza. I tak wiem, że za bardzo normalny dla niego nie jestem. Napisał w „normie", ale jeżeli jeszcze raz mnie tu przywiozą, to diagnoza od razu przekręci mu się o sto osiemdziesiąt stopni. Zresztą i tak kiedy wrócę do pracy, zabiorę się natychmiast do straszenia. Podobno życie na wariackich papierach ma w sobie dużo uroku.

– Cześć, dziewczynki! – powiedziałem do zapatrzonych teraz dla odmiany we mnie sekretarek. – A kysz!!! – zawołałem nagle i wyskoczyłem wysoko w górę.

Trzy zerwały się z miejsc, a jedna zupełnie zesztywniała. Wypogodziłem twarz, skłoniłem głowę i delikatnie otworzyłem drzwi. Przekroczyłem próg, zamknąłem drzwi, otworzyłem je znowu po chwili i wsunąłem głowę do środka. Jeszcze nie zmieniły pozycji.

– No, no, no! – skarciłem je łagodnie. – Przecież dzisiaj nie święto. Do roboty, panienki! A kuku!

Wreszcie poszedłem sobie. Zostawiłem dziewczynom wrażeń na cały tydzień. Opowiedzą wszystkim znajomym, jakiego to fajnego wariata dzisiaj wypisywały. Niby zdrowy, a za kukułkę robił.

Na obiad były naleśniki z serem. Bardzo lubię naleśniki z serem, a pijaki nie lubią. Wobec tego w krótkim czasie na moim talerzu było tych naleśników dwanaście. Rozparłem się wygodnie na krześle i zacząłem jeść. Po czterech pierwszych zaintonowałem piosenkę „Morze, nasze morze". Nie wiem dlaczego, ale tak mi wyszło. Dwóch schizofreników zaczęło mi towarzyszyć, stanowiliśmy niezły tercet. Obok mnie siedział kryminalista, który miał na sumieniu teściową i dwóch kuzynów. Przysłali go tu z więzienia na badanie. Widocznie nie mieściło się ludziom w głowie, jak można zabijać kuzynów, kiedy było już po teściowej.

– Ale wariaty w tym szpitalu! – powiedział bandyta, patrząc z zazdrością na moje naleśniki. – Śpiewają zamiast żreć!

Przyszła oddziałowa i zapytała stereotypowo, co tu się dzieje. Wobec tego zamilkłem i dorwałem się do pozostałych naleśników, a schizofrenicy śpiewali nadal. Zresztą całą zwrotkę od początku.

– Panie Zadura – poprosiła oddziałowa. – Niech pan ich uspokoi!

– Załatwione, pani kierowniczko – wymamrotałem z pełną gębą i zwróciłem się teraz w stronę śpiewaków. Nie przerywali ani na chwilę.

– Uwaga! Torpeda z prawej! – wrzasnąłem.

Pomogło. Pacjenci wytrzeszczyli oczy i zamilkli. Oczekiwali teraz na wybuch. Kryminalista przyglądał mi się z szacunkiem, a oddziałowa z niewiarą.

– Pan to jest naprawdę inteligentny człowiek – powiedziała z powagą, gdy odchodziłem już po obiedzie. – Jest pan prawie tak inteligentny jak nasz doktor.

Kiedy żegnałem się z doktorem, czekałem tylko na to, by usłyszeć, że jestem prawie tak inteligentny jak oddziałowa. Niestety, popatrzył mi tylko głęboko w oczy i życzył szczęścia.

– A w razie czego – dodał gościnnie – ma pan u nas zawsze drzwi otwarte.

Przesadził. Te drzwi zawsze były zamknięte, tyle że niektórzy mieli do nich klucz.

Szedłem sobie powoli w kierunku bramy. Nad głową rozpościerały się gałęzie starych drzew. Szpital był stary, to i drzewa stare. Za to portier w bramie był raczej młody. Taki w okolicy

czterdziestki.

– Do domu? – zapytał. – Wypuścili cię już? Tak prędko?

– Ano wypuścili.

– Nie przejmuj się! Walniesz sobie kilka setek, to znowu cię przywiozą!

Widocznie pomylił mnie z jakimś alkoholikiem. Niech mu brama lekką będzie!

– Ty! Słuchaj! – dobiegł mnie jeszcze jego głos, kiedy już wychodziłem na ulicę.

Odwróciłem głowę i poczekałem, aż się zbliżył.

– Ty chyba nie jesteś gazer, co?

– Nie – odrzekłem z poczuciem niższości.

– To znaczy, że psychiczny?

– Ano tak.

– Eee! – machnął pogardliwie ręką. – Wyglądasz jak porządny człowiek, to myślałem, żeś gazer! A ty psychiczny?

– Psychiczny – przyznałem się jeszcze raz.

– To idź do diabła! – zdenerwował się na koniec. – A tak porządnie wyglądał… – wymamrotał już sam do siebie.

Nadjechał autobus miejski. Miałem pięć przystanków do dworca kolejowego. Czułem się trochę jak Odyseusz wracający z dalekiej tułaczki, a trochę jak banita, na którego najwyżej policja czeka, aby go znowu odesłać z powrotem. Co będzie dalej? Początek zapowiadał się nieciekawie. Z rozkładu jazdy wynikało, że pociąg mam dopiero wieczorem, a po drodze jeszcze przesiadka. Zrobiło mi się smutno i w pierwszym odruchu chciałem wracać do szpitala. Wszystko było tam lepsze niż na tym dworcu. Na tym dworcu nie było nawet nic porządnego do jedzenia. A tam… naleśniki, a poza tym oddziałowa, która mnie tak wyróżniała, i ten portier, co tak szanuje porządnych ludzi… Poczułem się nagle jak niemowlę, które odstawiono od piersi w połowie ssania. Zakwiliłem w duchu i ze spuszczoną głową podreptałem do bufetu. Za kontuarem nie było mleka. Było piwo.

2

Życie nie pieści. Wysiadłem z pociągu na kilka minut przed północą i natychmiast skierowałem się do poczekalni dworcowej. Z rozkładu jazdy wynikało, że mam czas do trzeciej. Rozejrzałem się po obszernej sali. Było chłodno, a poza tym nudą wiało z każdego kąta. Na ścianach powiesił ktoś plakaty propagujące w cmentarny sposób oświatę zdrowotną: „Otyli żyją krócej" i „Palenie szkodzi". Tylko że pasażerowie mieli swój prywatny stosunek do takiej propagandy. Siedzieli przy stolikach i palili tak, że trudno było oddychać. No i oczywiście najwięcej było otyłych. Chwilowo wszyscy żyli.

Stoliki, jak to zwykle bywa w przybytkach publicznej użyteczności, traktowane były jako matryce do eksperymentalnej wystawy w dziedzinie drzeworytu. Zauważyłem jednak z niechęcią, że wszystkie próby artystyczne miały charakter tradycyjny i mało oryginalny. Przeważały niekształtne figury geometryczne, esy-floresy oraz manifestacje liryczne w rodzaju „Kocham Bożenę" lub „Janek jest dupa".

Poczekalnia była dwupoziomowa. Na górze mieścił się bar, który wabił zapachem kapuśniaku. Wszedłem na schody. Na półpiętrze stało czterech młodych i prawiło sobie głośne, stereotypowe serdeczności.

– Ty, Heniek – mądrzył się akurat facet w ortalionowej bluzie, celując palcem w serce chwiejącego się kumpla o odstających uszach. – Jakbym miał taką gębę jak ty, tobym nocnik sobie na łeb wsadził, wywierciłbym otwory na oczy i nie zdejmowałbym tego nocnika do końca życia.

Wypowiedź przekazywana była ze spokojem, ale też i ze zdecydowaniem. Dwaj pozostali z szacunkiem wysłuchali faceta w ortalionie, a następnie przenieśli wzrok na Heńka. Heniek mógł przecież zachować się równie interesująco, wyglądał zresztą na człowieka, który też ma dużo do powiedzenia.

– Odsuń się trochę – powiedział więc Heniek do ortaliona – bo nie mogę wziąć rozmachu.

– Heniu! – zawołał pojednawczo jeden z obserwatorów. – Będziesz Józka bił? Przecież on tak z dobrego serca ci powiedział!

– A będę! – zacietrzewił się Heniek i zrobił krok w tył dla nabrania upragnionego rozmachu. Wyszło kiepsko, bo wpadł w poślizg i usiadł na betonowym schodku.

– Życie jest cholerne! – zapłakał z rezygnacją.

A więc i tutaj skończyło się widowisko. Wyminąłem aktorów i wlazłem na górę. Przy bufecie stał zalany facet w waciaku i natrętnie kokietował sprzedawczynię.

– Proszę pani!

– A czego? – Sprzedawczyni stała akurat na czworakach i ścierała podłogę.

– Jest piwo?

– Już mówiłam, że nie ma!

– Nie ma piwa dla świata pracy? To kiedy będzie?

– Jak świat pracy wytrzeźwieje, to może wtedy będzie.

– Wtedy to piwo będzie już tylko jako zagrycha! – skomentował pijak, rozejrzał się po sali i ryknął śmiechem. – Ale jej przygadałem! No nie? He! he! he!

Uśmiech miał radosny. Całą postacią pijak skierowany był w moją stronę. Gdybym się zaśmiał, miałbym od razu towarzystwo. Bo pijak nie wyglądał na pustelnika.

Znowu zszedłem na dół. Tymczasem zrobiło się tu znacznie ciemniej. Zgasły dwie lampy przytwierdzone do sufitu. Cierpliwie policzyłem, ile ich tam wszystkich wisi. Było osiem. Teraz świeciły tylko te dwie. Przysiadłem się do wolnego kawałka jednego ze stolików i zasnąłem. Śniło mi się, że zostałem ministrem zdrowia i że moim pierwszym urzędowym rozporządzeniem

była zamiana szpitali psychiatrycznych na dyskoteki. Przecinałem właśnie inauguracyjną wstęgę podczas otwarcia jednej takiej schizofrenicznej dyskoteki, kiedy do uszu wtargnęła mi natrętnie znana melodia…

Wśród nocnej ciszy…!

Ze złością podniosłem głowę. Do świetlicy wdarło się pięciu młodych. Kolędowali przeokropnym sznaps-barytonem, a kiedy już wyczerpał im się zasób rymów, rozpoczęli naradę wojenną.

– Dosyć śpiewania! – zarządził niski rudzielec.

– Czego dosyć? – nie dosłyszał kudłaty grubas.

– Śpiewania – poinformował go trzeci. Z oczu wyglądał mu niedorozwój umysłowy średniego stopnia.

– To co bedziem robili? – zapytał niepewnie młodzian wystrojony w czarny garnitur i koszulkę w poprzeczne paski.

– Bedziem dyskutowali, Franek – zagaił piąty, który tak na oko wyglądał na Zenka z Nowej Woli.

– To czego oni nic nie mówią? – zdenerwował się Franek i pociągnął ręką po zaspanych podróżnych.

– Bo głupie! – wyjaśnił autorytatywnie debil.

– Głupie też mogą mówić! – upierał się Franek.

– A jak nie chcą? – zaskoczył go debil z błyskiem triumfu w oczach.

– To w ryja ich! – podsumował sprawę Zenek z Nowej Woli.

– W ryja to tylko u was, w Michałkowie! – skrytykował zaraz rudzielec.

Pojąłem, że Zenek jest z Michałkowa, a nie z Nowej Woli.

– I nie każdy umie tak od razu w ryja, Szczepan! – dołożył swoje grubas.

Miałem więc niezbity dowód na to, że Zenek z Nowej Woli jest Szczepanem z Michałkowa.

– W Michałkowie można w ryja – przypomniał sobie debil – bo tam same sukinsyny mieszkają.

– To ja też jestem sukinsyn? – zaciekawił się Szczepan.

Sam byłem tego ciekaw, bo jeszcze brakowało mi czegoś do pełnej charakterystyki Szczepana.

– A jak?! – zaśmiał się ironicznie debil. – Ty jesteś największy sukinsyn w Michałkowie!

No! Teraz było już wszystko jasne.

Z postawy Szczepana wynikało jednak, że za chwilę odwoła on się do opinii pozostałych kumpli. Słowem: złoży reklamację. Niech tylko złapie drugi oddech. Zaraz… zaraz… Już!

– Ja jestem największy sukinsyn?

Pytanie zabrzmiało groźnie. I na tyle głośno, że z pewnością usłyszała je bufetowa na górze. Może już starła tę podłogę. Chyba że zabrudziła ją ponownie i teraz znowu ściera.

– A jesteś! – odparł rudzielec w imieniu pozostałych. – Nie chciałem ci tego mówić, ale teraz mówię!

– To i wy wszyscy jesteście sukinsyny! – oświadczył Szczepan i odetchnął głęboko.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia. Zaraz będzie mój pociąg. Wyminąłem pięciu sukinsynów i wyszedłem na peron. Akurat pociąg wtaczał się na stację.

W pierwszym przedziale od drzwi siedziały tylko trzy kobiety. Jedna była młoda, druga średnia, a trzecia stara. Jak w baśniach Andersena. Na końcu zawsze wychodziło, że młoda była wiedźmą, a stara niewinną dziewicą. Tylko średnia pozostawała ciągle średnią, bo do takiej to nawet Andersen nie umiał się przyczepić.

W przedziale było smrodliwie. Wszystkie trzy paliły papierosy i patrzyły w okno. Spojrzałem na tabliczkę przybitą ponad drzwiami. „Dla niepalących". Czyli dla mnie.

Wszedłem i od razu mnie zatkało.

– Ale tu śmierdzi! – powiedziałem na powitanie.

Podniosły głowy z oburzeniem.

– Teraz ludzie nie mają żadnej kultury – powiedziała stara do średniej.

– Żadnej – potwierdziła średnia.

– Ani ogłady – pogardliwie uzupełniła młoda.

W trakcie powolnego rozpinania płaszcza zacząłem cicho pogwizdywać.

– A mężczyźni nie mają żadnego szacunku dla kobiet – stwierdziła na własną odpowiedzialność średnia.

– Rzeczywiście – dodała stara. – Gdzie ta rycerskość, która cechowała mężczyzn przed wojną?

– W partyzantce zginęła – mruknąłem do guzika, który zaplątał się w pętelce.

– Pan coś mówił? – zapytała niechętnie średnia.

– Że okno trzeba otworzyć – zaryzykowałem uprzejmie.

– Ależ dlaczego? – oburzyła się stara. – Tak panu ciepło?

– Śmierdzi – odparłem mniej uprzejmie. – Wywietrzymy i nie będzie śmierdziało.

– A co panu tutaj tak śmierdzi? – zaczepnie odezwała się młoda.

– Dym – rzekłem krótko. – To przedział dla niepalących.

– Pan nie pali? – ze zdziwieniem zapytała średnia.

– A to ci dopiero mężczyzna! – pogardliwie wykrzyknęła młoda. – Nie pali!

– Prawdziwy mężczyzna zawsze pali – stwierdziła patetycznie średnia.

– Ale tylko prawdziwy! – uzupełniła młoda. – A nie jakiś taki…

Wyglądało na to, że próbują mnie zdenerwować. O! Nie ze mną takie numery. Z nerwów to już mnie wyleczyli.

– Współczuję pani – uśmiechnąłem się do młodej.

– A to z jakiego powodu? – zapytała podejrzliwie.

– Że dotychczas miała pani okazję poznać tych prawdziwych mężczyzn tylko po dymie.

Chyba się zaczerwieniła. Ale nie byłem pewny.

– Ja bym pani z przyjemnością dostarczył innych dowodów na prawdziwość. I to bez dymu. Tacy chyba szybko się wypalają. Lubi pani tak raz-dwa i po wszystkim?

Teraz na pewno się zaczerwieniła.

– Ciekawa jestem, jakie to są te pana dowody – zagulgotała średnia.

– Proszę pani – skłoniłem głowę ze słodkim uśmiechem. – Pani to już nie dotyczy. Dla pani minął już termin gwarancji.

– Coś podobnego! – uniosła się stara.

– Dla pani tym bardziej – powiedziałem przekonująco. – Na panią jest już nałożona karencja i z tego względu powinna pani znajdować się w specjalnym rezerwacie. Wobec tego co pani robi w tym pociągu? Ma pani przepustkę?

Zakrztusiła się dymem tak okropnie, że poczułem nagle wyrzuty sumienia.

– Jak pan mógł tak powiedzieć? – odezwała się z wyrzutem młoda.

– Przepraszam – powiedziałem pojednawczo i z niepokojem obserwowałem starą. Sprawiała wrażenie na pół uduszonej.

– Trzeba otworzyć okno! – powiedziałem energicznie i szarpnąłem za uchwyt.

Wleciało nagle tyle świeżego powietrza, że stara zaczęła dusić się od nowa. Tym razem od wiatru. Odczekałem jednak kilka chwil, zanim zamknąłem okno. Stara była niemal ugotowana.

Przez kilka minut panowała cisza. Czułem jednak, że kobiety ponowią niebawem swoje ataki.

– Przepraszam pana – odezwała się znowu średnia. – Widzę, że ma pan jakąś gazetę. Czy… mogę?

– Służę uprzejmie.

– Dziękuję – skinęła odruchowo głową i ze zdziwieniem popatrzyła na tytuł pisma. – O! To pan z daleka podróżuje!

– Właśnie.

– Pan tam mieszka? – zapytała pojednawczo.

– No… mieszkałem przez ostatnie dziesięć lat – odpowiedziałem mrużąc konspiracyjnie oczy.

Młoda spojrzała z zainteresowaniem na rozłożoną gazetę i zapytała:

– A co tam właściwie można robić?

– Ludzie mają różne zajęcia – rzekłem spokojnie. – Ja na przykład siedziałem w więzieniu.

Średnia odruchowo wtuliła się w swój kąt przy oknie.

– Dziesięć lat… – zaczęła niepewnie młoda.

– Tak – powiedziałem spoglądając na zegarek. – Dziesięć lat temu udusiłem teściową.

Stara spojrzała na mnie z przerażeniem, uśmiechnąłem się do niej rozbrajająco.

– Miałem wtedy dwadzieścia siedem lat – gawędziłem refleksyjnie. – W tym wieku mężczyzna nie potrafi jeszcze myśleć rozsądnie.

– To racja – odezwała się lękliwie średnia.

– I dlatego nie wziąłem pod uwagę wszystkich okoliczności – kontynuowałem spokojnie. – Bo kto mógł przewidzieć, że sparaliżowany teść wstanie nagle z fotela i wyskoczy przez okno w spiżarce!

Stara głośno przełknęła ślinę. Średnia chyba trochę się spociła.

– Na szczęście mieszkanie było na trzecim piętrze, więc kiedy teść wyskoczył, to połamał sobie nogi i później znowu go sparaliżowało.

Zauważyłem, że młodej udzielił się makabryczny nastrój i że jeszcze nic nie chwytała.

– Ale drań tak krzyczał tam na dole, że zaalarmował sąsiadów i sprawa od razu wyszła na jaw – zakończyłem.

Teraz wszystkie patrzyły na mnie spod oka. Byłem króciutko ostrzyżony, a nie golona od dwóch dni broda niemal dorównywała długością zarostowi na głowie. Trochę wyglądałem na zbója, a trochę na sukinsyna.

– Ale teraz – odezwała się słodziutko stara – to chyba nie opłacało by się panu nikogo… – zatrzymała się niezdecydowanie.

– Dusić – dokończyłem nurtującą ją myśl.

– Właśnie. Te dziesięć lat…

– To kawał życia – uzupełniła średnia.

Za oknem był już dzień, a one ciągle swoje. Już nabierałem pewności, że byłyby srodze zawiedzione, gdybym nagle okazał się na przykład klerykiem jadącym z seminarium w odwiedziny do mamusi.

Wstałem i założyłem płaszcz.

– Co pan teraz zrobi? – zapytała odważnie średnia.

– Wysiądę. Przecież za kilkanaście minut dojeżdżamy.

– Ale co pan w ogóle zrobi?

Na jej twarzy ukazały się niezdrowe rumieńce. Strach minął. Teraz trzeba wyciągnąć jak najwięcej wrażeń, bo okazja do przebywania w jednym miejscu razem z dusicielem może się już nie powtórzyć!

– W ogóle? – zastanowiłem się przygryzając wargę. – A cóż ja mogę zrobić? Wynajmę się gdzieś za wampira i tyle! – powiedziałem groźnie i wyszedłem na korytarz.

Jakiś człowiek stojący przy oknie spojrzał na mnie i szybko zamknął się w przedziale. Musiałem coś w sobie mieć. Na wszelki wypadek przeszedłem do drugiego wagonu. Było tam na tyle tłoczno, że już nikt nie zwracał na mnie uwagi.

4

Moje miasto powitało mnie słoneczną pogodą. Był jeszcze wczesny ranek, kiedy wyszedłem na ulicę, ale poczułem się nieswojo na myśl o tym, że niedługo znajdę się w moim domu, gdzie ani żona, ani dziecko nie oczekują mnie tak wcześnie.

Spojrzałem uważnie na szybę wystawy sklepowej. Najpierw obejrzałem towary, potem siebie. Towary wyglądały kiepsko, ja – jeszcze gorzej. Wróciłem na dworzec. W kiosku kupiłem żyletkę i maszynkę do golenia. Muszę się ogolić, a najlepiej będzie, kiedy zrobię to własnoręcznie. Żaden fryzjer zresztą nie rozpoczął jeszcze o tej porze urzędowania.

Ustawiłem się na wprost toalety opatrzonej trójkątem i energicznym krokiem pomaszerowałem naprzód.

Babcia klozetowa wyglądała na tle swojego kafelkowego królestwa smrodu jak archanioł Gabriel wypędzający Adama i Ewę z raju.

– Czego tu? – burknęła na mój widok.

– Uszanowanie pani dyrektorce! – zawołałem kordialnie.

– Tylko bez ubliżania! – zastrzegła się od razu.

– Najmocniej przepraszam.

– Dobra, dobra! – przerwała. – Na krótko czy na dłużej?

– Ja tu przyszedłem… – zacząłem oględnie.

– Wiadomo, po co tu ludzie przychodzą! – zawołała. – Przecie nie na herbatę!

– No właśnie. Ja też… – cały koncept rozpłynął mi się w tym smrodzie.

– To trzeba było od razu tak mówić! Kabina numer sześć! – zadecydowała ozięble.

No i co miałem robić? Przecisnąłem się obok babci i powędrowałem na wyznaczone miejsce. Drzwi były zalotnie uchylone, jak gdyby przygotowane dla mnie. Wlazłem więc do środka, ale zanim sięgnąłem do portek, zorientowałem się, że w drzwiach brakuje haczyka. Niedobrze. Sprawa była intymna, a haczyk przepadł.

– Nie ma haczyka! – zaraportowałem głośno babci.

– Pewno, że nie ma – zgodziła się babcia.

– Lepiej by było, gdyby był – zapewniałem ją delikatnie, kłaniając się przy tym niezdarnie.

Czoło babci zachmurzyło się.

– Panie! – wrzasnęła ostro. – Czy ja jestem ślusarzem? To moja wina, że nie ma haczyka? Ja tu jestem urzędniczką państwową na służbie, a pan mi przeszkadza w pracy! Co pan sobie wyobraża? Ja zawołam milicję!

Szybko wpadłem do swojej kabiny. Od razu poczułem się bezpieczniej. Co ja bym zresztą robił z milicją w klozecie?

Płaszcz powiesiłem na wielkim gwoździu i z uwagą zacząłem oglądać dziurkę po haczyku. Nagle zaszeleściło coś po mojej lewej stronie. Znaczy, że wszystko w porządku i że nie jestem na bezludnej wyspie. Mam sąsiada. Rozejrzałem się teraz po drewnianych ściankach i z szacunkiem pochyliłem głowę wobec spuścizny artystycznej anonimowych autorów. Niektóre fragmenty idealnie odpowiadały mi duchowo. W krótkim czasie dokonałem też teoretycznego podziału zarejestrowanej tam twórczości na trzy grupy tematyczne. Przede wszystkim istniały najwyraźniej wykaligrafowane teksty poetyckie, wśród których przeważała liryka okolicznościowa. Następnie – sporo miejsca zajmował epos batalistyczny zawierający barwne przedstawienie walki pomiędzy pewną Krycha a pewnym Józkiem i co z tego wynikło. Odrębną grupę stanowiła publicystyka zaangażowana uwidoczniająca czytelnikowi istnienie dużych możliwości w zakresie naprawy Rzeczypospolitej.

Tak się przejąłem lekturą zapisów ściennych, że aż wypieków na swojej nie ogolonej gębie

dostałem. Mało brakowało, a byłbym zupełnie zapomniał, po co tu przyszedłem. Na szczęście w pewnej chwili sąsiad z lewej zagrzmocił przeciągle. Atmosfera zrobiła się swojska. Trzeba było wreszcie coś robić.

Wyciągnąłem sznurówkę z buta, przewlokłem ją z trudem przez dziurkę po haczyku, potem zawiązałem i końcówkę okręciłem wokół gwoździa przybitego u futryny. Nawet nieźle trzymało. Uśmiechnąłem się z zadowoleniem, ściągnąłem portki i przycupnąłem na muszli.

Sąsiad z lewej znowu załomotał siarczyście.

– Hej tam, panie! – dał się słyszeć oburzony głos babci klozetowej. – Bo mi pan muszlę rozwalisz! Nie możesz pan trochę spokojniej? Kto mi zapłaci za pękniętą muszlę? Ładnie będę wyglądać, kiedy przyjdzie inspektor nadzoru i zobaczy popękaną muszlę! Kategorię mi obniżą!

Zrobiło się cicho, nie było nawet najdelikatniejszego stęknięcia. Z przerażeniem zauważyłem, że mnie babcia całkowicie z konceptu wybiła. Napiąłem się jak kulturysta za krzakiem, a tu nic. Odczekałem jeszcze spory moment i znowu nic.

– Cholera! Nic z tego nie będzie! – mruknąłem półgłosem.

Przysunąłem ucho do ściany, żeby usłyszeć, czy ktoś mi czasem nie współczuje. Ale cały czas panowała cisza. Nawet ten grzmociarz z lewej nie dawał znaku życia. Może go własne decybele utłukły?

Ubrałem się i wyciągnąłem sznurówkę z drzwi. Już nawet na golenie straciłem ochotę. But zawiązałem prawidłowo i marszowym krokiem wyszedłem z klozetu. Babcia dopadła mnie zaraz za drzwiami. Zdenerwowana była niepomiernie.

– Panie, a pieniądze? Płacisz pan przecież dwa złote?

O, to mi się już nie podobało. Za co mam płacić? Niech babcia idzie i sprawdzi. Nie zapłacę i koniec. Dla zasady.

– Panie! – zakrzyknęła znowu.

Przyspieszyłem kroku. Babcia za mną. Cholernie pazerna baba. Już prawie biegłem.

– Masz zapłacić, ty łobuzie! – wrzeszczała, kolebiąc się z nogi na nogę w zapamiętałym pościgu za mną.

Ludzie przyglądali mi się z zainteresowaniem. Odpowiadałem im przyjacielskim uśmiechem, ale babcia coraz bardziej deptała mi po piętach. Doszedłem do dworcowego wejścia i tam natychmiast puściłem się biegiem. Na finiszu nie straszna mi żadna babcia.

Przyhamowałem dopiero przed skrzyżowaniem. Przede mną jaśniały czerwone światła, ale za mną tylko słońce. Odetchnąłem swobodnie.

5

O godzinie ósmej stanąłem na przystanku tramwajowym. Postanowiłem wreszcie pojechać do domu. W wewnętrznej kieszeni marynarki nosiłem konspiracyjnie umieszczony świstek papieru, na którym widniało, że jako były wariat mam prawo do trzytygodniowej kwarantanny. Ustawodawca miał tu na uwadze miejsce pracy, z czego wniosek, że był on kawalerem, wdowcem, przewlekłym rozwodnikiem lub po prostu pedałem. Bo od pracy jeszcze nikt nie zwariował, natomiast od żony już niejeden. Z radością więc udałbym się natychmiast do pracy, byle tylko uchronić się jeszcze na te dwadzieścia jeden dni przed spotkaniem z żoną. Ale świstek… Zresztą, nie będę się powtarzał. Jadę do domu. Jak zapukam nogą i stanę w drzwiach na czworakach, to może na najbliższe kilka dni będę miał trochę spokoju. Moja żona jest okropnie bojaźliwa. Jeżeli już miała mi kiedykolwiek coś oryginalnego do powiedzenia, to krzyczała z windy. Żebym nie mógł jej dosięgnąć.

Mniejsza o to. Na przystanek wjechał tramwaj. Prowadziła panienka w wieku przyzwalającym. Na szczęście aktualnie żaden wiek ani żadna płeć do niczego mnie nie zachęcały. W szpitalu dali mi tyle szczęścia w strzykawce, że musiałbym co chwila zaglądać w spodnie, aby się przekonać, czy jeszcze jestem chłop. Usiadłem, bo akurat jakiś pasażer podniósł się z miejsca. Zresztą byłem nie ogolony, wyglądałem jak rekonwalescent albo jak bandyta i miejsce prawnie mi się należało.

Na pierwszym przystanku do mojego wozu dołączyła spora gromadka ludzi. I wtedy…

– Bilety do kontroli proszę! – zabrzmiało z przedniego pomostu.

Głos był donośny, a treść wypowiedzi niechybnie zwiastowała nieplanowaną składkę na rzecz miejskich zakładów komunikacji. Ludzie rzucili się do kasowników z taką energią, jakby od tego kroku zależało, czy dostaną tramwaj na własność. A ja nie. Trzy stówy przygotowałem spokojnie i z nonszalancką miną czekałem na urzędową sekwestrację. Tyle czasu nie jeździło się tramwajami, to chyba można zapomnieć o skasowaniu biletu. Tym bardziej, że w ogóle go nie zdążyłem jeszcze kupić.

Nagle przez tłum uspołeczniających się przy kasownikach gapowiczów przedarł się znajomy cień i stanął naprzeciw mnie.

– A pan? – powiedział cień. – Bilecik pan ma, że tak pan siedzi jak hrabia na nocniku? Cha! cha! cha!

Dopiero po uśmiechu zorientowałem się, że to Dzidek. Kulturysta z awansu społecznego. Do czołówki krajowej w tym sporcie dostał się dopiero wtedy, kiedy wszyscy mistrzowie wymarli od przedawkowania hormonów tuczących.

Pochylił się nade mną i szepnął dyskretnie:

– Wiejmy, bo mnie tu za chwilę zlinczują!

Akurat dojeżdżaliśmy do przystanku. Pasażerowie już mocno zaczynali żałować, że tak łatwo dali się wrobić w to kasowanie biletów i teraz nieprzychylnie spoglądali na Dzidka. Jeszcze niezupełnie wiedzieli, co jest grane, ale wystarczyłby tylko jakiś przywódca, który by wskazał ręką i od razu azymut sfrustrowanej społeczności ustawiłby się na roześmianą mordę Dzidka.

Wysiedliśmy. Na chodniku Dzidek odetchnął pełną piersią. Odwrócił się w stronę oczekującego na zielone światło wozu i krzyknął:

– A nie ociągać mi się z tym kasowaniem więcej, bo będzie kara! Cha! cha! cha!

Potem złapał się za brzuch i jeszcze prawie pół minuty ryczał ze śmiechu.

– Ale numer, no nie? – powiedział na zakończenie. – Zjemy coś?

– Możemy – odpowiedziałem. – Gdzie?

– W barze mlecznym. Cha! cha! cha! Ja stawiam! – dodał patetycznie.

– Co stawiasz?

– Pierogi ruskie! Cha! cha! cha!

W ogóle nie można było z nim rozmawiać. Usiedliśmy w tym barze przy dwóch porcjach pierogów i przy czterech litrach mleka. Mleko to najlepsze paliwo dla Dzidka. Podobno na treningu takie mleko od razu zamienia się w mięśnie. Zresztą wodę mineralną Dzidek też lubił. W wodzie podobno też jest coś na przyrost siły.

– Dawno cię nie widziałem – odezwał się Dzidek po wypiciu czterech kubków. Przy jedzeniu nigdy się nie śmiał. Tak samo poważny bywał na treningach.

– Chory byłem – odparłem obojętnie. – Na głowę.

– I co?

– Nic. Teraz jestem zdrowy. Mam nawet zaświadczenie, że jestem normalny.

– A co u małżonki? Też zdrowa?

– Nie wiem. Kawał czasu jej nie widziałem.

– Bardzo dobrze – pochwalił i wzniósł piąty kubek. – Twoje zdrowie!

– A co u ciebie? – zapytałem. – Nie pracujesz?

– Nie – Dzidek pokręcił głową. – Dzisiaj nie jestem w formie. Jutro będę pracował.

– Dobra robota – skomentowałem oszczędnie i wyjrzałem przez okno.

Naprzeciwko, jak zaklęty zamek, wznosiła się restauracja kategorii „S”. Przed wejściem stał gruby facet w okrągłej czapce ze sztywnym daszkiem.

– Chciałbyś być takim facetem? – zagadnąłem Dzidka.

– Nie – odparł i wypił ostatni kubek mleka. Czapka mi się nie podoba. Cha! cha! cha! Idziemy?

Wyszedł pierwszy i swoimi szerokimi barami zasłonił mi na chwilę cały świat.

Kiedyś Dzidek udzielał prasie wywiadu. Prasa zapytała, jak to jest z tymi muskułami. Trzeba je mieć od urodzenia czy też rosną one niektórym ludziom później. I czy kulturysta ma muskuły czy siłę. Podobno tego dziennikarza podniósł Dzidek do góry i zapytał, czy tamten ma skrzydła. A działo się to na trzecim piętrze. Facet miał jednak szczęście, bo Dzidek tylko z pozoru jest groźny, ale w ogóle to człowiek łagodny jak jeż pod pierzyną.

Na całą stronę było potem o Dzidku. Że w dzieciństwie przechodził mnóstwo chorób. Że miał paraliż, anemię, gruźlicę, koklusz, odrę, zapalenie mózgu, dyfteryt i padaczkę. I że cały ten kataklizm anatomiczno-fizjologiczny potrzebny był mistrzowi do stworzenia sobie później żelaznej motywacji na konto przyszłych zabiegów ze sztangą. Liczy się duch! A ponieważ duch nigdy nie opuszczał mistrza, wobec tego mistrz wyklepał swoje ciało do pożądanej formy w ciągu wieloletnich ćwiczeń. W gazecie stało jeszcze o tym, czego to Dzidek musiał się wyrzec, zanim został mistrzem. Wyrzekł się więc picia, palenia i dyskotek. Najgorsze są ponoć dyskoteki, gdzie decybele mogłyby ubić mistrza na amen.

Z informacji prasowej wynikało też, że Dzidek opanował język angielski, aby z odpowiednich magazynów zagranicznych wyczytać, czego jeszcze wyrzekali się najlepsi kulturyści amerykańscy, dopóki nie zdobyli tytułu Mister Universum. Dzidek dawał też rady przyszłym adeptom. Było tam głównie o jedzeniu. W zasadzie jeść należy stale, a jeśli się nie da, to przynajmniej często. Oddychać należy mimo wszystko częściej.

Pamiętam, że wtedy spodobała mi się ta propaganda, jaką mój przyjaciel wypuszczał w świat. Jak przeczytałem, to natychmiast postanowiłem zostać kulturystą. Ponieważ jednak po przeczytaniu artykułu żaden mięsień mi nie przyrósł, poszedłem więc do Dzidka na trening.

– Tu masz sprzęt – powiedział Dzidek. – Zrób rozgrzewkę i tyraj!

Poważny był jak orzełek na dwudziestogroszówce, bo akurat miał trening, a na treningu nie ma nic do śmiechu.

W każdym razie na pewno zacząłem wtedy od rozgrzewki. Oparłem się o ciepły kaloryfer i popatrzyłem naokoło. Ludzie, którzy tam się kręcili, mieli na ogół nieszczęśliwe twarze. Brali żelastwo do rąk i od razu zaczynali jęczeć. Niektórzy rzęzili, jakby ich kto dusił. Wyraźnie brakowało im tlenu. We wszystkich kątach zanosiło się na agonię.

Zmęczyłem się samym patrzeniem na to piekło. Czego tam nie było! Hantle, wyciągi, ławy, liny, sznurki, ściskacze, skręcacze, stojaki, deski, drągi, wieloczynnościowy Atlas i wszystko inne, co stosowała średniowieczna inkwizycja do nawracania sceptyków na ortodoksyjną wiarę.

Swoją drogą od tamtej pory mam duży podziw dla samozaparcia tych ludzi, którzy żadnych gratyfikacji finansowych nie otrzymują, poza samymi mistrzami oczywiście, umartwiają się kilka razy w tygodniu, żrą owsiankę jako menu z wyboru, odmawiają sobie codziennych radości i – nie wpadają w obłęd.

A Dzidek jest z nich wszystkich najlepszy. I humor ma wprost niewiarygodny. Przynajmniej raz w tygodniu straszy ludzi kontrolą biletów tramwajowych, czasami dzwoni do znajomych i pyta, czy to prawda, że przed godziną ukradziono im samochód, bo właśnie słyszał komunikat milicji. Trzydziestoletnie panienki zamęcza informacjami o jakimś wybuchu w miejscu zamieszkania tychże panienek oraz komentarzem, że wspomniany wybuch najprawdopodobniej spowodowany został nagłą utratą długo przechowywanej przez nie cnoty.

Takiego dowcipnego jak Dzidek nie ma w całym mieście. Nawet w kraju nie ma. Przed zawodami sportowymi rozśmieszy swoich przeciwników do tego stopnia, że już nie nadają się do zawodów. No i wygrywa. Nie ożenił się mimo podeszłego wieku, bo mówi, że jakby się ożenił, toby go baba na treningi nie puszczała i nie miałby kto wygrywać meczów. A zdaniem Dzidka, nikt oprócz niego nie nadaje się do wygrywania.

Taki jest Dzidek. W każdym razie zaraz po zjedzeniu śniadania zgłosił chęć odprowadzenia mnie pod same drzwi mojego mieszkania.

– Jakby co – powiedział – to mogę kogoś przestraszyć.

No i dobrze. Zajechaliśmy na miejsce i cichaczem podeszliśmy pod drzwi. Trochę mnie ścisnęło w gardle, bo stęskniłem się za tymi drzwiami. Nadstawiłem ucha i od razu dobiegł mnie wiecznie radosny głos teściowej:

– A twój mąż już wie, że będę mieszkać z wami?

Zbladłem, a Dzidek zamknął oczy, żeby nic nie mówić.

– Już ja mu wytłumaczę – odpowiedziała moja żona. – Chyba się ucieszy, bo mama zajmie się dzieckiem, a on potrafi docenić takie poświęcenie.

– Pamiętaj, że w razie czego masz natychmiast brać rozwód!

Dzidek wyciągnął do mnie rękę.

– Gratulacje! – wyszeptał konspiracyjnie. – Teściowa to jest to, czego ci najbardziej w życiu zawsze brakowało!

Spuściłem głowę i już nie słuchałem, co tam się planuje za drzwiami. Dzidek pociągnął mnie w stronę windy.

– Pomieszkasz trochę u mnie – powiedział – a później zobaczymy.

6

Po dwutygodniowym pobycie u Dzidka było mi już lekko na duchu, ale ponieważ niedługo miało rozpocząć się lato, wypadało coś zaplanować. Pieniędzy miałem niewiele, a za tydzień należało iść do roboty. Już sobie wyobrażałem moje przyjście do szpitala, w którym byłem zatrudniony: pani docent pierwsza się ukłoni i zapyta o zdrowie. Powiem, że dziękuję i wyszczerzę zęby do doktora Mustafy. Chyba się zlęknie, bo już na pewno wie, że jestem wariat. A wariata każdy musi się bać. Pielęgniarki poinformuję urzędowo, że zostałem dyrektorem szpitala i że je zwalniam. Ojej! Wszyscy pomyślą, że uciekłem z tej psychiatrii. Co robić? Przecież jak się nie wygłupię, to zaczną mi współczuć. Kto wie, czy Mustafa nie wpadnie na pomysł, aby znosić mi kanapki do pracy. Nie, trzeba zrobić co innego. Na początek pójdę do poradni zdrowia psychicznego. Niech dadzą jeszcze miesiąc wolnego. Muszę się opalić. Pod opaleniznę nie będzie tak widać, żem wariat…

Dali to zwolnienie. Odstawiłem takiego sierotę, jak gdybym został niedawno znaleziony w pegeerowskim kartoflisku razem ze stonką ziemniaczaną.

– Niech się pan uspokoi! – wołała ze współczuciem taka jedna doktórka, kiedy widziała, jak mi ręce latają. A latały, bo miałem stracha, że się wyda. Nawet jąkać się zacząłem – taki byłem zmarnowany i przejęty swoją rolą.

Nawypisywała mi w karcie zdrowia pół strony kompleksów, chorób i stanów psychicznych. Nawet Dzidek by się tego wystraszył, gdyby widział. Dobrze, że tego dnia psychologa nie było na miejscu. Badania testowe od razu by wykazały, jaki bałach wciskam. A ta doktórka to jakaś literatka. Tak się rozpisała, że jej kartki zabrakło. Na szczęście nie zdążyłem tego wszystkiego wyczytać, bo na pewno zmartwiłbym się jeszcze bardziej niż ona.

– To co robimy? – zapytał później Dzidek.

– Nie wiem. Jeżeli ci się znudziło, to powiedz. Wezmę manatki i wrócę do swojego mieszkania.

– Nie gadaj głupot! – zaprotestował od razu. – Przecież tu jest dużo miejsca. Jak już pokochasz teściową, to pójdziesz. A na razie siedź!

Posadził mnie na krześle, a sam pojechał na trening. Siedziałem i wyglądałem przez okno. Na ulicy spacerowali różni ludzie. Żony z mężami, matki z dziećmi i babcie z siatkami pełnymi zakupów. Nawet miałem chęć przyłączyć się do nich, ale jak? Mogę najwyżej powędrować na spacer z Dzidkiem. Tyle że nie teraz, lecz kiedy wróci, zresztą to też nie wiadomo, czy nie będzie wolał sobie poleżeć.

W ciągu pięciu minut ustaliłem, że beznadziejne jest to moje życie z Dzidkiem. Powinienem pójść do własnego domu, uściskać żonę, pokłonić się teściowej i natychmiast wysłać ją do Dzidka, zanim ten wróci z treningu. Niech to diabli! Przecież teściowa jest kobietą zupełnie do rzeczy. Dopiero w parze z moją żoną tworzą wiedźmiarski duet. Co za szatan podkusił mnie kiedyś, abym zapisał się do tego stowarzyszenia! Poleciałem na ładną buźkę zamiast na… na hektary. Gdybym ożenił się z córką rolnika indywidualnego, byłabym dziś indywidualnością, a żona byłaby u mnie za kuchtę. Jeszcze tylko nie wiem, czy bycie indywidualnością to dobrze czy źle. Może lepiej ożenić się z Dzidkiem? Ma swoje felery, ale kto ich teraz nie ma!

Po godzinie rozbolała mnie głowa. Zażyłem dwie tabletki i na kilka minut przestałem myśleć, ale mimo wszystko czułem się coraz gorzej. Jako absolwent szpitala psychiatrycznego powinienem mieć obniżone samopoczucie. Zgadza się, mam obniżone. Powinienem też mieć obawy, że żona zechce pozbyć się mnie jako człowieka niepełnosprawnego umysłowo. Też pasuje, bo takie obawy akurat mam. Co ona zrobi, kiedy tam przyjdą?

– Najpierw stanie za stołem – wyłożył Dzidek, gdy już wrócił – a później trochę ci się

przyjrzy. Jeśli nie będziesz zezował, to może nawet poda ci rękę.

– Ale przecież muszę wreszcie zacząć żyć normalnie! – zakrzyknąłem.

– Normalnie to żyję tylko ja – wyraził się Dzidek, zdjął koszulę, napiął muskuły i wysapał. – O, to jest normalna sprawa, bracie! Sto osiemdziesiąt w wyciskaniu leżąc. Kapujesz?

– Kapuję.

– To w porządku. A twoja teściowa ile wyciska?

Zastanowiłem się chwilę.

– Nie mam pojęcia. Ale chyba sto osiemdziesiąt by nie wzięła. A może?…

– Jak to „może”?

– Kiedy w nią zły duch wejdzie, wtedy wszystko jest możliwe.

– Ty mnie, stary, nie zrozumiałeś – podniósł rękę Dzidek. – Mnie nie chodzi o doping. Niech ona pokaże, co potrafi bez dopingu!

Z Dzidkiem można tak bez końca. Jako człowiek samotny uprawia coś w rodzaju mniemanologii opisowej. Kiedy stoi w kolejce po biały ser, wszystkim się po kilku chwilach wydaje, że Dzidek stoi tam głównie po to by założyć towarzyski klub dyskusyjny. Dopiero widok jedzenia zamyka mu usta. Ale nie na długo, oj nie!

– Twoja żona zrobiła cię normalnie w konia – ocenił zaraz na początku. – Przecież to ona zawiozła cię do wariatów!

– A gdzie miała mnie zawieźć? Wystraszyła się, bo byłem agresywny, nie wiedziałem, co robię, i tyle.

– Więc dlaczego nie idziesz do niej?

– Bo się wstydzę. I to każdego dnia więcej.

– Aha – skinął głową ze zrozumieniem i chwycił w dłonie ekspandor. – Człowiek rozwija się tylko w ruchu – wyjaśnił i rozciągnął gumy kilka razy. – Ja niczego się nie wstydzę, ale ja nie mam obciążeń!

– Jakich obciążeń?

– No… żona, dziecko, teściowa… Mało tego? Sam słyszałeś. Teściowa wprowadziła ci się do chaty. A wiesz dlaczego? Boi się o córkę. Kiedy będziesz chciał pokochać się z żoną, to najpierw związą ci ręce, żebyś nikogo nie udusił, a potem zadzwonią na milicję. Tak na wszelki wypadek. Cholera! – puknął się w czoło. – Jak ty to będziesz robił?

– Co?

– Miłość ze związanymi rękami!

– Do wszystkiego można się przyzwyczaić – mruknąłem smętnie.

– I co zrobisz?

– Pójdę tam.

– Tak? To ucałuj ode mnie teściową! Cha! cha! cha!

7

Nie poszedłem do domu. Było mi głupio i uważałem, że jeszcze na wizytę za wcześnie. Jak ja się usprawiedliwię z tego, co zrobiłem przed trzema miesiącami? Jakoś będę musiał się usprawiedliwić, wyjdę wtedy na normalnego. Ale mimo wszystko było ze mną źle. Nastąpiły u mnie ostre zaburzenia osobowości spowodowane, jak to określił doktor Kawecki w historii choroby, „przepracowaniem i ogólnym wyniszczeniem organizmu". Racja, bo tyrałem stanowczo zbyt intensywnie. Pracowałem o różnych porach w szpitalu, a w wolnym czasie dorabiałem jeszcze dyżurami w pogotowiu. Coś takiego musiało się źle skończyć. Zmęczenie doprowadziło do napięcia psychicznego, aż w końcu nastąpił wybuch. Nie przypominam sobie tego momentu ze wszystkimi szczegółami, ale pewne jest, że nie zachowałem się wtedy tak, jak oczekiwano. Chyba nawet kogoś pobiłem, chociaż od nikogo przecież nie doznałem żadnej krzywdy. Wyobrażam sobie, ile wstydu najadła się moja żona. Ile wymówek musiała wysłuchać z ust teściowej za to, że w ogóle za mnie wyszła. W zasadzie to już od samego początku wszyscy dawali mi do zrozumienia, że nie jestem dla niej najlepszą partią. A do tego jeszcze to załamanie nerwowe. Niby żadna poważna choroba psychiczna, ale wiadomo, że jeśli się już było w szpitalu psychiatrycznym, to można mieć człowieka za wariata. Dobrze, że żona zorganizowała mi leczenie kawał drogi stąd. Nikt mnie tam nie znał, nikt nie odwiedzał i nikt nie kpił. Przeszło, minęło, znowu jestem zdrowy. Przynajmniej tak mi się wydaje. A jeszcze wcześniej wydawało się tak doktorowi Kaweckiemu. I nawet zaświadczenie mam, a w tym zaświadczeniu napisane, że jestem zdrowy psychicznie. Czy taki Dzidek ma gdzieś napisane, że jest zdrowy psychicznie? Nie ma. Wobec tego różnie można o nim myśleć. Każdy człowiek powinien mieć urzędową ocenę swojego stanu umysłowego. Jeśli nie ma, znaczy, że podejrzany. I że przyszłość przed takim niepewna. Nie powinien zawierać małżeństwa, ani też obejmować odpowiedzialnych stanowisk w urzędzie. Powinien za to ustawić się w kolejce do poradni zdrowia psychicznego i czekać na badanie.

A ja mam już to za sobą. Powinienem więc czuć się jak wiosenny skowronek, a czuję się jak śledź pływający na dnie beczki. No bo mi ciągle wstyd! Co ja teraz powiem żonie? Jak ją uspokoję? Przecież ona będzie się mnie bała. Kto jej zaręczy, że mi się taki numer nie przydarzy raz jeszcze? Będę musiał chyba swoje zaświadczenie szpitalne pokryć szkłem, oprawić w ramki i powiesić na ścianie. Kiedy ktoś przyjdzie, to przeczyta i od razu pojmie, że jestem normalny. A moja żona w chwilach zwątpienia będzie spoglądać na tę laurkę jak na święty obrazek. Kiedy dziecko trochę podrośnie, zorganizuję rodzinne modlitwy poranne i wieczorne przed tym wiszącym ołtarzykiem.

A zatem przyszłość jest wciąż przede mną. Trzeba tylko wziąć się w garść i zapomnieć o tym nieprzyjemnym fragmencie mojego życiorysu.

Mimo wszystko ciągle brakowało mi psychicznego luzu. Wmawiałem sobie, że jest dobrze, a było źle. I jeszcze ta teściowa, która ma mieszkać razem ze mną i z moją żoną! Żonę jestem nawet w stanie przekonać, że miałem pecha i z tego pecha wyrosła reakcja emocjonalna, która nigdy się nie powtórzy, ale jak sforsować teściową?

Swoimi obawami podzieliłem się z Dzidkiem. Na początek się roześmiał, a potem zadzwonił do Adolka, żeby go zaprosić na konsultację. Adolek był również moim kumplem i to od kilkunastu już lat. Ukończył przed laty historię sztuki, ale specjalizację miał raczej nowoczesną. Opanował mianowicie w szerokim zakresie sztukę tropienia, podrywania, bałamucenia i przelatywania kobiet reprezentujących wiek tartaczny, czyli od piętnastu do pięćdziesięciu lat. Praktycznie rzecz biorąc, dla Adolka każde ciało stanowiło przedmiot ewentualnej akcji zaczepno-holującej.

– Moja przyszła żona! – przedstawiał niemal codziennie jakąś sztukę poznaną piętnaście minut temu na ulicy.

Adolek był autorytetem dla całego pokolenia rodzaju męskiego. Kiedyś nie wierzyłem w jego nadprzyrodzoną moc przyciągania kobiet i zaproponowałem mu turniej uliczny. Zresztą sam miałem się za artystę, jeżeli chodzi o te rzeczy, więc Adolkowa fama szybko sprowokowała mnie do konfrontacji. I stąd ten turniej.

Stanęliśmy po skosie na dwóch rogach krzyżujących się dużych ulic. Mnóstwo ludzi paradowało tamtędy we wszystkie strony, więc nietrudno było upatrzeć coś dla siebie. Każdy z nas miał godzinę czasu na przygruchanie sobie panienki. Ten, kto przygrucha więcej, wygrywa. Dowodem świadczącym o skuteczności gruchania miała być weryfikacja upolowanych sierotek na upatrzonym z góry miejscu schadzki. Ustaliliśmy, że będzie to kawiarnia „Niespodzianka" otoczona od strony chodnika czterema dużymi filarami, za którymi w razie potrzeby mogło się ukryć nawet kilka osób.

No więc o wyznaczonej godzinie ruszyliśmy do ataku. Odległość pomiędzy narożnikami nie była zbyt duża, sylwetkę Adolka miałem wciąż na oku. Ruchliwy jak iskra, czarnowłosy, krótko ostrzyżony, w świeżej koszuli, jasne spodnie, zamszowe kamaszki – walił do przodu ostro jak torpeda. Co chwila wyławiał z tłumu jakąś dziewczynę i machając malowniczo rękami klarował jej swój zachwyt nad błogosławieństwem losu, który pozwolił mu spotkać na swojej drodze tak czarującą istotę.

Powtarzam tak dokładnie, bo cały ten bałach wielokrotnie już słyszałem. Adolek nigdy nie wysilał się na zmianę tekstu. Utłukł nim zresztą kilka legionów naiwnych pań i panienek.

A mnie ciągle się wydawało, że do każdej dziewczyny zastosować muszę odmienny memoriał. Traciłem na tym czas i w końcówce wyszło, że Adolek rozłożył mnie na łopatki. Zaklepał sobie trzynaście, podczas gdy ja tylko sześć.

Żeby nie było nieporozumień, ustawiliśmy się o szóstej wieczorem za filarami koło „Niespodzianki", bo właśnie na szóstą miały być umówione wszystkie naiwne.

Ojej! Ale była rewia! Panienki zademonstrowały punktualność równą punktualności polskiej kolei przedwojennej. Wchodziły do wnętrza kawiarni i wychodziły. I wciąż spoglądały na zegarki.

Pół godziny tak staliśmy za tym filarem. W końcu stwierdziliśmy, że nie był to mądry pomysł. Tym bardziej, że w grupie poderwanych znalazły się takie sztuki, o jakich tylko się marzy. Wystarczyło zaklepać sobie po jednej takiej na całe życie i od razu to życie nabrałoby dużo wdzięku.

Ale szampan stawiałem dla Adolka, dla Dzidka i jeszcze dla takiego jednego malarza Fredka, który wtedy miał talent i dziewczyny, a teraz z tego wszystkiego została mu zaledwie jedna panienka. Talent i cała reszta zapodziały się nie wiadomo gdzie. No bo tak: zakochał się i tyle!

8

Adolek przyjechał na konsultację wieczorem. Zanim przedstawiliśmy mu sprawę, zaprosił nas na wieczór literacki, w którym pełnił rolę gospodarza, jako że cała ta kulturalna akcja miała odbywać się w dzielnicowym klubie plastyka, gdzie Adolek prezesował. Niech mu będzie! Powiedzieliśmy, że przyjdziemy, ale pod warunkiem, że będą kanapki i woda sodowa. Obiecał załatwić.

Wobec tego przystąpiliśmy do rzeczy.

– Słuchaj, Bartek – zaczął nonszalancko Adolek. – Ty się nie przejmuj zbytnio swoją sytuacją rodzinną, bo ty jesteś rekonwalescent. Jak wrócisz teraz na łono teściowej, to w ciągu trzech dni zawiozą cię znowu do czubów i przytrzymają dotąd, aż złapiesz przewlekłego szmergla. Rekonwalescent powinien jechać do sanatorium albo przynajmniej na wczasy.

W tym miejscu Dzidek wstał i podał Adolkowi rękę.

– Ty masz łeb! – pochwalił. – Jedziemy na wczasy. Jutro jedziemy – dokończył zdecydowanie.

– Jutro nie mogę – pokręcił głową Adolek. – Jutro mam wieczorek literacki.

– No to po wieczorze.

– Po wieczorze możemy.

– A jak z forsą? – zapytał praktycznie Dzidek.

– Wystarczy! – Adolek klepnął się po kieszeni.

– A ty Bartek?

Wzruszyłem beznadziejnie ramionami.

– Mam tyle pieniędzy, że gdybym nawet chciał je zamienić na dobre chęci, wyszłaby z tego inflacja.

– Wobec tego wykorzystamy twój samochód – powiedział Adolek. – Ja płacę za benzynę, a Dzidek kupuje jedzenie.

– A spanie? – przypomniał sobie Dzidek.

– Potrzebny byłby czwarty – mruknął Adolek.

– Może Fredek?

– Może być. Ale bez dziewczyny.

– Tylko że kluczyki od samochodu i prawo jazdy leżą u mnie w domu – wtrąciłem rzeczowo.

Przygaśli na kilkanaście sekund.

– Co zrobimy?

– Będę musiał tam pójść.

– Jak pójdziesz, to zostaniesz – stwierdził bezapelacyjnie Dzidek.

– I złapiesz przewlekłego szmergla – dodał Adolek.

– Więc co mam robić? I tak muszę tam w końcu zamieszkać!

– Oczywiście, że w końcu – szybko wychwycił Dzidek. – Ale nie na początku!

Adolek zmarszczył brwi i uśmiechnął się.

– Była dziś pogoda? – zapytał.

– Była.

– To i jutro będzie.

– Może i będzie – odpowiedzieliśmy z Dzidkiem zgodnie.

– Więc familia wyjdzie z domu na spacer. Proste?

Dzidek znowu wstał i podał Adolkowi grabę.

– Ty masz dubeltowy łeb! A ty, Bartek – zwrócił się do mnie napinając efektownie klatkę piersiową – masz przynajmniej klucz do swojej chaty?

– Mam.

– No to jesteśmy w domu.

– Na razie w twoim.

– Nic się nie przejmuj. Przypominaj sobie tylko, gdzie w ostatnim czasie leżało twoje prawo jazdy. A gdzie ten twój samochód stoi?

– Przed domem. A gdzie ma stać?

– Może teściowa jeździ na spacery i gdzieś go postawiła?

– Bądź spokojny! Jej jedyną zaletą jest to, że nie umie jeździć. Żona też nie.

– To w porządku! – ucieszył się Dzidek i zaśpiewał jedyną zwrotkę „Tanga Milonga”.

Wysłuchaliśmy w skupieniu, po czym Adolek rzekł:

– Przestań śpiewać, bo szafy chodzą.

Dzidek trochę się speszył.

– Przecież mam trochę talentu! – zawołał.

– Do dźwigania, Dzidek! Do dźwigania! Teraz takie czasy, że liczą się tylko wąskie specjalizacje. Sztanga to jest sztanga, a śpiewanie to śpiewanie.

Dzidek po raz trzeci obejrzał Adolka z szacunkiem.

– Ty masz łeb! – powiedział głośnym szeptem, pochylił się nieco, chwycił Adolka pod kolana i wsadził go na szafę.

– A nie mówiłem? – zawołał Adolek spod sufitu. – Każdy powinien zajmować się tylko swoją działką!

9

Następnego dnia od rana padał deszcz. Koncepcja wczasowo-sanatoryjna zwilgotniała na tyle, że ani Dzidek, ani ja nie dotykaliśmy nawet wczorajszego tematu. Za to koło południa ogarnęła mnie zwyczajna tęsknota za żoną i dzieckiem.

– Pójdę tam – powiedziałem do Dzidka, który wciąż zastanawiał się, czyby nie zacząć jakiejś roboty, bo stypendium, jakie pobierał z klubu sportowego, nie wystarczało na wszystko. – Kiedyś przecież i tak będę musiał pójść.

Dzidek skinął najpierw obojętnie głową, ale po chwili zapytał:

– A co z naszą wycieczką?

– Nie mam pojęcia. Muszę najpierw uregulować moje układy rodzinne.

– W którą stronę odbędzie się ta regulacja?

– Też nie wiem, ale idę.

Nic już nie powiedział.

No i poszedłem. Kiedy pukałem do drzwi, serce waliło mi tak mocno, że prawie nie słyszałem samego pukania. Czy za tymi drzwiami jest ktoś, kto wyciągnie do mnie obie ręce na powitanie?

– Kto tam? – zabrzmiał srebrzysty głos żony.

Wyjątkowo miły miała ten swój głos. Przed kilku laty uwiodła mnie przede wszystkim brzmieniem głosu.

– Ja – odpowiedziałem tak ochryple, że trudne było o jakąkolwiek identyfikację.

Dostrzegłem cień w oczku wizjera.

– Ktoś pukał? – usłyszałem z głębi pokoju pytanie teściowej.

– To Bartek – stłumionym szeptem odpowiedziała żona.

Kiedy już drzwi się otwarły, stanęły w nich. obie.

– Można? – zapytałem idiotycznie.

– Prosimy bardzo! – zawołała teściowa błyskając bazyliszkowatym uśmiechem opromienionym blaskiem dwu złotych zębów na przodzie.

Żona lekko się cofnęła i spojrzała mi na ręce. Mogłem przecież mieć pistolet albo siekierę. Wszedłem dalej, rozejrzałem się po jednym pokoju i zajrzałem do drugiego. Spało w nim moje trzyletnie dziecko.

– Długo już śpi?

– Dopiero zasnął – odparła teściowa, tonując nieco uśmiech. – Nie trzeba go teraz budzić.

– Nastawię herbatę – powiedziała szybko żona i zakrzątnęła się przy kuchni.

– Dzwoniłyśmy do szpitala – poinformowała teściowa. – Doktor Kawecki powiedział, że już dawno cię wypisał.

– Tak. Rzeczywiście wypisał – powiedziałem z tremą. – Głupio mi było tak od razu wracać po tym, co się stało.

– Ojej! – machnęła ręką teściowa. – Nic się nie stało! Odpoczniesz trochę, potem pójdziesz do pracy i wszystko wróci do normy. Już ja się o to postaram.

– Dziękuję – skłoniłem się uprzejmie. – A co u małżonka?

– Nie wiem! – skrzywiła się gniewnie. – Już tego fajtłapy kilka tygodni nie widziałam. Pije pewnie u jakiejś dziwki i zapomniał drogi do domu!

– Aha – powiedziałem ostrożnie. – Znaczy, że mama teraz zamieszka z nami.

– Tak – odezwała się z kuchni żona. – Mama postanowiła wychowywać nasze dziecko.

– Wasz synek bardzo mnie lubi! – zawołała radośnie mama.

– Cieszę się – rzekłem ze smutkiem. – Są dwa pokoje, więc jeden będzie dla nas, a drugi dla

mamy.

Teściowa chrząknęła z zastanowieniem, a żona przyniosła herbatę i kanapki.

– Widzisz, Bartek – zaczęła żona. – Na razie… ja z mamą będę w jednym pokoju, a ty w drugim…

– Nie rozumiem! – wykrzyknąłem z niepokojem.

– Musisz przecież odpocząć – tłumaczyła cierpliwie. – Po kuracji szpitalnej trzeba dużo spać, unikać zdenerwowania i nie myśleć o tym, co będzie.

Od razu się zdenerwowałem.

– A jeśli będę miał chęć na pieszczoty? – zapytałem odważnie. – Tyle czasu żyłem jak pustelnik, że mogę taką chęć mieć. Nie wydaje ci się?

Teściowa złapała się za głowę.

– Bartek! Przecież ty jesteś już poważny człowiek! Dziecko macie, po co wam pieszczoty! Daj sobie na razie spokój. Do czterdziestki dobijasz, niedługo o tym zapomnisz. Mój Kazik od lat już się tego nie domaga!

– Wcale mu się nie dziwię! – westchnąłem z ironią i spojrzałem na nią z góry na dół.

Od razu obie ustawiły się wrogo.

– Co chciałeś przez to powiedzieć?

– To, co obie macie na myśli. Kazik używa sobie cały czas na boku. A jeszcze teraz? Ho! ho! ho! Wolna chata! Przecież tam baby włażą drzwiami i oknami! Ale mu wesoło!

– Ty chyba naprawdę niedobrze masz z głową – cichym, nieprzyjaznym głosem stwierdziła żona. – Obrażasz mamę.

– Wcale nie obrażam. Chcę mamie tylko wyjaśnić, że taki facet jak ja będzie rąbał do osiemdziesiątki!

– Jak ty się wyrażasz!

– No dobrze już. Przepraszam – uspokoiłem się na chwilę. – To jak będzie z tymi rzeczami?

– Dopiero przyszedłeś i już wyskakujesz tak głupio.

– Bo jestem człowiek rzeczowy i muszę wiedzieć, na czym stoję. Jak nie będziesz spać razem ze mną, to co noc podskoczę do waszego pokoju. Mam nadzieję, że was nie pomylę! Cha! cha! cha! Dobre, co? Cha! cha! cha!

Jeszcze kilka tygodni pożycia z Dzidkiem i podłapię do końca jego maniery.

Teściowa wyprostowała się dumnie.

– Tak? – zapytała bez potrzeby. – Więc wyprowadzimy się obie. Jedziemy do mojego domu.

– O rety! – zaśmiałem się złośliwie. – A to się dopiero Kazik zmartwi! Gdzie on pójdzie z tymi dziewczynami?

– Będziesz mieszkał sam – powiedziała twardo żona. – Za karę!

Zamyśliłem się, ale zbyt mało miałem czasu, by stwierdzić, czy lepiej żyć samemu, czy z teściową. Jedno było w tej chwili pewne: narozrabiałem jak wariat. A przecież mam w zaświadczeniu, że jestem normalny. Muszę to przy najbliższej okazji przemyśleć. Teraz nie mogę. Teraz mogłem tylko przyglądać się, jak obie kobiety biegają po mieszkaniu i pakują na kupę różne szpargały.

Teściowa mieszkała w małym miasteczku o trzydzieści kilometrów stąd. Mieszkanie miała trochę większe niż moje i miejscowi orientowali się, jak to mieszkanie zdobyła. Przyszła mianowicie do prezesa spółdzielni mieszkaniowej i powiedziała, że jej kilkunastoletnia córka ma gruźlicę, niech więc prezes przydzieli mieszkanie z dodatkowej puli, bo śmierć jest już blisko, a rudera, gdzie ta gruźlica panuje, obrasta pleśnią, nie ma tam szans na wyzdrowienie. Niech prezes będzie człowiekiem i zrobi coś. Miłosierdzia nam trzeba, bo zginiemy!

– A co ja zrobię z człowiekiem, który jest właśnie w kolejce? – zapytał przerażony prezes. –

Nowe mieszkania będą dopiero za rok.

– Może zechce poczekać ten rok?

– On już nie ma pieniędzy na wynajmowanie lokalu zastępczego.

– Ja przyniosę – powiedziała teściowa.

Przyszła drugi raz i przyniosła tyle, ile było trzeba, a nawet trochę więcej. Przyniosła też szczegółową opowieść o tym, jak gruźlica u córki powiększa się z tygodnia na tydzień. Niedługo miało już dojść do tego, że i matka zacznie pluć krwią.

I tak otrzymała to swoje mieszkanie w tydzień. A była w kolejce dopiero na trzeci rok.

Minęły dwa tygodnie, córka przestała pluć, zresztą nigdy nie pluła, za to matka zaczęła chodzić do kardiologa i leczyć się na serce.

– Co ci jest, mamo?

– Córuś! Czy ty wiesz, ile ja łapówki dałam tym sukinsynom za mieszkanie? Serce mi pęka!

– Takie czasy, mamo – odrzekła roztropnie córka. – Wszystko kosztuje.

– Ale ja tego darować nie mogę! Nie mogę, bo umrę z żalu! Idę do prokuratora!

I poszła. Nie wiadomo dokładnie, jak wyglądał seans u prokuratora, prokurator nie rozpowiadał, ale domyślać się przecież można.

– Panie prokuratorze! Córka umiera na gruźlicę, a ja musiałam dać łapówkę za mieszkanie takiemu jednemu prezesowi-krwiopijcy. Jak pan nie wsadzi do paki tego prezesa, to moja córka umrze. Chce pan mieć na sumieniu moją córkę?

Może było tak, a może inaczej, w każdym razie prokurator wsadził prezesa na pięć lat, dzięki czemu córka nie umarła, a ja w jakiś czas później mogłem ożenić się z żywą istotą.

Teraz ta żywa istota stoi naprzeciw mnie, patrzy mi hardo w oczy i czeka na moją odpowiedź w kwestii, kto z kim ma mieszkać.

Dziwne są losy układów męsko-damskich. Cztery lata temu dziewczę to dostawało spazmów, jeżeli nie zobaczyło mnie przynajmniej raz dziennie, chociażby na krótko. Jeszcze nie było mowy o ślubie, a ona już świata nie widziała poza mną. Ba! Nie trzeba cofać się aż tak daleko. Dwa lata temu musiałem tłumaczyć się z każdej minuty drobiazgowo, jeżeli tylko mój pobyt w pracy przedłużył się o pół godziny. Przed kilkoma miesiącami nie było dnia, by nie dzwoniła do kliniki z natrętnym pytaniem, czy ją kocham.

Potem świat zakręcił się w drugą stronę i wszystko runęło. Ukochany mąż znalazł się nagle na pozycji osoby niechcianej. Co mam teraz robić? Zaproponowano mi rolę wesołego rencisty familijnego. Kiedyś głosiłem, że człowiek powinien w życiu wszystkiego spróbować, a tu właśnie okazało się, że sprawa jest dla mnie nie do przyjęcia. Znaczy, że straciłem poczucie humoru. Niby potrafię jeszcze głośno śmiać się „Cha cha cha!", ale moje oczy pozostają zimne. Takie „Cha cha cha!" nie ma nic wspólnego z humorem. Stałem się ponurakiem i tyle. Nie pasuję już do teatralnie uśmiechniętej teściowej i do lodowato uprzejmej buźki mojej żony. Powinienem zaraz wyjechać do Ameryki, albo przynajmniej za miasto na ryby.

– Nie będę waszym domowym rencistą! – ogłosiłem zdecydowanie. – Wyjeżdżam samochodem do Ameryki!

Otworzyłem biurko. Wszystko było na miejscu. Zarówno prawo jazdy, jak i kluczyki do samochodu.

– Przez morze samochodem? – zakpiła teściowa.

– A cóż w tym złego? – wzruszyłem ramionami. – Zamontuję żagiel i wszystko będzie w porządku.

Popatrzyły na siebie wymownie. Wariat całą gębą! Niech jedzie, póki jeszcze nie łapie za siekierę. Gdybym nagle wyszczerzył zęby, obie wyskoczyłyby przez okno. Nie miałem już żadnych wątpliwości: moje życie rodzinne osiągnęło kres. Od dziś powinienem uważać się za

wolnego człowieka. Rozwodu wprawdzie nie mam, ale biurokratycznych zahamowań z reguły nie doznaję. W Ameryce przedstawię się córce Rockefellera i zapytam, czy nie byłaby uprzejma wyjść za mnie za mąż. Na pewno wyrazi zgodę, a ja zaproponuję jej wtedy konkubinat, jako że bigamia mogłaby zepsuć renomę tak sławnej firmie. Zresztą z czasem i tak się rozwiodę, a o przyszłości trzeba myśleć już. Za zgodą mojej nowej małżonki przejmę pod swój zarząd koncern produkujący opakowania szklane i natychmiast przystąpię do ich modernizacji. Opracuję mianowicie, może nawet w drodze do Ameryki, prototyp dużych słoików typu „twist" służących do peklowania znacznej ilości przetworów. Na przykład dla wojska albo dla ogrodu zoologicznego. I tak w pierwszym rzucie wprowadziłbym na taśmę egzemplarze, do których w pozycji siedzącej zmieściłaby się moja teściowa. Z biegiem lat rozpocząłbym produkcję słoików dwuosobowych, gdzie moja żona zmieściłaby się razem z matką w pozycji stojącej. Między nimi pływałyby plastry marchwi i pietruszki. Później może nawet stałbym się twórcą szklanych basenów wypełnionych podgrzewanym octem dla spragnionych kąpieli kobiet!

– Do zobaczenia! – powiedziałem wreszcie, kończąc te wszystkie medytacje. – Wrócę tu jako milioner i zbuduję dzielnicę pełną szklanych szpitali dla wariatów!

Nie odezwały się ani słowem, gdy wychodziłem. Było mi lekko. Przynajmniej na razie.

– Szanowni państwo! – rozpoczął dostojny przewodniczący miejskiego oddziału związku literatów i spojrzał krótko przez stół. Naprzeciw niego, pomiędzy nietkniętymi jeszcze butelkami wody mineralnej, błyszczała skupiona twarz młodego człowieka, który właśnie podniósł rękę w górę.

– Później, panie kolego! – zareagował głośnym szeptem przewodniczący i ogarnął wzrokiem licznie zgromadzonych słuchaczy.

– Szanowni państwo! – zaczął znowu. – Przypadł mi w udziale zaszczyt podkreślenia ważności literatury regionalnej w całokształcie twórczości narodowej…

– Dobrze gada! – mruknął Dzidek do Adolka. – Co to za jeden?

– Przewodniczący! – wyszeptał Adolek. – Przestań podnosić łapę! Jak się już zacznie dyskusja, to sobie popodnosisz!

– Kiedy nie mogę wytrzymać!

– Musisz. Przestań gadać, bo siedzimy na samym froncie.

Obok mnie zajmował miejsce Fredek. Wsłuchał się w gadanie przewodniczącego i żaden Dzidek nie interesował go w tej chwili. Fredek lubił piękne słowa i przynoszące zaszczyt towarzystwo. A tu przecież mowa była najwyższej klasy, a ludzie jeszcze lepsi. Poza nami czterema oczywiście, nie wiem, po co ten Adolek nas tu przyprowadził.

– Na literaturę narodową – klarował przewodniczący – składa się odrębność każdego pisarza, także z prowincji. Oczywiście są to wielkie słowa, ale bez uświadomienia sobie, że w twórczości literackiej istotną sprawą jest zaplecze kulturalne, łatwo popaść w samozadowolenie i zamiast dostrzegać utwory z prawdziwego zdarzenia, gdziekolwiek by powstały, zauważa się tylko formalne grupy czy pokoleniowe awangardy…

Ręka Dzidka zdecydowanie skoczyła w górę.

– Panie przewodniczący! – zamruczał uprzejmie.

Wszyscy przenieśli wzrok z prelegenta na Dzidka. Dzidek prezentował się lepiej niż prelegent. Był o wiele szerszy w ramionach i przynajmniej o dwadzieścia lat młodszy. Chyba nikt nie orientował się, kim jest Dzidek, a Dzidek mógł być przedstawicielem na przykład literatury siłowej.

– Panie kolego, cierpliwości! – uśmiechnął się prelegent.

– Przepraszam uprzejmie – skłonił się Dzidek i opuścił rękę.

Mówca rozgadał się na dobre. Fredek wydobył z kieszeni notes i długopis. Kręcił co chwila głową i zapisywał niektóre zwroty. Fredek znał się nie tylko na malarstwie, znał się też na literaturze. W części dyskusyjnej Fredek wstanie i zabierze głos. Potrafi wszystkich przekonać, że ma rację. Chodzi na wiele różnych spotkań, które dają możliwość dyskusji każdemu słuchaczowi. Jak dobrze idzie, to Fredek przekona wszystkich podczas jednego swojego wystąpienia. Ale przecież o głos domaga się też Dzidek. Dopiero będzie walka! Ciekawe, który z nich popisze się efektowniej. Dzidek jeszcze się nigdy przede mną nie odkrył, ale teraz nareszcie zobaczę, jaki diabeł w nim siedzi.

O psiakrew! Znowu wyciągnął łapę.

– Jeszcze tylko dwie minuty, panie kolego! – poprosił wyczerpany przewodniczący.

– Uprzejmie przepraszam – pochylił znowu głowę Dzidek.

– Chwała więc wydawnictwu – kończył mówca – że zdecydowało się na ten śmiały krok pokazania nam, co urodziło się pod skrzydłami twórców regionalnych.

Dzidek pierwszy zaczął klaskać. Klasnął pięć razy i podniósł rękę.

– Proszę bardzo! – z zadowoleniem kiwnął głową przewodniczący, gdy już ucichły wszystkie

brawa. – Zaczynamy część dyskusyjną. Na początek zabierze głos nasz niecierpliwy kolega z pierwszej linii.

Dzidek wstał i obejrzał się na wszystkich, wszyscy spojrzeli na niego. Fredek od razu zbliżył długopis do notesu.

– Panie przewodniczący – powiedział Dzidek oblizując spierzchnięte wargi – czy już można otwierać wodę mineralną?

Wytrzymałem pięć cichych sekund i przygarbiwszy się mocno, wyszedłem na korytarz. Chwycił mnie tak spazmatyczny kaszel, że nawet w pierwszej chwili nie poczułem, jak mnie ktoś pięściami wali po plecach. Odwróciłem się dopiero wtedy, gdy trochę przeszło. Był to Fredek. Notes i długopis trzymał w lewej ręce, a walił mnie prawą.

– Gdzie Dzidek? – wyjąkałem.

– Pije wodę mineralną.

– A przewodniczący?

– Też pije wodę, ale przedtem połknął dwie małe tabletki. Jakby relanium albo coś w tym rodzaju.

– Aha. A ty już zabierałeś głos w dyskusji?

– Nie! – zdecydowanie odparł Fredek. – Dzisiaj sobie daruję.

– To może Adolek coś powie?

– Kiedy wychodziłem, to właśnie mówił. Ale nie do wszystkich, tylko do Dzidka.

– Coś ważnego?

– Bo ja wiem? O jakimś filmie mówił. Że takiego kretyna jak Dzidek widział tylko w pewnym filmie z Flipem i Flapem.

– Ciekawe! – zawołałem przez łzy, bo akurat przeszła mi ostatnia fala kaszlu.

– Ja też jestem ciekawy – rozgadał się Fredek. – Jak przyjdzie Dzidek, to go zapytamy.

– O co? – nie pojąłem tak od razu.

– O tytuł tego filmu.

Dzidek przyszedł dopiero po pół godzinie. Za nim szedł Adolek i patrzył na kumpla ze szczególnym szacunkiem.

– Ale numer! – zamruczał Dzidek rozglądając się na boki. – Przyszło do mnie trzech facetów i pogratulowali mi polotu w ostatnim tomie poezji. Dobre, co? Cha! cha! cha! Widocznie wzięli mnie za Mickiewicza. Może on też lubił wodę mineralną?

– A ty co na to?

– Grabule im uścisnął – wyprzedził Dzidka Adolek. – Poprosili go o jakiś fragment poematu.

Żal mnie nagle ogarnął, że nie byłem do końca z przyjaciółmi.

– Deklamowałeś coś? – zapytałem z przerażeniem.

– No jasne! Posłuchajcie!

– Nie wiem, skąd mu się to wzięło – wyszeptał bezradnie Adolek.

A Dzidek wyprostował się nagle i wystrzelił:

Ślepy dom
Wśród ciemności
Płot zmurszały
Jabłoń wspiera i pamięć
Dziewczyno
Wyjdź naprzeciw
Przeszłości.

Najpierw zamarliśmy, a potem głos zabrał Fredek.

– Coś podobnego! – powiedział nerwowo – Ślepy dom?

– Wśród ciemności! – przytaknął Dzidek. – Mam powtórzyć?

– Nie – poradziłem po koleżeńsku. – Powiedz tylko, skąd ci się to wzięło.

– Znikąd. Wrażliwy człowiek ze mnie i na tym koniec. A nie mogę?

I znowu nie od razu odpowiedzieliśmy. Wreszcie zdecydowałem się ja.

– Jeżeli chodzi o ten plot zmurszały…

– To co? – najeżył się Dzidek.

– Nienowocześnie – rzekłem. – Teraz, bracie ludzie malują płoty farbą ochronną i to są płoty nie do zdarcia. Ja nie mogę przejść nad takim wierszem do porządku dziennego. Albo: „Wyjść naprzeciw przeszłości”. Ty się, Dzidek, zastanów! Może chodzi ci o przyszłość! Podobne słowa, łatwo się pomylić. No nie, chłopaki?

Patrzyli na mnie trochę niepewnie. Wszyscy razem. Potem na siebie patrzyli. Jak teściowa na moją żonę i odwrotnie. Znowu wyszło, że jestem wariat. Ale nie wycofam swojego poglądu. Za cholerę mi ta ciemność do jabłoni nie pasowała. Przecież bez światła jabłek nie będzie! Poezja poezją, a sprawy przyrody respektować trzeba. Już lepiej, jak Dzidek pozostanie kulturystą.

11

Następnego dnia też padał deszcz. Ponieważ jednak żadnego wieczorku literackiego teraz akurat nie było w planie, zebraliśmy się u Dzidka, by omówić plan naszego wyjazdu do sanatorium. W zasadzie prawie wszyscy potrzebowaliśmy leczenia. Ja potrzebowałem, bo mam źle w głowie, Fredek potrzebował, bo stracił talent przez dziewczynę, Dzidek potrzebował, bo zaczął pisać wiersze, co nie przystoi mistrzowi kulturystyki, nie mówiąc już o tym, że w tych wierszach nie przestrzega się problematyki racjonalnych upraw roślinnych. Znaczy, że do sanatorium szykował się zespół złożony z samych wariatów, którym to cholerne życie zagrało na nosie. Tylko jeden Adolek uważał się wciąż za normalnego. A zatem ustaliliśmy, że jak lekarzy w sanatorium nie będzie, to Adolek obejmie obowiązki naszego psychoterapeuty.

– Tylko Bartka mi szkoda – powiedział jeszcze Adolek ze współczuciem. – Rodzinę ma i w zasadzie powinien jechać na wczasy rodzinne.

– On nie lubi wczasów rodzinnych – wtrącił się Dzidek.

– A twoja żona nie będzie miała do nas pretensji? – zapytał mnie jeszcze Adolek.

– Potrzebny jestem jej jak drzwi do lasu! – uciąłem zgryźliwie.

– Aha… W takim razie jutro jedziemy.

– Dokąd?

– Nad jeziora – poinformował Fredek sięgając po mapę. – Znam miejsce, gdzie przez całe lato koczują na obozach sportowych piękne dziewczyny.

– A będzie można leczyć się tam? – zapytałem niepewnie.

– Przecież mówię, że dziewczyny przez całe lato. Nie kapujesz?

– Nie – odparłem rozczarowany.

Adolek usiadł wygodniej i wyciągnął nogi przed siebie.

– Koledzy! – zagaił pompatycznie. – Znacie stare alkoholowe powiedzenie? Znacie czy nie znacie? Mówi się krótko: klina klinem! Teraz już znacie. Otóż moim zdaniem wasze życie osiągnęło deficyt z powodu kobiet. Dlaczego? Bo kompletnie tych kobiet nie znacie. Musicie je wobec tego poznać i najlepiej dokonacie tego poznania pod moim kierunkiem. A później zrobicie specjalizację w tej branży i doktorat. Pasuje?

– Jeżeli chodzi o mnie – odezwał się Dzidek – to nie mogę za dużo, bo mi forma spadnie. Na jesieni mam poważne zawody.

– Nie szkodzi – machnął ręką Adolek. – Ustalimy więc dla ciebie więcej zajęć teoretycznych. Są jeszcze pytania?

Podniósł rękę Dzidek.

– Czy już można otworzyć butelkę z wodą mineralną?

Popatrzyliśmy na Dzidka jak na jeża, któremu kolce zaczęły wrastać do środka. Ten Dzidek zaczynał trochę szwankować. Stary jest, nie ożenił się dotychczas ani razu, rozwodu też nie brał, bo i z kim, muskuły tylko pręży, żre siedem razy dziennie, koło łóżka postawił sobie odważnik trzydziestokilowy zamiast nocnika – to i zgłupiał w końcu. A kto by w takich warunkach nie zgłupiał?

– Cha! cha! cha! – rozryczał się Dzidek, patrząc na nasze zbolałe twarze. – Ale heca, no nie?

– Tak jest – pokiwał głową Adolek. – Ale heca!

Wyjechaliśmy o szóstej rano. Ruchu dużego na szosie nie było, bo ludzie spieszyli się do pracy, a nie do sanatorium. Do sanatorium jechało tylko nas czterech. Deszcz padał do siódmej, później na środek nieba wylazło słońce. Szosa wyschła w ciągu kilku minut, nacisnąłem mocno na pedał i pojechaliśmy dużo szybciej. Podobała się chłopakom taka jazda. Dzidek radził nawet, abym docisnął jeszcze, on przecież płaci za benzynę.

Po kwadransie takiego szybkiego jechania zatrzymała nas milicja drogowa.

– Dobry wóz – powiedział sierżant, przeglądając moje dokumenty.

– Ma pan rację, panie sierżancie – potwierdziłem dumnie. – Grzeje zdrowo.

– Właśnie zauważyłem – odparł wypisując kwit. – Płaci pan tysiąc.

Fredek aż wychylił głowę przez okno.

– Nie ma pan jakichś tańszych biletów – zapytał nerwowo.

– Niestety – ze smutkiem zaprzeczył sierżant. – Niech pan sam zobaczy.

Pokazał swój bloczek abonamentowy. Rzeczywiście na wszystkich wydrukowane było tysiąc złotych.

– Za późno – dodał jeszcze milicjant. – Trzeba było wczoraj. Wczoraj miałem kilka sztuk po pięćset.

– Wczoraj! – parsknął Dzidek. – Wczoraj deszcz padał!

– Przestańcie, chłopcy, dyskutować! – włączył się Adolek. – Pan sierżant nie jest od meteorologii, tylko od piractwa drogowego. Płać, Dzidek, i jedziemy dalej!

– Dlaczego ja? – oburzył się Dzidek.

– Bo Bartek nie ma pieniędzy.

Sierżantowi zresztą też się jakby trochę spieszyło. Podał kwit Dzidkowi i zdecydowanie skasował tysiąc.

– Szerokiej drogi! – powiedział na zakończenie i zasalutował.

– Tyle forsy na straty! – lamentował Dzidek. – Byłoby za to ponad trzysta litrów mleka!

– A ile wody mineralnej! – przypomniał sobie Fredek.

Ja się w ogóle nie odzywałem. Patrzyłem tylko na licznik, żeby nie przegapić kolejnego tysiąca. Zresztą wyrzuty sumienia nie opuszczały mnie aż do końca jazdy.

Przed wieczorem byliśmy na miejscu. Piaszczystą drogą leśną dojechaliśmy do letniska usytuowanego nad dużym jeziorem. Mnóstwo różnych dziewczyn kręciło się tam we wszystkie strony i Adolek umówił się z dwiema, zanim jeszcze otworzył drzwi samochodu.

– Sami widzicie – powiedział – do jakiego luksusowego sanatorium was pokierowałem. Teraz trzeba załatwić domki campingowe. Wy tu zostańcie i zaklepcie sobie jakieś dziewczyny na wieczór, a ja pójdę do kierownika.

Wyszliśmy z samochodu i stanęliśmy obok. To znaczy Dzidek stał z przodu, a my z Fredkiem za nim. Robiło się już szaro, a te dziewczyny paradujące w kąpielówkach wyglądały bardzo groźnie. Na Dzidka może się nie rzucą, ale my dwaj woleliśmy nie stawać na środku drogi.

Po kilku minutach wrócił Adolek. Razem z nim przyszedł kierownik. Był wysoki, kompletnie łysy i wesoły.

– Panowie wszyscy artyści? – zapytał, wyciągając do każdego z nas rękę.

– To przecież widać, panie kierowniku – powiedział Adolek, wskazując palcem Dzidka.

– Racja – zgodził się kierownik, przebiegając kilka razy oczami sylwetkę Dzidka. – Jutro budujemy pomost na jeziorze. Liczymy na pana!

– Jestem do dyspozycji! – zawołał Dzidek i wyprostował się efektownie.

Byliśmy dumni z naszego kolegi. Dostaliśmy po jednym domku, ale ja jeszcze długo nie mogłem zasnąć tej nocy. Wciąż męczył mnie dylemat: czy przy budowaniu pomostu kierownik zechce użyć Dzidka jako kafara do wbijania pali, czy też nasz przyjaciel wystąpi jako główny filar nośny. Wydaje mi się jednak, że Dzidek spełniłby z pożytkiem obie te funkcje. Byleby tylko regularnie donoszono mu jedzenie i wodę mineralną w dwudziestolitrowych kanistrach.

12

Minęły trzy dni od naszego przyjazdu, a ja zapomniałem już nawet, gdzie dotychczas mieścił się mój dom. Czułem się tak, jakbym nad tym jeziorem mieszkał od urodzenia. Życie było tu beztroskie i pełne przyjemności. Pomost spreparowaliśmy tak szybko, ze kierownik o mało co nie zaproponował nam budowy drugiego. Na szczęście zabrakło materiału, ale za to domki mieliśmy gratis. Wokół nas rozpościerały się duże namioty, w których mieszkało około dwie setki dziewczyn. Te dziewczyny przyjechały tu na obóz sportowy. Jedne biegały po lesie, inne grały w siatkówkę, a jeszcze inne ćwiczyły kajakarstwo.

Jak dotychczas, nasze zajęcia sanatoryjne sprowadzały się głównie do wieczorowych seminariów, na których Adolek referował, jakie cuda dzieją się w jego domku po nocach. Nie było w tym żadnej fantazji, bo wszyscy widzieliśmy, że Adolek z dnia na dzień wyglądał coraz gorzej. Dziewczyny przyglądały mu się zalotnie i każda miała trochę nadziei, że następnym razem właśnie na niej spoczną podkrążone oczy Adolka.

Fajne były te dziewczyny. Nie takie mimozy jak u nas w mieście na dyskotekach. Tutaj były prawdziwe dziewczyny. Kiedy z Dzidkiem badaliśmy raz na pomoście jędrność biustu pewnej Kryśki, to o mało palce nam nie popękały. Kryśka miała piersi jak kamienie.

– Nie ma tu dla mnie faceta! – recytowała pogardliwie, patrząc jedynie z cieniem zainteresowania na Dzidka, a na mnie wcale. – Dla mnie facet dopiero się rodzi! Ja nie jestem byle kim. Byłam już gwiazdą filmową i jeszcze będę. Zobaczcie, jakie mam ciało!

Obmacaliśmy ją dokumentnie. W czasie takiego macania czułem, jak dodatnio wpływa na mnie to sanatoryjne życie. Ale ambicję miałem podrażnioną. Gwiazda nie wzięła mnie nawet pod uwagę, jeżeli szłoby o coś innego, niż na przykład macanie. Gdyby nie inne panny, tobym chyba w kompleksy popadł.

Prawdę mówiąc, to początku nie miałem łatwego. Zresztą wcale się nie dziwię, bo nic sobą nie reprezentowałem. Co innego moi koledzy! Dzidek miał wielką klatę, więc wszystkie gapiły się w niego jak szpaki w telewizor. Fredek już pierwszego dnia usiadł koło boiska siatkówki i rozpoczął szkicowanie zawodniczek, toteż w niedługim czasie łaziły za nim i deklarowały dobrą wolę pozowania, jak tylko potrzeba. Adolek dawał do zrozumienia, że w razie potrzeby gotów jest symultanę seksualną zorganizować, a to przecież sztuka nie lada. Tylko ja byłem do kitu. Nie miałem ani zdolności, ani wyglądu, ani pieniędzy. W ogóle nie nadawałem się do zaimponowania tym dziewczynom w jakikolwiek sposób. Co za cholerne życie!

I doszło do tego, że w trzech domkach odprawiała się ciągle jakaś część artystyczna, a u mnie tylko komary brzęczały, bo nigdy nie zamykałem okna na noc. Podobno marniałem w oczach. Adolek nawet raz namówił jakąś kaskaderkę, żeby do mnie przyszła. Na litość ją wziął, no bo na co! I rzeczywiście przyszła. Zrobiłem jej herbaty, potem wspólnie zaczęliśmy przeganiać ćmy. Gorąco się zrobiło od tej gonitwy, otworzyłem okno i wtedy wpadły komary. Ta nasłana panienka nie wytrzymała i poszła. Zostałem z komarami sam na sam.

– Nie masz podejścia, Bartek! – złościł się Adolek. – Kiedyś byłeś całkiem niezły w te klocki. Co się stało?

– Sam nie wiem – tłumaczyłem markotnie. – Muszę się nad tym zastanowić. Może te dziewczyny wiedzą, że ja leczyłem się u psychiatry?

– Nic nie wiedzą! Mówią o tobie, że jesteś porządny człowiek i to wszystko!

Porządny człowiek! Błyskawicznie pojąłem, co tu jest grane. Jeżeli moje podejrzenia są słuszne, to jeszcze wyjdę na swoje. Wyjdę i zrobię znaczne postępy w kwestii poznawania kobiet.

Pożyczyłem od Dzidka trochę forsy. Myślał, że chcę iść na wódkę z rozpaczy, ale trochę dał.

Po kolacji podszedłem do pierwszej z brzegu dziewczyny, nawiasem mówiąc do takiej o pół głowy wyższej ode mnie i zaproponowałem uprzejmie spacer do restauracji leśnej na piwo. Spojrzała na mnie jak na zużyty kapsel, a ponieważ akurat nie miała nic do roboty, wzruszyła ramionami i powiedziała. „Niech będzie".

Do restauracji było dwa i pół kilometra. Szliśmy cały czas niemal bez słowa, bo nie było o czym mówić. Kazałem postawić na stół sześć butelek piwa, coca-colę i cztery lampki taniego wina. W ciągu pół godziny wysuszyliśmy wszystko i wstaliśmy od stołu. Znowu nie było o czym gadać, ale panna chód miała nieco falisty, wspierała się o mnie dość często ramieniem i chichotała co jakiś czas.

A w odległości stu metrów od obozowiska odszedłem w bok i stłumionym głosem zawołałem:

– Tylko nie mów nikomu, że byłaś ze mną!

Przybłąkałem się do swojego domku i znowu tłukłem komary. Spacer był dość długi, więc zasnąłem stosunkowo szybko.

Na drugi dzień w stołówce podczas śniadania zauważyłem, że kilkanaście dziewczyn bez przerwy niemal gapi się na nasz stolik. Byłem ciekawy, kto im tak z samego rana wpadł w oko. Rozejrzałem się uważniej po kolegach. Adolek jadł i spał, Fredek od dziesięciu minut smarował bułkę dżemem i ten dżem ciągle mu wypadał na stół, a Dzidek zgarbił się i wyglądał jak worek z kartoflami, a nie jak mistrz sportu.

Wobec tego nie rozszyfrowałem dziewczęcych spojrzeń podczas śniadania.

Na obiad trochę się spóźniłem. Wszedłem do stołówki i zauważyłem, że dziewczyny stukają się łokciami na mój widok. Aż się zaczerwieniłem. Może mam żabę na nosie? Przejechałem dyskretnie ręką po twarzy, ale nic nie wyczułem.

– Pożyczysz jeszcze setkę? – zapytałem Dzidka, kiedy już dobrnąłem do stolika.

– Na wódę chodzisz! – zgorszył się kolega.

– Pożycz mu – wtrącił Adolek. – Niech i on ma coś z tego życia.

Dzidek wsunął mi pod stołem banknot do ręki.

– Jeszcze pięćdziesiąt – poprosiłem.

– A to drań! – parsknął gniewnie Dzidek, ale dołożył.

Podczas kolacji dwie siatkarki przyniosły mi swoje porcje.

– Masz apetyt, Bartek? – zapytały. – To zjedz, bo my już nie możemy.

Adolek o mało się nie udławił, a ja z godnością przyjąłem dary. Zastanawiałem się tylko, skąd one znają moje imię. Przecież nigdy nikt nie wypowiadał go głośno. Coś w tym jest!

– Co robisz po kolacji? – zapytał mnie Dzidek.

– Idę na pomost – odpowiedziałem. – A ty?

– Ja? – zastanowił się Dzidek. – Cha! cha! cha! – ryknął. Ja mam występy! Cha! cha! cha!

Takiemu to dobrze. Byczy się cały dzień, a wieczorem robi za aktora.

Na pomoście stała niezła blondynka. Uśmiechnęła się do mnie.

– Może masz ochotę na spacer? – zapytałem odruchowo, bo nawet nie zdążyłem zastanowić się nad tym, co powiem.

– Dokąd? – otworzyła usta ciekawie.

– Do knajpy na piwo.

– Proszę bardzo – zgodziła się i od razu zeszła z pomostu.

Przedefilowaliśmy obok jednego z namiotów. Stało tam kilkanaście dziewczyn. Wszystkie patrzyły za nami, dopóki nie zniknęliśmy pośród leśnej drogi. Byłem już tak zakompleksiony, że i teraz nie potrafiłem znaleźć jakiegoś sensownego tematu, który by urozmaicił naszą wędrówkę. Blondynka już nawet zdążyła mi się przedstawić, ale od razu zapomniałem, jak ma na imię. Za to

w knajpie wypiliśmy całą butelkę wina. Właściwie, to ona ją wypiła, bo ja ciągle cedziłem z jednego kieliszka.

– Ale z ciebie łajdak! – powiedziała wreszcie, kiedy już była dobrze ululana. – Wszystkie dziewczyny myślały, że ty jesteś porządny facet. Niestety, wydało się.

– Co się wydało? – zapytałem prawie przerażony.

– Hanka opowiadała, co z nią wyrabiałeś w lesie!

– Ja nie znam żadnej Hanki! – prawie płakałem z żalu.

– Jak to nie znasz? Ta wysoka, z którą byłeś wczoraj w lesie.

Nigdy nie przypuszczałem, że ta metoda jest aż tak chwytliwa. Ciekawe, co ja też mogłem wyrabiać z Hanką?

– Ach tak! – wykrzyknąłem z zastanowieniem. – Już o niej prawie zapomniałem!

– Tak myślałam – przyznała się blondynka. – Wszyscy mężczyźni są jednakowi.

Na razie nic więcej nie mówiliśmy. Dziewczynie zachciało się tańczyć. Wyprowadziłem ją więc na środek sali, pakowałem w tłok, sam wracałem do stolika, gapiłem się na wszystkie strony i tak nam zleciało do północy.

– Ojej! – zawołała, kiedy jej powiedziałem, która godzina. – Trenerka wywali mnie z obozu!

– Nie bój się – powiedziałem. – Pójdziemy cichaczem i nikt cię nie zauważy. Tylko nie mów dziewczynom, że byłaś ze mną.

– Dlaczego mam nie mówić? – zainteresowała się nagle.

– No bo… – czort wie, co tu jej odpowiedzieć. – Bo… mam bardzo zabrudzony życiorys.

Oczy błysnęły jej niczym żarówka w ciemnej wioskowej toalecie.

– Naprawdę? – zawołała tajemniczym głosem.

– Niestety! – westchnąłem ciężko.

– Powiesz mi o tym kiedyś?

– Bo ja wiem? – zastanawiałem się trwożliwie. – Ile ty masz lat?

– Dziewiętnaście. Przecież to wystarczy!

O mało nie zapytałem, do czego wystarczy. Ale… jeszcze nie czas.

– Później się wszystkiego dowiesz. Leć do namiotu, ale po cichu. I nikomu nie mów!

– Przecież dziewczyny nas widziały, jak wychodziliśmy po kolacji.

– To nic. Powiedz, że ja po drodze poszedłem sobie popływać, a ty do knajpy. Miałaś pragnienie, więc sobie poszłaś.

I to wszystko na tę ciepłą noc. Zasnąłem tak szybko, że nawet łóżka nie zdążyłem rozesłać.

Rano zapukał Adolek.

– Cześć! – powiedział i zajrzał pod łóżko. – Hm! Sam jesteś?

– Sam. A bo co?

– Nic – odrzekł i jeszcze raz pochylił się ku ziemi.

– Szukasz czegoś pod łóżkiem? – zapytałem. – Nic tam nie ma. Nawet myszy tu nie mieszkają.

– A śniadanie jadłeś?

– Zaraz idę.

– Już nie ma. Było godzinę temu.

– Co takiego? – wyskoczyłem z łóżka i od razu oprzytomniałem.

Adolek pokiwał głową z wyrzutem.

– Trzeba być szczerym wobec kolegów – rzekł ze smutkiem. – Przyniosłoby się śniadanie. Ale koledzy nie lubią być robieni w konia.

Nic nie zrozumiałem.

– W jakiego konia?

– Oj, Bartek, Bartek! – pokiwał znowu głową i wyszedł.

Otworzyłem drzwi. Weszło słońce i wczorajsza blondynka.

– Cześć, Bartek! – zawołała dziewczyna. – Przyniosłam ci śniadanie. Dziewczyny od razu zauważyły, że cię nie ma. Nie możesz chodzić głodny.

– Zaspałem – odrzekłem pocierając oczy. – Muszę się najpierw ogolić.

– Nie warto! – roześmiała się. – Najpierw jedz. Zostawiam ci to wszystko i lecę, bo mam trening.

Postawiła talerz napełniony smażoną kaszanką i już jej nie było. Jeszcze nie wiedziałem, o co tu w ogóle chodzi, ale intuicyjnie wyczuwałem, że coś zaczyna być inaczej. Jak gdyby obyczaje w okolicy zupełnie się odmieniły.

13

No więc faktycznie pozmieniały się wszystkie układy. Na piwie w knajpie byłem jeszcze dwa razy i każdego wieczoru z inną dziewczyną. Tym razem forsy pożyczył Fredek. W ogóle nie mam pojęcia, kiedy oddam te długi.

– Pożyczam ci – konspiracyjnie powiedział Fredek – ale pod jednym warunkiem.

– Zgoda, bo i tak nie mam wyboru. O co chodzi?

– Powiedz, dlaczego dotychczas nic nie mówiłeś?

– O czym?

– O tych dziewuchach. Wszystkie baby tylko o tobie mówią, a ty trzymasz sprawę przed nami w tajemnicy. Dwie są podobno w ciąży z tobą. Dlaczego nic nie mówisz? Taki z ciebie przyjaciel?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. I tak nie uwierzy. Cokolwiek bym teraz powiedział, będzie kłamstwem. No bo kto uwierzy, że od miesięcy żyję jak dziewica. O rety! Co tu robić z tym Fredkiem?

– Wstydziłem się – wyjąkałem wreszcie.

– Czego? Przecież to nie wstyd, kiedy baby tak na człowieka lecą.

– Ale mi nie wychodziło.

– Co ci nie wychodziło?

– No wiesz! Ten szpital i później ta historia z żoną… Nerwicy się nabawiłem.

– Jakiej nerwicy? – Fredek zrobił oczy jak gołąb na widok zupy grochowej.

– Seksualnej – pociągnąłem już z grubej rury, bo Fredek stępiał w tym sanatorium aż do spodu.

– Aha!!! – pokiwał głową. Teraz wszystko rozumiem! I nie dało się nic zrobić?

– Już jest lepiej, ale jeszcze nie całkiem dobrze.

– A te panny w ciąży?

– W takim upale miesiączka nie zaskakuje w porę i tyle. Ja byłem zawsze maksymalnie ostrożny.

Fredek spoważniał.

– Chyba że tak – powiedział. – Sprawa jasna. Wobec tego trzymaj się i bądź dobrej myśli!

Wydaje mi się, że po tym przyznaniu się do winy kumple wszystko mi wybaczyli. A tymczasem ze wszystkich stron docierały do mnie słuchy, że największym łajdakiem, alfonsem i sukinsynem, który długo ukrywał się pod maską poważnego człowieka, jestem właśnie ja. Tymczasem przyjechała trzydziestoosobowa grupa przystojnych lekkoatletów, ale dziewczyny chyba na nich nawet dokładnie nie popatrzyły. Wszystkie oczy zwrócone były na mnie. Czułem się jak taki, co to dostał dyplom ukończenia studiów, mimo że egzamin końcowy zdał za niego brat. Żarty żartami, ale faktem jest, że wciąż jeszcze byłem nie doinwestowany seksualnie. Wszyscy mieli mnie tutaj za łajdaka, a przecież wiadomo, że na taki tytuł trzeba się cholernie napracować. Komu jednak miałem tłumaczyć, że splendor ogarniający coraz mocniej mnie razem z całym domkiem przypadł mi w udziale całkiem niezasłużenie?

Aż się przestałem golić któregoś dnia. I w ogóle robiłem wszystko, aby tylko oderwać od siebie oczy zachwyconych dziewczyn. Zjadałem cztery talerze zupy i wypinałem brzuch. A stopy podczas chodzenia stawiałem jak Chaplin. Na łeb założyłem czarny kapelusz znaleziony raz na śmietniku, dziurawy i zalany białą farbą, a oczy przyozdobiłem popękanymi okularami przeciwsłonecznymi.

Wyglądałem fatalnie. Wreszcie dopadłem gdzieś tępą żyletkę i zrobiłem sobie dwie szramy na policzku pośród nijakiego zarostu. Na drugi dzień nie mogłem już przeglądać się nawet

w lustrze, bo mi się na rzyganie od tego przeglądania zbierało.

Adolek radził Dzidkowi sprowadzić psychiatrę. Niechby mnie trochę podleczył. Ale Fredek kazał jeszcze się wstrzymać, bo może mój wygląd świadczy tylko o wewnętrznej potrzebie zademonstrowania pokory i pokuty za świństwa, jakie kiedyś w życiu, być może, popełniłem.

Kiedy oni tak analizowali mój stan zdrowia psychicznego, we mnie akurat narodziła się potrzeba inauguracji sezonu płciowego. Narzucające się dziewczyny wyzwoliły we mnie tak wielkie napięcie seksualne, że już dłużej nie umiałbym wytrzymać. A kiedy jeszcze przypomniałem sobie diagnozę teściowej, jak to ludzie w moim wieku dość się już napieścili, poczułem pragnienie jeszcze większe.

Gdy tylko koledzy poszli na swoje śmiecie, otworzyłem drzwi na oścież i zanuciłem upojne murmurando. Natychmiast przyszły dwie. Niby przypadkiem. Jak dwie, to dobrze. Zamknąłem chatę i powiedziałem, że właśnie zamierzałem iść spać. Rozebrałem się i wlazłem do łóżka. Niby żartem zaczęły ściągać ze mnie koce. Więc ja też żartem zdjąłem z obydwu skąpe ubranka. Żartem wpakowaliśmy się we trójkę do łóżka. Potem jeszcze było trochę żartów. Sam nie wiedziałem, że potrafię być aż tak dowcipny. Kiedy już dobrze po północy przestałem żartować i podsumowałem sprawę, wyszło mi, że przeleciałem obydwie. Na początek dobrze i tyle. Czułem palące nienasycenie, ale postanowiłem trzymać fason. Kilka godzin odpoczynku dobrze mi zrobi, a potem zacznę od nowa. Panienki były wprost upojone moimi żartami. Co za radość! Podłożyć się pod autentycznego łajdaka najgorszej sławy, pod obleśnego alfonsa!

Obudziłem się koło południa. Założyłem swój reprezentacyjny kapelusz i potrzaskane okulary, ale coś mi jeszcze nie pasowało. Wziąłem okulary do ręki, wreszcie wytłukłem jedno szkiełko do końca, założyłem tę atrapę na nos i poćwiczyłem zeza. Jedno oko i tak było niewidoczne, ale drugie zupełnie zdrowo zezowało. Paradowałem tak między pomostem, domkami a namiotami cały dzień. Przez to zezowanie dwa razy przewróciłem się na linkach namiotowych, bo już mi się wzrok pogorszył i oczy bolały. Nawet nie zdołałem się zorientować, czy jeszcze na mnie patrzą, czy już przestały.

Wieczorem przyszło osiem. Zostawiłem trzy, pięć wygnałem. Teraz nie było żadnych żartów. Akrobacje rozpoczęły się tak gwałtownie, że nawet kapelusza nie zdążyłem ściągnąć z głowy. Okulary spadły mi same, ale zez pozostał jeszcze co najmniej na pół godziny. Magiel zrobił się taki, że momentami nie wiedziałem, gdzie sufit, a gdzie podłoga. Tylko kapelusz trzymał się do samego końca, bo z gorąca kilka grubych kropel białej farby stopniało i okleiło mi czoło, dzięki czemu umeblowanie mojej głowy pozostawało niezmienione.

Wyszły o trzeciej rano. Spałem dwanaście godzin, ale wyglądałem już tak, że nie mogłem pokazywać się w stołówce, bo ludzie straciliby apetyt na resztę lata. Siedziałem więc w krzakach, a dziewczyny donosiły mi jedzenie. Meldowały dyskretnie, że Adolek niepokoi się o mój los i że mnie poszukuje. Czort z Adolkiem! Jak sanatorium to sanatorium!

Znowu zrobiło się ciemno. Jak to w nocy. Rozdrapałem krostę na policzku i nie zapalałem nawet światła w chacie, żeby już obrzydzenia do samego siebie nie nabrać. Zresztą kapelusz nie dawał się odkleić od głowy, przyjdzie mi chyba umrzeć w tym kapeluszu.

Puk-puk! Przywędrowały nowe dziewczyny. Były mną zachwycone. Zaraz też zakrzątnęły się energicznie wokół mnie. Nie musiałem nawet specjalnie się fatygować. Same mnie rozebrały i same wymyślały przeróżne piramidy przy mojej niezmienionej pozycji. Leżałem w kapeluszu na poduszce, podłożyłem sobie nawet ręce pod ten kapelusz i patrzyłem, co się dzieje. W życiu nie przypuszczałem, że te dziewiętnastki mogą mieć tyle fantazji!

Po kilku upojnych dniach i nocach odwiedził mnie kierownik. Wszedł, spojrzał na mnie i zatoczył się na ścianę. Przeprosił niewyraźnie i wyskoczył za drzwi. Usłyszałem, jak tam splunął siarczyście. Gdy wtoczył się drugi raz, to już patrzył tylko na ściany.

– Panie Bartku – powiedział słabym głosem. – Doszły mnie wieści, że pan prowadzi się niemoralnie.

– Ależ panie kierowniku! – zaprotestowałem gwałtownie. – Babskie plotki nie powinny pana denerwować! Ubzdurały coś sobie te głupie dziewczyny i nic więcej!

– To nie dziewczyny źle o panu mówią. To trenerki.

– A to dopiero! – zawołałem. – Muszę z nimi poważnie porozmawiać!

– Tak jest. Niech pan koniecznie porozmawia, panie Bartku! – zawołał jeszcze ostatkiem sił i wyszedł niemal się słaniając.

Usiadłem na schodkach i popatrzyłem na świat. Było pięknie. Naokoło rosły zielone drzewa, w górze świeciło słońce, a obok mojego domu opalała się Kryśka, czyli gwiazda filmowa, dla której gdzieś w kraju rodzi się dopiero odpowiedni facet. Leżała na brzuchu, obok leżał zsunięty biustonosz.

– Cześć, Bartek! – zawołała i odwróciła się do mnie bokiem. Piersi błysnęły tak migotliwie, że aż mnie oczy zapiekły. Znowu zrobiłem zeza. Ale jednocześnie czułem, jak krew napływa mi do tych oczu i do wszystkich innych zakamarków. Przyłożyłbym się do tych piersi chociaż na minutę! Ale jak? Może sama zaproponuje? Po cholerę siedzi mi na łbie ten kapelusz! Muszę go wreszcie odkleić. Gorzej, jeśli zdejmę razem z włosami. Cholerne jest życie w kapeluszu.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała gwiazda. – Kiedyś nie zwracałam na ciebie uwagi, ale widzę, że masz sylwetkę prawdziwego mężczyzny. Zaprosisz mnie na herbatę?

– Po kolacji. Jeżeli oczywiście ten termin ci odpowiada – zaproponowałem zachłannie.

– Jak najbardziej – wyrzekła gwiazda. – Tutaj wszyscy są tak nudni, że aż strach.

Usiadła na kocu i dopiero wtedy założyła stanik. Piersi sterczały napastliwie niczym pociski armatnie. Musiałem natychmiast odwrócić oczy, bo czułem, że jeszcze chwila i mnie rozerwie.

Musiałem jeszcze trochę pomyśleć o sobie. Trzeba się koniecznie uatrakcyjnić. Gwiazda naprawdę była tego warta. Wyskoczyłem więc do lasu i na skos pobiegłem do kiosku, który mieścił się przy restauracji. Kupiłem tam plastelinę i spreparowałem sobie kilkanaście okropnych pryszczy na brzuchu. Wyglądałem teraz jak nałogowy syfilityk. Nie patrzyłem w lustro, żeby mi się nic okropnego nie przyśniło w nocy. Samopoczucie miałem takie jak trzeba i to liczyło się najbardziej. Dziewczyny przyniosły mi kilogram kaszanki z cebulą i chciały wejść do środka, ale nie otworzyłem.

– Postawcie na schodkach – powiedziałem. – Dzisiaj jestem chory i nikogo nie wpuszczam, żeby nie zarażać!

Zarazy każdy się boi. Zjadłem dopiero, kiedy sobie poszły.

Gwiazda przyszła późnym wieczorem. Pachniała czymś zagranicznym, a ja cebulą. Krajową cebulą zresztą. Od razu chciałem zapalić światło, aby mogła nacieszyć się moim wyglądem, ale ona wolała po ciemku.

Była w nieustającej ekstazie. O mało mnie w siebie nie wchłonęła. Jakby co, to tylko kapelusz świadczyłby o tym, gdzie aktualnie jestem. Makabrą wiało z każdego jej drżenia. Wytrzymałem ten proceder równą godzinę. Przez następną godzinę nieprzerwanie świergotała mi o miłości. Tak się tym w końcu przejąłem, że wstałem z łóżka, wydostałem z szafki mydło, ręcznik, maszynkę do golenia, nową żyletkę i poszedłem do gromadnej łaźni.

Moczył się tam akurat Fredek. Więcej nikogo nie było. Jak mnie Fredek dojrzał, to od razu zasłabł. Niby nic, ale żeby nie ja, utonąłby pod prysznicem. Ocuciłem go zimną wodą i wlazłem na jego miejsce. Przez ten czas Fredek siedział pod ścianą i łapał powietrze. A ja zwyczajnie się ogoliłem, potem umyłem całe ciało, odkleiłem kapelusz i wyrzuciłem go oraz przyzwyczajałem wzrok do normalnego patrzenia.

Fredek zerknął na mnie, gdy wychodziłem zza zasłony i potrząsnął nerwowo głową.

– Wiesz co? – zaczął. – Te upały źle na mnie wpływają.

– Coś takiego! – zawołałem z niedowierzaniem.

– Tak – powiedział. – Miewam halucynacje. Przed kilkoma minutami wydawało mi się, że idzie tu jakiś Frankenstein, aby mi uciąć głowę. Przykra sprawa, co?

– Nie martw się – podparłem go na duchu. – To się każdemu zdarza. Szczególnie gdy długo nie ma deszczu.

– Tak myślisz? – ucieszył się najwyraźniej. – To dobrze. Idę teraz do swojej dziewczyny. A ty?

– Ja też do swojej – odpowiedziałem i wyszedłem z łazienki.

Gwiazda spała spokojnie, przyłożyłem się obok niej i też zasnąłem. Spłukałem wprawdzie swoje erotyczne barwy i czułem się trochę obco w nowej skórze, ale zmęczenie wzięło górę.

Rankiem wstałem pierwszy i przejrzałem się w lustrze. Wyglądałem nijako. Wróciłem szybko do gwiazdy i wtuliłem twarz między sprężynujące piersi. Znowu poczułem głód seksualny. Wdarłem się w nią jak kocur w siatkę z rybami i rozkołysałem dziewczynę na wszystkie strony.

Kiedy już otworzyła oczy, przerażenie odjęło jej mowę. Nawet nie była w stanie wyjąkać słowa o miłości. Obrzydzenie coraz wyraźniej malowało się w jej oczach. Ledwo zdążyła dopiąć spodnie i od razu uciekła. Co za cholerne życie!

Tego dnia zdołałem jeszcze uwieść tylko jedną dziewczynę. Miała niesamowicie grube szkła w okularach i chyba nie bardzo mnie nawet widziała.

– Ach ty! – szeptała z nadzieją. – Ty mój łajdaku cudowny! Ty alfonsie! – Ekstaza ogarniała ją z coraz większym natężeniem. – Ty sukinsynu najukochańszy! – zawrzeszczała na moment przed orgazmem.

I tyle było tego szczęścia. Zacząłem znowu przychodzić na posiłki do stołówki. Wyglądałem normalnie. Tak jak każdy. Czysty, ogolony, ładnie ubrany i na dodatek uprzejmy. Ba! Takiego zawsze można mieć. A jeżeli zawsze, to znaczy, że nie warto tracić czasu. Widocznie nie jestem żadnym łajdakiem ani nawet sukinsynem. Wszystkie panienki od orgietek mijały mnie już z daleka. Stałem się najpierw nieatrakcyjny, potem nudny, a w końcu niezauważalny. Mój czar przepadł bezpowrotnie. Nic tu po mnie. Sanatoryjne leczenie należy uważać za zakończone. Cel zasadniczy został jednak osiągnięty: poznaliśmy kobietę!

Tak nam się przynajmniej wydawało.

14

Spędziliśmy tam jeszcze tylko tydzień. Chłopcy ciągnęli już ostatkiem sił, a ja oddawałam się wędkarstwu. Smażyliśmy co wieczór okonie i wspólnie dokonywaliśmy syntezy tematu pod nazwą „kobieta".

– Teraz wiadomo, o co tu chodzi! – ustalił Adolek ostatniego wieczoru. – Wbrew tradycyjnym pojęciom neurologiczno-psychologicznym mamy dowody na to, że rozum kobiety zlokalizowany jest w macicy. Można tu również postawić hipotezę, że podstawowe właściwości mózgu drogą połączeń elektrycznych dochodzą do macicy i tam następuje ich trwała koordynacja fizjologiczna z czterotygodniowym cyklem menstruacyjnym. Wszelkie zatem zaburzenia miesiączkowania mają tym samym patologiczny wpływ na myślenie, które ukierunkowane jest zresztą wybiórczo na bodźce irracjonalne, takie jak na przykład bałach. Bałach, a szczególnie bałach artystyczny, czyli mistrzowski, powoduje przekrwienie macicy oraz spulchnienie warg sromowych, które wykazują dalszą gotowość na nieograniczone przyjęcie nowych dawek bałacha. Sytuacja taka ma zasadnicze konsekwencje społeczne. Otóż, jak wiadomo, każdy osobnik płci męskiej posiada limitowany zakres bałacha. W trakcie kolportażu po raz kolejny takiego samego bałacha macica coraz bardziej się kurczy, przestaje wysyłać impulsy do pochwy, a to znowu oznacza, że redaktor bałacha zdewaluował się ostatecznie i powinien zmienić obiekt, bo samego bałacha nie jest w stanie zmienić. Czy wszystko jasne?

Rozejrzeliśmy się po sobie. Było jasne.

– A zatem – kontynuował profesor Adolek – również powinno być jasne, że wszelka monogamia jest zwyrodnialstwem. Wierność małżeńska, a nawet przedmałżeńska to nieporozumienie, które powinno być karalne. Mężczyzna musi być na tyle doświadczony, aby orientować się, kiedy jego bałach trafia na manowce. W odpowiednim momencie trzeba się wycofać i znaleźć inny obiekt, któremu można wciskać ten sam bałach. Jest to ważne również ze względów humanitarnych, bo nie reagująca już na stary bałach kobieta oczekiwać będzie teraz z nowego źródła nowego bałacha, pod którego wpływem jej funkcje rozumowo-maciczne rozkwitną na nowo. To na razie tyle. Są pytania?

Podniósł rękę Dzidek.

– Proszę bardzo – zezwolił profesor.

– Czy już można zjeść okonia?

– Można – zgodził się Adolek. – Ale woda mineralna dawno już została wypita.

– Ja mam pytanie – odezwał się Fredek. – Jakie są inne skuteczne bodźce oprócz bałacha i czy można stosować je zamiennie?

Adolek skinął głową i rzucił okiem w notatki.

– Znakomitym bodźcem są pieniądze – odpowiedział nabożnie. – Jest to oczywiście pojęcie bardzo zdewaluowane, ale jeszcze w wielu wypadkach wpływa na podtrzymanie naturalnych funkcji maciczno-rozumowych. Nie należy tutaj przez słowo „pieniądze" rozumieć pensji miesięcznej, gdyż działa ona krótkotrwale na macicę i przyczynia się tylko do pogłębiania frustracji. Chodzi o takie pieniądze, które w razie potrzeby można wymienić na tego rodzaju przedmioty powszechnego użytku jak biżuteria, futro lub willa nad morzem.

– A jeśli nie ma forsy? – zapytałem bezradnie. – Co zrobić z miłością bez forsy?

– Już mówiłem – zmarszczył czoło Adolek. – Miłość nie podpierana pieniędzmi, których zresztą należy mieć coraz więcej, oraz – bałachem, który i tak z czasem się zużyje, umiera śmiercią naturalną. Ludzie się starzeją i szybko przechodzą do wieczności. Nasze stosunki społeczne już od setek lat oparte są na pruderii gwałcącej naturalne potrzeby ludzkie. Bo zgodnie z wymaganiami organizmu życie rodzinne powinno opierać się na związku grupowym, który by

dostarczał rozmaitości bodźców. Przecież to proste – powiedział Adolek na zakończenie.

Zmarkotniałem. Z tego, co Adolek wyłożył, łatwo wywnioskować, że dla mojego małżeństwa nie istnieją już żadne szanse. Pieniędzy nie mam, mam za to długi, ale nie sądzę, że taki bodziec byłby na rękę mojej żonie. Bałach też zdarł mi się już dawno. Słowem: klapa. Powinienem wracać do domu, zgadzać się na osobny pokój, pełnić funkcję kamerdynera i to wszystko. Przynajmniej miałbym jakiś wpływ na wychowanie dziecka. Żonę należałoby wtedy wypuszczać w świat, niech się nałapie bodźców, które spowodują u niej przekrwienie macicy, a teściowej klepać trzy razy dziennie, że jest mądra jak Galileusz, zanim jeszcze się narodził. W taki sposób bodźce będą właściwie rozdzielane, a moją słodką tajemnicą pozostanie fakt, że na kierownika tej rozdzielni los wyznaczył mnie.

Zwięzły wykład profesora Adolka przegryzaliśmy jakiś czas okoniem. Smutno było, bo to już ostatnie chwile nad jeziorem. Trzeba tu przyjechać za rok, może nowe dziewczyny przyjadą. Zdradzało się żonę w jednym sezonie, to i w drugim można. Zresztą, co ta za zdrada! Zapotrzebowanie spragnionego organizmu i tyle.

– Jak należy traktować zdradę małżeńską? – zapytałem profesora Adolka po głębszym namyśle.

– Chodzi o zdradę ze strony męża?

– Nie wiem. Różnie się przecież zdarza.

– Sprawę tę dałoby się wyjaśnić w oparciu o teorię okienno-podwórkową – odparł Adolek nonszalancko.

Dzidek przestał chrupać okonia. Teoria okienno-podwórkowa mogła dać wytyczne na całe życie.

– Jeżeli mąż zdradzi żonę – zaczął zwięźle Adolek – to jest tak, jakby ktoś splunął przez okno na podwórko.

Pokiwaliśmy głowami. Teoria była absolutnie do przyjęcia.

– A jeżeli żona zdradza męża, to…

– No? No?…

– …Jakby ktoś z podwórka splunął przez okno do mieszkania.

Dzidek wstał, wytarł rękę zatłuszczoną okoniem i uścisnął grabulę profesora. Teorię uznaliśmy za niepodważalną. Nie ma tu takiego mądrego faceta jak Adolek. Dzidek powinien napisać o nim wiersz.

15

Dzidek ma za miesiąc swoje najważniejsze zawody. Jeśli przegra, odbiorą mu tytuł mistrzowski, a razem z tytułem – stypendium. Będzie musiał iść do pracy i wtedy nigdy już nie osiągnie dawnych wyników, bo nie wystarczy czasu na treningi. Dzidek o tym wszystkim wie. Trenuje dwa razy dziennie i w duchu śmieje się z młodzieży, która go usiłuje naśladować. I tak nikt nie wytrzyma jego tempa i obciążeń. Można wykonywać te same ruchy i te same ćwiczenia, ale nie da się podnieść w górę tych samych kilogramów.

– Nie – kręci głową Dzidek. – Jeszcze w tym roku mnie nie wykoszą. Co ja powiedziałem? W tym roku? Jeszcze pięć lat będę wygrywał! Cha! cha! cha!

Pięć lat to dużo. Kawał czasu przed Dzidkiem. Wspaniała przyszłość, fanfary, puchary i sława. Nie to co ja. Ja wykorzystałem akurat swój urlop chorobowy, urlop wypoczynkowy i zacząłem od nowa chodzić do poradni zdrowia psychicznego. Ciągle czuję, że jeszcze nie nadaję się do normalnego życia. Praca zawodowa niby mnie ciągnie, ale jednocześnie mam wobec niej takie opory, że już lepiej mi idzie składanie wizyt w poradni. Chodzę tam codziennie. Uczestniczę w seansach psychoterapeutycznych, które z założenia pozwalają człowiekowi wyremontować zrujnowaną psychikę. Niby dobre, ale tylko do momentu, w którym kończy się sens. Po każdej takiej wizycie wracam do domu, w którym nikogo nie ma. Byłem już u teściowej, aby powitać moją rodzinę, która się tam przeniosła. Rodzina otworzyła drzwi, odwróciła się tyłem i poszła do pokoju grać w karty. Siedziałem dwie godziny z dzieckiem, bawiłem się z nim zabawkami. Dziecko bardzo się ucieszyło moją wizytą. Miało łzy w oczach, kiedy wychodziłem. Jeszcze mu się wydaje, że to normalne, kiedy tata mieszka w jednej miejscowości, a mama w drugiej. Ma tylko pretensje, że tata tak krótko z nim przebywa. Ale co robić? Naprawdę ledwo wytrzymuję te dwie godziny. Nie dostaję nawet herbaty. Pełnię tam funkcję przybłędy i wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Wobec tego nacieszę się dzieckiem i zjeżdżam czym prędzej. Najważniejsze, by dziecko nie zapomniało, że to ja jestem jego ojcem. Bo podobno latem przyjeżdżał już trzy razy ewentualny kandydat na zastępczego tatę.

– Panie Bartku – powiedziała mi raz sąsiadka teściowej. – Czy pan wie, co tu się działo?

– Nic nie wiem. W sanatorium byłem, więc nie jestem w niczym zorientowany.

– Panie! Tu przyjeżdżał taki facet z Włoch. Gdzie mu tam do pana, panie Bartku! Taki chudzielec z czarną gębą. Ale jedno jest pewne. On ma szmal, a pan szmalu nie ma. Wie pan, co on pańskiej żonie kupił?

– Też nie wiem. Nie powiedziała mi.

– Kożuch kupił najpierw, a futro później. Co pan na to?

– Jakiś chytrus – odpowiedziałem zagadkowo.

– Wcale nie chytrus! – zgorszyła się kobieta. – Rzucił się! Tyle forsy!

Wystawiłem lewą nogę do przodu.

– Widzi pani mój but? Zelówka się odrywa. Nie mógł przywieźć mi pary butów? Albo chociaż lewego buta? No! Niech pani sama powie! Nie mógł?

Odsunęła się na bezpieczną odległość.

– Pan to… to stale żartuje – powiedziała ostrożnie.

Ona też wiedziała, gdzie ja się leczyłem. W takim małym miasteczku niczego nie da się ukryć.

– Niech się pan trzyma, panie Bartku! – poradziła mi jeszcze. – Jak będzie trzeba, to tego Włocha ugotujemy z makaronem.

Roześmiała się nerwowo i zniknęła za drzwiami. W tym miasteczku ustaliła się już moja renoma. Ludzie mnie okrążali, na chodniku miałem zawsze pierwszeństwo. Wolałbym

wprawdzie pierwszeństwo na jezdni, ale zza szyby samochodu nie byłem chyba tak wyraźnie widoczny.

Przyjeżdżałem do dziecka co drugi dzień. Na Włocha nie trafiłem, zresztą nic mu nie miałem do powiedzenia, a w każdym razie nie w jego języku. Jakby co, to niech już bierze żonę, koniecznie teściową, ale od dziecka wara! Dziecko mogę wychowywać sam. Z Fredkiem, Adolkiem i Dzidkiem. Sami bezdzietni. Niech się szkolą, bo nigdy nic nie wiadomo.
W Adolkowej teorii o kobiecie zabrakło problemu dziecka. Kiedy go się uwzględni, wyjdzie z pewnością, że wszystkie teorie biorą, w łeb i że kobietę trzeba każdego dnia poznawać od nowa. A jeśli tak, to żadne doświadczenie się nie liczy. Bez doświadczenia z kolei nie można stworzyć teorii. Niech już lepiej Adolek założy kabaret. Bo doktoratu w tamtej dziedzinie nie zrobi nigdy.

16

Niektórzy powiadają, że do szczęścia trzeba mieć… szczęście. Jeśli tak, to ja go mam najmniej. Powiodło mi się wprawdzie na ostatnich wczasach, ale tylko dlatego, że odstawiałem tam wcale nie siebie. A fakt ten jeszcze dobitniej świadczy na moją niekorzyść. Ja, autentyczny, zwyczajny ja – nie mam szczęścia i cześć! Koledzy mnie nawet lubią, bo nie jestem sukinsynem, ale dla tego samego chyba powodu nie lubią mnie dziewczyny. Jeżeli już chcę którąś z nich zainteresować sobą, albo przynajmniej zaciągnąć ją do wyra, to zaraz muszę robić teatr. Absolutnie nie opłaca mi się być sobą. Albo jestem kompletnie do kitu, albo też kobiety potrzebują nieustannego widowiska. Lubią po prostu brać udział w jakiejś grze, a później tak się wciągają, że nie wiedzą, gdzie się kończy prawda, a zaczyna się zwyczajny bałach.

Niedawno na przykład przejeżdżałem koło postoju taksówek. Stała tam panienka w tak eleganckim futrze, że oczyma duszy widziałem już stado moli, które czai się pod kołnierzem, aby w odpowiednim momencie załatwić sprawę po swojemu. Miałem jechać dalej, ale przypomniał mi się akurat włoski ofiarodawca podobnego stroju dla mojej żony. Zainteresowało mnie, skąd ta dziewczyna ma futro. Ma tatę w szklarni czy kochanka za granicą?

– Podwieźć panią? – zapytałem uprzejmie. – O ile oczywiście będę miał po drodze!

Zawahała się.

– A dokąd pan zmierza? – uśmiechnęła się niepewnie.

– Do telewizji. Ale na krótko. Potem mam trochę wolnego czasu i zawiozę panią tam, gdzie trzeba.

Od razu rozjaśniła się jej twarz.

– Do telewizji? – zaświergotała. – Mam tam znajomego. Taki, wie pan… podobny do Francuza.

– No to w porządku. Chyba go znam – odrzekłem marszcząc brwi z nadmiaru wysiłku umysłowego, bo jeszcze nie spotkałem się z tak precyzyjnym określeniem wyglądu człowieka. – Jesteśmy więc sami swoi.

– Pan też wygląda na cudzoziemca! – zasygnalizowała po chwili.

– Trafiła pani! – wykrzyknąłem. – W tym kraju mieszkam dopiero dwadzieścia lat!

– A przedtem?

Uśmiechnąłem się tajemniczo, z czego mogła ostatecznie wywnioskować, że jestem hrabia Monte Christo, ale oficjalnie ujawnię się jej nieco później.

Gadała przez całą drogę, ale zupełnie nie wiedziałem, o co jej chodzi, bo głowę miałem zajętą czym innym. Zastanawiałem się mianowicie, co ja w tej telewizji zrobię, dokąd pójdę, czy mnie jaki Francuz nie wyrzuci przez okno i czy mnie w ogóle wpuszczą do środka. Psiakrew! Mogłem powiedzieć, że jadę na bazar, i na pewno byłoby to prostsze. Ale na bazar jeździ każdy, a do telewizji tylko elita. No i dobrze! Jestem więc elita, a sytuację ocenię na miejscu.

– Poczeka pani na mnie w samochodzie czy woli pani do środka?

Uciekłbym, gdyby sobie zażyczyła do środka.

– Wolałabym… – zastanowiła się. – Wolałabym poczekać. Długo pan tam będzie?

– Nie. Dosłownie kilka minut!

Porwałem czapkę z siedzenia i szybko zatrzasnąłem drzwi. Popędziłem do głównego wejścia, nacisnąłem klamkę i… natknąłem się na Dzidka.

– O cholera! – zawołał. – Co ty tu robisz? Cha! cha! cha!

– Przyszedłem sobie walnąć kupę! – odparłem nerwowo. – A ty?

– Mnie tu filmowali. Wygrałem takie małe zawody i teraz robili ze mną audycję dla młodzieży. Spieszysz się?

– Tak, tak! Bardzo! Umówiłem się tutaj z jednym Francuzem. Stasiek ma na imię. Nie znasz takiego Francuza?

– Nie. Wpadnij wieczorem, to ci opowiem, jaka heca była z tym filmowaniem. Cha! cha! cha! Nie zmieściłem się w obiektywie!

– Oczywiście, że wpadnę! Trzymaj się! Pardon!

Najpierw musiałem zniknąć z pola widzenia mojej pasażerki. Hall był obszerny, mogłem tu zaczekać, ale co powiedzieć, jeśli mnie zapytają, kogo szukam? Wypatrzyłem drzwi z trójkątem. Coś dla mnie. Wpakowałem się tam, zrobiłem pięćdziesiąt pompek i tyle samo przysiadów, a na koniec trzyminutowy bieg w miejscu. Przejrzałem się w lustrze. Wyglądałem mimo wszystko zbyt skromnie. Rozchełstałem więc na sobie koszulę, a czapkę złożyłem daszkiem do tyłu. Teraz było w sam raz. Lekką zadyszkę też już miałem, wypadłem biegiem z tego kibla i pomknąłem do samochodu.

Oddychałem głośno jak hipopotam, który pomylił żółwia z miną głębinową. Dziewczyna przyglądała mi się z ciekawością.

– Strasznie się pan zmęczył! – zawołała współczująco.

– Bo z nimi… – złapałem powietrze – …to nigdy nic nie wiadomo. Miałem kręcić jutro, a muszę dziś wieczorem…

– Co pan będzie kręcił wieczorem?

– Nocne przybycie Napoleona do Warszawy!

– Jezu! – zesztywniała z wrażenia. – Napoleona?

– Napoleona – powtórzyłem. – Dokąd panią zawieźć? Mam czas do wieczora.

Najpierw wypiliśmy u niej herbatę, a potem wskoczyliśmy do wyra. Dobrze nam było w tym wyrze. Kiedy trochę odetchnęliśmy, przyznałem się jej, że to ja właśnie występuję w roli Napoleona. Od razu doznała nowego orgazmu, mimo że nawet jej w tym momencie nie dotykałem. Wszystko jej się pomyliło. Powiedziała, że miała już kilku chłopców, ale z Napoleonem jeszcze nigdy.

Uciekłem stamtąd około ósmej. Gdy otwierałem drzwi samochodu, ona stała nago w oknie i pozdrawiając mnie wyciągniętą ręką, zawołała:

– Vive l’Empereur!

– Vive la Pologne! – odkrzyknąłem śmiało, bo akurat tyle umiałem po francusku.

No proszę. Niby wszystko wyszło, jak trzeba, ale satysfakcji z tego nie miałem żadnej. Jako zwyczajny Bartek mógłbym najwyżej pomóc jej przy zdejmowaniu futra. Za to jako Napoleon zdjąłem wszystko. To ma być życie? To jest teatr! A ja w nim ciągle za przebierańca robię. I jak tu nie kląć? No jak? Phi!… Nie ma się co oszukiwać. Przecież wszyscy wiedzą, że nawet przeklinać dobrze nie potrafię. Taki jestem. Taki… Francuz!

17

Wszyscy żyją gromadnie, a ja znowu siedzę sam i wyglądam przez okno. Nikogo tym wyglądaniem nie zwabię, co najwyżej zimę, żeby przyszła wcześniej niż zwykle. Dzidek jest teraz na pewno już po treningu, je kolację, potem położy się do łóżka, łaskawym okiem spojrzy na odważnik stojący na środku pokoju i natychmiast zaśnie.

Jemu samotność nie dokucza. Dla żony nie ma u niego miejsca. Chyba że miałaby sto pięćdziesiąt kilo wagi i wygodne uchwyty w jakimś z góry ustalonym przez Dzidka miejscu. Wtedy by ją może na swój sposób spożytkował. To tyle, jeżeli chodzi o Dzidka. Teraz Adolek.

Adolek przyprowadził właśnie panienkę upatrzoną na ulicy i tłumaczy jej, że w domu gorąco, więc niech się od razu rozbiera. Jak to Adolek. Fredek natomiast zabrał się po raz siedemdziesiąty do malowania rozpoczętego na wiosnę obrazu, ale rzuciwszy okiem na zachwycającą sylwetkę swojej przewlekłej już panienki, szybko postanawia, że malowanie rozpocznie jutro. Taki jest ostatnio Fredek.

A ja trzeźwo patrzę na świat i mam z tego powodu do siebie pretensję. Ta trzeźwość odbiera mi spokój i w ogóle przeraża mnie. Powinienem zatem robić wszystko, aby być nietrzeźwym. W barku stoi butelka wina, ale tylko jedna. Taka jedna butelka nie da mi rady. Wódki nie mam, bo nie lubię. Zresztą od lat już głoszę teorię, że wódka to napój dla chamów i dla niewolników. Smak ma podły, nikt z przyjemnością jej nie chłepcze. A jeżeli nie z przyjemnością, to z przykrością. Żeby sobie robić przykrość, trzeba być niewolnikiem. Człowiek wolny pije to, co mu smakuje. Chyba że się chla, aby później rąbać podłogę. Wtedy wiadomo, że pragnienie gasi cham.

Sięgnąłem po to wino, by zapach wódki odegnać. Mam wyobraźnię wyostrzoną do tego stopnia, że niedobrze mi się robi na samo wspomnienie smrodu, jaki wydziela się z gorzały. Jeśli już do tego doszło, konieczna jest neutralizacja. Nalałem kieliszek i uniosłem w górę. W prawym rogu pod sufitem siedział pająk.

– Twoje zdrowie! – powiedziałem czule i skosztowałem czerwonego napoju.

Był dobry, zresztą jeśli już kupowałem wino, to tylko dobre. Z drugim kieliszkiem ustawiłem się w przedpokoju, naprzeciw lustra. Teraz było nas dwóch. We dwóch pije się o wiele przyjemniej niż w pojedynkę. Sączyliśmy powoli jak na dżentelmenów i w ogóle jak na prawdziwych mężczyzn przystało. Tematy do rozmowy na pewno znalazłyby się, ale obowiązywała nas przecież postawa pełna nonszalancji wobec wypadków dziejowych. Twarze mieliśmy zamyślone i pełne tęsknoty za czymś nieokreślonym. Zresztą, nie da się ukryć! Twarze do niedawna promieniały radością i tętniły życiem. Teraz były to raczej ponure twarze. Nieruchome rysy, matowe oczy i zaciśnięte usta.

– Obyśmy jeszcze zdrowi byli! – wyszeptałem, wznosząc znowu kielich do góry, a mój towarzysz z lustrzanej tafli uprzejmie wyraził to samo za pomocą podobnego gestu.

I znowu nic się nie działo. Napój rozpuszczał się w całym moim ciele, a umysł pozostawał wciąż napięty i wyczekujący. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że z każdą chwilą ogarniała mnie coraz większa trzeźwość. Coraz wyraźniej roztaczały się przed moimi oczami obrazy, które mogłyby posłużyć na zwykły filmowy serial małżeński. Serial, który napisało życie. Moje życie, bo przecież niczyje inne. Nie obchodziły mnie zresztą seriale tworzone na kanwie jakiejś innej przepychanki małżeńskiej. Wystarczą mi refleksje wyrosłe z własnych doświadczeń. Zresztą już tylko te refleksje mi pozostały. Nic więcej, jeśli nie liczyć telewizora i tych wszystkich gratów, poupychanych we wszystkich kątach mieszkania. No i to wino! Niedużo, ale jest.

– Wobec tego siup! – pozdrowiliśmy się znowu, jak należało.

Mój towarzysz z przeciwka uśmiechnął się na krótką chwilę. Niewykluczone, że i ja

zrobiłem to samo. Kiedyś trzeba będzie przecież uczyć się uśmiechu od nowa.

Podłe jest to życie, ale od czego ma się cały zestaw mechanizmów adaptacyjnych! Trzeba będzie obniżyć loty i uśmiechać się do tego, co jest podłe, mając jednocześnie na uwadze fakt, że istnieją okoliczności superpodłe, wobec których należy z zasady ustawiać się tyłem. Przynajmniej na razie, dopóki znowu nie dojdzie do przewartościowania hierarchii układów.

Zamknąłem na chwilę oczy. Gdzieś na świecie bawi się wesoło moje dziecko. Na tym samym świecie snują się jak fabryczne chmury moja teściowa i moja żona. Zatruwają życie mojemu dziecku już przez sam fakt, że tańczą wokół niego i starają się mu stworzyć normalne warunki życia, chociaż wiedzą, że życie bez ojca to laboratorium, a nie norma. Jak się to wszystko potoczy? Trzeba przecież zorganizować jakiś rozwód. W takim wypadku dobrze by też było załatwić sprawę jeszcze bardziej zdecydowanie. Moja żona mogłaby wynająć trzech zbirów. Niechby mi ukręcili łeb. Miałaby sprawę z głowy. Przynajmniej do momentu, w, którym by się to wydało. Takie samo wyjście przysługuje zresztą i mnie. Ile można dostać za zabójstwo żony? Nie musiałbym nikogo wynajmować. Uczyniłbym to sam. Elegancko i szybko. Może nawet w przyszłości udałoby się założyć firmę likwidującą zbędne żony?

Do diabła! Co ja plotę? Przecież jeszcze tak niedawno gotów byłem opowiadać na lewo i prawo, że małżeństwo to najpiękniejsza instytucja pod słońcem. No, może nie najpiękniejsza, ale w każdym razie niezła. Kiedy to było? Cztery lata temu. Mieszkaliśmy tutaj we trójkę. Nie! Na początku we dwójkę. Dziecko urodziło się przecież później. Czy już wtedy zanosiło się na rozstanie?

Otworzyłem oczy i wpatrzyłem się badawczo w twarz przyjaciela z lustra. Jego oczy zdradzały niespotykane skupienie umysłu. Czegoś nam jednak brakowało do tego, by stanąć na wysokości zadania. Opuściłem wzrok na butelkę. Znajdowało się tam w sam raz tyle, ile potrzeba do napełnienia kieliszka.

– Niech nas dobra pamięć nigdy nie opuszcza! – zawołałem patetycznie i tym razem wypiłem duszkiem. Jak najpodlejsze lekarstwo. Jednak natychmiast wyczułem, że pomogło. Ogarnęła mnie przeraźliwa trzeźwość. W moim umyśle oświetlone zostały najciemniejsze zakamarki przeszłości. Mogłem w nich buszować z nieopisaną swobodą. Mogłem i musiałem! Bo mimo wszystko czas miałem z pewnością ograniczony. Nikt nie wie, kiedy wysiądą korki i zgaśnie światło. W drogę więc, póki jeszcze można!

.....

Dwa kroki w tył

1

Jest niedziela, więc o godzinie ósmej leżę jeszcze w łóżku i od kwadransa zastanawiam się, co zrobić, żeby wstać z przyjemnością. Na razie jednak z przyjemnością leżę. Przez otwarte okno wpada przyjemny chłód wrześniowego poranka, lekka kołdra naciągnięta niemal na oczy zabezpiecza przed gęsią skórką, do drzwi nikt się nie dobija, telefon nie dzwoni, trzęsienie ziemi w ogóle w grę nie wchodzi – to i leżę.

Odwracam głowę w prawo. Po prawej leży żona. Moja własna. Tydzień temu zalegalizowano nasze wspólne leżenie odpowiednią pieczęcią we właściwym urzędzie. Była rodzina, goście, kibice oraz mowa o tym, że małżeństwo to poważna sprawa i niezliczone obowiązki. Kierowniczka urzędu tak nam przygadała. Niewiele z tej mowy rozumiałem. Ciągle zastanawiałem się, czy ona jeszcze mężatka, czy już rozwódka. A jeśli chodzi o mnie, to ożeniłem się dla przyjemności, a nie dla obowiązku. Obowiązki mam w pracy. Pracuję w szpitalu na oddziale laryngologicznym jako pielęgniarka. Normalnie to od samego początku reprezentuję płeć męską, ale na dokumencie widnieje, że wcale nie. Bo w Studium Medycznym byłem jedynym mężczyzną i pedagodzy nigdy nie mogli mnie dostrzec wśród biustów ujmujących koleżanek. Wykłady zaczynały się od „słuchajcie, panienki!" To i na świadectwie zostałem panienką. Potem miałem zamiar sprostować pomyłkę, oni też mieli zamiar, ale w końcu kto by doszedł do tego, jak sprostować, czym i w ogóle po co! Dyplom jest, człowiek jest, robota czeka w każdym szpitalu, pielęgniarek brakuje, bo pensja licha – czego jeszcze trzeba? Nazywam się zatem obywatelka Bartłomiej Zadura, dyplomowana pielęgniarka, kilkakrotnie wyróżniona na konkursach medyczno-pielęgniarskich. A moja żona nazywa się Karolina Zadura, jest lekarką, ma lat dwadzieścia sześć, czyli że właściwie to lekarką jeszcze nie jest, ale z dyplomu uzyskanego przed dwoma laty wynika, że mimo wszystko jest. W ogóle to z różnych dokumentów często wynika, że jest dużo, a tak naprawdę to jest mało albo wcale nie ma. Na przykład mój przyjaciel Adolek bierze sześć i pół tysiąca pensji, a alimenty płaci na trójkę nieślubnych dzieci. Płaci po tysiącu i do tego każdy tysiąc innej panience. Ludzie głoszą, że Adolek to łajdak, a przecież i tak każdy wie, że nie łajdak, tylko pechowiec. A ci, co głoszą takie bzdury, to najczęściej impotenci, kastraci albo po prostu szczęściarze. Bo każdy z nich przeleciałby jakąś panienkę, żeby tylko wyjść na swoje i żeby taka panienka nadstawiła im, co trzeba. A jak nie nadstawi – od razu wybrzydzają. I kraczą głośno, że na gołe tyłki w telewizji patrzeć nie mogą.

Ano nie mogą. Bo obok żona i dzieci, a nierzadko też teściowa. Gdyby nie to całe towarzystwo, przelecieliby i telewizor. A bo to mało w nim otworów? A jak mało, to śrubę się odkręci i dalej, do przodu! Byle tylko taki goły tyłek zbyt szybko z ekranu nie znikał.

Na zegarze wpół do dziewiątej. Wygramoliłem się ostrożnie spod kołdry, byle tylko nie zbudzić mojej doktorki. Młoda jest, niech śpi. Dziesięć lat różnicy między nami. Przed ślubem przyjaciele mojej żony bardzo się naszemu związkowi dziwili.

– Ona jest dla ciebie za młoda – stwierdzali autorytatywnie. – Pomyśl, co będzie za dziesięć lat!

– Za dziesięć lat? – zastanawiałem się uprzejmie. – Nno… za dziesięć lat ja będę chłopakiem do wzięcia, a ona będzie już stary rupieć.

Mężczyźni okazywali nawet zainteresowanie moimi poglądami.

– Że co? – podpytywali. – Mówisz, że najlepsze wzięcie ma się dopiero po czterdziestce?

– Oczywiście – odpowiadałem – ale nie każdego to dotyczy. Zanim dojdziecie do tej czterdziestki, zwalcie z siebie najpierw te olbrzymie, ciężarne brzuchy.

Natychmiast się krzywili. Niby się prostowali, ale tak naprawdę to się krzywili. Ba, niektórzy obrażali się nawet!

– Wyglądacie jak pająki-krzyżaki! – dodawałem sadystycznie, bo nigdy nie mogłem patrzeć na brzuchatych trzydziestolatków. – Takie wielkie cebry na kurzych łapach!

Stopniowo przerzedzały się szeregi kandydatów na przyjaciół.

– Od dziś będę wam mówił „wujkowie”! – dobijałem ich ostatecznym ciosem w brzuch.

A kobiety od razu ustawiały się wobec mnie agresywnie. Najpierw świdrowały mnie tymi wybrudzonymi tuszem oczami, szukały słabego punktu i po chwili dawały ognia.

– Może wydaje ci się, że jesteś jeszcze tak samo atrakcyjny jak dawniej?

– Nie – przeczyłem stanowczo. – Wcale mi się tak nie wydaje. Wydaje mi się zupełnie inaczej. Wydaje mi się, że jestem teraz o wiele bardziej atrakcyjny niż dawniej.

Szlag je trafiał, ale kryły się z tym, jak tylko mogły. Prognozy mi tylko stawiały ze szczerego serca.

– Za rok będziesz już stary i nieciekawy! – mówiła jedna.

– I sflaczały! – uzupełniła druga.

– Pomarszczony! – przypominała sobie następna.

Uśmiechałem się serdecznie, co sprawiało, że wszystkie prognozy stawały się lekkostrawne i wcale nie mogły nastroić błony śluzowej mojego żołądka do tworzenia wrzodów.

– Pielęgniarz! – wołały znowu, bo mój uśmiech wyprowadzał je z równowagi. – A cóż to za profesja dla mężczyzny?!

Znowu się uśmiechałem, bo czułem jak mój umysł przepełnia się treścią na tyle atrakcyjną, że koniecznie trzeba ją upowszechnić.

Upowszechniałem więc następująco:

– Słuchajcie, dzióbeczki! Czy zdajecie sobie sprawę z tego, co by z was zostało, gdyby tak te piękne buźki oskrobać z pudru, tuszu, szminki, henny, olejków, mączek, maści, różów i balsamów? I gdyby wasze fryzury opłukać z farb, otrzepać z lakierów i wyplątać z tapirów? I gdyby wasze biusty uwolnić z gorsetów, brzuchy wypuścić z elastycznych pasów, a przerośnięte biodra obsmyczyć z amerykańskich wychudzających majtek? Hę? Zdajecie sobie sprawę, czy nie zdajecie? No? Co by zostało? Ga-la-re-ta!

Patrzyły przerażone i prawie nie oddychały.

– Galareta! – powtarzałem energicznie i otwierałem drzwi. – Idę po ocet!

Za drzwiami przyspieszałem kroku o tyle, o ile się tylko dało. W takiej chwili mogłem być zlinczowany bez zastanowienia, a żaden damski sąd nie skazałby morderczyń nawet na zamiatanie podwórka więziennego. A swoją drogą od tamtej pory byłem napiętnowany mianem wroga na wieki wieków. Amen.

Żona przekręciła się na prawy bok. Poszedłem do łazienki. Na półkach stały kolorowe buteleczki z napisami w języku angielskim, francuskim i niemieckim. Wewnątrz tych butelek od dawna już siedziała rodowita „Pollena”, ale nie wystraszeni dotychczas przeze mnie goście, którzy wpadali do naszej łazienki na sikanie, mieli okazję upajać się całą gamą najlepszych zagranicznych butelek z kosmetykami.

Moja żona uświadomiła mnie zresztą wyczerpująco w tym względzie.

– Każda szanująca się dama – powiedziała – powinna pokazywać się ludziom z najlepszej strony.

Oznaczało to, że żona w ten łazienkowy sposób pokazuje się z najlepszej strony i że jest damą. Ostatecznie nie mam nic przeciw temu. Byleby nie zapragnęła zostać waletem.

– Kiedy kupisz mi futro z lisów? – zapytała przedwczoraj.

Zastanowiłem się. Sobota nie wchodziła w rachubę, bo akurat miałem całodzienny dyżur.

Niedziela też nie, bo niedziela. Może w poniedziałek?

– Chcesz w poniedziałek?

– Oczywiście! – ucieszyła się tak, że aż podskoczyła.

– No to w poniedziałek – ustaliłem. – Ile to futro kosztuje?

– Dokładnie nie wiem.

– Ale tak mniej więcej?

– Jakieś… sto tysięcy.

Otworzyłem usta. Otworzyłem i długo nie mogłem zamknąć.

– Co się stało? – zapytała z troską w głosie. – Przyciąłeś sobie język?

– Nie… Przypomniałem sobie, że w poniedziałek mam dyżur.

– A ile masz pieniędzy?

– Pięćset złotych.

Od razu się obraziła. Za pięćset złotych mogłem najwyżej kupić jej gumowce i parasolkę. W efekcie kupiłem kilka butelek coca-coli i moja Karolina od razu się udobruchała. Bardzo lubiła coca-colę.

Kiedy ją poznałem, była Lolą. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Bardzo mi przyjemnie, że mogłem panią poznać, pani Lolu – powiedziałem przy prezentacji.

– Nie jestem Lola. Jestem Karolina – sprostowała nieprzyjaźnie. – A pan jak?

– Bartek.

– Bartek, czyli Bartłomiej?

– Nie. Bartłomiej, czyli Bartek – zamamrotałem nieprzekonująco. – Ale dla pani może być Bartłomiej.

Akurat podeszła jej młodsza koleżanka. Taka dwudziestka z tych zapudrowanych niemal na śmierć.

– To mój nowy znajomy – przedstawiła mnie Karolina. – A to Anna.

Zrobiłem skłon i podałem rękę.

– Bartłomiej jestem – powiedziałem z rezygnacją.

– Bartłomiej, czyli Bartek? – zapytała pudernica z nadzieją.

– Nie. Bartek, czyli Bartłomiej.

Pomieszało mi się dokumentnie.

– To jak mam mówić? – zapytała z pretensją.

Machnąłem ręką gdzieś w przestrzeń.

– Najlepiej mów mi wujku, córeńko!

Przeleciałem ją tego samego wieczora. No bo wytworzyła się taka rodzinna atmosfera… A Karolinę spotkałem drugi raz dopiero po miesiącu.

– Jak zdróweczko? – zagadnąłem, bo wtedy nic więcej nie miałem do powiedzenia.

– Przecież to ja leczę! – odparła z oburzeniem. – A nie pan!

– Wsio ryba! – zgodziłem się. – Zapraszam na piwo.

– Na co?

– No to na coca-colę.

– Zgoda.

I tak się zaczęło.

A teraz ona śpi, a ja łażę pośród buteleczek z zagranicznymi napisami i wybrzydzam na kobiety, które tak kocham. Bo faktycznie kocham. Wszystkie. I to nie tylko dziś. Zawsze kochałem. Taką już mam naturę. A moją żonę, Karolinę, kocham najbardziej. Najbardziej!

Uff! Tak się przejąłem tą miłością do żony, że postanowiłem natychmiast iść do kuchni

i umyć gary, które zostały w zlewie od wczoraj. Taki już jestem. Uczuciowy. Jak mnie uczucie ogarnie do żywego, wtedy gotów jestem zrobić wszystko. Nawet te gary!

W zlewie piętrzył się stos konwencjonalnie uformowanej blachy i szkła. Na chwilę ogarnęła mnie pokusa, by to wszystko zwalić do pudła i wyrzucić do śmietnika. Ale tylko na chwilę. Bo to już były wszystkie naczynia, które mieliśmy. Sprawa normalna: małżeństwo na dorobku. Od czego by tu zacząć? Prawdę mówiąc, do niczego nie było dojścia. Zresztą, moim zdaniem, więcej niż połowa tych rupieci nie wymagała jakiegoś gruntownego mycia. Dzisiaj może już tak nie było, ale jeszcze wczoraj… Na samym spodzie leżała wielka patelnia wypełniona niepotrzebnym już tłuszczem. W tym tłuszczu tkwiło sześć szklanek po herbacie, które pierwotnie wymagały tylko wypłukania w gorącej wodzie. Ale teraz? Teraz trzeba je będzie najpierw wyszorować proszkiem z tego tłuszczu, w którym się usmarowały. Garnek po zimnym mleku zapchany został resztkami jajecznicy, a noże którymi kroiło się tylko chleb i nic więcej, pływały w rondlu z nie dokończoną zupą. W tym samym rondlu były też łyżeczki do herbaty i dwie filiżanki po kawie. Obok, w drugiej części zlewu, pośród kluskowatego kisielu pławiła się pusta cukiernica i jeden kufel po coca-coli. Wszystko to przysypane zostało całą kupą herbacianych fusów.

Czułem się przez dłuższą już chwilę jak turysta na tle nieprzebranej ściany lian wytyczających granicę dżungli amazońskiej. Konieczny jest potop! Odkręciłem kran i puściłem gorącą wodę na ten cały śmietnik. Gdy się zapcha rura, wezwiemy hydraulika.

– Bartłomiej! – zawołało coś z boku.

Nadstawiłem ucha. Co to może być? Telewizor wyłączony, radio też. Aha, to moja żona! Trzeba powiedzieć jej „dzień dobry”.

– Dzień dobry, aniołku! – zawołałem i poszedłem z powrotem do pokoju.

Karolina leżała z otwartymi oczyma i patrzyła na mnie z zachwytem.

– Pięknie wyglądasz – powiedziała.

Na wszelki wypadek podszedłem do lustra. Może się usmarowałem w tym zlewie i teraz żona ma ze mnie ubaw? Ale nie. Tylko szczecina na brodzie ocieniała mi i tak już opaloną skórę. Pięknie to nie wyglądało, ale jeśli tak jej się podoba, niech będzie. Najważniejsze jest uznanie w oczach własnej rodziny. Zasługi liczą się mniej.

– Jeszcze się nie ogoliłem – zaprotestowałem nieśmiało.

– Nie szkodzi. Ja tak lubię. Chodź do mnie.

– Teraz? Chciałem właśnie te naczynia… – pokazywałem ręką w stronę kuchni.

– Później! Przytulisz się tylko trochę do mnie i sobie pójdziesz!

No to się przytuliłem. Mam jednak taką naturę, że jak już się zacznę przytulać, to nie mogę skończyć. Tak więc te garnki, te kluchy po kisielu i te herbaciane fusy wyregulowałem dopiero koło południa.

A co? Jest niedziela, nikt nie puka, nikt nie dzwoni, wokoło cisza… Mam się od razu w ten zlew pakować Nonsens! Jak mnie kiedy chwila szczerości najdzie, to może i opowiem, dlaczego te kluchy i ten cały bałagan zostawiłem sobie na później.

2

Na laryngologii w tym tutaj szpitalu pracuję od niedawna. A właściwie jeszcze krócej. Trzy dni temu zgłosiłem się na oddział i powiedziałem:

– Dzień dobry!

W gabinecie zabiegowym siedziały cztery dziewczyny i jeden ciemnoskóry mężczyzna o arabskich rysach twarzy. Arab opowiadał dowcipy, a dziewczyny śmiały się półgębkiem. Mówił płynnie po polsku, ale dowcipy sadził takie sprzed ćwierćwiecza. Ni do śmiechu, ni do płaczu. Ot, tyle, żeby sobie wprawki językowe poćwiczyć.

Na moje powitanie nie było żadnego odzewu. Uszanowałem przez pewien jeszcze czas niechęć personelu do osób postronnych pchających się nie w porę, aż wreszcie postanowiłem zaryzykować jeszcze raz.

– Dzień dobry!

Głupio było tak stać i nic nie robić.

– Był pan wzywany? – zapytała jedna z dziewczyn, nie odwracając głowy. – Ludzie pracują, a pacjenci pchają się bezczelnie! Co za naród! – zamruczała na zakończenie.

– Niech pan poczeka na korytarzu – zarządził Arab. – Przyjdzie czas, to się pana wezwie.

Spojrzałem na niego z zastanowieniem i skinąłem głową. Mogę poczekać. I tak będę miał zaliczone swoje osiem godzin. Co za różnica? W gabinecie czy na korytarzu! Mogę nawet na kominie, byleby wejście nie było zbyt strome.

Usiadłem więc na ławce, wyjąłem gazetę i lecę po wiadomościach o najnowszych sukcesach naszej gospodarki narodowej. Po godzinie byłem już tak naładowany optymizmem, że przestała mnie obchodzić laryngologia, szpital, Arab i ten cały jego harem przybrany w białe fartuchy. Nie od razu zauważyłem więc, że ktoś zatrzymał się naprzeciw mnie.

– To pan?

Damski głos uniósł mi głowę znad gazety. Miałem przyjemność oglądać panią docent, która jeszcze wczoraj rano przyjmowała mnie do pracy.

– Co pan tu robi? – zapytała z babską ciekawością, jak gdyby moja odpowiedź miała jej dostarczyć syntetycznego skrótu tego wszystkiego, co wyczytałem w gazecie.

– Siedzę i czytam – odparłem uprzejmie. – Oni – pokazałem ręką na drzwi gabinetu zabiegowego – kazali mi tu siedzieć i czekać.

– Coś podobnego! – zawołała pani docent i pobiegła do drzwi. – Kolego Mustafa!!! – wrzasnęła wysokim falsetem. – Co pan tu wyrabia? Dlaczego to nowego pracownika wyprasza się za drzwi? No?

Zrobiło się cicho, a drzwi wciąż pozostawały nie domknięte. Na szczęście pacjentów ani na lekarstwo. To i prestiż służby zdrowia nie ucierpi dziś w swoim majestacie okrytym wykrochmalonym białym fartuchem. A zresztą ciąg dalszy rozgrywał się w tonacji mocno ściszonej. Dopiero po kilku minutach zza drzwi wychyliła się pielęgniarka, ta sama zresztą, która niedawno zrobiła mi wykład o bezczelności.

– Bardzo pana prosimy – powiedziała nieśmiało.

Uśmiechali się wszyscy. Pani docent się uśmiechała, Arab się uśmiechał i dziewczyny się uśmiechały. Ta, co mnie wyprosiła i zaprosiła, pełniła urząd oddziałowej. Na imię było jej Wanda. Lat miała 28. Podobno jest fajna, ale jak coś nie gra, to robi się nerwowa.

I faktycznie. Gdy wszedłem tam pierwszy raz, to nic nie grało. Grało natomiast w drugim skrzydle budynku. Mieścił się tam oddział dla chorych na gruźlicę. Oj, grało tam każdemu, grało! A muzykalna oddziałowa trafiła akurat na taki niewydarzony oddział, jakim była laryngologia. Same afony tu przychodziły i nikt więcej.

O jedenastej poproszono mnie na salę operacyjną. Czekały tam dwie lekarki i asysta w czepkach.

– Pan już coś umie? – zapytała jedna z lekarek.

Obie były młodsze ode mnie, ale ta chyba dopiero wczoraj skończyła studia. Tak jakoś infantylnie wyglądała.

– A co trzeba umieć? – zapytałem na wszelki wypadek.

– No… jak najwięcej – odparła niezdecydowanie.

– Aha. Tyle to umiem.

– W takim razie niech pan zajmie stanowisko przy aparacie tlenowym. Nie będzie oczywiście potrzebny, ale przepisom stanie się zadość.

Na środku sali leżał pacjent. Leżał i myślał. Im dłużej myślał, tym większe przerażenie świeciło mu z oczu. Młodociane lekarki krzątały się wśród narzędzi, myły ręce, kąpały je w jodynie i gdy wreszcie stanęły nad pacjentem, wprawiły go w taki popłoch, że stół operacyjny dygotał niemal razem z nim.

– No i czego się pan tak boi? – zapytała ta młodsza. – Operacja na przegrodzie nosowej? Co z pana za chłop! Stuknie się młotkiem dwa razy i będzie po wszystkim!

Nawiązała rozmowę jak stolarz z trumną. Bez echa.

Zbliżyłem się do instrumentariuszki.

– Co to za dziewczynki? – zapytałem cichym szeptem.

– Lekarki – odszeptała tamta z lekkim zaskoczeniem.

– Domyślam się. Ale jaką mają specjalizację? Może psychologia, bo tak tłumaczą facetowi, jak chłop krowie na miedzy?

Dziewczyna uśmiechnęła się dyskretnie.

– Ta, co się tak rozgadała, to Czajęcka. Laryngolog pierwszego stopnia…

– A tamta?

– Sawicka. Przyszła z gruźliczego. Ftyzjatra pierwszego stopnia.

– Ojej!!! – wrzasnął pacjent.

– Co się stało? – zapytała Czajęcka. – Ugryzło pana coś?

– Nie, ale się boję!

– To dobrze – orzekła Czajęcka. – Już się bałam, że pan zaniemówił na wieki.

Zrobiła zastrzyk i od razu chwyciła za dłuto. Poczułem się trochę nieswojo. A gdy dotknęła nosa pacjenta, zamknąłem na chwilę oczy. Będzie wrzask.

– Aaaa!!!

– Znowu? – nie wytrzymała Czajęcka.

– Przecież ten zastrzyk jeszcze nie zaczął działać! – niemal z płaczem wykrzyknął pacjent. – Ja wszystko czuję!

– Nie podoba się panu? – rugnęła go Sawicka. – To idź pan do domu! – Odczekała chwilę. – No więc? Idzie pan?

– Nie. Ale może by trochę poczekać, aż zastrzyk zacznie działać?

– A kto tu jest lekarzem? My czy pan? Zna się pan na tym? Nie zna się pan! Jeżeli pan się nie zna, to niech pan leży cicho!

Oj, dużo bym dał, żeby tak sytuacja zmieniła się nagle i żeby to Czajęcka leżała na desce, a jakiś stolarz z dłutem świdrował jej nos. Na razie jednak sytuacja się nie zmienia. Młotek wali w dłuto. Pacjent jęczy. Jęczy tylko kilka sekund, bo później zaczyna wyć.

Sawicka krzywi się niecierpliwie. Postanowiła znowu zaznaczyć, że i ona coś tutaj robi.

– No i czemu on tak się drze? – powiedziała nie wiadomo do kogo. – Przeszkadza tylko w operacji!

– Może go boli? – zapytałem nieśmiało.

– Boli? – skrzywiła się znowu Sawicka. – A skąd pan wie? Pan tam leży czy on? A może jest mu przyjemnie?

– Sądzę, że wtedy by zaśpiewał – odezwałem się uprzejmie.

– A pan, zdaje się, ma już swoje stanowisko? – przycięła zjadliwie. – Niech się pan nie wtrąca!

– Mam, mam – wzruszyłem ramionami. – Ale nie lubię takich audycji.

– Jakich audycji? – wtrąciła Czajęcka. – Przecież pacjent otrzymał zastrzyk.

– Z czego? Może z wody destylowanej! – Trochę mnie zaczynało ponosić. Pacjent jęczał głośno, operacja na chwilę ustała. – Nie działa, więc wnioskuję, że to było placebo. Sugestia nie wyszła, trzeba dać normalny zastrzyk znieczulający.

Były zbulwersowane.

– Pan będzie wydawał polecenia?

– Nie. Dobre rady.

– Wypraszam sobie! – huknęła Czajęcka.

Nagle pacjent westchnął i zemdlał.

– Ot i tyle z tego gadania – podsumowałem sprawę.

– Proszę pana! – wyprostowała się Sawicka.

– Pacjent czeka – przypomniałem i wyciągnąłem rękę w stronę leżącego.

Obie pochyliły się nad swoją ofiarą.

– Tlen! – wyrzuciła przez zaciśnięte zęby Czajęcka.

Założyłem spokojnie aparat tlenowy. Zmierzyłem ciśnienie i tętno.

– W porządku – stwierdziłem. – Wyżyje.

– Nie pana w tym interes! – odcięła się Sawicka.

– Mój, bo zwalczam sadystów.

Postanowiłem, że nie dam się przegadać. Teoretycznie rzecz biorąc istniała tu jakaś hierarchia służbowa i fachowa, ale w trakcie dyskusji obie baby o tym zapomniały, a instrumentariuszka stała z otwartymi ustami i zupełnie nie wiedziała, co się dzieje.

Po trzech minutach pacjent doszedł do siebie.

– No to zaczynamy – odezwała się Czajęcka.

– Może jeszcze jeden zastrzyk? – zaproponowałem rzeczowo.

– Dobrze – zgodziła się z ciężkim westchnieniem. – Niech ma. I niech pan sam napełni strzykawkę, żeby potem nie było gadania o placebo.

Napełniłem strzykawkę niemal podwójną dawką środka znieczulającego. To na wszelki wypadek, gdyby chciały zacząć swoje rzemiosło od razu. Czajęcka spojrzała na miarkę, potem na mnie, ale już nie odezwała się ani słowem. Potem zresztą usiadły obie na trzy minuty.

– No i jak teraz? – zapytała Sawicka, stukając po nosie.

– Nie czuję – odpowiedział mężczyzna oddychając głęboko.

– Oczywiście, że nie! Przedtem też tak było. Teraz wszyscy mężczyźni to histerycy – zakończyła swoją wypowiedź patrząc na mnie.

Po operacji poszliśmy do gabinetu na papierosa. Ja sam nie palę, bo kiedy moi kumple zaczynali smakować papierosy, ja interesowałem się już dziewczynami i dzięki temu wiek papierosowy przeminął mi niepostrzeżenie.

– Proszę bardzo – powiedziała Sawicka do Czajęckiej, wyciągając paczkę marlboro. – Zapal mojego.

Czajęcka popatrzyła na paczkę i pokręciła głową.

– Nie – odparła. – Ja palę tylko klubowe.

– Od kiedy? – zdziwiła się Sawicka. – Przecież było ci wszystko jedno.

– Nie szkodzi. Każdy trafia w końcu na swoje. Ja trafiłam na klubowe.

– Mają przykry zapach, prawda, panie Bartku?

– Dla mnie wsio ryba – powiedziałem obojętnie. – To smród i tamto smród.

Wytrzeszczyły oczy jak na komendę.

– Pan nie pali?

– Nie palę.

– Ależ dlaczego?

– Milicja mi zabroniła.

Czajęcka prychnęła głośno, a Sawicka popatrzyła na mnie jak na łobuza.

– Czy pan jest żonaty?

– Jestem.

– No właśnie. Żona chyba pali, bo teraz wszystkie panie palą?

– Racja. Pali.

– I jak pan to znosi?

– Normalnie. Wyganiam ją na korytarz i po krzyku.

– A co ona na to?

– Nic. W każdym razie na pewno mniej pali, niż gdyby mogła siedzieć z papierosem w domu.

– Ja bym się nie zgodziła.

– Ja też nie.

– Co za szczęście, że się z paniami nie ożeniłem! – zawołałem z głośnym śmiechem. – Dopiero byłby bajzel w chałupie! Cha! Cha!

– Pan jest stanowczo za mądry – przyłożyła mi Czajęcka i wyszła. Sawicka chciała coś jeszcze powiedzieć, ale widocznie nie umiała dobrać słów, bo też wyszła. Kiedy się zastanowiłem nad moją aktualną sytuacją, to wyszło mi, że dwie baby spacerują teraz po świeżym powietrzu, a ja siedzę w papierosowym smrodzie. A to mi się przytrafiła fucha!

3

No więc sytuacja powoli zaczyna się klarować. Już wiem, kto mnie nie lubi, ale jeszcze nie wiem, kto mnie lubi. Nie lubią mnie dwie lekarki, Czajęcka i Sawicka, bo jestem za mądry. Trochę przesadziły, to fakt. Dotychczas wydawało mi się, że jestem mądry, i to wszystko. A one, że „za mądry". Niech im będzie. Może mają kompleksy? A niech tam! Nic do nich nie mam. Jeśli zechcą, to im nawet kiedyś przy okazji krzyżówkę pomogę rozwiązać. Makabra na 12 liter? L-a-r-y-n-g-o-l-o-g-i-a. Pasuje. Daj im, Boże, dziecko! Niech rodzą siłami natury. „Siłami natury"! Tak się to nazywa. Ostatnio oglądałem w telewizji występ czterech uczonych ginekologów z tytułami profesorskimi. Byli dumni z tego, że u nas w kraju porody odbywają się siłami natury. Na zgniłym Zachodzie i na spróchniałym Wschodzie stosuje się środki znieczulające. A u nas nie! O, to dopiero sztuka! Baba leży i krzyczy, a tu nic. Dobrze jej tak – mogła stosować gimnastykę specjalną, zanim wzięła się za łajdactwo. A bo to nie wie, że za czymś takim może przyjść na świat dziecko? No to niech ma! Poród jak w epoce kamiennej. Tyle że nie w jaskini i na mchu, ale w szpitalu na łóżku. Profesorów w tej telewizji było czterech, a redaktor tylko jeden. Odważny był ten redaktor. Zapytał, czy mają samochody. Wyszło, że mają. A czy nie mogliby tak „siłami natury"? Znaczy się – na piechotkę albo na grzbiecie jakiegoś przygodnego dinozaura. Powiedział tak do śmiechu, ale na psychologii się nie znał, nie powinien tak mówić. U nas w kraju jak już człowiek dobije się do tytułu, to poczucie humoru spada z niego jak zdeptany kapeć. O mało chłopa te profesory nie zlinczowali. Można się tylko domyślać, że tych pięciu kamerzystów, którzy tam koczowali na poboczach, poszłoby na pomoc redaktorowi. Agresywne zapędy poczciwych ginekologów przycichły w zarodku. Dziwni faceci, nigdy jeszcze nie rodzili, a teraz to już w ogóle za starzy są na urodzenie czegokolwiek mądrego. Jeśli już, to najwyżej jakąś nową dywagację o naturze. Bo nigdy nie wiadomo, co się za każdym znieczuleniem kryje.

No i racja. Jeśli taki profesor nie wie, to skąd może wiedzieć Czajęcka albo Sawicka? Lepiej nie znieczulać!

Na szczęście pani docent jakoś się w tym bezbarwnym tłumie sadystów wyróżnia. Operacja trwa dwie godziny albo nawet trzy, czasem cztery. Ale pacjent nie jest u niej za szczura.

– Gdzie doktor Mustafa? – zapytała we wtorek o dziewiątej.

– Jeszcze nie przyszedł – poinformowała oddziałowa Wanda.

– A doktor Białko?

– On zawsze się spóźnia – brzmiała odpowiedź.

Doktor Białko ma trzydzieści dwa lata i dziewięcioro dzieci. Taki ma prawo się spóźniać. Gdy dojdzie do piętnastki, to chyba i emeryturę od razu mu załatwią.

– Doktor Czajęcka?

– Jeździ z pogotowiem.

– Doktor Wiśniewska?

– Zwolnienie na opiekę nad dzieckiem.

– Więc z kim zrobię tę operację?

– Jest doktor Sawicka.

– Przecież ona jeszcze nic nie umie! – niedyskretnie wyznaje pani docent i przygląda mi się uważnie. – Pan będzie mi asystował, panie Bartku.

– Ja? – wyszeptałem z przerażeniem.

– Tak. Postanowiłam zrobić z pana człowieka!

Na wszelki wypadek zażyłem dwie tabletki od bólu głowy. No i zaczęło się. Pacjent – baba, operator – baba, Sawicka – baba, instrumentariuszka – baba, obsługa aparatu tlenowego – baba

i ja – baba… tfu! Ja – chłop!

– Co ja mam robić? – zapytałem, gdy stanęliśmy wśród pojemników z jodyną, w której trzeba było wykąpać sobie ręce.

– Terminologię pan zna?

– Znam.

– To dobrze. Dlaczego nie poszedł pan na studia medyczne?

– Nie lubiłem fizyki. Nie zdałbym.

– Szkoda.

– Nie żałuję. Mam na swoim koncie dużo przyjemnych przeżyć.

– To już coś! Zabieramy się do roboty.

Sawicka patrzyła na mnie spode łba, mimo że przecież wcale nie właziłem jej w paradę. Laryngologiem i tak nie zostanę, czego ona się boi? Konkurencji? Postanowiłem ją zaskoczyć.

– Ale pani doktor ma seks! – wyszeptałem na boku, korzystając z tego, że pani docent oglądała pacjentkę.

Sawicka żachnęła się w pierwszej chwili, ale już po kilkunastu sekundach spojrzała na mnie łaskawszym okiem. Pojąłem, że doktórka to jednak baba, mimo że doktórka. Następnym razem zaproponuję jej randkę. Niech ma satysfakcję z tego, że mi odmówi. Nic na tym nie stracę.

– Zaczynamy, panienki! – przypomniała pani docent.

O mało nie dygnąłem z wrażenia. Fartuch miałem w sam raz. Maxi.

A operacja leciała na tchawicy. Nie był to już duperel w rodzaju wycinania migdałów czy prostowania przegrody. Pani docent, jak na razie, nie odważyła się zlecać operacji tchawicy swoim asystentom. Stałem i patrzyłem. Ruchy operatorki były dokładne, dobrze wyważone i pewne. Nie cmokała niecierpliwie, kiedy krew sączyła się na pole operacyjne, tylko spokojnym głosem polecała wysuszyć i jechała dalej. Sawicka przestępowała z nogi na nogę, a sześćdziesięcioletnia operatorka nawet się nie spociła. Była to artystyczna robota. Sawicka nigdy do takiej formy nie dojdzie. Powinna zostać najwyżej salową. Chociażby ze względu na maniery.

U nas salową była Józia. Chuda jak kabanos i nieprzystępna jak nastroszony jeż, pałętała się po kątach z uniesioną głową i wybrzydzała na cały świat.

– Niech państwo nie przychodzi na korytarz w zabłoconych butach! – strofowała zawsze pacjentów. – Na drugi raz państwo nie będzie wpuszczone do środka. Jak pada deszcz, to trza se kapcie przynieść albo coś! – dopowiadała na zakończenie. – Człowiekowi należy się przecie jakiś odpoczynek.

„Człowiek” to Józia. Najchętniej odpoczywałaby od rana do wieczora. Na szczotkę patrzyła z taką nienawiścią, jakby ten niewinny przedmiot prowadził ją nieustannie na manowce. Mieszkała kawał drogi za miastem i żeby dostać się do szpitala, musiała wstawać o czwartej rano. Bo autobus był o piątej, a następny dopiero o dziesiątej. Przeklinała los i czasami w ogóle nie wracała na noc do domu.

– A co mi to da? – mówiła na cały głos. – I tak będę musiała wstawać w nocy, żeby przyjechać do roboty na ósmą.

Spała w zabiegowym i wtedy rzeczywiście wysypiała się porządnie. Jedzenie było jej niepotrzebne, żywiła się papierosami i herbatą. Czasem nawet zjadła obiad w stołówce i wtedy wystarczyło jej zapasów na tydzień.

Pielęgniarki nawet ją lubią. Tylko tych papierosów nie mogą jej darować, chociaż same palą jak smoki. Ale Józia to Józia. Co się zaciągnie, to zaraz zakaszle. Gdyby ktoś potrzebował konkretnego przykładu do obrzydzania palaczom tytoniu najlepsza byłaby Józia. Idealna antyreklama. Dym, smród i kaszlący świst. Jak prototyp maszyny parowej. Nie ma na nią siły.

Nawet pani docent omija ją z daleka. A Józi wszystko jest obojętne.

– Oho! – powiedziała podobno głośno, kiedy pierwszy raz zobaczyła Mustafę. – Jaka czarna morda! To też doktór? A to dopiero! Powariowali w tym szpitalu. Niedługo przyjdzie jaki żółty albo zielony i też powiedzą, że doktór. Zgłupieć można od tego wszystkiego!

A Mustafa miał takie hobby, że przy każdej okazji musiał przekonywać ludzi o swojej doskonałości i wszechstronności. Zaraz też założył się o czekoladę z Józią, że szybciej sprzątnie gabinet zabiegowy niż ona gabinet lekarski. Więc się Józia zaperzyła i powiedziała, że po jej trupie! No i odbyły się zawody na oczach pani docent. Mustafa latał po zabiegowym jak nakręcony diabeł, wciskał się, w co tylko mógł, i robotę skończył w momencie, kiedy Józia była dopiero na półmetku.

Później też bywało tak, że co jakiś czas Mustafa zakładał się z Józią o coś nieprawdopodobnego i – stale wygrywał. Józia tylko znosiła czekolady i ciągle zastanawiała się, co by tu wreszcie wymyślić, żeby nie przegrać. Nad tym zastanawianiem się zlatywały jej ranki i wieczory, a fartu jak nie miała, tak nie ma nadal. Za to dziewczyny nabijały się z niej do oporu. Zresztą i ona nie pozostawała im dłużna.

– Krwiopijca! – stwierdził mój przyjaciel, kulturysta Dzidek, kiedy mu referowałem metody działania doktora Mustafy. – Takiemu powinno się przewlekać kółko przez nos i wiązać na łańcuchu. Kiedy już stoi cicho, to go deską do prasowania. Najlepiej trzy razy dziennie. A jeśli i to nie pomoże, to trzeba mu wbić kilka gwoździ w głowę i zawiesić na tych gwoździach tabliczkę z napisem: „Nie deptać trawników!” Cha! cha! cha!

Uśmiech Dzidka zawsze był wyjątkowo zaraźliwy, więc chociaż sensu tych „trawników” nie pojąłem, to jednak wybuchnąłem śmiechem, bo akurat nie było nic innego do roboty.

A którejś nocy przyśnił mi się wampir. Miał twarz Mustafy i muskulaturę Dzidka, który, bądź co bądź, zalicza się do najlepszych w swojej dziedzinie. Jak mnie ten wampir przycisnął, to od razu rozdarłem gębę i obudziłem się. Nade mną zawisła rozzłoszczona Karolina.

– No i czego tak drzesz się po nocy? – zapytała.

– Było słychać? – zagadnąłem przerażony.

– No chyba. Ty się od razu przyznaj, że wrzeszczałeś specjalnie, aby mnie przestraszyć.

– Co ci przyszło do głowy! Co ja takiego wrzeszczałem?

– Wrzeszczałeś: „Precz, wampirze!”

– Ja?

– Przecież nie ja.

– To ja też nie! – odparłem zdecydowanie.

– Jesteś bałwan! – krzyknęła.

– Może i jestem – mruknąłem pokornie – ale to nie moja wina, że gadałem przez sen. Możesz i ty sobie pogadać.

– Ale ty nie gadałeś, tylko ryczałeś!

– Hmm!… To przepraszam.

Odwróciła się tyłem już bez słowa. Co ją tak wnerwiło? Może przyśnił jej się jakiś atrakcyjny narzeczony, a ja ją w tym momencie brutalnie rozbudziłem?

Po kilku minutach zamknąłem oczy. Znowu zrobiło mi się błogo. Nagle…

– Pamiętaj, że jak będziesz mnie denerwował, to się do mamy wyprowadzę!

Od razu oprzytomniałem. Sprawa jest chyba poważna. Uśmiechnąłem się i pogłaskałem ją po brzuszku.

– Oho! Moja Karolina jest chyba w ciąży!

– Odczep się!

Co miałem robić? Zła żona, ciemna noc i diabelski sen – wszystko to musi rozwiać się jak

niedobra bajka. Trzeba tylko jeszcze raz zasnąć i obudzić się w innym nastroju. Mimo to taka eksplozja złości trochę mnie uraziła. Dotychczas nic podobnego się nie zdarzyło. Ciąża ciążą, ale charakterek jak gdyby trochę nabierał wyraźnej barwy. Jeżeli tak dalej pójdzie, to chyba nie zestarzejemy się razem. Mam jednak nadzieję, że wszystko będzie dobrze. W ogóle to jestem optymistą aż do przesady.

3

Brudnoszara chmura zawisła nad naszą dzielnicą już z samego rana. Nietrudno było zauważyć, że tego dnia ludzie wyglądali jak własne karykatury. Skwaszeni, skurczeni, nadęci i ponurzy. Brzydota zaczynała się na niebie, a kończyła na ziemi. Tfu! Najlepiej oczy zamknąć i na nic nie patrzeć, ale jakbym tak wlazł na kogo… Od razu wybuch! A na wrzaski nie miałbym już siły.

Wobec tego oczy zamknąłem dopiero wtedy, gdy dotarłem do przystanku. Stanąłem przy samym krawężniku i oddałem się szybko marzeniom, bo czułem już, że i mnie dopada meteorologiczna chandra. A z zamkniętymi oczami zawsze lepiej. O! Już widzę się na wybrzeżu afrykańskim. Siedzę pod palmą i dzięki temu nie opalam się ma raka. Kropelki wody morskiej chłodzą mi przyjemnie wysuszoną skórę… Co za radość żyć!

Cholera by to wzięła! Zaszumiało, zawarczało i bryznęło całym bajorem. Zdążyłem tylko oczy otworzyć, ale nie udało mi się odskoczyć do tyłu w porę. To polewaczka wzięła mnie na cel, bo byłem ustawiony zbyt blisko jezdni. Co za diabelski dzień! Ja tu egzotykę sobie przeżywam, a tamci wykonują plan polewań. Otóż to. Zaczęło padać w momencie, gdy polewaczka dojechała do rogu. W północnej części miasta musiało padać wcześniej, bo autobus, który wreszcie nadjechał, był już porządnie wymyty. Tłoczno zrobiło się od razu jak każdego dnia, ale na razie jakoś nikt nie rozpoczął dyskusji. Na plecach miałem biust numer pięć albo nawet sześć, a z przodu dochodził mnie powiew nie strawionej jeszcze kiełbasy. Uniosłem oczy. Nad głową dyszało mi w nos pokaźne monstrum. Dyszałoby może gdzieś wyżej, ale musiało pochylić czerep, bo dach był za nisko. No i znalazłem się na linii wyziewu.

Było trudno, ale wykonałem zwrot. Biust miałem teraz pod ramieniem, a kiełbasę za uchem. Za to na twarz sypnął się nowy aromat. Młody facet chciał widocznie rozruszać towarzystwo i zaczął od tego, że chuchnął prosto na mnie. Od razu się wydało, że nie był u dentysty pięć lat albo nawet jeszcze więcej. Aż mnie podniosło do góry. Zamrugałem powiekami i w miarę możliwości rozejrzałem się naokoło. Trudno było jednak zdecydować się – rzygać natychmiast czy dopiero po wyjściu z wozu. Skurczyłem się i szybko zrobiłem kolejny półobrót. Chyba zawadziłem kogoś łokciem, bo natychmiast usłyszałem uwagę:

– No i czego się pan pcha!

A ja nic. Na gadanie to już z pewnością nie mam ochoty. Za to odezwał się ktoś inny:

– Ja się pcham? – Chyba przyjął uwagę na siebie.

– A kto? – zaperzył się ten pierwszy.

– Wszyscy się pchają!

– Ja widzę tylko pana!

– Bo pan ślepy!

– A pan głupi!

Autobus zwolnił. Szkoda, bo ślepy musiał wysiąść. A mogła się nawiązać zupełnie przyzwoita dyskusja. A tu nic. Wysiadła połowa pasażerów i w zasadzie przepadły wszystkie powody do kłótni. Ludzie stoją i milczą. Koło mnie stoi taka pod trzydziestkę. Oczy szaroniebieskie, włosy tlenione, skóra… skóry nie widać. Puder tylko widać. Z pudru wystają krótkie włoski pokrywające ciało. Automatycznie skrzywiłem twarz. Dostrzegła to i zrobiła ruch, jakby chciała się odwrócić. W ostatniej jednak chwili zebrało jej się na odwagę i wyprostowała tułów aż do przesady. Pierś poszła daleko naprzód. Tylko że ja nie patrzyłem na pierś, ale ciągle na twarz. Zrobiła kilka mocnych, nerwowych grymasów. Od razu coś zaczęło się dziać. Puder przesypał się z miejsc wypukłych w miejsca wklęsłe. Kiepski był ten puder. I niedyskretny, o ile można tak o pudrze. Wylazły spod niego dziury. Niewielkie, takie jak po śrucie małokalibrowym.

Kiedyś może były nawet mniejsze, a może w ogóle ich nie było, ale puder wyrzeźbił wszystko jak trzeba.

Uśmiechnąłem się do panienki. Zacisnęła wargi. Uśmiechnąłem się po raz drugi. Strzeliła szybko wzrokiem na strony i wreszcie oddała uśmiech. Nieśmiało, ale jednak. Od razu zrobiły się rowki wokół kącików ust. Trochę się z tych kącików sypnęło. A gdyby tak pocałować ją? Phi! W szpitalu powiedzieliby, że młynarzowi do worka wlazłem. Nie, nie! Z tym całowaniem to ja tak dla hecy. Że niby ktoś inny, a nie zaraz ja. Jeśli chodzi o mnie, to ja właśnie wysiadam. Odwróciłem się jeszcze raz. Uśmiech za uśmiech. I już nowa rozpadlina. Puder zjechał z nosa. Ot co! Mumia powinna leżeć, a nie uśmiechać się do stojącego w autobusie.

Na oddział przyszedłem dziesięć minut po czasie.

– Spóźnił się pan! – zawołała oddziałowa.

– Sam wiem o tym – powiedziałem, zmieniając pantofle na drewniane trepy. Podniosłem oczy i spojrzałem uważnie. Ha! Też puder. Czy w pochmurne dni wszystkie baby muszą się pudrować?

Wszedł Mustafa. Odetchnąłem. Był bez pudru. To już coś!

– Cześć, Bartek! – powiedział w miarę ciepło.

– Uszanowanie dla doktora! – skłoniłem się uprzejmie. – Rzeźbimy dzisiaj?

– Co takiego? – nie pojął Mustafa. – Co robimy?

– Pytam się, czy operujemy.

– Oczywiście! Mamy trzy przegrody nosowe i punkcję zatok. Piętnaście minut i po krzyku!

Aż mnie skurczyło. W krzyk uwierzyłem od razu, natomiast w piętnaście minut nie bardzo. Chyba że będzie operował siekierą.

– Tylko doktor będzie robił? – zapytałem. – A doktórki?

– Polazły gdzieś – poinformował Mustafa. – Obchód robią. Jak dobrze pójdzie, to po tym obchodzie skoczą do sklepu po zakupy.

Widocznie niczyje zwyczaje nie są tu tajemnicą. Przy najbliższej okazji dowiem się chyba czegoś więcej, o Mustafie dla odmiany.

Idziemy na salę operacyjną. Ja, Mustafa i pielęgniarka Baśka. Będzie dziś robić za instrumentariuszkę. Mustafa cały czas pozostawał beztroski, Baśka miała tremę, a ja tylko wyobrażałem sobie, co się będzie za chwilę działo. Mustafa to pierwszy inkwizytor na laryngologii. Znany i podziwiany już od lat.

Przyprowadzono pacjentkę. Taką sobie kobietę w średnim wieku. Spojrzałem do karty choroby. Zatoki. W sam raz dla Mustafy. Gdyby miał świder elektryczny, to by wjechał w czaszkę od razu. Po kilkunastu takich seansach mógłbym się już sam przekwalifikować na niewrażliwego psychopatę. Mniejsza z tym! Trzeba zobaczyć, na co się tutaj zanosi.

Wydobyłem ampułkę ze środkiem znieczulającym i zacząłem piłować. Dla zasady.

– Co to jest? – zapytał Mustafa.

Podsunąłem mu ampułkę pod nos.

– Nie trzeba! – powiedział niecierpliwie.

Pokiwałem głową i obejrzałem się na pacjentkę. Była blada jak okienne ramy. Sława doktora Mustafy, mistrza dłuta i młotka, rozeszła się już szeroko po szpitalu.

Sięgnął po długą igłę i zdecydowanym ruchem zagłębił ją kobiecie w nos. Spocone ręce pacjentki ścisnęły mocno poręcz rozkładanego fotela. Po jej twarzy przebiegł skurcz wywołany piorunującym bólem. Stoję na tyle blisko, że jestem w stanie wyczuć moment, w którym igła przebija ściankę zatoki. Odruchowo wstrzymuję oddech i wspinam się na palce. Kobieta zaczęła rzęzić. Pot płynie jej z okolic uszu. Mustafa czeka niecierpliwie. I w pewnym momencie uśmiecha się po swojemu. Wszystko w porządku. Płyn wypełniający zatokę zaczyna spływać do

strzykawki. Z technicznego punktu widzenia robota wykonywana jest dobrze. Jeżeli już miałby tutaj istnieć jakiś problem, to tylko ten, czy pacjentka umrze z bólu, czy nie umrze. Nie umiera. Zemdlała tylko i oburzony Mustafa podtrzymuje jej głowę. Gdyby nie podtrzymał, mogłaby złamać się igła. A to już nazywałoby się: „błąd techniczny".

Podstawiam amoniak pod nos. Kobieta trzeźwieje, mruga oczami, najpierw powoli i bez czucia, potem coraz szybciej, bo do powracającej świadomości obok orzeźwiającego zapachu dochodzi nowa porcja bólu.

– Zaraz będzie po wszystkim – mruczy do siebie Mustafa.

Płyn cieknie coraz wolniej, strzykawka wypełniła się niemal do końca.

– Odłączamy! – zakomenderował doktor. – Jakie ciśnienie?

– Osiemdziesiąt na pięćdziesiąt – poinformowała bezbarwnie Baśka.

– Podaj, Bartek, strychninę! – zdenerwował się Mustafa. – Bo nam baba zemrze!

Zrobiłem szybko zastrzyk. Odczekaliśmy dłuższą chwilę.

– Jak teraz?

– Dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt.

– No widzicie? I już po robocie!

Odzyskał dobry humor i popatrzył na zmaltretowaną kobietę.

– Warto było się tak bać? – zapytał niemal pogardliwie. – Przecież to była drobnostka!

Wyprostowałem się swobodnie i poczułem w tej samej chwili swędzenie między łopatkami. Sięgnąłem ręką do tyłu. Psiakrew! Cała koszula była mokra. Nie nadaję się chyba na asystenta doktora Mustafy. Gdyby tak zechciał się przekwalifikować… Mógłby na przykład zostać anatomopatologiem. Trupom nie zaszkodziłoby nawet wbijanie młotkiem śrubek w nieruchome głowy. Ale takie praktyki na żywych to normalny kryminał. Tak mi się przynajmniej wydaje. A może jestem za miękki? Na razie nie będę wyrażał głośno żadnych opinii. Po dwudziestu następnych operacjach podsumuję swoje wrażenia i dopiero wtedy powiem Mustafie, co o nim myślę. Hm! Powiem, albo i nie powiem. Jeszcze się okaże.

– Zjemy teraz śniadanie – zaproponował Mustafa. – Za pół godziny zrobimy przegrodę.

W jego ustach zabrzmiało to mniej więcej tak, jakby praktykował u stolarza i za trzydzieści minut czekała go robota przy konstruowaniu przegrody w klatce dla królików.

A w zabiegowym właśnie mnie oczekiwano.

– Telefon do pana – powiedziała oddziałowa.

– To ja – usłyszałem w słuchawce głos mojej żony. – Cieszysz się, że dzwonię?

– Bardzo się cieszę – odparłem szczerze, patrząc w zaciekawioną twarz oddziałowej. – Co u ciebie?

– Mama cię pozdrawia!

– Bardzo dziękuję. Pozdrów szanowną mamę również ode mnie.

– Będziesz miał okazję zrobić to sam! – zawołała uszczęśliwiona. – Właśnie mama wybiera się do nas na kilka dni!

– To świetnie – powiedziałem ochrypłym głosem. – Trzeba będzie przygotować jakieś bilety do kina albo do teatru.

– Koniecznie! Zrobisz to dla mnie, prawda?

– Z przyjemnością, mój skarbie!

– W takim razie ściskam cię i już kończę. Kochasz mnie?

– Oczywiście, że tak.

– Powiedz wyraźnie – poprosiła.

– Bardzo cię kocham!

Oczy oddziałowej zrobiły się okrągłe jak rajskie jabłuszka. A Mustafa aż uniósł głowę.

– Kogo tak bardzo kochasz? – zapytał, kiedy położyłem słuchawkę.

– Moją żonę.

– Tak? Co to za jedna?

– Taka sobie. Lekarka. Dwa lata temu skończyła studia i teraz próbuje leczyć ludzi.

– Trudna sprawa – pokiwał głową Mustafa. Mustafa skończył studia piętnaście lat temu.

– Dlaczego trudna sprawa? – wtrąciła się oddziałowa. – Trochę praktyki i potem wszystko dobrze idzie. Prawda, panie Bartku?

– Prawda – odpowiedziałem, chociaż w duchu byłem przekonany, że w tym leczeniu byłem jeszcze o wiele lepszy od mojej żony. Lekarzem dyplomowanym wprawdzie nie jestem, ale mam za sobą kilkanaście lat praktyki w różnych szpitalach. Jakby trzeba było leczyć teściową, to najlepiej nadawałbym się właśnie ja!

4

Teściową powitaliśmy na dworcu autobusowym. Stała na niewielkim cypelku i już z daleka uśmiechała się do naszego samochodu.

– Och! Jak się cieszę, że was widzę! – zawołała. – Tyle już czasu nie byliście u mnie!

Miała rację. Akurat minął tydzień.

– Dobrze, że mama przyjechała – pozdrowiła ją Karolina.

– Pięknie wyglądasz, córuś! – zachwyciła się znowu.

– Mama też świetnie wygląda! – odcięła się córka.

– A Bartek jak ładnie wygląda! – piała dalej mama mojej żony.

Spuściłem skromnie głowę i spojrzałem na samochód. Niedobrze! Karoseria była nie domyta, samochód z pewnością nie wygląda pięknie, a zatem nie zasłuży sobie na komplement ze strony teściowej.

– Bardzo proszę – powiedziałem. – Siadajcie, pojedziemy do domu. Mama na pewno zmęczona podróżą, zrobimy herbatki i zaraz będzie dobrze.

Podróż trwała raptem czterdzieści minut, ale niech tam! Jeśli komuś potrzeba czegoś do szczęścia, to powinien wykorzystać każdą okazję. Troskliwy zięć nie trafia się z dnia na dzień.

Ruszyliśmy. Obie panie siedziały z tyłu i rozmawiały na tematy damskie. To znaczy – ile kosztowała ta bluzka, te buty, tamte majtki albo która żona uciekła od męża-łajdaka. Temat był dla nich na tyle pasjonujący, że mogłem spokojnie prowadzić wóz. Zastanawiałem się tylko, jak ja wytrzymam nieustający uśmiech teściowej w ciągu kilku dni. Może by tak dodatkowe dyżury sobie załatwić?

Poznałem ją dopiero kilka miesięcy temu. Karolina kazała mi kupić potężną wiązkę kwiatów, ogolić się jeszcze raz od nowa i – uśmiechać się już z daleka, bo mama lubi uśmiechniętych, sama też jest uśmiechnięta, a przecież niewykluczone, że akurat wygląda przez okno.

Wpakowałem się z tymi kwiatami i z tym uśmiechem na kobietę czterdziestokilkuletnią, przystrojoną w wyzywającą bluzkę i w przykrótką spódnicę. Uśmiechu było tego dnia od groma. Prawdę mówiąc, dobrze się wtedy czułem. Taka młoda mamusia wprowadzała atmosferę zabawy od początku do końca. Wobec tego chętnie ją później odwiedzałem. Pogadaliśmy, pośmialiśmy się, potem brałem Karolinę i jechaliśmy nad rzekę na pieszczoty. Karolina była od początku niesłychanie szczera wobec mnie, więc czasami opowiadała, jak to mama robi jej wykłady z seksu. A więc całować się można, przytulać też, ale jeżeli chodzi o te rzeczy, to czekaj, córuś, do nocy poślubnej. Wybuchaliśmy śmiechem, bo córuś miała przyjemność stracić cnotę już ze siedem lat temu. Kiwała jednak głową i dawała matce do zrozumienia, że jej przykazania bierze sobie poważnie do serca.

No i tak na tych uśmiechach zleciało nam do wesela. Kiedy zaproponowałem skromny wieczorek w towarzystwie kolegów i koleżanek, mama przestała się uśmiechać.

– Córuś! – zawołała ze zgorszeniem. – Nie wychodź za tego człowieka! On nie chce wesela, a to znaczy, że on chce mnie skompromitować przed ludźmi! Rany boskie!

Miałem wtedy bliskiego kumpla, Adolek mu było na imię.

– Stary, co ty robisz? – wystraszył się Adolek. – Znajdź sobie inną dziewczynę, zostaw tę wiochę, bo będziesz żałował! Skąd weźmiesz pieniędzy na wesele?

– Nie mam pieniędzy. Kupiłem niedawno mieszkanie i samochód. Mam prawie sto tysięcy złotych długu.

Adolek od razu się zdenerwował.

– Ty jesteś wariat! Może chcesz sprzedać samochód, żeby zorganizować wesele? Po czorta im wesele! Jak się dorobisz, to zorganizujesz imprezę dla teściowej.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziałem nieśmiało.

– Jeszcze coś?

– Tak. Karolina mówi, że powinienem jej kupić pierścionek zaręczynowy, bo w jej rodzinie taka tradycja.

– Ile taki pierścionek kosztuje?

– Z dziesięć tysięcy.

– A ty ile masz?

– Trzy stówy.

– O rety! – Adolek złapał się za głowę i poleciał na wódkę. Miał mnóstwo takich, co mu stawiali na każde zawołanie.

Ale teściowa postawiła na swoim. Wesele odbyło się w wynajętym pomieszczeniu straży pożarnej. Było kilkanaście skrzyń wódki, całe góry żarcia i rodzina z okolicznych wiosek. W sumie sześćdziesiąt osób. Ja sam odważyłem się poprosić tylko dwóch kumpli – Adolka i Dzidka. Po kilku godzinach okazało się, że wśród zaproszonych gości tylko oni dwaj byli trzeźwi.

– Ile kosztowała ta impreza? – zapytał Dzidek.

– Około siedemdziesięciu tysięcy.

– Cha! cha! cha! – roześmiał się Dzidek, bo lubił się śmiać jeszcze bardziej niż teściowa. – Zaczynasz to nowe życie z rozmachem! Ciekawe, kiedy zejdziesz na dziady?

– Jak mu teściowa każe ten dług zwrócić! – wykrzyknął Adolek.

Na razie nie kazała. Nad ranem wróciliśmy do domu. Należała się nam normalna noc poślubna. Teściowa nas uroczyście pobłogosławiła i poszliśmy do drugiego pokoju. Rozebraliśmy się, jak Bóg przykazał, wskoczyliśmy do pachnącego wyra i przytuliliśmy się mocno. Wesele wywietrzało mi już z głowy, było fajno.

Nagle… puk-puk!

– Przepraszam was – odezwało się coś za drzwiami. – Zapomniałam zabrać swojej piżamy.

Wypuściłem Karolinę z objęć, weszła teściowa. Otworzyła szafę i zaczęła szperać nerwowo, łypiąc przy tym spod oka na nas. A robiło się już jasno za oknami.

W końcu coś tam znalazła, zamruczała jakieś słowo przeproszenia i wyszła. Znowu przytuliłem swoją żonę i ogarnęło mnie takie podniecenie, że szybko wziąłem ją pod siebie. Oddawała się ciepło i z wdziękiem. Chyba czuliśmy się jak w niebie, o ile można tak powiedzieć bez sprawdzenia. Nagle…

– Jeszcze raz was przepraszam – zaburczało za drzwiami. – To nie ta piżama.

Weszła tak szybko, że ledwo zdążyliśmy oderwać się od siebie. Westchnąłem głęboko i wyprostowałem się na swojej części tapczanu. Mamusia mojej żony znowu zanurkowała w szafie, a ja poczułem, że mi ochota na miłość mija. Trzeba będzie jak najszybciej jechać na swoje śmiecie, gdzie nikt nie kontroluje poweselnych emocji.

Upłynęło niemal pięć minut. Teściowa wyszła, Karolina wzięła inicjatywę w swoje ręce.

– Nie denerwuj się! – wyszeptała. – Mama już taka jest. Boi się o mnie. Cały czas jej się wydaje, że właśnie tracę cnotę i chyba w jakiś sposób chce mi pomóc.

No dobrze. Pal diabli taką pomoc! Nie jestem wprawdzie stalowym świdrem, który trzeba tylko podłączyć do kontaktu, aby natychmiast zaczął funkcjonować, ale po kilku minutach znowu mnie wzięło i zwarliśmy się tak mocno, jak tylko było można.

I wtedy… Tak, to już było trzecie puk-puk. Tym razem w sprawie śniadania. Co życzymy sobie jutro na śniadanie?

– Masz jakieś tabletki? – zapytałem z lodowatym spokojem Karolinę.

– Jakie tabletki? – zawołała z poczuciem winy.

– Nasenne. Wszystko jedno jakie. Chcę wreszcie spokojnie zasnąć.

I tak skończyła się nasza noc poślubna w domu teściowej. Żona podobno jeszcze długo nie mogła zasnąć. Ale mnie to już nie obchodziło. Jeżeli nie mogła, to powinna iść popieścić się z mamusią.

A teraz jest zupełnie nieźle. Właśnie zajeżdżamy pod nasz wieżowiec.

– Nareszcie dojechaliśmy! – westchnęła teściowa. – Mam chęć na gorącą herbatę.

Lubiłem moją teściową. Wesoła była i bardzo towarzyska. A przede wszystkim lubiła dyskutować o wszystkim. Była więc specjalistką od polityki, medycyny, pedagogiki, kultury, sztuki, literatury, ekonomii i wielu jeszcze innych nauk. Sąsiedzi schodzili się u niej i słuchali z otwartymi ustami, co tam akurat teściowa wymyśliła. Nie, doktorem wszechnauk nie była! Miała maturę i mieszkała w mieście. Natomiast cała jej liczna rodzina skończyła oświatę na podstawówce i taplała się w wiejskim błotku.

– O Jezu! Jaka ty jesteś mądra, Lusieńko! – wolała od czasu do czasu najstarsza siostra teściowej, Balbina. – Ty powinnaś profesorką jaką być na uniwersytecie!

Lusieńka promieniała, a swoje poglądy rozrzucała po świecie coraz odważniej. Bawiło mnie to do tego stopnia, że początkowo nawet dokonałem kilkunastu prób wdania się w dyskusję z teściową. Nie było siły, żeby ją cokolwiek przekonało. Jeżeli już nie potrafiła obronić jakiejś kwestii w normalny sposób, to rąbnęła kilka zdań z użyciem wyrazów obcego pochodzenia, które do sensu całości pasowały tak jak kanarek do wielbłąda. Momentalnie podnosiłem ręce do góry i stwierdzałem z rezygnacją:

– Tak jest. Mama ma rację.

Kiedy to usłyszeli bracia, siostry i sąsiedzi, wtedy ich podziw wyrastał ponad dach czteropiętrowego domu, w którym teściowa mieszkała. No bo w ich mniemaniu ja byłem mądry, a jeśli razem ze swoją mądrością przyznawałem teściowej rację, to nie ulega już wątpliwości, że Lusieńka może pretendować do katedry.

– Do jakiej katedry? – burczał Adolek, gdy mu relacjonowałem aktualny stan mądrości u teściowej. Jej by się najwyżej przydało miejsce w zakrystii takiej katedry! Głowę popiołem posypać i prosić Boga o zdrowie, bo na rozum za późno! Przecie to debilizm salonowy!

Oczywiście Adolek upraszczał sprawę, bo teściowej rozumu nie można było odmówić. Chociażby dlatego, że tylu już ludzi uwierzyło w jej wszechstronność. Zresztą sprawą wielce pomocną był też jej talent aktorski. Rodzina i sąsiedzi byli dla niej zawsze publicznością. Im więcej narodu, tym wspanialsze wystąpienie.

Miała ci teściowa również męża. Ot, jak każda prawdziwa baba. Tyle że ten mąż od samego początku okazał się kompletnym kapciem. On również dał się wziąć na lep wezbranemu potokowi słów swojej żony, a że sam trochę się jąkał, więc tym bardziej ubóstwiał Lusieńkę. Inna sprawa, że życie miał nielekkie. Lubił sobie mianowicie czasem trochę wypić, a teściowa nie lubiła. Kiedy po pijanemu przychodził do domu, wtedy bywał zwykle zrugany aż do spodu, nierzadko publicznie, bo kiedy wycofywał się za drzwi, ona biegła za nim na klatkę schodową i wrzeszczała jeszcze głośniej. Ludzie jej współczuli, że ma męża-pijaka, a mąż wpadał w kompleksy i pił coraz więcej.

Ja sam już na początku znajomości miałem okazję wysłuchać relacji Lusieńki na temat jej Kazika. Tak mu było na imię. A zatem Kazik prezentował się ongiś dobrze, w ogóle nie pił i nawet nie palił. Potem się zbiesił i teraz jest do niczego. Nawet śpi w drugim pokoju, bo ona się go brzydzi. Jej Kazik ponoć śmierdzi i na dodatek chrapie. Taki mąż to żadna radocha, a teściowa bez radochy to jak grzyb bez deszczu. Małżonek był o pięć lat młodszy od teściowej, bo inaczej być nie mogło. Uważała się za różę nie do przekwitnięcia. Kiedyś nieopatrznie Kazik się wnerwił, nazwał ją starą babą, rupieciem i złomowiskiem trzaskających kości. Podobno na tym stracił, bo od tamtej pory właśnie dostał separację od łoża i spał za ścianą jak pies pokojowy. Któregoś dnia zwierzył mi się, że nawet dobrze mu oddzielnie, bo jego żona ma tak paskudne ciało, że już nie mógł wyrobić jako mąż. Czuł się, jakby spał z własną ciotką.

– Jeszcze by mnie kiedy o kazirodztwo posądzili! – kończył swoje refleksje z przerażeniem.

Moja Karolina nie była jego córką. Teściowa owdowiała dziesięć lat temu, smutno jej było samej i wtedy trafił się Kazik. Poznali się na plaży. Kazik miał maniery i brzuch. Zanim pojął, co się dzieje, już był żonaty. A zanim dobrze się w tym małżeństwie rozkręcił, już nosił epitety sadysty, gbura, kretyna i mordercy.

Dotychczas nie przyznał mi się, ile osób zamordował, ale myślę, że z czasem i to się wyda.

A na razie pijemy herbatę. Teściowa zachwycona jest urodą swojej córki.

– Jakaś ty piękna, Carla! – wołała raz po raz. – Powinieneś, Bartek, być mi wdzięczny za to, że cię obdarzyłam taką żoną!

Skłaniałem głowę z szacunkiem i zastanawiałem się, kiedy ona wreszcie zacznie normalnie nazywać swoją córkę. Co za „Carla”? Mogłaby przez analogię zwracać się do mnie per „Bartholomeo”. Na pewno ma za złe swojej rodzinie, że biorą ją za Lusieńkę, a nie za Luizę.

– Zapalimy, Carla? – wdzięczyła się uprzejmie.

– Bardzo proszę, mamo – zgodziła się córka.

Zapaliły. Dym wcisnął mi się do oczu, odsunąłem dyskretnie krzesło do tyłu. Jej siostry nie paliły. Zresztą wiejskim kobietom palić nie przystoi. Co innego Lusieńka. Lusieńka jest miastowa pani, a taka pani to dobrze wygląda z papierosem. Więc Lusieńka pali i dziwi się, że ja nie palę.

– Co z ciebie za chłop, Bartek! Nigdy nie paliłeś?

– Paliłem, ale już przestałem.

– Kiedy przestałeś?

– Jak ukończyłem czternaście lat.

Postawiła oczy w słup i przez chwilę nie wiedziała, czy to żart, czy obelga.

– A to dobre – powiedziała w końcu bez uśmiechu. – A kiedy zacząłeś?

– Jak miałem siedem.

– A to dobre – powtórzyła. – Ja bym nie protegowała takiego wczesnego palenia.

– Chciała mama powiedzieć: „nie aprobowała”?

Zaczerwieniła się nagle.

– Tak, tak! Właśnie tak myślałam. Nie aprobowałabym!

Karolina popatrzyła na mnie z wyrzutem. Głupio mi się zrobiło, ale przecież nie zdążyłem nawet pomyśleć, a już wyleciałem z jęzorem. To taki wyskok z podświadomości. Nura w lukę i hop! A potem niech się świadomość tłumaczy. Niełatwo być człowiekiem.

– To ja już pójdę – powiedziałem, spoglądając na zegarek.

– Dlaczego? – poderwała się Karolina.

– Mam dyżur. Dodatkowy – wyjaśniłem. – Wiesz, że potrzeba nam pieniędzy, bo długi jeszcze nie spłacone.

– Tak, tak, córuś – wtrąciła teściowa. – Za bogatego nie wyszłaś. Nie jest lekkie to wasze życie. Twój mąż musi na ciebie pracować.

Co jej chodziło po głowie? Hektary czy przemysłowa spółka akcyjna? Bo u mnie ino robota, małe mieszkanie i standardowy samochód. Gdzie ja w takiej ciasnocie upcham wszystkie ambicje naszej mamy? Może by Karolinę namówić, aby też brała dodatkowe dyżury? Albo nie. Jeszcze wyjdę na sadystę. Jak Kazik. Cholera wie, jak mu ten epitet przylgnął. Dzidek od razu powiedziałby, że Kazik zabrał się do drapania swojej żony po plecach, ale zapomniał przedtem obciąć sobie paznokcie.

Pojechałem do szpitala tak szybko, jak tylko mogłem. W portierni siedział starszy człowiek podobny trochę do drapieżnej ryby. Wysunięte szczęki i wystające kły. Tak w ogóle to był nawet sympatyczny. Dąbek się nazywał i nie trzeba specjalnie się wysilać, aby takie nazwisko zapamiętać. Dąbka znali wszyscy. Jedni nazywali go szczupakiem, inni rekinem, ale wiadomo było zawsze, że chodzi o Dąbka.

– Cześć, panie Dąbek! – pozdrowiłem go. – Co słychać?

– Nic, panie Bartek – odpowiedział stary. – A u pana?

– Teściowa przyjechała.

– O cholera! – przeraził się. – I przyszedł pan trochę odpocząć?

– Coś w tym rodzaju.

– To siadaj pan! Zaraz przyjdzie Janunio z transportu, pogramy w oczko. Masz pan jakieś pieniądze?

– Trochę się znajdzie.

– Dobrze. W takim razie pożyjemy. Ma pan szczęście w kartach?

– Jak czasem.

– O! – stary spojrzał mi przez ramię. – Jest Janunio.

Janunio mógł oddziaływać relaksowo na ludzi. Zawsze mile uśmiechnięty i zawsze z potarganymi włosami. Był kierowcą karetki, ale dlaczego nigdy się nie czesał, nikt nie zgadnie. Widocznie taki miał światopogląd.

– To jak, panie Janunio? – przygaił Dąbek. – Gramy?

– Możemy – zgodził się od razu Janunio. – Ale jeśli każą jechać, to od razu wysiadam.

– W porządku. Potem pan przyjedziesz i zaczniemy od nowa!

– Po ile gramy? – zapytałem.

– Normalnie. Po pięćdziesiąt groszy stawka.

– Nie za dużo? Można przegrać kupę forsy.

– Panie Bartek! – machnął ręką stary. – Fortuna kołem się toczy. Nie słyszałeś pan tego przysłowia? Raz pan swoje umoczy, drugi raz ja i wszystko się wyrówna. Zachowuj się pan jak na prawdziwego mężczyznę przystało!

Co miałem robić? Zachowałem się po męsku. Tej nocy wygrałem czterysta złotych. Trzysta umoczył Dąbek, a sto Janunio. Za dyżur dostałbym tylko trzysta. Postanowiłem, że dyżurów będę raczej unikał. Lepiej pograć w karty.

6

Tak na początku zimy nie lubię śniegu. Mógłbym zacząć właściwie od tego, że nie lubię samej zimy, ale przyrody nie przeskoczę. Jakoś ją przetrawię. W każdym razie śnieg zawsze mnie denerwował. Buty wciąż były mokre, a samochód ślizgał się w czasie jazdy. Do takiego stanu rzeczy przyzwyczajałem się zwykle przez dwa tygodnie. Potem było już możliwie. Czekało się wiosny i tyle. A moja Karolina czekała już na potomka. Sam nie wiem, jak to się stało, ale wyliczenia diabli wzięli i moja żona od razu spoważniała. Do porodu brakowało już tylko cztery miesiące. Trochę nie w porę był nam ten potomek, ale trudno. Nie zdążyliśmy dorobić się ani większego mieszkania, ani też większych pieniędzy. Adolek ustalił, że to normalne i że wszystkie małżeństwa zaczynają od dzieci, a na dorabianie się czegokolwiek jest czas dopiero wtedy, gdy te dzieci usamodzielnią się i wyruszą w świat. Optymistyczne przekonanie mojego przyjaciela podniosło mnie nawet na duchu, bo już dawno zaplanowałem sobie długie życie, tylko nie wiedziałem dotąd, co ja będę w trakcie tego długiego życia robił. Teraz wiem. Najpierw wychowam dziecko, wydam je za mąż lub ożenię, a potem zacznę się dorabiać. Długotrwała aktywność życiowa uchroni mnie przed wczesną sklerozą, z czego odniosę również korzyść, bo umrę jako człowiek sprawny umysłowo, a nie jako trzęsący się dziad. A zatem nie ma tego złego, co by na jeszcze gorsze nie wyszło. Życie jest piękne!

Mam taki zwyczaj, że o różnych porach dnia rozmyślam sobie na różne tematy. Kiedy więc rozmyślałem o sobie jako o dziadku przyszłości, była szósta po południu. Patrzyłem w ścianę, a moja żona przeglądała jakąś reklamówkę z opisem nowego leku. Nastrój był rodzinny, bo żadne z nas nic nie mówiło, każde było zajęte swoimi sprawami. Wreszcie podniosła głowę Karolina.

– Co tam widzisz? – zapytała.

– Gdzie?

– Na ścianie. Przecież patrzysz na ścianę.

– Ja nie patrzę na ścianę – sprostowałem. – Patrzę przez ścianę.

– Masz dobry wzrok!

– Racja.

– Więc co tam widzisz?

– Całą swoją przyszłość.

– Więc już w twojej przyszłości mnie nie ma?

– Jesteś, ale tu widzę tylko mały wycinek. Zupełnie się nie mieścisz w tym wycinku. Widzę elegancką trumnę, w tej trumnie leżę ja i czytam gazetę. Nie mogę tylko dojrzeć tytułu gazety…

– Czyś ty zwariował? – zaperzyła się od razu. – Co ty bredzisz?

– Nic nie mów! – zawołałem. – O! Teraz dobrze. Składam gazetę i uśmiecham się do jakiejś siwej pani. Tak! Już wiem! Ta siwa pani to ty! Obraz mi się poszerzył. Zaraz najdzie mi tu cała familia!

– Jesteś wariat! – krzyknęła i wyszła do łazienki.

No i cześć! Wszystko znikło. Te lekarki w ogóle nie mają wyobraźni.

– Mam chęć iść na dyskotekę! – zawołała przez drzwi.

– Przecież jesteś w ciąży. Hałas ci zaszkodzi, a samo skakanie też nie jest najlepszym lekarstwem w twojej sytuacji.

– Nie znasz się na tym – skwitowała wchodząc do pokoju. – Idziemy i koniec!

Jak idziemy, to idziemy. Jeżeli chodzi o mnie, to w ciąży nie jestem, skakać mogę, a nawet wynieść kogoś z parkietu też.

– No to idziemy – powiedziałem i podniosłem się z krzesła.

Patrzyła na mnie zdumiona.

– Tak od razu? Przecież muszę się przebrać!

– Aha. Wobec tego poczekam.

Otworzyła szafę i ze smutkiem obejrzała swoje suknie. Było ich tam kilkanaście sztuk.

– W co ja się ubiorę? – załkała.

Czyżby mole poszarpały jej ubrania? Aż podszedłem bliżej.

– Masz tu pół sklepu – zauważyłem rzeczowo.

– Ale nie mam nic od ciebie! – stwierdziła podniesionym głosem. – Wszystko kupiła mi mama!

– To prawda – zgodziłem się niechętnie. – Jak zarobię więcej, to oddam długi, a później zacznę kupować ci sukienki.

W ogóle mnie nie słuchała.

– Nie mam w czym iść na zabawę! – biadoliła. – Moje koleżanki mają wszystko, a ja nie mam nic!

– Trochę jednak masz… – spróbowałem jeszcze delikatnie.

– Nic nie mam! – wykrzyknęła. – Te sukienki wkładałam już na siebie setki razy!

Stałem i kiwałem głową. Raz w lewo, drugi raz w prawo. Ale od tego kiwania nic nie przybywało. Sukienki wisiały ciągle te same. W co by ją ubrać?

– Może jest coś, czego jeszcze nie miałaś na sobie? Zastanów się chwilę – poprosiłem z troską w głosie.

– Nic nie ma!

– To załóż moje spodnie – zaproponowałem rozbrajająco. – I koszulę w kratę. Będziesz przebrana za kowboja. No? Zły pomysł?

– Bardzo dobry! – burknęła i trzasnęła drzwiami od przedpokoju.

Wyleciała szyba i potłukła się na kawałki. Od razu pomyślałem, że takie kawałki na pewno są bardzo ostre, a moja Karolina często chodzi boso po dywanie, więc mogłaby pokaleczyć nogi. Poszedłem po szufelkę i szczotkę. Wyzbierałem tak dokładnie, jakby w dywanie siedziała jeszcze jedna, stara i dotychczas nie usunięta szyba w kawałkach.

A kiedy już sprzątnąłem, wyprostowałem się z dumą. Naprawdę zrobiłem kawał dobrej roboty. Kiedy tak stałem z szufelką w jednej ręce, a ze szczotką w drugiej, podeszła do mnie Karolina i objęła mnie mocno za szyję. Bardzo kochana jest ta moja żona. Jak już się dorobię, to kupię taki wielki kwadratowy kosz pełen szyb. Każdego wieczoru wyjmował będę z kosza jedną szybę dla Karoliny. Taka szyba lepiej robi na zdrowie niż tabletki uspokajające. I w ogóle na miłość dobrze wpływa. Tego wieczoru na przykład nie poszliśmy na dyskotekę, ale do łóżka. I to bez kolacji. Takie cuda odstawialiśmy w tym łóżku, jakich nawet w cyrku nie pokazują. Kiedy tak już później zastanowiłem się nad wszystkim, wyszło mi, że to chyba z głodu.

7

Akurat nie było nic do roboty. Ani Mustafa, ani żaden inny lekarz nie operowali nikogo. Wobec tego wszystkie pielęgniarki, łącznie ze mną, siedziały w małym pokoiku obok gabinetu zabiegowego i przygotowywały opatrunki z gazy. W tej chwili siedziała nas tam dziesiątka. Siedem dziewczyn zaciągało się nieustannie papierosami, a pozostałe trzy, w tym ja, łapało powietrze. Było tak duszno, że momentami nie widziałem już, co robię. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrwałbym przy życiu, gdyby nie nagłe wkroczenie oddziałowej.

– Ojej! – westchnęła i potrząsnęła głową. – Panie Bartku!

Wyszedłem i dokładnie zamknąłem za sobą drzwi. Jeszcze przez chwilę ruszałem ustami jak ryba wyjęta z wody.

– Co panu jest? – zawołała ze współczuciem i przysunęła się do mnie.

Właśnie się rozkasłałem. Głowę trzymałem nisko, mniej więcej na wysokości biustu oddziałowej. Nawet nie zauważyłem, jak ten biust zasłonił mi twarz, a ręce dziewczyny opiekuńczo podtrzymały moje ramiona. Kaszel ustał natychmiast i zrobiło się cicho. Serce oddziałowej biło coraz szybciej, a ciepło idące od jej ciała ogrzewało mnie od stóp do głów. Jakieś prądy biegły w moich trzewiach. Jeszcze chwila i zacznę się iskrzyć. Rety! Co ja robię? Przecież jestem żonaty, a tu najwyraźniej zanosi się na zdradę małżeńską.

Wyrwałem się z uścisku w momencie, kiedy poczułem usta dziewczyny na moim uchu. Ale z niej wariatka! Przecież w każdej chwili mogą się otworzyć drzwi. I to z obu stron.

Odskoczyłem energicznie do tyłu.

– Jak pani ma na imię? – zapytałem bezsensownie.

– Wanda. Przecież pan wie – odpowiedziała szeptem.

– Tak, wiem… – odrzekłem z roztargnieniem. – Co to ja miałem?

Rozejrzałem się bezradnie naokoło.

– Doktor Pszczółka prosi pana do siebie – zawiadomiła niechętnie.

– Po co?

– Nie wiem. Jak pan tam pójdzie, to się pan dowie!

A to złośnica! Ostatecznie mógłbym ją pocałować ze dwa razy dla świętego spokoju, ale kto mi zagwarantuje ten spokój później! A poza tym najlepiej lubię całować Karolinę. Jeżeli już zafundowałem sobie żonę, to niech mi przynajmniej na najbliższe piętnaście lat ta żona wystarczy. A potem zobaczymy.

Wszedłem do gabinetu doktor Pszczółki. Jej specjalność to psychiatria. Nie widywałem Pszczółki zbyt często, zresztą przychodziła tylko wtedy, gdy mieliśmy na oddziale pacjentów z rozpoznaniem psychotycznym. Przychodziła wtedy i zamęczała pacjentów jakimiś dziwnymi pytaniami, które rzekomo miały ich przygotować do zabiegu laryngologicznego. Zaskakująca jest ta Pszczółka. Ma lat pięćdziesiąt, a jej pomysły są tak zwariowane, jak sama specjalizacja, którą zdobyła przed laty. Kiedyś podobno przyszła do dziewczyn i wywołała kłótnię twierdząc, że ma lepszy biust niż one. Pielęgniarki najpierw nieśmiało, a później otwarcie kpiły sobie z niej. Akurat do gabinetu zabiegowego wdepnął Janunio. Drapał się w nie uczesaną głowę i ziewał.

– Pana biorę na świadka! – zawołała lekarka.

Błyskawicznie zdjęła bluzkę i błysnęła tak zgrabnym biustem, że dziewczyny długo nie potrafiły zamknąć ust z podziwu, a Janunio nawet gotów był się uczesać, tylko że grzebienia nigdy w życiu nie posiadał.

– Panie Bartek – powiedział później Dąbek – uważaj pan na taką kobietę, bo panu też może wykręcić jaki numer. Jeżeli zechce rozbierać się do naga przy panu, to dzwoń pan od razu na milicję.

– Na milicję? – powtórzyłem zdziwiony.

– No jasne. Bo później żona się dowie i będzie wszystko na pana. Panie Bartek! Pan nie wie wszystkiego. Doktór Pszczółka to jeszcze panienka!

No więc teraz nielekko mi było, kiedy pukałem do tej Pszczółki.

– Dobrze, że pan jest, panie Zadura – powitała mnie energicznie – bo potrzebne będzie pańskie silne ramię. Mam pacjenta, który jest trochę agresywny. Pójdzie pan ze mną?

– Proszę bardzo – odpowiedziałem. – Chętnie pani pomogę.

– To dobrze. Niech pan spocznie na chwilę. Ja tu tylko zakończę wpis do historii choroby.

Usiadłem i przyglądałem się Pszczółce spod oka. Wyglądała bardzo apetycznie. I wcale nie na swoje lata. Nawet zaryzykowałbym, że Pszczółka może się jeszcze podobać. Wydała mi się też zupełnie normalna i jakoś nie kojarzyłem jej z momentem, w którym zdecydowała się wystąpić z nagim biustem przed Januniem. Fantazjowały dziewczyny i tyle.

– Ojej! – zawołała nagle lekarka, przerywając pisanie. – Wie pan, co się stało?

– Słucham?

– Coś mi się zdaje, że źle wyliczyłam! Katastrofa!

– Może pomóc? – zaofiarowałem się uprzejmie, bo kobieta naprawdę sprawiła na mnie sympatyczne wrażenie. Liczyć umiem, więc mogę pomóc. Nawet po długopis sięgnąłem do kieszeni. Niech daje, co trzeba, to jej wyliczę.

– Ciotkę dostałam przed czasem! – wrzasnęła głośniej.

– Tak? – Tylko tyle zdołałem w tym momencie wykrztusić.

– Nie wierzy pan? Niech pan spojrzy!

No i pokazała. Faktycznie, dostała tę swoją ciotkę.

Moja żona rośnie w oczach. Teściowa przyjeżdża co drugi dzień i patrzy na mnie bykiem.

– Dlaczego nie rzucisz pracy i nie zaopiekujesz się Karoliną?

– Musimy przecież z czegoś żyć, a Karolina nie jest chora. Chodzi do pracy.

– Ale w każdej chwili może zachorować!

– Ciąża to nie choroba.

– Jesteś sadysta!

I na tym kończy się dyskusja. Karolina zupełnie się nie wtrąca. Wyczułem zresztą, że ona również chętnie przerwałaby pracę, chętnie widziałaby mnie cały czas przy sobie, ale gdyby się później okazało, że kasjer ze szpitala nie przynosi nam pieniędzy do domu, to mogłaby nawet przedwcześnie urodzić. Zresztą nie jest wcale źle. Udaje mi się wyskakiwać w czasie pracy do poradni, w której Karolina pracuje. Taka okazja trafia mi się dzięki Januniowi. Zawsze po mnie wpada, kiedy jego karetka przejeżdżać ma blisko poradni mojej żony.

Janunio da się lubić. Kiedyś w drodze do mnie napotkał panią docent. Spojrzała na niego krytycznie i zmarszczyła brwi.

– Dlaczego się pan nie ogolił?

– A bo warto? – zdziwił się Janunio. – I tak broda odrośnie!

Pani docent zupełnie to nie przekonało. Spróbowała z innej beczki.

– Niech się pan chociaż uczesze!

– Eeeee! – machnął ręką Janunio. – Też ma pani wymagania. Ja tu jestem za kierowcę, a nie za fryzjera.

Janunio ma utrwalony światopogląd i żaden docent w spódnicy nie jest w stanie go przekonać.

Kiedy mnie raz przywiózł do poradni, Karoliny już tam nie było. Byłem wystraszony, więc zawiózł mnie do domu. Zastałem tam już osiem osób. Wszyscy z rodziny teściowej. Nawet Kazik się pokazał. Nazwałem go Precelkiem, bo taki był podobny…

Wszyscy chcieli obejrzeć brzuch Karoliny. Teściowa nawet słuchawki założyła i przycisnęła je do brzucha córki. Cała reszta patrzyła z podziwem.

– No i co, ciociu? – zapytała najmłodsza z rodziny, Grażka, córka Zosi.

– W porządku – odpowiedziała ciocia, ale słuchawek nie odkładała. Zmieniała tylko wyraz twarzy na coraz poważniejszy. Jak gdyby w brzuchu córki obok potomka zainstalowana była jakaś wroga radiostacja.

– Będzie chłopak – zawyrokowała wreszcie.

– Niech mama nie uprzedza faktów – uśmiechnęła się Karolina.

– Bądź spokojna, ja wszystko wiem!

– Lusieńka naprawdę wszystko wie – poparła siostrę Balbina. – Już niejeden raz tak było.

– A ty, Bartek, co byś wolał: chłopaka czy dziewczynkę? – zainteresowała się Zosia.

Najbardziej wolałbym spokój w domu, ale jak go nie ma, to niech już będzie kanapka z wędliną.

– Bliźniaki! – odpowiedziałem głośno z kuchni. – Lubię bliźniaki.

– Ojej! – zachichotała Balbina. – Co on mówi!

Mężczyźni nie włączali się do rozmów. Usiedli, gdzie się dało, podczas gdy ja robiłem herbatę. Kiedy się robi herbatę, to nie trzeba odpowiadać na głupie pytania. Złapałem się już kilka razy na tym, że, owszem, byłem uprzejmy, ale mało towarzyski. Jakoś nie potrafię się zmienić. Może jestem nienormalny, ale ciągle wydaje mi się, że w pierwszym roku małżeństwa mógłbym mieć trochę więcej spokoju ze strony rodziny, niż go akurat mam. W zasadzie nie mam

nic przeciw teściowej, ale chętnie zobaczyłbym się z nią dopiero za trzy lata.

Ale czy jest ktokolwiek, kto potrafi zrozumieć moje zapotrzebowanie na spokój?

9

Najbardziej normalnym facetem w naszym województwie, a może nawet i w kraju jest Dzidek. Niektórzy mówią, że Dzidek to wariat, ale wariatów się zamyka, a Dzidka nikt nie chce zamknąć. Wprost przeciwnie, przed Dzidkiem otwierają się wszystkie drzwi, bo Dzidek umarłego potrafi rozruszać, bez niego ludzie umierają z nudów.

Zadzwonił do mnie w pewien wtorek o dziesiątej.

– Cześć, stary! – powiedział i zaraz się roześmiał.

Coś musiało być w tym wszystkim śmiesznego, bo i ja natychmiast się roześmiałem. Śmialiśmy się tak dobre trzy minuty, zanim wreszcie on odezwał się znowu.

– Ale ubaw! – zauważył. – No nie? – I znowu w ryk. – Wiesz? – zaczął po dobrej chwili. – Jedna prezesowa zaprosiła mnie na imieniny! Cha! cha! cha!

– To dobrze – zaryzykowałem. – Jak ma na imię?

– Jeszcze nie wiem. Adolek mi powiedział, że jestem mile widziany.

– Nie znasz jej?

– Nie. Ale Adolek ją zna.

– On też tam będzie?

– No chyba! Podobno ciebie też zaprosiła.

– Mnie? Przecież jej nie znam.

– No to co? Cha! cha! cha!

Znowu się trochę pośmialiśmy.

– Daleko to? – zapytałem przezornie.

– Samochodem trzeba. Ale jakoś dojedziemy.

– Sami?

– Z żonami! Cha! cha! cha! Może się nawet z tej okazji ożenię!

Już miałem kolkę od tego śmiechu. Trzeba wreszcie skończyć rozmowę, bo przepukliną grozi.

– Kiedy wyjazd? – zapytałem jeszcze.

– W sobotę po południu. Tylko nie zaśpij! Cha! cha! cha!

Karolina miała już duży brzuch, ale przyjęcia towarzyskie zawsze ją pociągały. Pojechaliśmy więc do wspomnianej prezesowej. Kobieta okazała się w miarę przystojną wdową, bezdzietną i wypatrującą towarzysza życia na najbliższe lata. Julia jej było na imię, a kształciła się w medycynie i nawet podstawowy stopień w specjalizacji internistycznej zdobyła.

Przyjechaliśmy jako ostatni. Adolek i Dzidek już tam byli od godziny. Pani Julia składała się z ogromnych okularów i ascetycznych kości policzkowych. Cała reszta ukryta była w długiej sukni imitującej tygrysią skórę.

– Mmm… – przeciągnął się Adolek. – Jak ja bym sobie ułożył życie obok tego kocura!

A pani Julia wiodła właśnie dyskurs na temat nałogu nikotynowego.

– Nie palę już czwarty dzień! – wołała entuzjastycznie.

– Co pani mówi? – zdziwił się uprzejmie Dzidek. I wytrzymuje pani?

– Oczywiście! Kto chce, ten może!

– Ja bym nie wytrzymał! – wykrzyknął Adolek i z ubóstwieniem spojrzał na Julię.

– Ja też – przyłączył się Dzidek.

– Tak? A jakie pan pali?

– Ja? – Dzidek pokręcił szybko głową. – Krezusy. Trzy paczki dziennie.

– Krezusy? To jakieś… – zastanowiła się gospodyni – amerykańskie?

– Greckie. Na licencji Hongkongu.

– Ciekawe! – Julia wciąż nie chwytała kpiny. – Ma pan przy sobie?

– Nie – Dzidek popatrzył na nią pobłażliwie. – Rzuciłem palenie! Dwie godziny temu. Cha! cha! cha!

Wszyscy śmiali się mniej więcej przez minutę. Wraz z Dzidkiem.

– Mnie najlepiej pali się po jedzeniu – powiedział taki jeden pan Franek, kiedy już ludzie wyśmiali się jak trzeba.

– Mnie też – odezwała się raptem moja żona.

– A pani, przepraszam, jakie pali? – zainteresował się pan Franek.

– Marlboro.

– Drogie.

Żona uśmiechnęła się skromnie.

– Przyzwyczajenie – powiedziała.

– Tak – przyznała pani Julia. – Najgorsze jest przyzwyczajenie. Ja zaczęłam, kiedy miałam dwadzieścia pięć lat.

– Fiu! fiu! – zagwizdał Dzidek. – Kiedy to było!

Pani Julia spojrzała na niego z przerażeniem. Inni też.

– Nie tak znowu dawno.

– Ho! ho! – zawołał uprzejmie Dzidek. – Nigdy bym nie przypuszczał! Cha! cha! cha!

Pani Julia chrząknęła i wyszła z pokoju.

– Coś ty narobił! – wyszeptał z wyrzutem Adolek. – Będę musiał teraz przepraszać!

– Obraziła się? – zapytał speszony Dzidek. – Ale numer!

– Pan tak zawsze? – zapytał z godnością pan Franek.

– Nie rozumiem – Dzidek podniósł brwi. – Czy zawsze? No jasne! Cha! cha! cha!

Znowu wszyscy się śmiali, ale jakoś bez entuzjazmu. Tym razem Dzidek stanowił element destrukcyjny przyjęcia. Albo mu ostatnio sztanga na głowę spadła, albo się w ciągu tygodnia zestarzał albo też jedzenie u pani Julii go nie nęci. Moja Karolina była zła. Czuła się nawet winna chociażby z tej racji, że Dzidek należał do kręgu jej znajomych.

Pan Franek popatrzył na zegarek.

– Ojejku! – zawołał. – Przecież już muszę uciekać!

I uciekł. Za nim uciekło jeszcze kilka osób.

– Ale heca! – stwierdził Dzidek, kiedy zostaliśmy już tylko we czwórkę. – Mieli zostać na cały wieczór, a tak szybko się ulotnili. Co za ludzie! Nadymili i poszli. Niechby chociaż i ten dym wzięli ze sobą! Albo te pety!

Dzidek miał dużo racji. Na szerokim stole poniewierały się pety, a podłogę zalegał popiół. Za to pani Julia uśmiechała się do Dzidka mniej więcej tak, jak śmieje się do tygrysa początkujący pogromca, kiedy mu przyszło spędzić noc w jednej klatce ze zwierzęciem.

Krytykować Dzidka nie sposób. Dzidek nawet na męża mógł się nadać.

10

Tym razem Dzidek zadzwonił o wpół do pierwszej. Akurat nasz Mustafa przeprowadzał operację przegrody nosowej, a ja mu pilnie asystowałem. Były wprawdzie inne, lepiej wyszkolone ode mnie asystentki, ale tym razem potrzebny byłem bardziej niż one. Trzymałem mianowicie pacjenta za nogi, bo zanosiło się na to, że facet oprzytomnieje zupełnie, dojrzy nad sobą spoconą twarz Mustafy, pomyśli, że jest już w piekle i że trzeba wiać, póki czas. To znaczy, póki tylko jeden diabeł dobiera się do niego.

Mustafa, jak zwykle, założył się z salową Józią, że wykona zabieg szybciej, niż robił to dotychczas, spróbował więc dla świętego spokoju uśpić pacjenta, ale pech wytrącił mu z rąk fiolkę evipanu, zanim lek wciągnięty został w całości do strzykawki. Mustafa stracił w ten sposób połowę płynu i trzeba było właściwie przygotować nową fiolkę, ale czas leciał. Wobec tego pacjent otrzymał to, co było, i zaraz zasnął, najwidoczniej ze strachu. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że może się obudzić w każdej chwili.

A tu Dzidek z tym telefonem. Może znowu pani Julia zaprasza nas na party?

Przyleciał Dąbek ze swoją szczupaczą gębą otwartą do granic możliwości i zawrzeszczał:

– Panie Bartek! Pilny telefon!

– Ciszej, panie Dąbek! – mruknąłem niechętnie. – Bo się pacjent obudzi!

– Ale tamten facet powiedział, że to sprawa życia i śmierci! – mamrotał półszeptem Dąbek. – Mówił, że tutaj nawet sekundy się liczą.

Mustafa podniósł głowę.

– Masz chorego w rodzinie? – zapytał nerwowo.

– Teściową. Od lat grozi, że umrze.

– Na co?

– Bo ja wiem? Paznokcie jej się kruszą.

– To leć, bo może faktycznie umarła! Niech Dąbek cię zastąpi, jeśli już tu jest!

Kiwnąłem na Dąbka.

– Trzymaj pan tego pacjenta. Tylko mocno, bo jak panu kopniaka przyładuje, to się pan w żadnym lustrze nie rozpozna!

W słuchawce siedział Dzidek.

– Cześć! – zawołał i natychmiast się roześmiał.

To ja też.

– Ale zima, no nie? – wygłosił sentencjonalnie. – W zasadzie już się kończy, ale jeszcze trwa.

– Tak – powiedziałem zgodnie. – Jeszcze trwa.

– A jak u was w kaloryferach?

– Palą.

– Dużo?

– Średnio.

– No właśnie! – westchnął ze współczuciem. – U nas też średnio. Węgiel sprzedali na lewo, to i nie ma teraz czym palić. Chłopaki marzną podczas treningu, można dostać skurczu mięśni, no nie?

– Aha.

Tam pacjent wierzga, a ja tu poetyckich refleksji o węglu wysłuchuję. A niech tam! Zobaczymy, co będzie dalej.

– Ty! – odezwał się po namyśle.

– No?

– Miczurina znasz?

– Osobiście nie, ale ze słyszenia…

– Wystarczy – stwierdził z aprobatą. – To powiedz, co wyszło, jak Miczurin skrzyżował węgiel z kotem.

– A nie wiem.

– Miał!!!

O cholera! Ale dał ognia. Aż przysunąłem się do okna.

– No i jak? – zapytał po chwili niespokojnie.

– Bomba – wysapałem. – Przebój miesiąca.

– No widzisz! – zawołał Dzidek i natychmiast zarechotał przeciągle.

Właściwie to na rechotaniu skończyła się cala rozmowa. Gdy przyszedłem do sali operacyjnej, Mustafa akurat mył ręce, a pacjent cicho jęczał.

– A to drań! – mruczała Józia w przejściu do sali. – Znowu wygrał! Cała nadzieja w pacjencie. Jak umrze, to zakład się nie liczy!

– Co tam znowu Józia mruczy? – nadstawił ucha Mustafa.

– A nic! – burknęła kobieta. – Wygrał doktór? To niech się doktór zajmie swoimi sprawami. Czekoladę przyniosę jutro.

Mustafa zaczął pogwizdywać wesoło, w pewnym momencie spojrzał na mnie.

– Co tam się stało? Umarł ktoś?

– Tak. Miczurin – odparłem ze smutkiem.

– To twój teść?

– Nie, znajomy.

– Szkoda go, ale takie jest życie.

Mustafa w zasadzie nie lubił, jak ludzie umierali.

Weszła Krysia.

– Doktorze, co zrobimy z tym pacjentem?

– Ja nie wiem – pokręcił głową Mustafa. – Ja zrobiłem operację, teraz wy coś zróbcie.

– Ale on ledwo żyje!

– To trzeba dać zastrzyk.

– Jaki?

– Nie wiesz? U nas w Maroku pielęgniarki wiedzą tyle, co lekarze. I nigdy się nie pytają. Lekarz może spać w gabinecie, a pielęgniarki wszystko robią.

Krysia aż się zaczerwieniła.

– Co? Jeszcze za doktora mam pracować? Tu nie Maroko! Jeśli doktorowi było tam tak dobrze, to trzeba było zostać! Bartek! – zwróciła się do mnie. – Daj pacjentowi zastrzyk, bo ja się zdenerwowałam. Jeszcze igłę złamię.

– Mnie się tu jedna panienka spodobała i zostałem – uśmiechnął się zadowolony Mustafa. – A ona nie chciała jechać ze mną do Afryki. Tam teraz dobrze.

– O! Jeszcze jak dobrze! – zawołała znowu Krysia, zmieniając pacjentowi opatrunek. – Tyranie od świtu do nocy i rozkładanie nóżek na każde życzenie pana i władcy!

– Brzydko mówisz – zgorszył się nagle Mustafa i poszedł do swojego pokoju. Na pacjenta nawet nie spojrzał.

– Już ja wiem swoje! – nie ustępowała Krysia. – Cztery żony, miękkie wyro i kupa żarcia!

Ale Mustafa był już za drzwiami.

– Pani docent widziała kiedy jego operacje? – zapytałem.

– Niejeden raz. Ale wtedy Mustafa robi wszystko, jak trzeba. Mimo to już i do niej dotarła fama o rekordach na sali operacyjnej. Ostatnio nawet przestała mu się odkłaniać.

– Mustafa nie jest taki zły – powiedziałem trochę niepewnie. – Co? Jak myślisz? Nikt jeszcze u niego nie umarł?

– Nie. Ale zawsze niewiele do tego brakuje. Najgorsze, że słabo znieczula. Sam zresztą o tym wiesz. A on tłumaczy, że później nie będzie bolało i szybciej się wygoi. Zboczeniec i tyle! Jedna tylko sprawa przemawia na jego korzyść.

– Jaka?

– Robi operacje pięć razy szybciej niż pani docent.

– To już coś!

12

Urodził się chłopaczek. Matka Karoliny wywróżyła trafnie. W zasadzie jako mąż wypadłem blado. Co przybiegłem na porodówkę, to teściowa już tam była. Zacząłem nawet podejrzewać, że nocuje gdzieś w kotłowni. Chciałem dać żonie do zrozumienia, że cały czas jestem myślami przy niej i że bardzo ją kocham. Wszystko na nic. Po kilku dniach gotów byłem już uwierzyć, że ojcem mojego synka jest teściowa. Przestałem w ogóle przychodzić do szpitala.

Zresztą już wkrótce spotkaliśmy się we czwórkę w domu. Teściowa była purpurowa z dumy.

– Zobacz, jaki chłop! – powiedziała, kiedy pocałowałem żonę. – Już mamy nawet imię dla niego.

– Tak? A jakie?

– Będzie się nazywał Karol.

– Dlaczego akurat Karol?

– Bo można wołać Karo albo Karin.

– Karin to imię żeńskie, mamo – uprzedziłem oględnie.

– Więc Karo.

– Karo to dla odmiany kolor w kartach.

– Nazywajcie go sobie, jak chcecie! – zaperzyła się nagle. – Ja tu wszystko za ciebie robię, a tobie nie podoba się nawet imię. Wyjeżdżam i już nigdy w życiu do was nie przyjadę!

O rety! Karolina z przerażeniem spoglądała na matkę. Koniec świata! Mama już nigdy w życiu…!

– Przeproś mamę! – szepnęła.

– Za co?

– Wszystko jedno, ale przeproś!

No dobrze. Niech stracę jeszcze raz. Teściowa już pakowała torbę.

– Bardzo mamę przepraszam – powiedziałem pojednawczo. – Niech już będzie ten Karol. To nawet bardzo ładne imię.

Uśmiechnęła się udobruchana.

– No, widzisz. Ja zawsze wszystko robię; aby tylko wam było dobrze. Ale teraz już muszę iść, bo Kazik zapomni, jak wygląda jego żona. Zostawiłam wam cały stos pieluch, macie robotę na najbliższe dwa lata.

Uff! Gdyby tylko te dwa lata przeszły spokojnie! Przyglądałem się dziecku. Malutkie było i do nikogo nie podobne. Spało. Wyglądało śmiesznie i pokracznie. Taki… Kracuś. Ale w papierach będzie figurował jako Karol. Czyżby to od Karoliny?

Specjalnie dużo czasu na myślenie nie miałem. W łazience leżała już sterta pieluch czekających na pranie. Wziąłem się do roboty tak szybko, że nawet nie zdążyłem teściowej pocałować w rękę na pożegnanie.

– Mama bardzo nam sprzyja – powiedziała później Karolina.

– Wiem, ale przecież damy sobie radę sami. Po co mamie sprawiać kłopot?

– Nie wiadomo, czy damy sobie radę. Co ja będę tu robić z dzieckiem, kiedy ty pójdziesz do pracy?

– Będziesz je karmić – odparłem po prostu.

– A później?

– Później przyjdę z pracy i cię zastąpię.

Zastanowiła się przez chwilę.

– No dobrze. A kochasz mnie?

– Oczywiście, że cię kocham.

– Więc dlaczego do tej pory mi tego nie mówiłeś?

– Bo mama była.

– A przy niej nie możesz?

– Intymne sprawy załatwia się we dwójkę.

– Mama bardzo by się ucieszyła – rzekła Karolina z przekonaniem.

– Przecież ona wie, że cię kocham.

– Właśnie, że nie. Ona myśli, że ty mnie już nie kochasz.

– Dlaczego tak myśli?

– Bo nic jej o tym nie mówiłeś. Podobno ani razu nawet.

– To jej mam mówić czy tobie?

– Jej też, niech wie.

Poczułem lekkie zdenerwowanie. Babska logika zupełnie mi nie pasowała.

– Przecież ożeniłem się z tobą, a nie z mamą i sprawy miłości powinny dotyczyć tylko nas.

– Tak – rzekła niecierpliwie Karolina – ale co ci szkodzi powiedzieć mamie od czasu do czasu, że mnie kochasz!

– Mam lepszy pomysł.

– Jaki? – ucieszyła się.

– Zrobię tekturową tabliczkę i napiszę na niej „Kocham Karolinę – mąż". Powieszę na ścianie i mama będzie mogła przeczytać, kiedy tylko zechce. No, powiedz, zły pomysł? Przed domem stoi kilka tabliczek z napisem „Nie deptać trawników" i nikt nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że nie wolno deptać.

Dowcip się nie przyjął. Karolina naprawdę spoważniała.

12

Powiadają niektórzy, że dziecko łączy małżonków, a nawet, że miłość małżeńska rozpoczyna się od nowa. Mnie się wydaje, że ci, którzy tak twierdzą, nigdy nie mieli dzieci. U nas wszystko zaczęło się psuć. Karolina przestała pracować, ogarniało ją coraz większe znudzenie nową rolą. Ja pracowałem oczywiście nadal, ale przecież musiałem oddawać z pensji trochę pieniędzy na spłatę długów. Paradoks polegał więc na tym, że w okresie, kiedy forsy potrzebowało się więcej było jej mniej. Poza tym Karolina zrobiła się nerwowa. Zazdrościła mi na przykład, że ja sobie pracuję, a ona musi siedzieć w domu. Robiłem, co mogłem, by ją rozerwać, wyjeżdżałem z nią w soboty i w niedziele nad rzekę, ale wszystkiego było jej mało. Najchętniej oddałaby dziecko swojej matce na wychowanie, ale teściowa nie wystąpiła wobec niej z taką propozycją.

Za to rozmowy pomiędzy nami nabierały coraz bardziej dziwnego akcentu.

Wczoraj wieczorem odczekaliśmy na przykład, aż Kracuś uśnie, potem ja zabrałem się do prania pieluch, a żona do robienia kolacji. W trakcie tej kolacji żonie przyszło do głowy, że Kracuś zostanie artystą.

– Jakim? – zapytałem, bo artystów są różne gatunki.

– Będzie tancerzem.

– Kim?

– Tancerzem. Masz coś przeciw temu?

– No chyba. Tancerze to pedały.

– Jakie pedały?

– Zwyczajne – wzruszyłem ramionami. – Nierdzewne.

– Nieprawda! Znałam jednego tancerza z operetki. Chciał się ze mną ożenić.

– A ja znałem dwóch z zespołu estradowego. O mało mnie nie wypedałowali.

– Dobrze by ci zrobili! – wyraziła śmiałe przypuszczenie.

Parsknąłem gniewnie. Komu innemu może dobrze, ale mnie to na pewno nie. Popatrzyłem na malca, bo akurat obudził się.

– Ty mały pedale! – zawołałem z czułością.

– Ge! ge! ge! – odpowiedział wesoło.

Nic z tego nie zrozumiałem. Kiedy wreszcie zacznie gadać po ludzku? Co to za „ge-ge”? Może teściowa tak go nauczyła, podczas gdy ja jestem w pracy? Chce mieć swojego człowieka w mojej rodzinie. Niedoczekanie! Nawet jak wyjadę na wczasy, to zabiorę Kracusia ze sobą. Najpierw nauczę go porządnie mówić, a dopiero potem oddam go teściowej w dzierżawę. Ktoś przecież musi mi donosić, co ona tam knuje przeciwko mnie.

13

Ostatnio trafiła mi się kilka razy niezła fucha. Adolek mianowicie przybiegł z wiadomością, że na dworcu towarowym potrzebują ludzi do wyładowywania worków z pszenicą. Płacą dobrze i od razu po robocie. Wobec tego przyjechałem po swoim dyżurze do domu i zawiadomiłem żonę, że jest okazja zarobić coś ekstra. Nawet się ucieszyła.

– A kiedy wrócisz? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. Kiedy już nie będę mógł ruszyć ręką ani nogą, to przestanę te wory dźwigać. Pracuję więc do oporu.

– Dobrze – zgodziła się. – W takim razie ja wypiorę pieluchy przez ten czas. Kochasz mnie?

– Kocham cię – oznajmiłem i wyszedłem z domu.

Robota trwała do czwartej rano. Jak już się w domu wykąpałem, była piąta. Na spanie zostało mi dwie godziny, bo o siódmej musiałem przecież wstać. Ale forsy zarobiłem rzeczywiście sporo.

Około południa zadzwoniła na oddział Karolina.

– Co ty sobie myślisz? – zaczęła. – Ja zajmuję się dzieckiem, a ty wychodzisz na całe noce!

– Pracowałem – wyjaśniłem krótko.

– Nie musisz mnie oszukiwać! Na dziwki chodzisz!

– Naprawdę pracowałem.

– W nocy?

– W dzień mam przecież inną pracę.

– I co masz za tę pracę?

– Pieniądze.

– Dużo?

– Sporo.

– No dobrze! – westchnęła. – Kochasz mnie?

– Kocham.

Powoli zacząłem zapominać, co to słowo oznacza. Ważne, by je powtarzać na zawołanie, bo od tego zależy spokój mojej żony. Zresztą ja naprawdę cały czas ją kochałem, gdybym nie musiał powtarzać tego słowa przy każdej okazji, to i miałoby ono więcej sensu dla mnie.

– Obrączki nie zapomniałeś? – zapytała jeszcze.

– Ależ skąd! Zawsze ją noszę.

Straszna była ta obrączka. Wielka i niezgrabna. Od biedy mogłaby zastąpić kastet. Ale jedno było w niej ważne. Rzucała się w oczy. A teściowa ciągle klarowała Karolinie, że nie można wierzyć chłopom. Chłop tylko na łańcuchu jest dobry. Ta obrączka miała zastępować mi łańcuch. Błyszczała na odległość przystanku tramwajowego. Jeżeli już którąkolwiek dziewczynę przyciągała, to najwyżej oddziałową. Chyba jej wpadłem w oko, bo złoty krążek zupełnie jej nie raził. A ja ciągle byłem cnotliwy aż do przesady.

– Pan to chyba w ogóle nie czuje pociągu do kobiet! – przygadała mi któregoś dnia.

– Niestety, to prawda – kiwnąłem głową. – Jestem tak zapracowany, że zupełnie ich nie dostrzegam.

– Takie życie jest nic nie warte! – wykrzyknęła z naganą w głosie.

– A jednak myli się pani – uciąłem dyskusję. – Życie jest piękne!

14

Dni biegły coraz szybciej. Kracuś zrobił się okrągły i coraz więcej jadł. Starałem się też w miarę możliwości ułatwiać życie Karolinie. Zostawałem popołudniami w domu, aby tylko ona mogła sobie wyjść na miasto po zakupy albo do kina. W zasadzie mojej żonie najbardziej podobało się robienie zakupów. Nie ma takiej rzeczy, której by nie mogła kupić. Kupiłaby nawet słonia, gdyby tylko ktoś go sprzedawał i gdyby forsy wystarczyło.

Dzisiaj kupiła garnek na frytki.

– Sprawiłam ci dużą niespodziankę – powiedziała zadowolona, kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi. – Zgadnij, co?

– Nowe opony do samochodu! – wykrzyknąłem z nadzieją.

– Nie. Przestań już mówić o samochodzie. Co innego kupiłam.

– Konfitury z wiśni!

Był to mój największy przysmak.

– Też nie – zniecierpliwiła się i postawiła torbę na stół. – Kupiłam ci garnek na frytki.

– A… aha – pokiwałem głową ostrożnie.

I faktycznie był to garnek.

– Kupiłam go tylko z myślą o tobie – zastrzegła się natychmiast. – Drogi.

– Tak? – zapytałem ostrożnie. – Ile?

– Czterysta.

Nauczyłem się już wzdychać w miarę dyskretnie. Tylko że jeszcze słabo miałem wyćwiczony uśmiech na zawołanie. Moja żona kupiła ostatnio szósty zestaw kieliszków, z których nikt nie pije, piąty zestaw talerzy upchanych w najciemniejszy kąt szafki, dwanaście pokrywek, które wciąż spadają na głowy nie wiadomo skąd i teraz ten garnek.

Na szczęście akurat szykowałem się do wyjścia.

– Znowu wychodzisz? – zawołała z żalem. – Nigdy cię nie ma w domu!

– Niestety, muszę popracować – wyrzekłem osowiały. – Wiesz, moja pensja jest cholernie cienka. Znowu nie wystarczy nam do pierwszego. I jeszcze benzynę trzeba kupić.

– Jak to? Przecież niedawno kupowałeś!

– Tak, ale samochód cały czas jeździł.

– Beznadziejny ten samochód! Ciągle mu trzeba benzyny!

Pokiwałem głową i wyszedłem. Cholera! Poczułem się jak zbity pies. Od miesiąca nie byłem w kinie, od czterech miesięcy nie byłem w teatrze. Bo muszę do pensji dorobić. Na taki garnek zasuwam dwa dni. Po diabła garnek? Kto będzie w nim tyle frytek smażył? Czy warto się tak męczyć dla jakiegoś garnka? Teraz powinienem iść na wódkę. Trochę pieniędzy jeszcze mam. Na pół litra wystarczy. Cztery razy mniejszy koszt niż tego garnka. Jak długo jeszcze będę tyrał wieczorami na garnki? Już mi się wszystkiego odechciało. Spodnie mam zachlapane i brudne, buty nie oczyszczone, czapka zakurzona… Kiedy to się skończy?

Wsadziłem rękę do kieszeni. Jedna tabletka relanium jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Żebym tylko gdzieś pod samochód nie wpadł! Zresztą za kilka minut będzie mi wszystko jedno. Co za błogość! Żona i garnek stopniowo odchodzą na dalszy plan. Na pierwszym planie jest Kracuś. Kracusia bardzo kocham, dla Kracusia pójdę teraz na stację i będę pracował. Bo Kracuś musi mieć nowe buty. Pierwsze buty w życiu. A jeżeli chodzi o Karolinę, to jeszcze się zastanowię. Niewykluczone, że któregoś dnia włożę ją do garnka, upiekę i zjem z frytkami. Potem pójdę na radziecki film, żeby zregenerować swój pesymistyczny stosunek do życia.

Coraz mniej czasu mam ostatnio na spotkania towarzyskie. Adolka nie widziałem już od trzech miesięcy, Dzidek czasem dzwoni, ale jakoś nie śmiejemy się tak jak dawniej, Fredek

kiedyś wpadł na chwilę, zobaczył stertę pieluch, powiedział, że się spieszy, i poszedł. A Mikołaj, który mieszka daleko stąd, to najwyżej karty z pozdrowieniami przysyła. Byliśmy kiedyś z Karoliną u niego, ale na krótko.

Życie upływa mi w zasadzie między szpitalem a domowym żłobkiem. Czasem trafia się wyładunek na kolei, dzięki czemu spłacam stopniowo dług. Dług zmniejsza się wprawdzie z miesiąca na miesiąc, ale ciągle jest i długo jeszcze będzie. Co tu kryć? Start życiowy mieliśmy taki, że już gorszego chyba być nie mogło. Proponowałem kiedyś sprzedać obrączki. Ciężkie, więc byłoby sporo grosza. Mowy nie ma! Karolina natychmiast się obraziła. Te obrączki kupiła przecież mama. A jeżeli mama, to nie ma o czym gadać. Podwójną wartość mają takie obrączki. Tyle że nikt z tej wartości nie korzysta. Drogie rzeczy powinni mieć tylko ludzie, których na to stać. Ja bym wszystkie świecidełka wymieniał na rzeczy, które są mi akurat potrzebne. Chociażby na nowe opony do samochodu. Ale Karolina lubi świecidełka i nie ma żadnej rady na to lubienie.

A Kracusiowi ciągle wymyśla nowy fach.

– Karolek będzie jubilerem – oświadczyła ostatnio.

– Dlaczego akurat jubilerem?

– Bo to ciekawa praca. Ciągle ma się do czynienia ze złotem.

– Do patrzenia, a nie do czynienia. To zawód dla inwalidy.

– A ty co byś dla niego wymyślił?

– Powinien zostać złodziejem.

– Coś podobnego! Chyba żartujesz?

– Wcale nie. Złodziej to dopiero „ma do czynienia” ze złotem!

– Chciałbyś, żeby twój syn został złodziejem?

– Dlaczego nie? Byleby tylko nie dał się złapać!

– Ale mąż mi się trafił! – wykrzyknęła zgorszona. – Gangster!

Potraktowała mój wywód poważnie. Taka jest ta moja Karolina. Już wspomniałem, że spoważniała.

15

O co się ludzie kłócą? Najczęściej o nic. Mikołaj, jeden z moich przyjaciół, pokłócił się raz z żoną o robaka. Normalny robak łaził po podłodze i trzeba było go z tej podłogi zabrać. Obydwoje leżeli akurat na tapczanie.

– Tu idzie jakiś robak – powiedziała żona mojego przyjaciela.

– Jaki robak? To złap go i po krzyku! – podsumował sprawę Mikołaj.

– A ty nie możesz?

– Ja go nawet nie widzę. Ty jesteś bliżej.

– Ale ja się boję!

– Czego?

– Jak to czego? Robaka!

– To niech sobie idzie.

– Co? A jeśli mnie ugryzie? Zawsze myślisz tylko o sobie!

– W tej chwili myślałem o robaku, a nie o sobie.

– Myślałeś! – zawołała żona. – I co? Boisz się go, ty tchórzu!

– Ja jestem tchórz?

– Śmierdzący!

– Histeryczka!

– Bałwan! Robaka się boi!

– Wariatko! Przestań wreszcie wrzeszczeć!

– To ty wrzeszczysz, łobuzie! O, Boże! Za co mnie los tak ciężko pokarał! Że też musiałam wyjść za takiego tchórza i łajdaka!

– A żeby cię szlag trafił! – wysyczał w końcu przyjaciel Mikołaj, podniósł się z tapczanu i obejrzał dokładnie podłogę. – Gdzie ten robak?

– A co mnie on obchodzi? Masz go znaleźć i koniec! Może już wlazł mi pod poduszkę?

– Dobrze by zrobił! – mruknął przyjaciel przez zaciśnięte zęby i poszedł spać na fotel do drugiego pokoju.

O taki właśnie fotel poszło mojej żonie w środę wieczorem. Siedziała w nim i oglądała telewizję, potem wstała i wyszła do łazienki. Fotel trochę zawadzał, bo stał w przejściu do drugiego pokoju. Najpierw miałem go przestawić, ale pomyślałem sobie, że lepiej nic nie ruszać, bo może jeszcze będzie potrzebny w tym miejscu. Może Karolina zechce jeszcze trochę pogapić się w telewizor? Czort z fotelem! Poszedłem do kuchni, nalałem sobie wody sodowej i gdy dopijałem szklankę do połowy, z pokoju usłyszałem burczenie.

– Powinieneś już dawno przestawić ten fotel!

Więc poszedłem i przestawiłem. Trochę mnie jednak ubodło to „powinieneś”.

– Wystarczyło powiedzieć: „przestaw fotel” – pouczyłem ją spokojnie.

– Powinieneś pamiętać o tym, że fotel zawsze się przestawia!

Teraz „powinienem” nabrać powietrza w płuca i policzyć spokojnie do dziesięciu, a nawet do stu. Na razie trafił mnie lekki szlag, więc wdepnąłem do łazienki i wypolerowałem zęby. Ale szlag siedział we mnie i nie chciał wyjść.

– Co jeszcze powinienem? – zawołałem zaczepnie.

– Już nic.

– Bo wystarczyło powiedzieć: „Przenieść fotel”.

– Powinieneś myśleć nie tylko o sobie, ale i o mnie też!

Oho! Czuję, jak mnie rozsadza. Mój szlag nabiera wagi i koloru. Przecież to właśnie ze względu na nią pozostawiłem tamten fotel.

– Gderasz jak twoja siedemdziesięcioletnia babka – oceniłem jeszcze zupełnie spokojnie.

– A ty jak stary dziad! – odcięła się ze złością.

– Dobra, dobra! Skończymy tę dyskusję!

– Co za „dobra-dobra”? Ty zacząłeś, a ja mam skończyć? Ja też chcę sobie podyskutować!

– To dyskutuj. Z kaloryferem.

– A ja chcę z tobą!

– Ze mną? A o czym? Ze starymi babami nie dyskutuję!

– Bo ty jesteś cham!

W gniewie robiła się diabelnie brzydka. Twarz nabierała wulgarnych rysów, a oczy jaśniały jej taką złością jak u przekupki oszukanej przez klienta na wiązce pietruszki.

– Obrzydzenie mnie ogarnia, kiedy patrzę na ciebie! – Nie wytrzymałem, bo obrzydzenie faktycznie zaczęło mnie ogarniać. Gdzie zgubiła ten urok, który mnie zachwycał jeszcze kilkanaście miesięcy temu?

– Popatrz na siebie! – wykrzyknęła piskliwie. – Na swoją nie ogoloną mordę i na te pogniecione spodnie!

– Jakie spodnie? – Byłem akurat w krótkich spodenkach. – Chyba masz bielmo na oczach!

– To ty jesteś ślepy!

– Oj, Karolina, Karolina! Dajmy już spokój!

Pół życia oddałbym w tej chwili, gdyby nagle zamieniła się w chłopa. O, rety! Jakbym prasnął w tę wypieszczoną kremami mordeczkę! Potem dwa szybkie ciosy w wątrobę i jedna dobijająca poprawka na szczękę. A leżące i z trudem łapiące oddech ciało najlepiej byłoby wymasować łańcuchem, potem posolić i oblać gorącą wodą.

Uff! Aż się spociłem z wysiłku. Ale zaraz ulżyło. Tortury to najlepsze lekarstwo na innowierców!

Poszedłem do łazienki, wyjąłem z apteczki fiolkę relanium i zażyłem dwie tabletki. W ostatnim okresie zażyłem tego tyle, że na pegeerowskim kartoflisku można by całą plantację stonki ziemniaczanej wytruć. Ale efekt jest. Moja żona jeszcze żyje!

Do pokoju wlazłem dopiero po dziesięciu minutach. W głowie czułem przyjemny szmerek, powieki nabrzmiały przygniatającą obojętnością. Istnienie żony stopiło się w jednej myśli z istnieniem ściany, ku której zmierzałem.

Jak zza grobu dobiegł mnie mrukliwy komentarz żony:

– Dziadzisko! Łazi jakby za chwilę miał umrzeć! Za robotę się weź! Pieluchy trzeba uprać!

Uśmiechnąłem się serdecznie i z wdziękiem usiadłem w fotelu.

– Pieluchy? – zapytałem. – Zgoda. Masz załatwione. Czy coś jeszcze?

– Kran przecieka! – uzupełniła agresywnie swój plan zajęć dla mnie.

– Przecieka? – zainteresowałem się uprzejmie. – Czym przecieka?

– Jak to czym? Wodą!

– No, to w porządku! – ucieszyłem się pojednawczo. – Taka jego natura! A ty byś chciała, żeby czym przeciekał? Może zupą pomidorową?

– O, Boże! – zawołała z irytacją. – Co za diabeł skusił mnie na to małżeństwo? Na niczym się nie zna! Co za chłop!

Nic nie odpowiedziałem, bo akurat czułem się jak flak. W tej chwili wcale mi nie imponowało bycie chłopem. Siedziałem sobie wygodnie i marzyłem o palmie nad brzegiem ciepłego morza. W cieniu tej palmy widziałem dla siebie najlepsze miejsce.

– No, to jak będzie z tymi pieluchami?

Egzotyczny krajobraz przepadł w jednej chwili.

– Upiorę…

– Ale kiedy? Bo musi być porządek na jutro. Jutro jest sobota. Mama przyjeżdża.

– No, to niech przyjeżdża – mruknąłem zgodnie.

– Mama lubi porządek!

– To zaprowadź ją do muzeum – zaproponowałem uprzejmie. – Tam odkurzają codziennie. A co lepsze klamoty pod szybą trzymają.

– Jesteś źle wychowany! Obrażasz mamę, która przyjeżdża w gościnę raz na tydzień.

– Wcale nie obrażam. Wieczorem zrobię transparent z napisem „Niech żyje teściowa!”

– Idiota!

– Mogę inaczej – kontynuowałem nie zrażony. – O tak: „Jeśli chcesz być wzorem cnoty, proś teściową na soboty”.

Trzasnęła drzwiami do przedpokoju. Znowu przesadziła. Niedawno kupiona szyba rozsypała się na kawałki. Z drugiego pokoju dobiegł mnie płacz Kracusia.

– Dziecko obudziłeś, ty awanturniku! – wrzasnęła Karolina, zamykając się w łazience.

Kracuś był mokry i senny. Jeśli tak dalej pójdzie, to płetwy mu wyrosną albo błona między palcami i w żabę się zamieni. Stale pił herbatę, którą żona słodziła aż do przesady, więc sikał co kilka minut. Kiedy mówiłem, że herbaty nie należy słodzić, a jeśli już, to troszeczkę, wtedy ona wrzeszczała, że jestem skąpy i że dziecku żałuję cukru. No i efekt jest. Dzieciak jadł raz na dzień i to karmiony na siłę, a pił cały dzień i wciąż pływał w pieluchach. Słodko mu się zapowiada to przyszłe życie!

Drzwi od łazienki otworzyły się, wyszła żona. Była wystrojona w szlafrok koloru wypłowiałej tęczy.

– Nie przewijaj go – powiedziała spokojnie. Po raz drugi miałem już okazję przekonać się, że wybijanie szyb działa na kobiety uśmierzająco. – Będę go kąpać.

Zaczęła się więc kąpiel. Na dworze plus dwadzieścia osiem, w łazience trzydzieści pięć, bo parówa. Okna, oczywiście, pozamykane.

– Otwórz drzwi – zaproponowałem z uśmiechem. – Bo się oboje ugotujecie.

– Też masz pomysły! – burknęła. – Żeby dziecko zaziębić?

Na razie wszystko gra. Kracuś macha nogami w wodzie i piszczy z uciechy. Jeszcze nie wie, co go czeka. A czeka go dużo: koszulka, kaftanik, sweterek i na to wszystko rajtuzy. Patrzę na ten cały majdan i czuję, jak krople potu osiadają mi na nosie.

– Nie wydaje ci się, że mu gorąco? – zagadnąłem nieśmiało.

– Nic nie czuję! – zaskrzeczała niechętnie. Włosy miała zlepione w strąki, a policzki świeciły jej się od potu.

Kracuś zaczął kwilić już po dziesięciu minutach.

– Zabaw go! – zdenerwowała się Karolina. – Bo już nie mogę wytrzymać tego krzyku. Idę sobie zapalić.

Zapięła szczelniej swój tęczowy przyodziewek, wcisnęła stopy w stratowane bambosze i wyszła na korytarz.

Kracuś spojrzał na mnie z nadzieją. Żal mi się go zrobiło. Otworzyłem okna i zdjąłem z dziecka wszystkie łachy, potem przykryłem go prześcieradłem. Aż westchnął z ulgą i zaraz zaczął kręcić główką na wszystkie strony. Taki był szczęśliwy i taki radosny, że natychmiast nabrałem chęci powsadzania wszystkich nie dorobionych matek do wózków zamkniętych szczelnie plastikowymi osłonami i potrzymać je tak pół dnia na słońcu. Ojej! Co za radość dla wiecznie poszukującej wyobraźni!

16

Operacja zaczęła się o dziewiątej. Na stole leżało kawał baby w wieku średnim. Nie ruszała się, bo lekarka-anestezjolog uśpiła ją thiopentalem jeszcze przed dziewiątą, potem założyła do tchawicy rurę o średnicy dwóch centymetrów i podłączyła halotan. Zanosiło się na poważną robotę. Thiopental ma działanie krótkotrwałe, natomiast halotan jest znakomitym przedłużaczem i, na upartego, można delikwenta trzymać w uśpieniu cały dzień.

Do akcji przystąpił chirurg-błyskawica, czyli nasz Mustafa, który z dnia na dzień budził we mnie coraz większy szacunek. Nikt mu jeszcze nie umarł w czasie operacji.

Pacjentce należało akurat wyciąć ślinianke. Mustafa robi to bardzo dobrze, a robiłby chyba jeszcze lepiej, gdyby nie te sportowe ambicje. Ciągle się spieszył, a pacjenci byli dla niego jedynie miejscem, na którym uprawiał medyczno-sportowe hobby.

Teraz też przymierzał się jak wariat. O wpół do dziesiątej robota zbliżała się ku końcowi. Mustafa rozpoczął szycie podskórne. Anestezjolożka nagle zapytała, ile czasu trzeba jeszcze trzymać halotan. Głupia baba, bo przy pani docent stoi zwykle trzy godziny i o nic nie pyta, a tutaj już ma dosyć. A przecież wie, jak wszyscy wokoło, że Mustafa zawsze się popisuje.

Mrugnąłem do niej porozumiewawczo. Niech się wyłączy, bo będzie heca. Spojrzała mi głęboko w oczy? ale nie pojęła nic. Jak to baba.

– Jak tam, doktorze? – zapytała jeszcze raz. – Daleko do końca?

– Do jakiego końca? – oburzył się Mustafa. – Już jest koniec. Przecież wiadomo, że jestem szybszy od komety!

Wobec tego anestezjolożka odłączyła halotan. Wstrzymałem oddech, bo widziałem przecież, że Mustafa dalej szyje. Co za głupi dzień! Kto nam tu nasłał taką anestezjolożkę!

No i zaczęło się. Pacjentka, przykryta ze wszystkich stron serwetkami, uniosła głowę. Mustafa zmarszczyła brwi i stanął bez ruchu. A kobieta uniosła rękę w górę i otworzyła oczy.

– Jasna cholera! – ryknął Mustafa. – Trzymajcie ją, bo ucieknie!

Rzuciliśmy się na babę.

– Niech pani jeszcze trochę poleży! – krzyknęła prosząco Baśka, która dziś asystowała razem ze mną. – Już kończymy!

Dobra rada. Niechby Baśka położyła się na jej miejscu. Przygniatamy pacjentkę wszystkimi siłami. Nawet anestezjolożka pochwyciła ręce kobiety i starała się unieruchomić je za podgłówkiem. Głupia sprawa, bo baba wygląda, jakby chciała się oderwać, a tu wielka rura siedzi jej w gardle.

– Psiakrew!

Mustafa złamał igłę. Dobieram mu szybko nową, ale czas leci. Stolik operacyjny jest wąski, pacjentka nie spada tylko dlatego, że ją wszyscy trzymają.

– Jasna cholera! – wrzasnął jeszcze raz chirurg.

Tym razem pękła nitka. Chirurg-błyskawica ma dziś wyjątkowego pecha. Anestezjolożka westchnęła do głębi i łaskawie zdecydowała się podłączyć od nowa halotan. Oczywiście nie dlatego, że pacjentkę bolało. Po prostu było jasne, że nie da się już dłużej utrzymać jej w nieruchomej pozycji.

Dopiero wtedy Mustafa zakończył robotę. Z jego oczu wynikało, że w końcówce odmawiał modlitwę złożoną z samych przekleństw.

17

Przyjechała teściowa.

– Ach, córuś! Jak ci się wiedzie?

– Dobrze! – burknęła Karolina, bo był to akurat poranek, a o poranku Karolina z nikim nie kontaktuje, nawet z własną matką.

– Pogoda fatalna, ciągle pada – informowała teściowa.

– Więc po co mama wyjechała z domu?

– Żeby się dowiedzieć, czy ci czego nie potrzeba.

– Jak coś potrzeba, to Bartek załatwi.

– Bartek to chłop. Ty nigdy nie powinnaś wierzyć chłopom. A dlaczego on nie pracuje?

– Bo dzisiaj niedziela.

– Racja. Ale w niedzielę nie mógłby trochę zarobić?

– To jest pierwsza niedziela, kiedy wziąłem sobie wolne – odparłem za żonę.

– Niemożliwe! Tak dużo pracujesz i nic sobie nie kupiliście?

– Oddajemy długi.

– Całe życie będziecie te długi oddawać!

– Trudno – stwierdziłem lakonicznie. – Coś trzeba w życiu robić. Ja na przykład oddaję długi.

– A do kościoła chodzicie?

– Brakuje czasu.

– Na kościół brakuje czasu? – zdziwiła się niemiło. – Ja zawsze mam czas na kościół!

– Kto grzeszy, musi chodzić do kościoła – pocieszyłem ją przekornie. – My nawet na grzeszenie nie mamy czasu.

– Jak wy żyjecie? To małe dziecko rozłożyło was dokumentnie! Ja się nim zajmę.

Wzruszyłem obojętnie ramionami, a ona wyjęła Kracusia z łóżka i zaczęła go huśtać. Chodziła przy tym po pokoju w jakimś tanecznym rytmie. Wyglądało to nawet ciekawie, a ja po raz któryś z kolei stwierdziłem, że teściowa kipi energią na wszystkie strony. Nic jej nie zatrzyma. Żywotna jest jak chwast na działce warzywnej. Powinna sobie zakontraktować ze czterech mężów na każdą dobę. Jeden Kazik nie podoła. Zresztą coraz niechętniej obsługiwał swoją żonę, widocznie już dawno przestała go interesować. Zapuścił brzuch i upodobnił się do precelka o konkursowych parametrach. Bardzo trafnie nazywałem go w duchu Precelkiem. Głośno nic nie mówiłem. Nie lubię, kiedy się ludzie o byle co obrażają. A Precelek mógłby nie docenić dowcipu.

Tymczasem jednak musiałem przyglądać się, jak teściowa co minutę całuje dziecko. Żeby tylko jakiej zarazy mu nie przykleiła! Najchętniej kupiłbym jej pinczerka do tych pieszczot. Jakby go wreszcie zagryzła w nadmiarze namiętności, to niewielka strata. Ale takie lizanie mojego dziecka po twarzy zupełnie mi nie pasowało. Wstawiłem czym prędzej butelkę z mlekiem do gorącej wody i wziąłem Kracusia na ręce.

– Już czas na karmienie – mruknąłem stosunkowo uprzejmie.

– Ja też bym mogła go nakarmić – zaofiarowała się po chwili.

– Nie, lepiej będzie, jeżeli ja to zrobię. On już się przyzwyczaił, że w jedną niedzielę miesiąca karmi go tata.

– Coś podobnego! Więc on zna się już na kalendarzu?

– Tak. To wyjątkowo zdolne dziecko.

Wyjechała wieczorem, a już w poniedziałek rano odwiozłem dziecko do szpitala. Gorączka była tak galopująca, że nie dało się nic zrobić przy pomocy naszych domowych środków.

Karolina była zrozpaczona.

– Skąd mu się to wzięło? – wołała co chwila.

– Od mamusi – zaryzykowałem po kilku takich pytaniach.

– Ty jesteś drań! – krzyknęła. – O wszystko, co najgorsze, zawsze posądzasz moją mamę!

– Jesteś lekarką, więc powinnaś wiedzieć, że obce osoby nie powinny całować dzieci. To niehigieniczne i niezdrowe.

– Mama nie jest żadną obcą osobą! To ty jesteś obcy!

Na tego rodzaju konstruktywnych dyskusjach zeszło nam dziesięć dni. Tymczasem Kracuś zdrowiał i w końcu wyzdrowiał. W nastrojach znacznie lepszych zjawiliśmy się na oddziale dziecięcym.

Przyjęła nas ordynatorka rozparta wygodnie w głębokim fotelu usytuowanym za standardowym biurkiem. Mnóstwo rozrzuconych historii chorób leżało na tym biurku.

– Nazywam się Zadura – powiedziałem. – Dostałem wiadomość, że nasze dziecko jest już zdrowe, więc przyszliśmy je odebrać.

– Oczywiście, że zdrowe – rzekła lekarka dumnie. – Trzeba tylko utrzymywać stały kontakt z poradnią hematologiczną, pediatryczną i neurologiczną, bo w przeciwnym wypadku dziecku grozi niedorozwój fizyczny i psychiczny.

Karolina zbladła, a ja poczułem, jak zadrżały mi ręce.

– A czy teraz krew jest już w porządku? – zapytałem oględnie.

– Naturalnie. Zleciłam trzy transfuzje i w ostatnim czasie mała nawet łezki nie uroniła.

„Mała”? Jaka „mała”? Nie, chyba się przesłyszałem.

– Cieszę się, że pani doktor była uprzejma tak zadbać o wszystko – powiedziałem z wdzięcznością w głosie.

Karolina wydobyła z torby bombonierę. Niech ma, jeśli tak dba o małych pacjentów.

– Ależ proszę pani! – zawołała ordynatorka odkładając podarunek na biurko. – Ja przecież od tego jestem! Wszystkich maluchów znam dokładnie z imienia i nazwiska i wiem, co im dolega. U nas lekarze są bardzo ofiarni!

– Bardzo pani dziękujemy.

– Drobiazg! – zawołała skromnie. – Niech tylko córka dobrze się chowa!

Teraz nie miałem wątpliwości.

– Przepraszam – zacząłem z ukłonem – czy pani doktor cały czas opiekowała się naszym dzieckiem? Zadura się nazywam…

– Naturalnie! Całe dziesięć dni! Córeczka państwa już z daleka uśmiecha się do mnie!

Karolina ze zdumieniem popatrzyła na mnie. Nie można było jednak zrezygnować z raz już obranej drogi uprzejmości.

– To cieszę się! – rzekłem wylewnie. – I jeszcze raz dziękuję. Tylko że… widzi pani… o ile ja się znam na tajemnicach przyrody, to my nie zostawiliśmy tu córki. Zostawiliśmy syna!

Ulżyłem sobie, ale co z tego? Bomboniera leżała już nie w naszym zasięgu. Szczęście, że z pielęgniarką jakoś się dogadałem, bo przyniosła mi naszego Kracusia w oryginale. Sprawdziliśmy z Karoliną wszystko, co trzeba, i od razu uspokoiliśmy się. Kracuś miał wszystko na miejscu. Oznacza to, że zachował cechy męskie. Niestety, cała reszta oznacza tylko tyle, że do wyzdrowienia dziecka nie tak przyczynili się lekarze, jak – dobry los.

Już niejeden raz miałem możliwość zauważyć, że czas leci nam o wiele szybciej niż dawniej, kiedy jeszcze byliśmy bez dziecka. Kracuś coraz mocniej dawał się nam we znaki, mało spał, domagał się nieustannej zabawy. Karolina wychodziła po południu z domu i wracała późnym wieczorem. Potrzebowała spokoju dla regeneracji swojej nadwątlonej osobowości. Nie protestowałem, bo faktycznie było mi łatwiej, jako że pracę w szpitalu można od biedy uważać za rozrywkę w porównaniu z pracą przy dziecku.

W dzień wigilijny na naszym oddziale pielęgniarki zorganizowały przyjęcie. Przyjęcie rozpoczęło się o jedenastej, bo przecież każdego czekała jeszcze normalna wigilia w domu przy rodzinnym stole.

Uroczystość wigilijna w szpitalu ma swoje tradycje. Dziewczyny przynosiły zwykle zakąskę, a mężczyźni alkohol. Otwarcia imprezy dokonała pani docent. Złożyła ogólne życzenia, uśmiechnęła się jak przedszkolanka do swoich dzieci, powiedziała „do widzenia" i poszła. W kręgu zainteresowania wszystkich pań pozostawało trzech mężczyzn: Mustafa, doktor Białko – ojciec dziewięciorga dzieci i – ja.

Przez pierwszą godzinę wszystko układało się sztywno, jak zresztą na każdej takiej uroczystości, ale później, po kilku kieliszkach, rozluźniły się zarówno twarze, jak i obyczaje. Mustafa starał się podtrzymać Czajęcka, która słabła już na sam widok alkoholu, a jeszcze zdecydowała się na dwa kieliszki i wyraźnie kiwała się na boki.

Mustafa starał się być obecnym w każdym damskim umyśle, więc konsekwentnie pytał wszystkie dziewczyny po kolei, kiedy pozwolą mu się uwieść. Najcierpliwiej pytał Baśkę, bo wyczuł, że u niej ma najwięcej szans. Cierpliwie odpowiadała, że uwieść się nie da, ale jej oczy mówiły zupełnie co innego.

– Nie szkodzi – ustalił wreszcie Mustafa. – Poczekam jeszcze najwyżej dwa tygodnie, ale ani dnia dłużej.

Podobno każdej dziewczynie w szpitalu obiecywał swoje usługi. Niektóre dawały się przekonać dość wcześnie na dyżurach popołudniowych lub nocnych. Każda była przecież ciekawa, jak to się robi z Arabem. Potem wyszło, że tak samo jak z każdym innym, ale o tym należało się przekonać osobiście.

O pierwszej prawie wszyscy byli pijani. Krysia włączyła magnetofon i rozpoczęły się tańce. Na pierwszy ogień poszły dwie lekarki. Wiśniewska z Sawicką. Wypinały się tak sugestywnie, że doktor Białko nabrał wyraźnej ochoty na zrobienie dziesiątego dziecka.

– Chodź – powiedział do Mustafy. – Rozbijemy tę damską parę.

Rozbili za pierwszym uderzeniem. Tańczyli dość egzotycznie. Trzymali swoje partnerki mocno za pośladki, a swoim ciałom nadawali specyficzny rytm kopulacyjny. Obie lekarki uważały to za bardzo zabawne. Musiałem wypić dwa kieliszki, bo na trzeźwo głupio mi się oglądało te występy.

Wkrótce zresztą poprosiła mnie do tańca Wanda. Nacisnęła kilka razy udem i natychmiast zrobiło mi się gorąco. Pozostałe panny również zaczęły przymierzać się do tańców w stylu bardzo płomiennym.

Drzwi gabinetu już wcześniej zamknięte zostały na klucz, była więc nadzieja, że pacjenci nie wejdą, choćby nawet któremuś z nich zbierało się na śmierć. Nastał czas lekarzy. Wódka lała się jak woda, oddechy stały się szybsze. O drugiej Zosia tańczyła już bez bluzki. Za stanikiem miała piersi numer cztery oraz ręce chirurga-błyskawicy. Doktor Białko manipulował pod spódnicą doktor Wiśniewskiej, a ja zachowywałem się ciągle jak ministrant, mimo że Wanda obcałowała mi już całą głowę. Ba! Było gorzej. Z każdą minutą trzeźwiałem i nic na to nie mogłem poradzić.

– A to cholerny prawiczek! – mruknęła w pewnej chwili Wanda do Krysi. – Sztywny jak kukła! Nic go nie bierze.

– Może wstydliwy? – zachichotała Krysia.

– Niech go czort weźmie! Chodź, zatańczymy obie.

No i nastał czas lesbijek. Tak się przypięły do siebie w tańcu, że aż Mustafa wyjął ręce z biustonosza Zosi. Krysia trzymała rękę na piersi Wandy, a Wanda wpakowała swoją dłoń w majtki Krysi. Obie dyszały tak przeciągle, że aż w powietrzu zaczął unosić się specyficzny zapach kopulacyjny. Pierwszy raz widziałem, jak się dwie baby zaprawiają, więc z ciekawością oglądałem spektakl. A ręce obu dziewczyn chodziły coraz szybciej, ciała odkrywały się raz od góry, drugi raz od dołu, szczęki zaciskały się w dzikim podnieceniu, brzuchy tarły o siebie, aż trzeszczało pokrywające je ubranie.

Nikt już nie tańczył. Wszystkie oczy utkwione były w Krysię i Wandę. Odskoczyły od siebie tak nagle, jak nagle przedtem się zwarły.

– Cholera! – zaburczała Wanda poprawiając biustonosz. – Ta wódka ogłupia ludzi do spodu!

Krysia nic nie mówiła, tylko poprawiała spódnicę. A doktor Mustafa i doktor Białko rozpoczęli tańce od nowa.

W pewnej chwili Zosia, trzymając się ściany, zadzwoniła po męża, żeby ten przyjechał po nią do szpitala, bo ona nie trafi do domu.

W niedługim czasie przyjechał. Otworzyłem mu drzwi; wszedł do środka. Ciągnęło się akurat upojne tango. Mąż Zosi miał na sobie kombinezon ślusarski i widać było, że nie przywykł do błyszczących latarni wielkiego świata. Nie mówił więc nic, kiedy jego żona pląsała z Mustafą na środku gabinetu. Może myślał, że trafiła mu się okazja przyswoić sobie trochę wielkiej kultury, jakiej w miejscu gdzie sam pracuje, zdobyć nie sposób. Tutaj to co innego! Panowie doktorzy, panie pielęgniarki dyplomowane – to już coś, co olśniewa i wabi na odległość.

A zatem w niewielkiej odległości doktor Mustafa trzymał akurat żonę ślusarza mocno za tyłek, a ona zarzuciła swojemu partnerowi ręce na szyję i całowała go z takim przejęciem, że żadne inne sprawy tego świata do niej nie docierały.

Wychudły był ten mąż w kombinezonie, a Mustafa to kawał chłopa. Więc Zosiny mąż stał, patrzył się, czekał cierpliwie, a w mordę dać nie odważył się. Tylko łeb swój kosmaty pochylał coraz niżej i coraz dzikszym wzrokiem ogarniał swoją żonę. A Zosia jak się przyssała do Mustafy, to dopiero koniec melodii oderwał ją i przywołał nieco do przytomności. I wtedy ślusarz wkroczył na środek, chwycił żonę za rękę, wyciągnął za drzwi. A po krótkiej chwili usłyszeliśmy energiczne plaśnięcie. Jak gdyby jakiś gruby naleśnik wyleciał z patelni na drugim piętrze i spadł na łysą głowę przypadkowego dżentelmena paradującego po chodniku. Takie plaśnięcia powtórzyły się jeszcze trzy razy, po czym coś zaskowyczało. Jakby pies nie zidentyfikowanej rasy.

Włączyłem nową taśmę do magnetofonu i zaraz zrobiło się bardziej świątecznie. Mustafa przystąpił do badania jędrności pośladków Baśki. Pozostałe panie gapiły się z uśmiechem i też miały ochotę na pieszczotki, ale doktor Białko nieco zasłabł. Nalał sobie kieliszek na wzmocnienie i usiadł w fotelu niczym manekin. Było jasne, że dzisiaj nie spreparuje już dziesiątego dziecka. Nie to zdrowie.

– Zostań później ze mną! – wyszeptała w pewnym momencie Baśka do Mustafy. – Pójdziemy do ambulatorium. Tam dzisiaj nikogo nie ma.

Wydawało jej się chyba, że mówi cicho. Mówiła jednak na tyle głośno, że słyszały ją wszystkie panie. I wszystkie wpadły nagle w taką zazdrość, że nie wytrzymały nerwowo. Osamotnione i porzucone, wytoczyły się po dziesięciu minutach za drzwi. A ja za nimi. Wigilijną uroczystość kontynuowali jeszcze tylko Mustafa z Baśką. Wśród nocnej ciszy!

20

Tej niedzieli zamierzałem trochę pospać. Kiedy już tak sobie zdrowo pozamierzałem, obudził się Kracuś. Było wpół do siódmej. Kiedy Kracuś się budzi, to najpierw mruczy pod nosem, potem spokojnie mówi „E!", a po kilku minutach drze się już „Eeeeee!" Znaczy to, że mu się nudzi i że jest już głodny. Wstałem i poszedłem do pokoju Kracusia. Od razu się uspokoił i popatrzył na mnie z radością. Uśmiechnąłem się, a on zaczął podrygiwać na różne sposoby. Taki był szczęśliwy od samego rana.

Najpierw go przewinąłem, bo prawie pływał. Niesamowity z niego lejek. Wygrzebałem go z pieluch, a on przystąpił do drapania się po brzuszku. No i dobrze. Niech się drapie.

W kuchni podgrzałem mleko i gdy wróciłem do pokoju, Kracuś kończył drapanie się. Zawinąłem go w czystą pieluchę. Zjadł śniadanie, a ja zabrałem się do prania pieluch. Moja żona spała jak Bóg przykazał. W końcu znalazło się trochę wolnego czasu, więc odgrzałem sobie kawałek kiełbasy, ugotowałem herbatę i o godzinie ósmej trzydzieści byłem już po wszystkim. Śniadanie przeważnie mi nie smakuje, jem, bo muszę. Jeśli nie zjem śniadania, to boli mnie później głowa.

Założyłem płaszcz i zajrzałem do żony. Powinna już wstać, bo ja muszę iść do roboty. Wypadł mi dzisiaj kilkugodzinny dyżur, za który podwójnie płacą.

Gdy moja żona wstaje rano, to atmosfera robi się taka, jak w końcowej fazie bitwy pod Grunwaldem.

– Przecież mieliśmy zjeść razem śniadanie – powiedziała nastroszona, poprawiając swoją beznadziejnie długą koszulę nocną.

– Nie wstałaś, więc zjadłem sam.

– Nie mogłeś mnie obudzić?

– Nie, bo kiedyś miałaś pretensje, że ci zazdroszczę długiego snu.

– Ale dzisiaj chciałam wstać!

– Skąd mogłem wiedzieć?

– Nawet bałwan by się tego domyślił! Dokąd idziesz?

– Przecież wiesz, że do pracy.

– Zawsze do pracy! Nawet w niedzielę nie możesz posiedzieć w domu! – Biegała w kółko, chwytając to ścierkę, to odkurzacz, ale właściwie nic nie robiła.

– Zawsze narzekasz, że mało zarabiam. Wobec tego idę dorobić.

– Oczywiście, że za mało zarabiasz! – podchwyciła żona. – Powinieneś zarabiać dwa razy tyle!

– Powiedz to mojemu kasjerowi. A zresztą i tak zarabiam więcej niż ty.

– Bo lekarze są nie doceniani! – piekliła się nadal.

– Dobry lekarz zawsze jest doceniany – skomentowałem złośliwie. – Ale baba? Kto to słyszał, żeby baby były lekarzami! Na znachorstwo się przerzuć! – Już mnie zaczynało ponosić. – Czarnego kota sobie kup i hoduj zioła w doniczkach!

Wyszedłem z domu i dalszy ciąg komentarza na temat medycznych zdolności mojej żony wygłaszałem już w duchu. Moim zdaniem, nie jest to zawód dla kobiety. Kobieta może być malarką, pisarką, przedszkolanką i niańką, ale lekarką raczej nie. Pacjent musi mieć poczucie bezpieczeństwa, kiedy idzie się leczyć, a jakie poczucie można zdobyć u baby! W kompleksy można wpaść najwyżej, bo taka zamiast leczyć, pyta pacjenta, kiedy się ostatni raz golił albo dlaczego sobie spodni nie wyprasował. Zamiast obracać się w kręgu zagadnień medycznych, baba-lekarz wchodzi w paradę krawcom i fryzjerom. I nie da się tego wykorzenić, bo nie można zmienić natury. Próba zmiany w tym względzie miałaby takie same szanse powodzenia jak próba

zamiany kota w żabę. Nie ma siły i koniec!

Nie mogę mieć do mojej żony pretensji, a przynajmniej zbyt dużo pretensji, bo przecież ożeniłem się z babą, a nie na przykład ze świętym Mikołajem. Każdy mężczyzna, który się żeni, powinien znać stopień ryzyka. Przede wszystkim powinien jak najszybciej ustalić pory dnia oraz dni, w których żona zamienia się w okresową wiedźmę. Moja Karolina właśnie najgorsze ma poranki, co, jak już zdążyłem zauważyć, odziedziczyła po swojej matce. Nie najlepsze ma też niedziele, poniedziałki i wtorki. Fatalnie przeżywa również momenty, kiedy nasz Kracuś nie zje tyle, ile mu przygotowała, a także – kiedy ja zabiorę się do prania pieluch o pięć minut za późno, niż ona to ustaliła.

Kiedy już podsumowałem wszystkie feralne pory dnia i same dni, to wychodzi mi, że najlepiej byłoby, gdybym w ciągu miesiąca spotykał się z moją żoną siedem razy, a pozostały czas powinienem spędzić gdzieś na dworcu kolejowym albo w przytułku dla bezdomnych. Niestety mój pech polega na tym, że Karolina posiada nie normowany czas chandryczenia się i dlatego rzadko trafiam w jej dobry humor. Kilka razy próbowałem nawet wstać o wpół do szóstej, aby w ciągu pół godziny móc ulotnić się z domu. Też nie wyszło, bo o tej porze akurat wychodziła na siusiu i widząc mnie przygotowującego śniadanie, od razu rozpoczynała dyskusję:

– Dlaczego tak rano wstajesz? Wariat jesteś czy jak?

– Wyspałem się – odparłem krótko.

– Już ci się znudziłam, tak? Przyznaj się, że już mnie nie kochasz?

– Kocham cię – uspokajałem słabym głosem.

– Naprawdę? To chodź do mnie.

Zdejmowałem ubranie i wracałem do łóżka. Trochę pieszczot z samego rana nie zaszkodzi. Niestety, w łóżku od razu rozpoczynały się pytania, czy nie umawiam się z pielęgniarkami w szpitalu. Kiedy już wyjaśniłem, że jestem wierny jak średniowieczny rycerz, pytała sennie, czy ją kocham, zapewniałem, że tak i – zasypiała. To tyle.

21

Minęły dwa miesiące. Karolina nie wytrzymała. Zawiozła Kracusia do matki i oznajmiła, że idzie pracować. Już nie mogła patrzeć na dziecko czepiające się nieustannie jej nóg. Teraz za patrzenie weźmie się teściowa. Trzeciej baby do dziecka już nie ma, stąd wniosek, że na teściowej wszystko się skończy.

Już pierwszego dnia Karolina przyleciała z pracy do domu niczym rozśpiewany skowronek.

– Był u nas w poradni jeden profesor z Włoch! – oznajmiła. – Powiedział, że załatwi mi trzymiesięczną praktykę we Florencji!

– We Florencji? – zapytałem z niedowierzaniem. – W jakim charakterze tam pojedziesz? Czy może jako konserwator zabytków?

Nic nie było w stanie zagłuszyć jej radości.

– Zrobię tam specjalizację z interny! – zawołała. – Najdalej za miesiąc wyjeżdżam!

– A co z dzieckiem?

– Mama się zajmie.

– Przecież to jeszcze małe dziecko. Potrzebuje głównie ciebie. Do Włoch możesz pojechać za dwa lata.

– Co ty opowiadasz? Mam okazję, więc muszę z niej skorzystać!

Trochę mnie rozczarowała. Bez żadnej dyskusji zawiadamia mnie, że wyjeżdża w świat, i na tym koniec. O ile ją znam, nie da sobie tego wyperswadować.

– Nie było żadnego innego kandydata na wyjazd? – zapytałem jeszcze z nadzieją.

– Byli. Ale profesor wybrał mnie.

– Przecież nie znasz języka.

– Nauczę się. Znam łacinę, a włoski należy do najłatwiejszych na świecie.

Nie podobało mi się to wszystko. Niedawno oddałem już ostatnie długi. Można było rozpocząć wreszcie jakieś normalne życie. A tu moja żona wpadła nagle na pomysł z wyjazdem.

Kiepsko spałem tej nocy. Wstałem zresztą też bez humoru i powlokłem się do pracy.

Akurat wypadły konsultacje laryngologiczne w całym szpitalu. Do wędrówki pani docent wyznaczyła doktora Białko i mnie. Białko był w dobrym humorze, a ja w podłym. Zresztą mój nastrój od razu rzucił się w oczy.

– Coś niedobrze z panem! – stwierdził radośnie Białko.

– Żona mnie wnerwia – odparłem.

– Od tego ma się żonę, żeby wnerwiała. Nie wiedział pan o tym?

– Prawdę mówiąc, nie.

– Teraz już pan wie. Ile ma pan dzieci?

– Jedno.

– Proszę pana – spoważniał Białko. – Gdybym ja miał tylko jedno dziecko, to teraz chodziłbym pół metra nad ziemią. Rozumie pan?

– Trochę.

– To niedobrze, że trochę. Wie pan, ile ja mam dzieci?

– Słyszałem, ale nie wiem, czy to prawda.

– Prawda, panie Bartku. Dziewiątka! Pan wie, jak ja muszę na nie pracować? Czterdzieści osiem godzin na dobę.

– Jak pan to robi?

– Jeżeli się bardzo chce, to się zrobi.

Pierwszego naszego pacjenta bolały uszy. Doktor Białko wyjął rozwieracz do nosa i wpakował ten rozwieracz do ucha. Pierwszy raz widziałem, jak rozwieraczem do nosa bada się

ucho. Okazało się jednak, że słabo widać.

– Ma pan zapałki? – zapytał Białko.

– Mam zapalniczkę.

– Pasuje.

Przyświecił sobie zapalniczką przy uchu. Pojęcia nie mam, co w ten sposób można zobaczyć. Jeśli już, to najwyżej pod łóżkiem albo pod szafą. Ale w uchu nie. Okazało się jednak, że z uchem jest wszystko w porządku.

– Nic panu nie jest – powiedział do pacjenta zadowolony lekarz.

– Ale boli mnie już od tygodnia – narzekał pacjent. – Spać nie mogę.

– Zdaje się panu. Trzeba wziąć tabletkę nasenną. Idziemy dalej!

Poszliśmy. Nie odwracałem głowy, by nie patrzeć, czy pacjent wygraża nam pięścią, czy krzesłem.

Następny miał szumy w głowie. W zasadzie trzeba było tylko sprawdzić, czy nie ma blokady na linii ucho – nos. Jest to prosty zabieg, ale do tego musi być odpowiedni przyrząd w kształcie pompki, której, jak się okazało, w zestawie przygotowanych dla mnie narzędzi, zwyczajnie zabrakło. Instrumentariuszka nie skompletowała wszystkiego.

– Pójdę po tę pompkę – zaproponowałem doktorowi.

– Nie trzeba – odrzekł szybko. Na wszystko znajdzie się rada.

Złapał pacjenta silnie za nos, zatkał mu dziurki i zabronił oddychać. Po dwudziestu sekundach puścił nos i nagle z całej siły dmuchnął w dziurki. Pacjent zesztywniał, oczy wyszły mu na wierzch i z pewnością upadłby z hukiem na podłogę, gdybym go w porę nie podtrzymał.

– No i jak? – zapytał Białko. – Lepiej?

– Gorzej – odpowiedział z wysiłkiem pacjent. – Teraz huczy mi w głowie jeszcze głośniej.

– Trzeba wymienić głowę! – zdenerwował się Białko. – Idziemy dalej!

Wkroczyliśmy na internę. Zdążyłem już wyrobić w sobie podziw dla metod badawczych stosowanych przez mojego przewodnika i nawet zaczęło mi się wydawać, że przy tym systemie działania można sobie załatwić czterdzieści osiem godzin w ciągu jednej doby. Wszystko zależy od punktu widzenia.

Na internie też było krucho z punktem widzenia. Pacjent leżał na łóżku i słabo oddychał. Narzekał na ból gardła. Przygotowałem wacik do chwycenia za język. Białko odepchnął mnie. Mocno ścisnął język dwoma palcami, zajrzał do jamy ustnej, wzruszył ramionami i wywalił język aż na brodę chorego mężczyzny. Twarz cierpiącego zsiniała momentalnie. Fizycznie odczułem, że naciąg języka znajduje się w ostatniej fazie wytrzymałości. Za chwilę język się urwie. Białko wpakował wziernik do tchawicy.

– Doktorze! – zawołałem z przerażeniem. – Pacjent się dusi!

– Nic mu nie będzie – odpowiedział Białko, ale puścił język. – Tchawica czysta, krtań zaczerwieniona, na wszelki wypadek zapiszemy Syntarpen.

Pacjent długo przełyka ślinę. Łzy ciekną mu po policzkach.

– Ojej! – zabełkotał. – Ojej!… Co on… mi zrobił!…

Był to, na szczęście, ostatni już pacjent tego ranka. Ciągle jeszcze nie mogę się przyzwyczaić do tych sadystycznych sposobów ustalania diagnozy. Mimo wszystko jestem już chyba za stary na to, aby tak nagle zostać psychopatą.

– Bartek, telefon! – krzyknęła Baśka.

Właśnie skończyliśmy z Mustafą torturowanie pewnej damy w podeszłym wieku. Nie miała siły wstać z fotela, poradziłem jej, by posiedziała z dziesięć minut, a sam pospieszyłem do zabiegowego. Bardzo byłem ciekaw, od kogo ten telefon, bo w ostatnim czasie nikt do mnie nie dzwonił. Może toto-lotek? Nie sprawdzałem ostatniego kuponu, ale niezależnie od sumy, którą mi przyznano, nie opuszczę swojego stanowiska w szpitalu. Cały świat powinien wiedzieć, że nie ma takiej siły, która by mogła mnie zdemoralizować. Oczywiście, nie jestem draniem, jeśli potraktują człowieka uprzejmie, to odpalę pięć procent.

Dzwoniła żona.

– Wiesz co? – zaczęła swoim srebrzystym głosem. – Muszę ci powiedzieć coś ważnego.

– Tak? Słucham? – uśmiechnąłem się do kaloryfera.

– Zapomniałeś wziąć obrączki!

– Niesamowite! – zawołałem z oburzeniem i popatrzyłem najpierw na prawą, a później na lewą rękę. – Na pewno?

– Na pewno, bo właśnie mam ją w ręku.

– A to pech! – pokiwałem głową. – Cały czas zastanawiałem się, czego mi dzisiaj brakuje. Po prostu źle się czułem!

– Dobrze, dobrze – uspokoiła mnie żona. – Już ja wiem, co ty planujesz. Kawalera udajesz i koniec!

– Kawalera? – wzruszyłem ramionami, ale tego i tak nie zobaczyła. – Kawalerowie teraz niemodni. – Baby lecą tylko na żonatych. Wczoraj miałem obrączkę, to wszystkie baby na mnie patrzyły, a dzisiaj żadna. Sam nie wiem, jak to traktować.

– Przyjdziesz do domu i wtedy pogadamy – zakończyła sprawę. – Kochasz mnie?

– Kocham – odpowiedziałem, bo co miałem odpowiedzieć. Znałem wprawdzie lepsze okazje i lepsze miejsca do mówienia o kochaniu, ale w ciągu dwu i pół roku małżeństwa zostałem kompletnie przekonany, że słowa „kocham” należy również używać podczas rozmowy o tym, że za tydzień pierwszy, a pozostało jeszcze tylko sto złotych, oraz – w innych nietypowych chwilach. Doszedłem do takiej wprawy, że ostatnio zupełnie zapomniałem, co oznacza takie „kocham”. Próbowałem sobie nawet przypomnieć, ale nic z tego nie wychodziło. W końcu dałem spokój i klepałem dwa razy dziennie, że kocham. Z miny żony wynikało, że jej to odpowiada.

Chciałem jednakże sprawdzić szerzej, jakie wrażenie wywiera to słowo na ludziach. Byłem na tyle zorientowany w sytuacji, że nie obnosiłem się z tym wobec mężczyzn. Pierwszą nieznajomą kobietą, na której sprawdziłem sens słowa „kocham”, była kioskarka.

– Poproszę dwa bilety tramwajowe! – powiedziałem groźnie na początek.

– Proszę.

Podała mi takim niechętnym gestem, bo życzyłem sobie dwa, a nie dwieście.

– Kocham panią! – zawołałem i spojrzałem jej głęboko w oczy.

Wyprostowała się lękliwie, ale zaraz odzyskała energię i zawołała:

– Panie, odejdź pan, bo zadzwonię po milicję!

Nie to nie. Odszedłem.

Na rogu stała białowłosa milicjantka. Okropnie mi się spodobała. Zbliżyłem się i zasalutowałem.

– Obywatel w sprawie czego? – zapytała niepewnie, bo mogłem okazać się generałem milicji.

– Kocham panią – powiedziałem serdecznie, z czego natychmiast wywnioskowała, że nie

chodzi tu o stosunek służbowy, ale prywatny i do tego, kto wie, czy nie wymuszony.

– Dowodzik proszę – odezwała się po krótkim wahaniu.

Wspaniałomyślnie zagłębiłem rękę w kieszeni marynarki.

– To wasz dowód? – zapytała.

– Czy… nasz – nie zrozumiałem i obejrzałem się na boki.

– Pytam, czy to obywatela dokument!

– Tak, tak! Mój!

– Dlaczego więc obywatel tak… tak się zachowuje?

– Jak?

– Tak… tak chodzi i opowiada głupstwa. Ma obywatel żonę?

– Mam.

– No więc? Wypiło się dzisiaj? Ile?

– Nic.

– Nic? Za takie rzeczy na drugi raz zapłaci obywatel mandat!

Za to, że nie wypiłem? Trochę mi się już w głowie pomieszało. Mogę wypić. W domu stoją cztery koniaki i trzy wina. Stoją tak od miesięcy, bo nikt nie chce pić tego świństwa. Kto tylko przyjedzie, to zaraz ciągnie do wody mineralnej. Diabli wiedzą, co się dzieje! Gazet nie czytam, a może w kraju muzułmańska religia zapanowała? Jeśli tak, to gotów jestem zebrać kilku kumpli i ogłosić wyprawę krzyżową. Niechby nareszcie coś się działo. Na początek zaatakujemy sklep monopolowy w śródmieściu…

– No! Dlaczego obywatel jeszcze tu stoi? – dosłyszałem głos milicjantki – Proszę zabrać dowód i ustatkować się. W przyszłości wypiszę mandat!

23

Minęły cztery tygodnie i zostałem sam. Moja żona faktycznie wyjechała do Florencji. Od razu poczułem wielką tęsknotę, więc udałem się do mieszkania teściowej, aby przynajmniej pobyć trochę z dzieckiem. Siedziało przecież w Kracusiu pół mojej żony i połowa mnie. Było przyjemnie, bo zarówno Kracuś, jak i teściowa mieli zadowolone miny. Kracuś dlatego że przyjechał tata, a teściowa – bo jej Carla pojechała za granicę.

Zaraz po moim przybyciu zjawiła się Grażka. Miała na sobie same zagraniczne ciuchy i chciała pokazać się w nich ciotce.

– Cześć, Bartek! – zawołała od progu. – Jak ci się podobam?

Spojrzałem raz, potem jeszcze raz i wyczułem jakiś nieokreślony zapach bijący od całej postaci Grażki.

– Śmierdzisz molami – stwierdziłem bezlitośnie. – Nie podchodź do dziecka, bo twoje mole przeskoczą na niego i zeżrą go przez noc.

Grażka naburmuszyła się groźnie.

– Tobie nigdy nic się nie podoba. Zazdrościsz mi, bo sam ciągle chodzisz w starym ubraniu!

– A Grażka ma amerykańskie! – zawołała teściowa i odchyliła do tyłu kołnierz bluzki dziewczyny. – O proszę! Tu jest wyraźnie napisane „Made in USA”!

– Mnie tam żadne „made” nie imponuje – powiedziałem spokojnie. – A na kobiety zwracam uwagę dopiero wtedy, gdy są rozebrane. Zdejmij to wszystko, Grażka, zobaczymy, ile jesteś warta bez zagranicznych łachów.

– Coś podobnego! – burknęła teściowa. – Dopiero co żona wyjechała, a on by już rozbierał obce dziewczyny!

– Grażka wcale nie jest obca – sprostowałem. – Grażka jest swojska. Tylko jej ubranie jest obce. No, to jak? – zwróciłem się ponownie do Grażki. – Rozbierasz się, czy się nie rozbierasz?

– Zgłupiałeś chyba! – mruknęła, ale niezbyt zdecydowanie. Zrobiłaby chyba rozbiórkę, gdyby tylko teściowej zachciało się wyjść z domu. – Co mu przyszło dziś do głowy, ciociu?

– Przestańcie już tak głupio rozmawiać – zażyczyła sobie ciocia. – Dziecko trzeba przewinąć. Weź się do roboty, Bartek, jak już tu jesteś!

No więc Grażka się nie rozebrała. Rozebrało się dziecko. A szkoda, bo Grażkę też mogłem przewinąć. Najlepiej w zasikaną pieluchę Kracusia. Nie wiem dlaczego, ale nigdy nie lubiłem tej dziewczyny. W pewnym sensie podobna była do teściowej. Tamta pozowała na mądrą, a ta na piękną. A tyle było w niej piękna, ile mądrości u teściowej.

Wieczorem zadzwonił telefon. Teściowa zajęta była zmywaniem naczyń w kuchni. Podniosłem więc słuchawkę.

– To ty, Bartek?

Dzwoniła Karolina. Aż zadrżałem ze wzruszenia.

– Kochasz mnie? – zapytała łakomie.

– Bardzo cię kocham – zapewniłem z całą mocą.

– Ja też cię kocham. Zawołaj mamę.

Trajkotały przez piętnaście minut. Później teściowa położyła słuchawkę i na tym skończyła się rozmowa. Pojąłem, że jako krajowiec chwilowo nie mam szans.

Wyjechałem dopiero wtedy, gdy Kracuś zasnął.

Następnego dnia trafił mi się nocny dyżur. Jest to najtrudniejszy do przewidzenia sposób pracy w szpitalu. Nigdy nie wiadomo, jak nocka zleci. Czy się będzie spało, czy też liczne wizyty zmuszą do rekordowego wysiłku. Wszystko zależy od szczęścia. Niektórym trafiało się i tak, że spali całą noc. Ja jednak miałem zwykle jakieś gorące przyjęcia. Siedziałem więc u Dąbka

i w wolnych chwilach graliśmy w karty.

Tym razem dyżuruję do spółki z Wiśniewską.

– Jakby co – powiedziała i uśmiechnęła się filuternie – to niech pan załatwi sam, bo mi się chce spać.

W zasadzie praktyki już mam tyle, że mogę załatwić, ale zawsze ktoś musi coś podpisać i przyłożyć pieczątkę. A mnie Wiśniewska pieczątki nie zostawiła.

Na dwie godziny przed północą sanitariusz przyprowadził pierwszego pacjenta z rozbitym nosem. Młody człowiek, jeszcze dygoczący ze złości, że to on dostał a nie jego przeciwnik.

Posadziłem go na krześle i zacząłem przygotowywać opatrunek.

– Długo mam tak czekać?! – krzyknął niecierpliwie.

– Może pan nie czekać – wyjaśniłem spokojnie. – Tramwaje jeszcze chodzą. Zdąży pan do domu.

– Lepiej poczekam. – Zmiękł nagle i przestał nerwowo dygotać. Stosunkowo szybko podał swoje dane personalne.

Popatrzyłem na ranę, zajrzałem też do środka. Przegroda nosowa była pęknięta, należał się przynajmniej mały zabieg ze znieczuleniem.

Poszedłem do izolatki po Wiśniewską. Akurat zasypiała.

– Co się stało?

– Przegroda nosowa.

– Do diabła!

Zjawiła się w gabinecie po dwóch minutach. Wyglądała dość oryginalnie jak na kogoś, kto poważnie ma się zajmować chorymi ludźmi. Spod fartucha wyglądały jej niebieskie spodnie sięgające połowy łydki. Sam fartuch nie zakrywał nawet kolan. Pod szyją miała pani doktor coś, co przypominało szalik albo kolorowy śliniak. Rozmazane oczy nadawały jej wyraz twarzy aktorki występującej w amerykańskim melodramacie.

– Co panu jest? – zapytała pacjenta podniesionym głosem.

– Nos mi rozbili – odpowiedział tamten lękliwie.

– Trzeba było się nie dać!

– Nie dać? – nie zrozumiał chłopak.

– Oczywiście. Przywalić tamtemu i zwiać.

Chłopak zamyślił się na chwilę.

– No i co z tego? Miałaby pani wtedy robotę z nim.

Logiczne. Łobuz, ale rozumuje trzeźwo. Lekarka natomiast zademonstrowała niezbyt reprezentacyjny pomyślunek.

– Chodź pan tutaj z tym nosem – powiedziała ozięble.

Przygotowałem już wcześniej rozwieracz, ale Wiśniewska zdążyła przecież od dawna przesiąknąć metodami tego oddziału. Włożyła pacjentowi palec w jedną dziurkę. Chłopak skrzywił się z bólu. Palec wszedł bardzo głęboko.

– Ja tu nic nie czuję – powiedziała wreszcie Wiśniewska.

– Ale ja czuję! – zdenerwował się zbolały pacjent.

– Niech pan pójdzie jutro do swojego lekarza rejonowego.

Pacjent stanął bezradnie na szeroko rozstawionych nogach.

– A co ja mam teraz zrobić? – niemal zapłakał. – Przecież boli!

– Wiem, że boli, ale trzeba odczekać.

W tym momencie nadjechała następna karetka i pielęgniarz wprowadził nowego pacjenta.

– Niech to wszyscy diabli! – rozłościła się lekarka. – Całe miasto dzisiaj się zwali! Nawet wyspać się nie można!

Ten nowy pacjent również ma rozbity nos. I to znacznie mocniej niż tamten. Pierwszy spojrzał ironicznie na nowego. Lekarka nawet nie ruszyła się z miejsca.

– A tu co się stało? – zapytała w końcu niechętnie.

– Nos mi złamali! – zajęczał nowy.

– Trzeba było nadstawić co innego!

Pierwszy pacjent założył czapkę na głowę i podszedł do drugiego.

– Chodź, stary, do domu, to lepiej na tym wyjdziesz. Tu jest burdel, a nie szpital! Jutro da się trzy stówy w jakiejś spółdzielni lekarskiej i załatwią człowieka po ludzku. Za te trzy stówy może nawet poproszą, żeby usiąść!

Machnął ręką i wyszedł. Drugi pacjent zastanowił się przez chwilę, popatrzył na nie zrażoną przemówieniem poprzednika lekarkę i poczłapał w stronę drzwi.

Wiśniewska westchnęła ciężko i uśmiechnęła się.

– Widzi pan? – powiedziała z dumą. – Od razu wyzdrowieli. Z ludźmi trzeba energicznie. Całe miasto by się tu zjechało, gdybyśmy tylko zaczęli bawić się z każdym głupstwem!

– Racja – potaknąłem. – Tłok byłby tutaj nie do zniesienia.

– Oczywiście – spojrzała na mnie łaskawie. – Pan to jest inteligentny człowiek. Lubię z panem współpracować – spojrzała na zegarek. – No proszę! Już prawie jedenasta! Panie Bartku, tak mi się chce spać, niech pan coś zrobi, żeby tu był spokój, dobrze?

– Postaram się.

– Fajny z pana chłop! – zawołała kokieteryjnie i otworzyła drzwi do izolatki. – Dobranoc panu! Pa! pa!

Miałem szczęście tej nocy. Przyjeżdżały drobne wypadki i nie musiałem budzić pani doktorki. Nawet przyszło mi do głowy, że jeśli trafi się coś poważniejszego, to zadzwonię po panią docent. Niechby się trochę rozruszała w środku nocy. Nie przytrafiło się jednak nic. Wiśniewska mogła spać spokojnie.

24

Uprzejmość teściowej wobec mnie urosła do niesamowitych rozmiarów. Nigdy w życiu nie nasłuchałem się tylu komplementów co teraz. Kiedy przyjeżdżałem do dziecka, jadłem obiad składający się z pięciu dań. W czasie gdy jadłem, zacna matka mojej żony trzymała dziecko, abym tylko mógł spokojnie sforsować wszystkie przysmaki. Za każdą wizytą słyszałem też, jak to Karolina mocno mnie kocha i jak podczas rozmowy telefonicznej ciągle tylko o mnie mówi. Do swojego domu wracałem zawsze mocno spasiony obiadem i pochlebstwami. Jeśli na początku byłem niespokojny o żonę i po męsku zazdrosny, to ostatnio nazbierała się we mnie tyle pewności siebie, że na świat patrzyłem jak chłop na własne gospodarstwo. Miałem też pełny luz, bo odeszło pranie pieluch. Brałem za to dyżury w pogotowiu ratunkowym, żeby zarobić trochę więcej grosza i dać teściowej za opiekę nad małym.

Któregoś wieczoru, kiedy rozpoczynałem swój dodatkowy dyżur w pogotowiu, spotkałem Mustafę.

– Cześć, Bartek! – zawołał po swojemu. – Co ty tu robisz?

– A doktor też chałturzy?

– Co robię? – nie zrozumiał Mustafa.

– Dorabia – wyjaśniłem. – Pracuje dodatkowo.

– Tak. Mojej żonie zawsze brakuje pieniędzy. Te wasze Polki są okropne.

– To prawda. Ale można ją było przecież przerobić na muzułmankę. Dzban wody na głowę i niech spaceruje dookoła domu. Próbował doktor?

– Próbowałem. Żartem, ale próbowałem. Ona nie potrafi. Żadna biała kobieta nie potrafi. Wszystkie mają za ciężkie te… jak to się nazywa?

– Dupy.

– Nie! – zaprzeczył gwałtownie. – Tak brzydko się nie mówi. Mówi się… „biodra”.

– To mniej więcej tyle samo znaczy – mruknąłem. – Dochodzi ósma. Zaraz zaczniemy bawić się w leczenie.

Pogotowie nie jest lecznicą. No, może czasami. Głównie jednak pogotowie stanowi przytułek dla bezdomnych pijaków. Ich zdrowie nie wymaga specjalnego leczenia, chyba że zdrowie psychiczne, co zresztą jest sprawą beznadziejną, bo jeszcze nie słyszałem, żeby ktokolwiek wyleczył alkoholika. A jeśli już, to najwyżej na bezludnej wyspie.

Nasze miasto znakomicie zaopatrzone jest w alkohol, więc każdy gazer zaraz po wyjściu z kuracji odwykowej ma okazję strzelić sobie taką lufę, o jakiej marzył cały czas na odwykówce. Tacy trafiają zwykle na pogotowie, bo żyją hałaśliwie i ryzykancko, a potem znowu zostają skierowani na pełną kurację odwykową i cała kołomyja leci od początku. Ci, co wymyślili leczenie szpitalne nałogowych gazerów, powinni za karę pracować w fabryce spirytusu do końca życia. Mieliby przynajmniej lepszy kontakt z problematyką.

A obozy pracy to nie łaska? Przynajmniej pożytek byłby z gazera. Za dużo u nas ludzi humanitarnych, a za mało mądrych. Jak dochodzi do głosowania, to natychmiast okazuje się, że humanitarni zwyciężyli. No i teraz mamy.

Przede wszystkim mamy śmierdzącą dyżurkę. Śmierdzi w niej alkoholem i rzygowinami. Każdy poturbowany pijak dyszy tu jak parowiec, toteż opary alkoholu rozchodzą się gęsto w całym pomieszczeniu i wsiąkają w wilgotne ściany.

A oto pierwsza rozrywka. Sanitariusz prowadzi mężczyznę z przeciętym, prawie odpadającym już uchem.

– Co się stało? – zamruczał Mustafa, któremu przyszło opiekować się wszystkimi niedobitkami.

– Szlag by to trafił! – wyjaśnił po swojemu sanitariusz. – Jeszcze takiego przedstawienia nie widziałem. Przyjeżdżamy na wezwanie telefoniczne, otwieramy drzwi, a tam cała rodzina pijana. Stary pijany, jego stara pijana i jeszcze sześcioro dzieci zalanych w pestkę. Co za cyrk.

– Tylko nie cyrk! – zabełkotał pijak. – Tylko nie cyrk!

– Jak to było z uchem? – zwrócił się Mustafa do pacjenta.

– Ucho przeciąłem sobie puszką po konserwach – wyjaśnił ponurym głosem.

– Jaką puszką?! – wrzasnął sanitariusz. – Żona zaprawiła go nożem!

– Tylko nie nożem! – postawił się godnie pacjent. – Tylko nie nożem!

– Kładź się pan! – przerwał dyskusję Mustafa.

U nas już taki zwyczaj, że pijaków opatruje się błyskawicznie i bez znieczuleń. Sami się zresztą znieczulają. Wobec tego Mustafa złapał igłę i rozpoczął cerowanie ucha. Pijak krzywił się, a jakże, ale leżał spokojnie i nic nie mówił.

Nagle wpadł następny pacjent. Arab! Po prostu Arab. Od razu dogadał się z Mustafą. Nos go bolał, krew leciała podobno od samego rana. Mustafa zostawił pijaka i dorwał się do krajana. W ciągu piętnastominutowej pogawędki zostali kumplami. W końcu Arab wyciągnął papierosy i poczęstował Mustafę. Zobaczył to pijak, którego ucho nadziane było jeszcze igłą, przestał wykrzywiać twarz i zawołał:

– I mnie papierosa! I mnie!

– Leż pan spokojnie! – skarcił go Mustafa. – Bo się igła złamie!

– A co? Zapalić sobie nie mogę? – obraził się pijak.

Nawet „do widzenia” nie powiedział na odchodnym. Taki był honorowy.

Potem przybywali różni pijaczkowie. Wszyscy mieli jedną wspólną cechę. Śmierdzieli. Jeden śmierdział mniej, inny więcej. Nad ranem już mi się kręciło w głowie. Sam czułem się jak po degustacji bimbru. Szczyt fantazji wykazał ostatni pijak. Otworzył mianowicie drzwiczki od kaflowego pieca i wpakował tam swój pokrwawiony łeb.

– Co pan zamierza? – zapytałem obojętnie.

– Nie pana sprawa! – odburknął. – Idę teraz spać. Za małe to łóżko, ale ja i tak zasnę!

Tak się wciskał, że o mało kafle nie powypadały. Oderwaliśmy go z trudem, ale drzwiczki były już trochę naruszone. Odstawały kantem od obmurowania i trzeba będzie je od nowa gipsować. Nie wiadomo tylko, kiedy znajdzie się na to czas, bo w pogotowiu panuje nieustanny ruch.

– Panie doktorze! – wrzasnął nagle pędzący od drzwi sanitariusz.

– Co nowego? – zapytał zmęczony Mustafa.

– Człowiek nasikał nam do karetki!

– Jaki człowiek?

– Znaczy się pijak!

– To mów pan tak od razu! Wasz kraj powinien przyjąć religię muzułmańską z jej wszystkimi ograniczeniami, a wtedy nikt nie będzie sikał do karetek! Tylko prohibicja może was uratować!

– Ale co z tamtym zrobić?

– Z pijakiem?

– Nie, z karetką. Nie ma czym wytrzeć podłogi.

– Zdejmijcie marynarkę z pijaka i wytrzyjcie. Potem mu nałóżcie, żeby się swojsko poczuł.

– Dobry pomysł! – ucieszył się sanitariusz. – A co później?

– Później ustawicie go na górce i dajcie mu takiego kopniaka, żeby popędził w drugą stronę. Ja już nie mam zdrowia do takiej roboty.

Sanitariusz za to błyszczał energią.

– Zrobi się, panie doktorze! – zawołał. – Trzeba gazerów uczyć kultury. Klina klinem!

O ósmej rano zeszliśmy z posterunku. Pojechałem od razu do Dzidka. Akurat gryzł siódmą bułkę z dżemem.

– Lekko się odżywiam – wyjaśnił. – A co u ciebie?

– Teściowa mi wysubtelniała.

– Tak? Może choruje na raka i dlatego? Ludzie przed śmiercią różnie się zachowują.

– Nie. Żadna choroba jej nie zwalczy. Prawi mi komplementy i podaje superobiadki.

Dzidek spoważniał i zamyślił się.

– Podejrzana sprawa – stwierdził w końcu. – Może to oznaczać, że twoja żona sprawiła sobie faceta, a tu przy pomocy teściowej mydli ci oczy, żebyś nie uciekł z dzieckiem.

– Nie żartuj – zaniepokoiłem się. – Po co jej facet? Przecież ma męża.

– Ty, Bartek, jesteś naiwny jak dziecko. Wdepnąłeś w bagno i opary tego bagna zepsuły ci wzrok. Ja patrzę z boku i widzę dużo więcej niż ty. Dlaczego baba, która cię cały czas zaledwie tolerowała, miałaby nagle zachowywać się wobec ciebie po ludzku?

– Nie wiem. Może sumienie jej odżyło?

– Baby sumienia nie mają. Musisz się tego nauczyć na pamięć!

– Ale Karolina…

– Karolina dorwała sobie faceta z forsą i to wszystko. Dzwoniła do ciebie chociaż raz?

– Nie, ale teściowa mówi…

– Teściowa może sobie mówić. Ty jesteś najgłupszy w tej rodzinie, jeżeli nic nie pojmujesz. Zadzwoń sam do żony, to się przekonasz.

– Nie mam telefonu.

– Nawet telefonu nie masz? A to dopiero sierota! Daj spokój, zepsułeś mi tylko apetyt! Idź do teściowej i weź od niej telefon, a później zadzwoń.

– Chyba tak zrobię.

– Nie „chyba”, ale na pewno. Kochasz ją? Swoją żonę oczywiście, a nie teściową.

– Karolina stale mnie o to pyta. Chyba że kocham!

– Najgłupsi są zakochani. Takich najłatwiej zrobić w konia. Zjesz coś?

– Nie, lecę do teściowej.

– Leć, leć! Tylko na słup po drodze nie wpadnij!

25

Przyjechałem bardzo szybko. W drzwiach stało moje dziecko i uśmiechało się do mnie. Za nim stała teściowa, też wyszczerzała zęby w uśmiechu. Co za radosny dzień! Uśmiech bije ze wszystkich kątów.

– Siadaj, Bartek – powiedziała cieplutko. – Zaraz przygotuję ci śniadanko.

– Serdeczne dzięki! – powiedziałem i zamieniłem buty na kapcie, żeby się dywan za dwadzieścia pięć tysięcy nie przykurzył.

– Dziś rano dzwoniła Carla! – oznajmiła triumfalnie.

– I co? Jak jej leci?

– Bardzo dobrze. Specjalizację ma już prawie zrobioną.

– A z czego w ogóle żyje? Nie za mało ma pieniędzy?

– Nic podobnego! Prezenty nawet dostaje…

Ugryzła się w język i spojrzała na mnie z przerażeniem.

– Prezenty?

– No wiesz… – zaplątała się nerwowo. – Łazi za nią taki jeden. Bogaty facet. Milioner. Ciągle jej coś daje – waliła już otwarcie.

– Daje? – zapytałem niespokojnie. – Tak za nic?

– A jak ty myślałeś?! Ach Boże! – załkała. – On posądza moją córkę o łajdactwo! Niech cię piekło pochłonie! Jakiego to ja zięcia się doczekałam!

Ten wybuch szczerości uczulił moją uwagę na różne drobiazgi, których dotąd nie brałem pod uwagę. No, proszę. Gdyby nie Dzidek, chodziłbym dalej po świecie jak ślepy matołek.

– Czy ona musi te prezenty przyjmować? – zapytałem lodowato.

– Dlaczego ma nie przyjmować? – zapytała ponuro. – Ty nawet nie wiesz, ile ona sobie już biżuterii uskładała! A z tobą co miała? Same kłopoty i wieczny brak pieniędzy.

– I dziecko – dodałem złośliwie.

– Właśnie! – rzuciła się z całą mocą znowu. – Ten milioner powiedział jej, że jeśli ona zechce, to weźmie ją razem z dzieckiem!

– Ale chyba Karolina nie zechce – powiedziałem spokojnie. – Prawda, mamo?

Spojrzała na mnie spod oka. Wyglądała teraz, jakby z niej na ulicy najdroższe futro zdejmowali. Nie najlepszym byłem zięciem, oj, nie najlepszym! A już na pewno nie najbogatszym. Co tu kryć: najbiedniejszym! A tam przyszłość i pieniądze. Można będzie razem z córką pojechać, zostawić tu Precelka, a tam się wydać. A co? Taki milioner ma na pewno kumpli, którzy też są milionerami. Powabna teściowa też chciałaby pogrzebać się w biżuterii.

– Niech mi mama da telefon do Karoliny – poprosiłem w miarę spokojnie. – Chciałbym z nią porozmawiać na ten temat.

– Niestety, nie mam – odparła ze zjadliwym uśmiechem. – Gdzieś mi się zapodział. Jak znajdę, to ci dam. Zresztą ona już niedługo przyjedzie i wtedy sobie pogadacie.

– Wolałbym pogadać, zanim ona przyjedzie – nie ustępowałem.

– Wiem, ale nie mam pojęcia, gdzie zapisałam ten numer. Może przypomnę sobie później.

– Później, to znaczy kiedy?

– W tym tygodniu…

– To dobrze. Im wcześniej, tym lepiej. Muszę jej przypomnieć, z kim ma dziecko.

– O dziecko nie powinieneś się martwić! – zawołała ze zdziwieniem. – W razie czego zostanie milionerem!

– Już ja wolę, by zostało moim dzieckiem, a nie milionerem.

– Ty zupełnie nie myślisz o przyszłości! – krzyknęła z wyrzutem. – Dziecko musi mieć

warunki do życia! Tutaj ledwo oddycha!

– Jeśli tak, to zabiorę je do siebie – powiedziałem. – U mnie będzie lepiej oddychało.

Natychmiast zmieniła wyraz twarzy.

– Nie denerwuj się, Bartek – wyrzekła z cukierkowatą słodyczą. – Ja tak żartowałam. Carla prosiła mnie, abym sprawdziła, czy ją nadal kochasz. Teraz wiem, że faktycznie ją kochasz, i kiedy tylko zadzwoni, od razu jej to powiem. Nie masz pojęcia, jak ona za tobą tęskni!

– Jeśli tęskni, to dlaczego przyjmuje prezenty od obcego mężczyzny?

– Bo Włosi już tacy są. Dają wszystko, co mają, i zaraz idą swoją drogą. Bardzo serdeczni ludzie! A poza tym ten milioner to znajomy profesora, który załatwił praktykę dla Carli. Nie bój się. Twoja żona ma zapewnioną opiekę.

W głowie mi już szumiało od tych wszystkich układnych zdań. Gdyby światu groziła susza, teściowa zdolna byłaby zalać ten świat przynajmniej potokiem słów.

– Nie martw się o nic – dodała jeszcze teściowa widząc moją rozterkę. – Carla powiedziała mi kiedyś, że będzie twoją żoną aż do grobowej deski. Powiedziała też, że jesteś prawdziwym mężczyzną. To był bardzo duży komplement z jej strony, tym bardziej że teraz nie ma prawdziwych mężczyzn. Ja wiem o tym najlepiej!

Ma na myśli tylko Precelka, czy też przynajmniej wszystkich lokatorów z jej klatki schodowej? Widocznie nikt na nią nie poleciał. I chyba nikt już nie poleci, bo, niestety, latka lecą, a i charakter już nie ten, co trzydzieści pięć lat wstecz. Wszystko się wypaczyło a najbardziej chyba figura.

Mimo uroczystych zapewnień ze strony teściowej o tym, iż włoski milioner był jedynie znajomym, ogarnął mnie niepokój. Nawet gotów już byłem machnąć ręką na żonę, niech się przykrywa kołdrą wypchaną twardą walutą, ale dlaczego miałbym pozbywać się dziecka! Ostatecznie od milionów rozumu mu nie przybędzie, a poza tym dlaczego mój syn ma być tresowany przez niańki cudzoziemca! W zasadzie z przepisów wynika, że bez zgody ojca matka nie może zabrać dziecka za granicę, ale jednocześnie z literatury pięknej wiadomo, że jeśli ma się dużą forsę, to można kupić urzędników razem z ich przepisami.

Nie miałem dotychczas powodów do tego, by nie ufać Karolinie, ale podobno nic tak nie ogłupia kobiet jak pieniądze i prezenty.

A to dopiero szantrapa z tej mojej żony! Przyprawia mi rogi z jakimś włoskim mafioso? Wobec tego i ja nie pozostanę jej dłużny. Przelecę jakąś panienkę w naszym małżeńskim łożu. Niech sobie Karolina nie myśli, że będę tu wyczekiwał jak sierota na jej łaskawe przybycie…

27

Rozparłem się wygodnie na fotelu i wybrałem numer koleżanki, której nie widziałem już piętnaście lat. Miała osiemnaście w momencie, kiedy ostatni raz naszła mnie na nią chęć. Trzeba to będzie wreszcie jakoś załatwić.

– Cześć, Halina! – powiedziałem do słuchawki. – Dawno się nie widzieliśmy!

– Dawno? A kto mówi? – odpowiedział młody i jeszcze nie zdarty głos.

– Bartek.

– Nie znam żadnego Bartka!

– Co takiego? – oburzyłem się w groźniejszym tonie. – Bartka Zadury nie znasz?

– Bartek Zadura? Niesamowite! To ty?

– A żebyś wiedziała, że ja!

– W takim razie koniecznie musimy się spotkać!

– Nareszcie mówisz do rzeczy.

– Tyle lat!

– Co u ciebie? – zapytałem, bo tak się zawsze ludzie pytają.

– Nic specjalnego – odparła, bo tak się zwykle odpowiada.

– W takim razie kiedy się spotkamy?

– Może w następnym tygodniu? – zaproponowała ostrożnie.

– Dopiero w następnym? Dlaczego?

– Muszę się przygotować. Nie wiedziałam przecież, że będę miała przyjemność spotkać się z tobą.

– Więc kiedy mam zadzwonić do ciebie?

– We wtorek. Ale to ja zadzwonię. Podaj swój numer.

Pamiętam, że piętnaście lat temu nadawała się do tego, by zdradzić z nią żonę. Nie miałem wtedy żony, ale Halina była w takiej formie, że mogłem zdradzić z nią każdą inną. Po pewnym czasie wyjechała gdzieś na studia i chyba już komuś innemu ułatwiała zdrady. Zobaczymy, do czego nadaje się teraz. Prawdę mówiąc, ciągotek do zdrady nie miałem. Nie leży to w mojej naturze, zresztą sumienie nigdy mi na to nie pozwalało. Przecież nawet nie przeleciałem mojej oddziałowej, chociaż sama ciągle się o to doprasza. Nikomu o tym moim sumieniu nie mówię, bo jeszcze poszłaby po świecie fama, że jestem dupa. Teraz takie czasy, że nieważne, kim się jest, ważne, na kogo się pozuje. Uczciwość przestała być w cenie, w cenie jest cwaniactwo. Jak poznać cwaniaka? Otóż, zdaniem Adolka, cwaniaki chodzą latem przeważnie w czapce, a zimą w kapeluszu. Zarówno daszek czapki, jak i rondo kapelusza mają naciągnięte mocno na oczy, aby nikt nie poznał się na nich zbyt szybko. A w ogóle to jak się ma dobrego nosa, wtedy cwaniaka nawet bez czapki można rozpoznać. W każdym razie Adolek nie ma nigdy trudności z poprawną diagnozą. Muszę go koniecznie odwiedzić któregoś dnia, bo towarzysko jestem już okropnie zaniedbany. Nawet u Fredka nie byłem długo, mimo że mieszka najbliżej mnie.

Złapałem się kiedyś na tym, że mi zaczyna być dobrze w samotności. Zamykam oczy i pozwalam wyobraźni, by prowadziła mnie dokądkolwiek. Nie wiem dlaczego, ale zawsze schodzę wtedy do piekła, gdzie w beczkach wypełnionych smołą smażą się sukinsyny. Jest tych sukinsynów tylu, że obsługa nigdy nie może zdążyć z podrzucaniem węgla do paleniska. Kiedyś było nawet tak, że sam podsypałem kilka szufli pod beczkę, gdzie siedział pies, który pogryzł mnie kilka lat temu, jak po przeskoczeniu płotu zrywałem gruszki na pewnej plebanii. No i proszę! Niby święty pies, bo księżowski, a też się smaży. Dobrze mu tak, sukinsynowi! Dorzuciłem węgla, niech nie marznie w zimnej smole. W piekle nikt nikogo nie rozpieszcza. Może w niebie, ale tutaj nie. Tutaj grzeje ze wszystkich stron. Cwaniaki też tu się smażyli. Jak

zdążyłem zauważyć, wszyscy pochodzili z letniego poboru. Każdy w czapce, w kapeluszu nie było ani jednego.

Długo w tym piekle wytrzymać nie mogłem, bo mi dym wgryzał się w gardło. Ale co zobaczyłem, to moje. A do swojego mieszkania wracałem stamtąd windą. Musiałem stać cały czas na środku, bo ściany oblepione były smołą. Nic o estetykę nie dbają tam na dole, dranie!

28

We wtorek przed południem zdecydowałem się już ostatecznie. Postanowiłem zdradzić Karolinę i cześć. Specjalnej ochoty na tę zdradę w dalszym ciągu nie miałem, ale okoliczności dojrzały już do takiego stopnia, w którym obowiązkiem męża jest zdradzić żonę. No bo od ślubu minęły niemal trzy lata. To raz. Żona przyprawia mi rogi we Włoszech. To dwa. Dalej – Dzidek zawiadamiał, że mnóstwo nie zagospodarowanych bab leży i czeka, w związku z tym powołaniem każdego mężczyzny jest jakiś humanitarny czyn wobec tych bab przynajmniej raz na pięciolatkę. To trzy. Zresztą zbliża się Dzień Kobiet i sprawa nie wymaga dalszych komentarzy. I wreszcie – żony są od tego, żeby je zdradzać. Literatura piękna podaje, że taka jest moda, i nie ma się co migać.

A więc sprawa załatwiona. Zdrada została zaplanowana i nie ma o czym mówić. Jeszcze tylko muszę ustalić, z kim i gdzie.

Zadzwonił telefon. Nawet w takiej chwili nie dają człowiekowi spokoju?

– Słucham uprzejmie!

Tak się nauczyłem mówić, ale to wcale tak nie znaczy.

– To ty? – odezwało się w słuchawce.

Ba! A niby kto?

– Nie – odparłem na wszelki wypadek. – To nie ja. To mój brat.

Niech ma, kiedy tak głupio się zapytała. Tak, zapytała! Bo to baba, tam z drugiej strony.

– Halina mówi – usłyszałem po chwili.

Aha! Rozjaśniło mi się w głowie. Było tak, jak gdybym dojrzał nagle tęczę na usmarowanym niepogodą niebie.

– Kochanie! – zawołałem entuzjastycznie. – Wyczekuję na twój telefon od samego rana!

Przesada. Ale niech jej to poprawi nastrój. Za coś takiego powinienem mieć później w piekle staż krótszy o tydzień.

– Chciałam ci przypomnieć, że umówiliśmy się na dzisiaj.

– Cha! cha! cha! – Roześmiałem się trochę bez powodu. – Tylko o tym myślę! Już niedługo się zobaczymy!

Jeżeli się nada, to może właśnie z nią zdradzę wreszcie tę moją żonę. Z kimś przecież muszę.

– Ale… – zaczęła niepewnie.

– No co?

– Muszę ci przypomnieć, że ja już nie mam osiemnastu lat!

– Cha! cha! cha!

Po jakiego licha właściwie tak się śmieję? Jeszcze pomyśli, że jestem niebezpiecznie głupi albo że mam ją za pięćdziesiątkę. Ma trzydzieści trzy, przecież wiem.

– Dlaczego się śmiejesz? – zapytała ostrożnie.

– Bo ja też jestem już trochę do przodu. Po dwudziestce.

– Po ilu?

– Po dwudziestce. Widzisz, Halinko, u mnie to wszystko leci dużo wolniej. Niektórzy po Sylwestrze dodają sobie zaraz cały rok, a ja tylko pół.

– O!

– No właśnie!

Może znowu się roześmiać?

– Cha! cha! cha! – roześmiałem się, niech wie, jaki jestem sympatyczny.

– Dlaczego ciągle się śmiejesz? – zapytała nieco urażona. – Czy może ja tak głupio wyglądam przez telefon?

– Trudno powiedzieć – wyznałem szczerze. – Ale jeżeli chodzi o mnie, to ja już jestem taki wesoły.

– Naprawdę? I nie masz nigdy chandry?

– Mam. Ale zwalczam ją metodą uderzeniową. Po dwóch godzinach zwykle mija. Zawsze mówię, że jeśli nie minie, to wyskakuję przez okno.

– Straszne! – wyszeptała z podziwem. – Ile razy już skakałeś?

– Trzy!

– Ojej! Nie zrobiłeś sobie krzywdy?

– Nie, bo ja mieszkam na parterze.

I cisza. Potrząsnąłem słuchawką a tu nic.

– Halinko!

– Tak, tak! – odezwała się. – Słyszę. Mężczyźni to zawsze spadają na cztery łapy. Mniejsza z tym. Jak cię poznać? W co będziesz ubrany?

– Dżinsy od góry do dołu. Włosy króciutko ostrzyżone. Spojrzenie inteligentne. A ty?

– Też. Tak samo jak ty. Dżinsy oraz inteligencja.

– Wobec tego jak cię rozpoznać? Mogę cię pomylić ze sobą!

– Włosy mam jasne.

To dopiero ciekawostka! Jeszcze trochę i powie, że ma pięć palców u jednej ręki.

– W porządku – zawiadomiłem. – Liczę na swoją wyobraźnię. Piętnaście lat to wcale nie tak dużo. Do zobaczenia! O czwartej w „Niespodziance".

– Denerwuję się! Robota mi nie idzie, gdy o tym pomyślę.

– Z powodu tego spotkania?

– Właśnie.

– Weź pigułkę. I nie przejmuj się! Cześć!

No to na razie tyle. Do czwartej jest jeszcze sporo czasu. Można zanudzić się na amen. Nie! Znowu telefon. Tym razem wewnętrzny. Dzwoniła pani docent.

– Panie Bartku, jest pan wolny?

– Co to, to nie, pani docent! – zawołałem z godnością. – Żona nie była aż tak uprzejma. Powiedziała, że będzie moja do grobowej deski i…

– Kiedy pan spoważnieje? – przerwała.

– Ja? Nie mam powodu – wyznałem szczerze. – Jedno dziecko w domu, to jeszcze nie tragedia.

– Niech pan przestanie! Jest operacja, nie ma instrumentariuszki. Zastąpi ją pan?

– Oczywiście! Dla pani docent wszystko!

Nie było dzisiaj Mustafy, do zabiegu przygotowywał się duet Sawicka – Czajęcka. Swego czasu duet ten ochrzciłem nazwą „Makabreska" i tak już zostało.

– Panie Bartek – powiadał zwykle portier Dąbek – przecie ta „Makabreska" wymorduje nam cały szpital. Nie mogą dać ich gdzieś do administracji albo do kuchni?

Dąbek jest stary i zacofany. Nie wie, że laryngologów brakuje. Gdyby przyszedł jaki z ulicy i powiedział, że wczoraj studia skończył, to też by go przyjęli, a dyplom sprawdziliby dopiero za rok. Nawet sam Dąbek mógłby robić za laryngologa, gdyby tylko nie miał tej okropnej szczupaczej mordy.

A „Makabreska" oczytała się w młodości mnóstwem powieści indiańskich, wyrobiła sobie wizję bohaterskiego wojownika przy palu męczarni i teraz szuka indiańskich twarzy wśród pacjentów. Kto wytrzyma i nie zemdleje? Środki przeciwbólowe niby są, ale żeby je zastosować zgodnie z przepisami, należy prosić anestezjologa. Anestezjolog to arystokrata szpitalny, którego proszą wszyscy. Idzie na każde wezwanie, ale wszyscy wiedzą, że robi łaskę. A przecież nikt nie

lubi łaski. Jeśli już chodzi o ścisłość, to podawanie środków znieczulających mam w małym palcu u nogi. Nawet Mustafa o tym wie i często wykorzystuje mnie nieoficjalnie. Ale „Makabreska” nie chce się spoufalać, by nie tracić szpanu. Szpanuje na każdym kroku, bo do przerażonych oczu pacjentów przyzwyczaiła się już dawno, a do środków przeciwbólowych jeszcze nie. A kiedy już dorwie się do prostowania przegrody nosowej albo chociażby do wycinania migdałów, to na sali operacyjnej robi się jedna jatka. Krew tryska jak woda z popękanej kanalizacji. Im więcej zabiegów, tym gorzej wychodzi. To dopiero jest sztuka! Teraz zanosi się na to samo. Pójdę za nimi w miarę mądry, a wrócę kompletnie głupi. Śmierć frajerom! Tylko masochistom „Makabreska” sprawić może pełną satysfakcję.

29

O godzinie osiemnastej włączyłem taśmę. Poleciała niezła pościelowa, czyli, jak to się dawniej mówiło, muzyka nastrajająca do łajdactwa. Za pół godziny przyjdzie Halina, popatrzy na mnie, zachwyci się z mety, zrobi rozbiórkę i wskoczy do wyra. A ja na nią!

Wobec tego jedną sprawę mam już załatwioną. Co zrobię później? Aha, trzeba trochę pogadać, bo nie wypada tak od razu proponować jej następnego spotkania. Pogadam więc o literaturze i o sztuce. Jeszcze tylko nie wiem, czy ona się na czymś takim zna. Może jest elektronikiem z zawodu? A może jest lekarką? Rety! Całe zachcenie mnie opuściło. Z lekarką bym nie wydolił. Karolina to wyjątek. Ale inna? Zacznie się wyrażać anatomicznie i nastrój przepadnie natychmiast. Kiedyś, za kawalerskich czasów, pewna świeżo dyplomowana lekarka powiedziała mi w łóżku tak:

– Tylko uważaj, bo mam łaskotki na clitoris!

Wczułem się natychmiast w sytuację i zapytałem:

– W takim razie konfiguracje oralne nie wchodzą w grę?

– W żadnym wypadku!

– Aha. A czy mogę dokonać pewnych czynności wstępnych metodą manualną?

– Tylko od pasa w górę – oznajmiła. – Dół załatwiam sobie sama metodą autosugestii.

Pamiętam, że coraz bardziej wciągała mnie ta dysputa.

– A czy, za przeproszeniem, manipulacja penisem w ogóle wchodzi w grę?

– Naturalnie. Ale dopiero wtedy, gdy dam sygnał.

Od razu poczułem się jak w laboratorium Pawłowa. Eksperymentowałem manualnie na bujnym biuście, sprawdzałem, czy nie ma tam jakichś guzków podskórnych albo podejrzanych rozstępów, bo w razie czego, to podszepnąłbym miłej znajomej, żebyśmy przenieśli się z tym łóżkiem na oddział nowotworowy. Nowotwór wcześnie wykryty gwarantuje szybkie wyleczenie. Zębami nawet sprawdzałem. Delikatnie, ale jednak. Niestety, wszystko było w normie. Okropnie się wtedy zmartwiłem, że nie przysłużę się koleżance, która była uprzejma ofiarować mi swoje ciało. Zastanawiałem się, gdzie by tu jeszcze znaleźć jakiś pewny feler, kiedy nagle usłyszałem krzyk:

– Teraz!

O mało z łóżka nie wypadłem. W ostatniej chwili złapałem dwoma rękami za pierś i to mnie uratowało. Ale jeszcze kilka sekund dygotałem ze strachu.

Spojrzałem w oczy dziewczynie. Miała zamknięte. Pot skroplił jej czoło, a zęby zacisnęły się złowieszczo. Znowu miałem trudności diagnostyczne, ale lokalizacja zagadnienia sprowadzać się tutaj mogła już tylko do dwóch jednostek patologicznych: epilepsja albo zespół Parkinsona. I nagle…

– Szybko, bo nadchodzi!!!

Trzepnąłem się w głowę ze zrozumieniem. Racja! Przecież mogą nas w każdej chwili nakryć. Wyskoczyłem na podłogę i podbiegłem do drzwi. Przekręciłem klucz i dopiero wtedy swobodnie odetchnąłem. Teraz może sobie nadchodzić. I tak nie otworzę. Wróciłem spokojnie do łóżka, w którym rytmicznie pulsowała powłoka cielesna mojej partnerki. Bardzo długo to trwało, aż wreszcie dziewczyna uspokoiła się, opadła swobodnie na poduszkę i objęła mnie mocno rękami.

– Jesteś cudowny! – zawołała. – Jeszcze z nikim nie przeżyłam tak mocnego orgazmu!

A to dopiero! Orgazm metodą autosugestii. Doszła już nawet do tego, że nie wiedziała, gdzie ja się znajduję. Wspaniała technika. Człowiek przekręca klucz w zamku, a w tym czasie dziewczę wpada w trans i przeżywa. Na drugi raz wiedziałbym już, co nadchodzi, a gdyby mi się udało, to z pewnością przyłączyłbym się do tej zabawy.

Tak sobie wtedy myślałem, ale później okazało się, że zamiast się rozpalić, na sam widok mojej lekarki biegłem do drzwi i sprawdzałem zamek. Nabawiłem się przykrego odruchu warunkowego. Jak pies Pawłowa, który początkowo ślinił się na dźwięk dzwonka brzęczącego razem z podawanym śniadaniem, a po pewnym czasie już sam dzwonek wystarczał do wydzielania się śliny. Więc trzeba było rozstać się z panienką, bo mi się znudziły orgazmy zdalnie sterowane.

A teraz czekam na Halinę, z którą najpierw miałem spotkać się w „Niespodziance", ale później namówiłem ją na wizytę u mnie.

Już powinna być. Ciekawe, jak u niej jest z punktualnością. Przyjdzie zaraz czy za godzinę? A może za dwa dni?

Dzwonek. No, proszę. Baba, a jednak punktualna. Otworzyłem drzwi. Weszło, a raczej wbiegło miłe jasnowłose zjawisko. Jakby lekkim, kawaleryjskim galopem.

– Jestem! – powiedziało głośno i wysapało się. – Biegłam, żeby się nie spóźnić!

– Witaj, Halinko! – zawołałem promiennie. – Jesteś jeszcze piękniejsza niż piętnaście lat temu!

– Ojej! – zmartwiła się. – To było aż piętnaście lat temu?

– Niestety. Aż piętnaście. Ale to nic. Jesteś tak piękna jak nigdy przedtem!

– Naprawdę? – zapytała niepewnie.

– Oczywiście! – przytaknąłem szczerze, bo naprawdę byłem olśniony jej urodą. – Nikt ci tego nie mówił?

– Nie. Zresztą sam wiesz, jacy są teraz ludzie. To buraki, a nie ludzie!

Powoli naprowadziła mnie na trop. Jest albo była żoną jakiegoś specjalisty od rolniczych spółdzielni produkcyjnych.

– Dzieci masz? – zapytałem radośnie.

– Nie mam. Nie lubię dzieci. A może nawet lubię, ale ten mój mąż jakoś o to nie zadbał.

– Ach tak! Miejmy nadzieję, że jeszcze zadba!

– Już nie. Rozwiedliśmy się trzy lata temu! – desperacko oznajmiła Halina.

– To świetnie! – ucieszyłem się od razu. – Znaczy, że jesteś wolna!

– W zasadzie tak. Mówią o mnie, że jestem panienka z odzysku. A co u ciebie?

– Zanosi się na rozwód – przyznałem szczerze.

– Coś ty! Dlaczego?

– Przecież wiesz, dlaczego. Charaktery się nie zgadzają.

– Racja – pokiwała głową. – Zawsze tak bywa. Moje wszystkie koleżanki już się rozwiodły. A jak twoi koledzy?

– Kawalerowie.

– Takim to dobrze. Nie szukają partnerek życiowych? Szukam nowego męża. Mój dotychczasowy nigdy mnie nie doceniał.

– Może był zajęty pracą? Teraz wszyscy chcą zarobić dużo pieniędzy. Czym się zajmował?

– Ogrodnictwem. Wiesz, szklarnie i te inne rzeczy.

A więc byłem blisko. Od ogórka do buraka niedaleka droga.

– I źle wam było? – zapytałem z ciekawością.

– Jeśli chodzi o pieniądze… – zaczęła.

– Nie – zaprzeczyłem. – Chodzi o te rzeczy.

– Nie było czasu. Już nawet nie pamiętam, jak to wygląda.

– W takim razie trzeba sobie przypomnieć! – nawiązałem radośnie do tematu, który nurtował mnie od kilku dni.

– Nie żartuj! – uśmiechnęła się wstydliwie. – Tyle czasu minęło.

– To dobrze. U mnie też była przerwa.

Aż usta otworzyła. Bezpośredniość mojej propozycji mogła ją zrazić natychmiast albo też skłonić do uległości.

– Mówisz poważnie? – zapytała cicho. – Może lepiej poczekać na następne spotkanie?

– Na następnym spotkaniu powtórzymy ten manewr – odparłem spokojnie i chwyciłem ją w ramiona.

– Och! – zawołała z przerażeniem w oczach i za chwilę wpiła się we mnie ustami. Prawdopodobnie również ze strachu.

Wobec tego przystąpiłem do rozbiórki. Kiedy już stała nago, stwierdziłem, że figurę ma wyjątkową. Czyżby to zależało od regularnej diety pomidorowo-ogórkowej? Jeżeli tak, to powinna jak najszybciej wrócić do męża, a przynajmniej do jego szklarni.

– Jesteś wspaniale zbudowana! – krzyknąłem z podziwem.

– Naprawdę?

– Nie wierzysz mi? Nikt ci o tym nie mówił?

– Przecież wiesz, że ludzie to teraz takie buraki…

Wobec tego zabraliśmy się do dzieła. Już przedtem postanowiłem, że wykażę się w akcji kopulacyjnej szczególną inwencją, co w moim przekonaniu powinno zrównoważyć fakt zdradzania mnie przez żonę. Tak więc zacząłem z Haliną od pozycji podwójnego bociana. Poszło ostro, niemal z klekotem. Po czterech minutach, bo dłużej już nie dało się wytrwać w tamtym układzie, przeszliśmy do serii drgawek szóstkowych, a następnie spreparowaliśmy wspólnie kwiat lotosu. Później ja stanąłem na rękach i oparłem się nogami o ścianę, a ona ponętnie się wypięła i pracowała za nas dwoje. Wreszcie przeszliśmy na pozycje bardziej konwencjonalne, takie jak: raczkowanie, pchli skok, meduza i huśtawka. Akt miłosny zakończyliśmy wspólnym orgazmem pod kanapą, żeby było bardziej kameralnie.

Kiedy już wygramoliliśmy się na środek pokoju, trudno było nam wyjąkać chociaż słowo. Dyszeliśmy jak mopsy po rekordowym biegu pod górkę. Zdążyłem jednak zauważyć, że najbardziej owocna okazała się nasza akcja pod kanapą. Wymietliśmy stamtąd chyba wszystkie pająki, które teraz niespokojnie paradowały po nas jak gdyby zastanawiając się, gdzie by tu pajęczynę od nowa rozciągnąć.

Krótko mówiąc: odprawiliśmy konstruktywne nabożeństwo.

W łazience spędziliśmy pół godziny. Zresztą w wodzie też jeszcze sporo czasu zeszło nam na łapaniu powietrza. Halina przyglądała mi się na przemian z przerażeniem i zachwytem.

– Ale z ciebie diabeł! – ustaliła wreszcie głosem drżącym z emocji. To był prawdziwy taniec życia. Musimy go przeżyć jeszcze raz.

– Czy… czy… jeszcze dzisiaj? – zapytałem z przerażeniem.

– Niekoniecznie – uspokoiła mnie Halina. – Przed nami całe życie. Musimy je przetańczyć!

Wyprostowała się w energicznym rozkurczu, aby wyraźniej podkreślić swoje taneczne walory. Przyznałem w duchu, że zademonstrowała się naprawdę sugestywnie i już byłem gotów na jakieś trzy pas, tylko że akurat złapał mnie kurcz w łydkę i musiałem zrobić sobie intensywny masaż.

Potem usiedliśmy przy stole i piliśmy herbatę. Kiedy już wypiliśmy tę herbatę, to zaczęliśmy pić wodę sodową. Miałem jeszcze trzy słoiki kompotu. Też wypiliśmy. Dopiero woda z kranu wyrównała nam stały poziom wilgotności w organizmach.

Ale w głowie szumiało mi jeszcze nawet wtedy, gdy odprowadzałem ją do tramwaju.

To był dopiero dyżur! Ani jednego telefonu, ani jednej interwencji w ciągu nocy. Wiśniewska tylko raz wywlokła się z zabiegowego, okręciła się w kółko z zamkniętymi oczami i pobiegła do łazienki. Dopiero w drodze powrotnej oczy miała do połowy otwarte.

– Podoba się panu moja koszulka? – wymamrotała zalotnie.

Spojrzałem uważnie. Koszulka jak koszulka. Krótka, ledwo osłaniająca zgrabną pupę, przezroczysta, nie zatrzymująca na długo wzroku. Spojrzenie łatwo przedzierało się przez cienką tkaninę, nawet temperatura ciała wydawała mi się na moment wyczuwalna.

Odwróciła się jeszcze w drzwiach.

– No więc jak? – zamarudziła znowu. – Ładna ta koszulka?

Zamknęła drzwi w chwili, gdy otwierałem usta.

– Ładna – powiedziałem więc do ściany, na której wisiał grafik dyżurów pielęgniarskich. Obok grafiku tkwiła kartka z karykaturą Józi. Nie mam pojęcia, kto dokonał dzieła, ale prezentowana postać nosiła wyjątkowo maszkarowate rysy. Do Józi podobna tylko z ubrania, które starannie odtworzono, ale twarz… twarz należała do kogo innego. Przyjrzałem się uważniej. Miałem przecież czas, bo i tak dyżur był nietypowy. Gapiłem się więc w malowidło jak w święty obrazek, a im dłużej się gapiłem, tym mocniej wypaczał mi się charakter. Sam tak to określiłem. Jednych wypacza ideologia, innych obrazek. Widocznie naturę mam na wskroś artystyczną, bo obrazek obudził we mnie dość odległe skojarzenia.

Zmrużyłem mocno oczy. Karykatura nabrała nowych barw. Jeszcze bardziej zmniejszyłem szparę między powiekami. Mięśnie twarzy zastygły w niewygodnym skurczu. Karykatura nabrała życia. Co zrobić, żeby zaczęła gadać? Napiąłem się w samym dnie gardła. Wyszło standardowe beknięcie. Co by tu jeszcze wymyślić? Może zacznę wywoływać duchy…?

Przerwa między powiekami utrzymuje się ciągle w tym samym wymiarze. Wsadziłem palce wskazujące do uszu. Usłyszałem zaraz szum morza. Karykatura otworzyła usta:

– Carla! – wrzasnęła. – Tylko się nie utop!

No proszę. I po co wywoływać duchy? Trzeba tylko pogonić wyobraźnię. Teraz wszystko jest jasne. Z kartki wygląda rasowa buźka mojej teściowej. A to dopiero wredna istota! Ileż ja czasu musiałem poświęcić, żeby ją wreszcie zidentyfikować. Niechby przynajmniej coś do mnie powiedziała. Córka za granicą, a do morza kilometrów tyle, że obrazek wypłowieje, zanim tam dotrzemy. Nuże, do dzieła!

Jeszcze mocniej wcisnąłem palce w uszy.

– Aaaa! – wrzasnęła teściowa, widocznie zabolało babę. – Kto mnie tam indoktrynuje?

Znowu się babie pomieszało. Czy ona do końca życia nie przestanie majaczyć za pomocą wyrazów ciągle dla niej niezrozumiałych?

Rozluźniłem uścisk. Wypogodziła się. Na jej twarzy zakwitł dekoracyjny uśmiech. Uniosła brodę wysoko w górę i zastygła na kilka chwil w pozycji ucieleśnionej szlachetności i dobroci. Zbierało mi się na wymioty, ale wstrzymałem oddech i potok nieczystości cofał się do źródeł. Powtórzyłem ten manewr kilka razy i wreszcie nastąpiło przesilenie. Co za ulga! No i wreszcie teściowa wyglądała już normalnie, bez świątecznego uśmiechu. Widocznie myślała, że nikt na nią nie patrzy i może już być sobą bez najmniejszego wysiłku.

– Karolku! – powiada do mojego dziecka. – Ten twój tata to wyjątkowe bydlę, prawda?

Dziecka nie widzę, widocznie siedzi w drugim pokoju.

– To babcia jest bydlę – odpowiada spokojnie Karolek.

– Nie mów do mnie „babcia”! – krzyknęła ostro. – Mów „mama”!

– Do takiego starego rupiecia? – protestuje Karolek.

– Kto cię nauczył tak brzydko mówić?

– Mój tata.

– Zabiję tego bydlaka! – zrywa się baba z miejsca. – Zabiję was obydwu!

Pobiegła przed siebie, na chwilę zniknęła mi z oczu, a zamiast niej dał się słyszeć płacz dziecka. A ty cholero jasna!

– Zostaw dziecko, wampirzyco!!! – ryknąłem groźnie.

Poczułem uderzenie w plecy. Przechera! Zamachnąłem się mocno i wypuściłem pięść do przodu. A masz! I jeszcze powtórka otwartą dłonią. I jeszcze raz! Co za rozkosz! Życie jest wspaniałe. Jak przypakuję znowu, to się teściowa rozsypie. Napiąłem mięśnie, ale nagle usłyszałem płacz. Ojej! Na płacz nie jestem wystarczająco uodporniony. Opuściłem ramiona z rezygnacją. Trudno. Na razie wystarczyć musi ta skromna dawka. Ale ręka mnie świerzbi. Coś muszę z nią zrobić. Rąbnę przynajmniej w stół…!

Ale się narobiło.

Dłoń mi zdrętwiała, szeroko otwarte oczy patrzą wokół, cały pokój wiruje mi niemal jak karuzela, a na podłodze leży wstydliwie okrywająca swoje ciało Wiśniewska i beczy jak nie wyregulowana koza. Przytrzymałem się biurka obydwoma rękami i wstałem z miejsca. Wirówka jakby zwolniła, ale Wiśniewska wycofuje się rakiem i nawet nie próbuje już niczego zasłaniać.

– Panie Bartku! Niech pan się uspokoi – zawołała.

Coraz gorzej. Co tu jest grane? Czyżby moja teściowa zamieniła się nagle w seksowną Wiśniewską? O rany! Mówiłem, że to córka diabła i że wszystko potrafi.

– Panie Bartku! Co panu jest?

Potarłem ręką czoło. Sen to czy jawa? Mój wzrok przypadkowo natrafił na umywalkę. To jest to! Puściłem strumień zimnej wody na głowę. Razem z wodą spływała na mnie świadomość, która coraz wyraźniej udostępniała mi rozumienie świata w jego naturalnych zależnościach.

Wiśniewska stała już wyprostowana, nie zdradzała przerażenia, trzymała się tylko za ucho i jęczała.

– Ale mi pan przyłożył! Ojej!

Woda kapała mi z głowy na fartuch. Wyglądałem chyba jak sierotka Marysia skopana energicznie przez wszystkich krasnoludków.

– Co ja… pani zrobiłem? – wyjąkałem bezmyślnie.

– Uderzył mnie pan! I to dwa albo trzy razy!

– A to heca! – mruknąłem i podniosłem oczy wyżej. – Jak to się stało?

Zdenerwowała się nagle. Strach jej przeszedł, napadła na mnie z furią:

– Jak to jak? Wrzeszczy pan jak zarzynane cielę, wykrzykuje pan na cały głos, że wampiry lecą, zbudziłam się przestraszona, podbiegłam do pana, klepnęłam w plecy, a pan… a pan… Pan się zachował jak zwyczajny cham! – zakończyła.

Rozłożyłem bezradnie ręce.

– Przepraszam. Widocznie zasnąłem.

– Zasnął pan? Przecież mamy dyżur.

Westchnąłem. No tak. Mamy. Przyjrzałem jej się uważnie. Z ucha kapała krew.

– Zrobię pani opatrunek i przyrzekam, że już więcej nie zasnę ani razu.

Podczas opatrywania ucha pani doktor zastanawiałem się, co by było, gdyby tak teściowa przyśniła mi się podczas jazdy samochodem.

No a po kilku godzinach ostrego czuwania wsiadłem do samochodu, aby pojechać w odwiedziny do Karolka. Zaraz po starcie znowu pojawiła się ta sama myśl. Naprawdę senna mara, obleczona w kształty teściowej naraziłaby mnie na poważne niebezpieczeństwo. Szybko jednak przywykłem do szumu silnika, który nie posługiwał się obcymi zwrotami i wszystko szło

bez zakłóceń.

Na klatce schodowej echo roznosiło wrzawę wylewającą się przez drzwi prowadzące z mieszkania teściowej. Aż przystanąłem na chwilę. Musiało się tam coś szczególnego wydarzyć. Albo Lusieńka założyła nową partię polityczną i teraz odprawia nabożeństwo dla aktywu, albo też wykuła na pamięć dziesięć wyrazów obcych, sprosiła sąsiadów i wygłasza kazanie o przewadze uczonego ducha nad rozpasanym ciałem. Lud siedzi, słucha, podziwia i komentuje. Jak to lud. Zbiorowy rozum, wbrew pozorom, zawsze jest głupszy niż indywidualny pomyślunek.

Zapukałem do drzwi. Bez rezultatu. Z tym samym skutkiem mogłem puknąć się w głowę. Nacisnąłem klamkę. Otwarte. Przedpokój pusty, za to z dużego pokoju buchnęły we mnie opary nieskoordynowanego recitalu gadulstwa. Nikt nie wychodził mi naprzeciw, więc wciąż paradowałem niepostrzeżenie.

Otworzyłem ostrożnie drzwi do mniejszego pokoju. Na stoliku widniały otwarte książki. Mała encyklopedia zdrowia… No, no, no! Czyżbym trafił na stypę? Ktoś przeszedł do legendy, bo teściowa zbyt późno otwarła swoją zadrukowaną kopalnię wiedzy i nie zdążyła już udzielić porady. Nic nie szkodzi. Ona i tak wyjdzie na swoje. Dobierze człowiekowi kolor trumny i grabarza. Czyli że jak zwykle będzie miała również na cmentarnej niwie ostatnie słowo.

A to drugie dzieło? Nietrudno zgadnąć. Modlitewnik debila salonowego, czyli słownik wyrazów obcych. Lusieńka trzyma to zwykle pod poduszką. Przez noc przeniknąć może do głowy wiele mądrości. Jak pójdzie dobrze, to i diabła da się zażyć, kiedy taki autografu na cyrografie zażąda. Tfu! Zgiń, przepadnij, maro nieczysta!

Opuściłem sanktuarium spokrewnionej ze mną czarownicy i ukazałem się w drzwiach salonu.

– O! – powiedzieli prawie wszyscy i nie wiedziałem, czy zamanifestowali tak swoją radość, czy cierpienie. Zresztą, pal ich diabli! Przyjechałem do dziecka, a nie do rodziny apostolskiej.

Skłoniłem głowę w przepisowym ukłonie. Najbliżej mnie zaparkowana była debilowata maska Precelka. Trochę dalej usadowił się dziadek, potem butelka, babcia, znowu butelka, schab, wujkowie ze wsi, ciasto, ciotki ze wsi, butelka i teściowa. Karolek siedział pod stołem i bawił się z małym kotkiem.

– Zdrowie miłego gościa! – zawołał dziadek.

Wypili po kieliszku i twarze wykrzywiły im się tak chorobliwie, że momentalnie poczułem w sobie ogarniającą mnie słabość.

– Tata przyjechał! – zawołał Karolek i przyniósł mi kota.

Kot nie krzywił mordki, wyglądał więc o wiele sympatyczniej, niż ozdrowieńcy za stołem.

– Jak się dziadek czuje? – zapytałem uprzejmie, głaszcząc jedną ręką kota, drugą Karolka.

– Teraz bardzo dobrze! – zaszczebiotała teściowa, no bo cóż taki dziadek mógł odpowiedzieć na postawione pytanie, jeżeli ma obok siebie wygadanego rzecznika niemal prasowego. – Tatuś przeszedł horrendalne colpitis! – Powiodła po mnie dumnym spojrzeniem odkrywcy wszelkiej wiedzy.

Popatrzyłem na dziadka ze zdumieniem.

– Naprawdę miał dziadek colpitis?

Wzruszył ramionami, mimo że cała reszta przytaknęła.

– Ja nie wiem, jak to się nazywa – zamruczał skromnie. – Kazali jeść tabletki, to jadłem.

– Na pewno colpitis – pewnym głosem powtórzyła teściowa. – Ten colpitis dokuczał już tatusiowi od pięciu lat.

– A to dopiero! – pokręciłem głową z podziwem. – Mimo wszystko nie wierzę. Ile dziadek ma lat?

– Siedemdziesiąt pięć – odpowiedziała teściowa.

– A jak dziadek siusiał przez te wszystkie lata?

Zapadła cisza. Dziadek też patrzył na mnie bez słowa.

– Chodzi mi o to – podjąłem układnie temat – czy dziadek siusiał w kucki, czy na stojąco?

– No wiesz! – zawołała Lusieńka. – Obrażasz tatusia! Sam odpowiedz, czy siusiasz w kucki!

– Ja nie, ale colpitis nigdy nie miałem i chyba nie będę miał.

– Nigdy nic nie wiadomo – wtrąciła się Balbina. – Pan Bóg ześle nieszczęście i będziesz miał tego, jak mu tam, kolpitisa.

– Jeżeli Pan Bóg, to poddaję się – bąknąłem ze skruchą.

Karolek przestał bawić się kotem.

– Tata, co to jest ten kolpitis? – zapytał.

– Zapalenie cipki, synku.

Teściowa otworzyła usta i spojrzała na mnie ze zgrozą. Karolek otrzymał odpowiedź na pytanie i zajął się kotem. Dziadek natomiast zdenerwował się nagle i wstał z krzesła.

– To ja mam cipę? – zapiał dyszkantem.

– Niech tatuś rozepnie spodnie i zobaczy! – zarechotał podpity Precelek.

– Miałam na myśli zapalenie jelita grubego! – wyjaśniła nareszcie teściowa.

– Czyli: colitis – podsumowałem krótko.

– Aha! Właśnie! – zamachała rękami i złapała się za głowę. – A to dopiero pomyłka! Oczywiście, że colitis! Przecież to proste!

– Proste? – włączył się znowu Precelek. – Może i proste, ale podmieniłaś tatusiowi klejnoty!

Wszyscy ryknęli śmiechem. Teściową omal szlag nie trafił.

– Ty, kretynie! – zawołała. – Ty, matołku! Po polsku mówić nie umiesz, a chcesz mi uwagi robić? W kartoflisku się wychowałeś, do gęby nic włożyć nie miałeś, żyjesz tylko dzięki mnie…!

Na Precelku nie zrobiło to wrażenia. Ot przywykł. Wstał i poszedł do łazienki. W drzwiach obrócił się i spojrzawszy błędnym okiem na zgromadzonych gości zawołał:

– Muszę sprawdzić, czy mi Lusieńka klejnotów w nocy nie podmieniła!

Znowu zrobiło się wesoło. Karolek się śmiał i nawet kot wyglądał na uśmiechniętego.

– Rozwiodę się z tym chamem – zapowiedziała teściowa. – I tak nie ma z niego żadnego pożytku. Miejsce w domu i co lepsze kąski zabiera. Rozwód będzie najlepszym wyjściem.

– Lusieńka tylko tak mówi! – roześmiała się Balbina. – Ja to już słyszę od pięciu lat. Rozwód i rozwód, a chłop siedzi w domu, jak siedział pięć lat temu.

– Przedtem nie mogłam – wyjaśniła Lusieńka – bo akurat kupiłam pralkę automatyczną. A co by było, gdyby przy podziale majątku zażyczył sobie pralki? Gdzie ja kupię drugą taką? To już lepiej niech ten cholernik jeszcze siedzi w domu. Jak się pralka zużyje, wtedy od razu wystąpię o rozwód.

– A kto weźmie regał? – zaciekawił się Janek.

– Regał jest mój – odpowiedziała. – Wara mu od tego!

– Kupiony w czasie trwania małżeństwa, więc idzie na pół.

– Wolałabym porąbać!

Janek rozejrzał się po kątach.

– Oho! – zawołał. – Widzę, że byłoby tu dużo do rąbania! Jak przyjdzie co do czego, to pożyczę wam siekiery!

– Janek, nie bluźnij! – przestrzegła kuzynka Zosia, wskazując na miejsce w górze ponad drzwiami. – Obraz Matki Boskiej na ciebie patrzy!

– Nie na mnie – stwierdził zadzierając głowę. – Na Lusieńkę.

– Lusieńka to jest wyjątkowo mądra kobieta! – zawołała Balbina. – Zawsze jakiś święty

patron albo patronka chroni ją przed niebezpieczeństwem u samego progu. Zobaczycie, że ona w końcu też świętą zostanie!

Tego było mi już za wiele. Chociażby dlatego, że ja sam miałem od pewnego czasu chrapkę na jakiś vacat po emerytowanym świętym. Przynajmniej za sam fakt narzucenia mi przez los towarzystwa teściowej. A najlepiej byłoby, gdybym tak na wędrówkę po nominację, oczywiście do nieba, no bo gdzieżby indziej, udał się razem z Precelkiem. Obydwu nam należy się to od życia, a ja przy okazji mógłbym spełnić przed śmiercią ostatni dobry uczynek ziemskiego pokroju. Wytyczałbym mianowicie azymut Precelkowi, bo on z pewnością na taką długą wycieczkę nie wybrałby się bez flachy. Samotnie błąkałby się tylko po wszystkich knajpach międzyplanetarnych a niebo ciągle byłoby odległe. Ja go zresztą doskonale rozumiem. Życie marne, to i o porządnej śmierci nie miał czasu pomyśleć. Bez przewodnika nie trafiłby nawet na Sąd Ostateczny. Wypije jednego więcej i stoczy się bezwładnie na samo dno piekła. Bez sądu. Ciekawe, kogo by u kresu tej życiowej wędrówki spotkał. Bo Lusieńkę na pewno. Zajmowałaby prawdopodobnie jakieś ekskluzywne miejsce w ośrodku dla świętych z awansu społecznego. Tyle że bez regału i bez pralki. Idealne warunki dla natychmiastowego uzyskania rozwodu…

Wziąłem Karolka; wziąłem kota i we trójkę wyszliśmy na dwór. Na dworze było… ciepło.

32

Minął jeden dzień, potem drugi. Coraz bardziej chciało mi się baby, jak to chłopu. Najmocniej styrany seksualnie osobnik nie wytrzyma przecież bez łajdactwa dłużej, niż tego wymaga przyzwoitość. A przyzwoitych teraz trudno znaleźć, chyba że w rezerwatach. No więc i ja zapragnąłem wreszcie skrócić sobie pasmo marnotrawionego czasu. Żyje się przecież po to, aby jak najczęściej, odczuwać, że ziemia się kręci. Był facet, który kiedyś powiadomił o tym zjawisku cały świat i od tamtej pory krąg wirujących poszerza się regularnie. Zadzwoniłem więc do Haliny, ponieważ ciągle miałem na uwadze jej nie zapomniane słowa: „Musimy to przetańczyć jeszcze raz!" Ba! Jestem tego samego zdania. Do przerobionej wtedy marszruty mógłbym dorzucić jeszcze ze dwie figury.

– Cześć, Halina! – zawołałem do uśmiechniętej słuchawki.

– Dzień dobry. Słucham.

Jeżeli ktoś na „cześć" odpowiada mi „dzień dobry, słucham" to znaczy, że albo poszedł w ambasadory, albo też otrzymał koncesję na zainstalowanie magla elektrycznego w najbardziej ekskluzywnej suterenie śródmieścia.

Wcisnąłem nos w słuchawkę. Zapachniało perfumowaną bielizną pościelową. Znaczy, że wszystko jest dobrze i nie muszę zaczynać od „ekscelencjo".

– Co u ciebie nowego? – zapytałem.

– Stare dzieje – odrzekła.

Tyle to ja i bez gadania wiedziałem. Zresztą trudno mieć do niej pretensję. Moje pytanie było równie głupie jak jej odpowiedź. Wypadało więc tylko przejść do rzeczy i nie prowokować losu pieszczotami przez telefon. A nuż jaki zazdrośnik prąd podłączy!

– Zapraszam na szampana – zaryzykowałem, chociaż w domu miałem tylko zsiadłe mleko.

– Dziękuję – odpowiedziała pogodnie. – Wobec tego, gdzie się spotkamy?

A to zołza! Jak to gdzie? Na pewno nie w kościele.

– U mnie! – zaproponowałem porywczo.

– Coś ty! – zaoponowała ze zgorszeniem. – Nie wypada przychodzić do obcego mężczyzny. Wolałabym gdzieś w kawiarni.

No i nie zołza? Co ja z nią będę robił w tej kawiarni? Kawiarnie są dla pedałów, a nie dla par seksualno-przyszłościowych. „Obcy mężczyzna"! Niezłe. Minęło kilka dni, mogła wstąpić do zakonu. Albo do męża-ogórasa. Taką na wszystko stać. Zresztą baby mają tak napakowane w głowach, że ich nagłe wygłupy nie powinny nikogo dziwić. Magiel, zakon, ogóras – wszystko mogło się zdarzyć. A ciekawość rozpiera. Niech ma! Pójdę do tej kawiarni. Może w ostatnim czasie jest to najlepsze miejsce do upowszechniania seksualnej propagandy? Wygłoszę podniecający referat i na zakończenie zaproszę do tańca w mojej chacie. Szkoda, że metraż u mnie standardowy, bo spreparowałbym specjalny tor na rozbieg. A co! Jak szaleć, to pełnym gazem. W przyszłości muszę o tym pomyśleć. Zaangażuję trenera od skoków i choreografa z baletu. Miłość jest sztuką, trzeba tylko umieć ją rozwijać, a poszczególne elementy widowiska i wyczynu powinny być idealnie zsynchronizowane. Muszę o tym wszystkim powiadomić Halinę. Niech wie, jaki jestem dla niej dobry. Betonowy świat zamienię dla niej na miękką kołyskę. Wprawdzie nie na długo, bo mam zobowiązania rodzinne, ale to nie ma znaczenia. Życie to nie legowisko. Rzeczywistość trzeba odbierać poznawczo, a nie wiążąco. Zresztą przedawkowanie rozkoszy prowadzi do nudy. I właśnie dlatego wszelkie radości płynące z tarcia skóry o skórę powinny być realizowane w kategoriach sprinterskich. Tak jest! Nie ulega wątpliwości, że moje poglądy wpłyną mobilizująco na wyobraźnię Haliny.

Weszła przez szeroko otwarte drzwi kawiarni i od razu zdarzyło się nieszczęście. Mianowicie

przygasł mocno mój zapał. Jeszcze tydzień temu miała w sobie lekkość i wdzięk polnego kwiatu. Teraz nie. Teraz poruszała się dostojnie, a jej oczy wypełnione były tęsknotą i marzeniem. Znaczy, że albo umarł bogaty wujek i nic nie zapisał, albo też umarł i zapisał, ale nie jej. Nawet nie wiedziałem, jak zacząć rozmowę. O wujku nie wypada, niech będzie o zdrowiu:

– Jak się czujesz?

Pokręciła głową i machnęła ręką. Czyżby jeszcze przypadło jej w udziale wyprawienie pogrzebu wujka na swój koszt?

– Niedobrze? – zapytałem ze współczuciem.

Uśmiechnęła się rzewnie.

– Umieram z miłości! – wyznała radośnie.

A więc jednak kwestie pogrzebowe ciągle jeszcze wchodzą w grę. Odpadł tylko wujek. No i ta forsa wujka.

– Nie masz pojęcia! – dodała.

Patrzyłem na nią z podziwem. Kiedy zdążyła się zakochać? Przecież jeszcze tydzień temu odprawiliśmy koncert erotyczny na terenie wszystkich moich mebli.

– Przed czterema dniami.

W zasadzie powinno wystarczyć.

– On jest wspaniały!

– Co za jeden? – nie wytrzymałem.

– Massimo.

– Aha. To Włoch?

– Oczywiście! Co za ogień w spojrzeniu! Cudo!

Znaczy, że jednak trwa nadal moda na Włochów. Na Włochów i na pastę do butów, bo pasty brakuje właśnie w sklepach.

– Powiadasz, że ognisty?

– Ach! – zapaliła się natychmiast. – Żebyś ty go widział! Żebyś słyszał!

– Ciekawe! – mruknąłem bez entuzjazmu. – Co on takiego gada?

– Wspaniale mówi… „Cara mia”! „Carissima”! „Amore”. Czy ty w ogóle masz pojęcie, co to znaczy „amore”?

– Nie – odparłem zdecydowanie. – Na amorach to ja się nie znam. Ale co się stało, że tak nagle się zakochałaś?

– Ojej! – zawołała z pogardą dla mojej ignorancji w sprawach ogólnie wiadomych. – Przecież to Włoch!

– No i co z tego?

– Jak to co? Każda by się zakochała. Taka moda.

– I co dalej?

– Zaręczyliśmy się. Dostałam pierścionek, łańcuszek i kolczyki. Wszystko ze złota!

– Rany boskie! – wrzasnąłem w nieopisanym podziwie. – A złoto też jest teraz modne?

– No wiesz!? Zawsze było!

– No… jeżeli tak…

– Właśnie – przytaknęła z uśmiechem. – To prawdziwy mężczyzna! Jeszcze nikt w życiu nie mówił do mnie „amore”. Nawet ty nie mówiłeś, mimo że tak bardzo ci ufałam…

– Co takiego?

– Po prostu ani razu nie powiedziałeś mi „cara mia”. Czyż nie tak?

– To się zgadza – przytaknąłem. – A powinienem?

– Oczywiście. Człowiek wpada w ekstazę. Rzuciłam dla niego cały świat!

Oho! Znaczy, że ogóras nie ma już żadnych szans.

– A jak w tych… rzeczach? – zapytałem niedyskretnie.

– Ogień!

Gwizdnąłem. Będą musieli trzymać gaśnicę pianową pod łóżkiem, a pościel powinna być z azbestu.

– I tak ci z nim dobrze?

– Też pytanie! – prychnęła Halina. – Przecież to Włoch!

– Wyjdziesz za niego?

– No chyba. Przecież to bogacz!

Otóż to!

– I psa ma fajnego. Niesamowity temperament!

– Nie żartuj! – wystraszyłem się trochę. – Pies też taki gorący?

– Nie. Mówię o Massimo.

– Nie mógłby mieć na imię Romeo?

– Po co? Mnie się podoba „Massimo”. Carissime!

– Znasz włoski? – zapytałem z ciekawością.

– Całe dwa dni już się uczyłam. Zostawił mi słownik. Dziewczyny pękają z zazdrości.

– Naprawdę?

– No chyba. Każda chciałaby mieć Włocha.

– To znaczy, że my już nic?

Rozłożyła współczująco ręce.

– Niestety.

– Opracowałem dwie nowe figury – powiedziałem zachęcająco.

– Ach, Bartek! Żebyś ty wiedział, ile on zna figur. Pokazywał mi taką grubą książkę.

– Z figurami?

– Tak. Mówi, że wozi ją stale ze sobą.

– Może to jakiś teoretyk i koniec na tym?

– Coś ty? Przecież ci mówiłam, że gorący.

– Nagrzał się gdzieś i tyle – kpiłem złośliwie, bo tyle marzeń poszło na marne, a poza tym sikać mi się chciało. – Ale życzę ci szczęścia. Gdzie będziesz mieszkać po ślubie?

– We Florencji. Będę spać całymi dniami, jeść frutti di mare, winogrona i brzoskwinie. A on stanie na schodach z gitarą i będzie grał serenady. Bosko, no nie? – przeciągnęła się rozkosznie.

– Fajnie. Sam bym na to poszedł. A do roboty ktoś z was pójdzie?

– Nie potrzeba. On ma robotników. A sam tylko rządzi. Dobra fucha, co?

– Dobra – przytaknąłem. – Nie miałby czegoś dla mnie?

– A co byś sobie życzył? – zapytała życzliwie.

– Najchętniej to bym rządził.

Roześmiała się.

– Bartek, ty stale żartujesz!

– Nic podobnego. Ale wydaje mi się, że rządzenie najbardziej by mi pasowało. Tylko że psa nie mam. Bez psa chyba gorzej się rządzi. Dobry ten jego pies?

– Wspaniały!

– Jak się nazywa?

– Rex.

– Iiii! To jakiś buras! – prychnąłem krytycznie, a parcie na mocz było coraz silniejsze. – U nas prawie we wszystkich budach Reksy siedzą. Idziemy do mnie?

Popatrzyła zdumiona.

– To niemożliwe. Co by mój carissime powiedział!

– Przecież go tu nie ma – machnąłem lekceważąco ręką. – Bierz psa i lecimy!

Wytrzeszczyła oczy zaskoczona.

– Jakiego psa?

Potrząsnąłem głową energicznie. Wszystko mi już się pomieszało przez to niewysikane sikanie.

– No ten… Amorek czy jak mu tam… Burek?

– Rex, ale…

– Wszystko jedno, niech tylko nie rzuca się na ludzi.

Nie odpowiedziała, ale przyglądała mi się badawczo. Wytrzeszczyłem zęby w uśmiechu.

– Albo jesteś pijany, albo chory – powiedziała. – Daj mi spokój z tym psem!

– Mnie naprawdę Amorek nie przeszkadza! – zapewniałem wiercąc się na krześle. – Możesz nawet wołać na niego „Carissime". A dużo żre?

– Kto? Massimo? Mało, on tylko…

– Chodziło mi o psa.

– Czegoś ty się uczepił, Bartek? Ja nie mam pojęcia, czy dużo żre! Może wcale nie żre!

– Tak? – zaczynałem już niemal podskakiwać z nieopanowanego bólu pęcherza. – Znaczy, że ten twój Massimo to sadysta. Głodzi swojego psa. Sam żre, a drugiemu nie daje! A to drań! Ty nie bądź głupia, ciebie też zagłodzi!

Patrzyła na mnie z rosnącym niepokojem.

– Co ci jest? – zawołała przerażona, bo krzesło rytmicznie trzaskało pod moim tyłkiem.

– To zboczeniec – odezwałem się jeszcze raz i poczułem, że już nie wytrzymam. – Poczekaj chwilę! – wyszeptałem wstając gwałtownie z miejsca. – Zaraz dam ci przepis na psa w galarecie…

Wyrwałem do toalety tak szybko, że chyba wszyscy kawiarniani goście wzięli mnie za złodzieja, który swojej towarzyszce ukradł z torebki psa.

Ufff! To dopiero radość! Stałem uśmiechnięty, rozluźniony i patrzyłem jak to leci. Leciało i leciało. Przeskakiwałem od jednej muszli do drugiej, żeby się przypadkiem nie przelało. I dalej leciało. Co mi tam rozkosze we dwoje i na dodatek z psem. Trzeba sobie tak zorganizować życie, by wyjść na swoje samemu!

W każdym razie z toalety wyszedłem nie od razu. Musiałem upłynnić wszystko.

Przeciskałem się potem między stolikami z uśmiechem na twarzy. Ludzie byli piękni. Ale Haliny już nie było. Opuściła lokal razem z psem.

34

Dzisiaj teściowa zawiadomiła mnie, że jutro przyjeżdża Karolina. Mam kupić kwiaty i dokładnie się ogolić. Po powrocie z zagranicy moja żona może mieć uczulenie na niechlujnych tubylców. I wobec tego powinienem zrobić wszystko, aby się korzystnie wyróżniać na tle marnego tłumu, co to łazi po ulicach jak grzesznicy po piekle.

– A jak będzie z tym milionerem włoskim? – zapytałem nieśmiało.

– Odpadł – ucięła stanowczo. – Carla ma męża i dziecko.

Taki byłem rozradowany, że uścisnąłem małego, pocałowałem teściową w obie ręce i przyjechałem do domu, aby już od wieczora rozpocząć golenie. Gdzieś w środku nocy ogolę się drugi raz i rano powtórzę cały zabieg znowu. Będę wyglądał świątecznie, a może nawet trochę z cudzoziemska. Mam nawet skarpetki z napisem na metce „made in USSR". Gdybym nogawki wpakował w te skarpetki, to metkę wszyscy by z daleka widzieli. Wot, innostraniec zza Bajkała! Pełna egzotyka.

O północy dokonałem dzieła po raz pierwszy. Nawet nie zaciąłem się ani razu. Łóżka nawet nie tknąłem, bo bałem się, że zasnę jak kamień, a przecież za trzy godziny powinienem ogolić się jeszcze raz. Trochę mi nudno, więc postanowiłem nawiązać jakiś kontakt towarzyski z kimś znajomym. Byłem umyty, ogolony i odświeżony, wobec tego szybko doszedłem do wniosku, że stałem się godny najwyższych zaszczytów. Nie powinienem mieć kompleksów ani żadnych zahamowań, jeżeli chodzi o różnorakie inicjatywy międzyludzkie.

Pech chciał, że nie znałem telefonu domowego premiera. Biurowego telefonu też nie znałem, ale to nieistotne, bo była akurat noc i premiera mogło nie być w biurze.

Wydobyłem notes z kieszeni i poszukałem numeru telefonicznego doktora Mustafy. Wykręciłem numer.

– Słucham – odezwał się słaby kobiecy głos.

– Czy to mieszkanie doktora Mustafy? – zapytałem z powagą.

– Tak, ale…

– Mogę rozmawiać z małżonkiem?

– On właśnie śpi. Czy to bardzo ważna sprawa?

– Bardzo! – zapewniłem ogniście. – Jest coś, co trzeba wykonać natychmiast!

– Dobrze, niech pan poczeka.

Dopiero po kilkunastu sekundach usłyszałem ochrypły głos Araba.

– Hallo! Kto mówi?

– Czy doktor Mustafa?

– Tak, to ja, ale kto mówi?

– Jeszcze się pytasz? – zawołałem z wymówką w głosie. – A kto sprzątnie Dworzec Centralny?

– Co takiego? Jaki dworzec?

– Normalny dworzec! Nie wymiguj się, tylko leć! Tam w prawym rogu kot nawalił, śmierdzi jak cholerą! Trzeba natychmiast sprzątnąć!

– To nieporozumienie! Kto mówi? Hallo!

– Za godzinę sprawdzę, czy robota została wykonana – powiedziałem statecznie. – Jeżeli nie, to nici z premii. Do usłyszenia.

Odetchnąłem. Jedną rozmowę miałem już za sobą. Czułem się świetnie. Zaktywizowałem człowieka, który tracił życie na spanie. Powinien wstać i ogolić się, aby małżonka miała na widoku przyjemną gębę o poranku. Zresztą nawet ten dworzec też lepiej by się prezentował, gdyby nie snuli się po nim ludzie z nie ogolonymi gębami. Bez dyscypliny nie ma życia. Jest

tylko wegetacja. Jeśli ktoś jest leniwy, to może nawet w łóżko nasikać, bo mu się wstać nie chce. Taka doktor Wiśniewska na przykład. Z całą pewnością gotowa jest przespać życie. Żadnego pożytku nie ma z takiej. Dyżury przesypia, noce przesypia, chyba nawet prześpi okres, kiedy jakikolwiek mężczyzna miałby chęć jeszcze się nią zainteresować. Nie mogę. Naprawdę nie mogę do tego dopuścić. Trzeba dokonać jakichś zasadniczych modyfikacji w jej charakterze.

– Dobry wieczór pani! – zawołałem na wstępie do słuchawki.

– Co się stało? – zajęczała Wiśniewska.

– Nic takiego. Czy pani mnie poznaje?

– Czy poznaję? A dlaczego mam poznawać? Nie wie pan, która godzina?

– Wiem. Już pierwsza.

– Więc o co chodzi?

– Dam pani koleżeńską poradę.

– O tej porze? Co to za porada?

– Niech pani koniecznie wstanie z łóżka!

– Po co? – Była już mocno rozzłoszczona.

– Siusiu trzeba zrobić! – wrzasnąłem. – Tylko nie do łóżka! Do łazienki! Szybko, bo za chwilę będzie za późno!

Jakiś gardłowy dźwięk dał się słyszeć z drugiej strony. Za chwilę doszło jeszcze szybkie chrupanie. Strach mnie obleciał. Najwyraźniej Wiśniewska pomyliła polecenia. Zamiast lecieć do łazienki, zjada słuchawkę telefoniczną.

– Hej tam! – zawołałem. – Od ebonitu można dostać wrzodów na żołądku! Nie tędy droga! Trzeba na lewo i jeszcze raz na lewo! Zapalić światło i siadać na desce!

Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, czy akurat u niej na lewo, ale wszystkie mieszkania do tego stopnia są podobne, że chyba specjalnego ryzyka nie było. U mnie na przykład droga z kanapy do łazienki biegnie cały czas na lewo.

Przycisnąłem słuchawkę mocniej do ucha, ale niczego już nie dosłyszałem. Ani słów, ani chrupania. A to dopiero! Dwa razy już dzwoniłem i za każdym razem nie mogłem sobie swobodnie porozmawiać. Co za naród! Halina ma rację. Ludzie to teraz takie buraki.

Do trzech razy sztuka. Zadzwonię jeszcze raz. Może nie każdy jest burakiem. A może tematy, które poruszałem przed chwilą, były zbyt pospolite? Trzeba sięgnąć wyżej, trzeba dokonać próby uczulenia ludzi na tematy pozaziemskie. Taka na przykład Halina koncentruje swoją uwagę wyłącznie na tańcu życia. A przecież istnieje podobno jeszcze taniec śmierci! Aaaaa! Grozą powiało w mieszkaniu. Rozejrzałem się na boki i zapaliłem światło w przedpokoju. Od razu poczułem się bezpieczny. Złe duchy mają podobno uczulenie na elektryczność.

Zajrzałem jeszcze raz do notesu. Doktor Białko! Ten chyba jeszcze nie śpi. Może nawet jest akurat w trakcie produkcji dziesiątego dziecka? Trzeba mu zrobić wykład z nauk społecznych. Czy on nie wie, że świat ledwo dyszy od nadmiernego przyrostu naturalnego? Kto utrzymuje tę jego małoletnią bandę? Przecież żadna pensja nie wystarczy. A zatem jego rodzinę utrzymuje państwo. Państwo to między innymi ja. Zarabiałbym dużo więcej, gdyby nie takie typy jak doktor Białko. A może nie słyszał o istnieniu środków antykoncepcyjnych? Też go mogę uświadomić.

– Dzień dobry panu! – zawołałem świergotliwie do słuchawki. – Niedługo będzie świtać. Czy jest pan gotowy do pracy?

– Kto mówi? – zapytał Białko ponuro.

– Mówi Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.

– O co chodzi? – doktor nie zmieniał tonacji.

– Umrzesz!!! – zaryczałem nagle, bo mi się ten piekielny głos doktora nie podobał.

– Kto mówi?

– Przedsiębiorstwo Usług Pogrzebowych. Firma świadczy usługi dla ludności. Z badań statystycznych wynika, że umrze pan dzisiaj w południe. Czy byłby pan uprzejmy podać nam swoje wymiary?

Ale błysnąłem kulturą, co? Może wciągnę go do rozmowy.

– Proszę pana – powiedział spokojnie Białko. – Ja zadzwonię po milicję.

– A dowodzik ma pan w porządku czy pognieciony? Bo jeśli pognieciony, to kolegium – poinformowałem uprzejmie. – No? Co pan na to?

– Panie! Pan może wariat? Skąd ma pan mój numer? – podniósł już trochę głos. – Bo może pomylił pan adresy?

Rozgadał się. Najwyraźniej się rozgadał! Nareszcie można będzie przyzwoicie spędzić te kilka godzin. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu i powiedziałem:

– Panie Białko! Czy pan wie, ile głodujących dzieci śpi w tej chwili na ulicach Kalkuty?

– Czego?

– Kalkuty! To takie miasto w Indiach. Widzę, że z geografii jest pan nietęgi. Ja panu zaraz słowami namaluję cały kształt Indii.

– Panie! – zirytował się Białko. – Ja już nie mogę wytrzymać!

– To wio do łazienki! Na co pan czeka?

Co za ludzie! Wszystkie problemy sprowadzają się do tego, co można zostawić w łazience. Oj, poczułem, że ja też. Parcie na pęcherz zaczęło dawać się we znaki.

– Poczekaj pan – powiedziałem zachęcająco. – Walimy do łazienki razem. Kto pierwszy skończy, łapie za słuchawkę. Zgoda?

Nie czekając na odpowiedź, pomknąłem naprzód. Ale miałem ciśnienie! Niestety w słuchawce było później głucho. Albo poszedł facet spać, albo siedzi w kącie i wyczekuje na swoją śmierć. Ciekawe, o jakiej porze najczęściej się umiera. Warto wiedzieć, bo można będzie chyba podregulować sobie trochę te sprawy, jak przyjdzie co do czego. Nie lubię kolejek, a przed Sądem Ostatecznym wolałbym stanąć w samotności. Jedyny wyjątek mogę zrobić dla teściowej. Niechbym nareszcie usłyszał prawdziwy recital wszystkich jej grzechów. Ale byłby koncert! Aniołom skrzydła by powiędły.

Spojrzałem na zegarek. Ho! ho! Życie pozagrobowe jeszcze daleko przede mną, a póki co, trzeba zająć się sprawami domowymi. Złapałem maszynkę do golenia i pociągnąłem kilka razy po twarzy. Nie było czego golić. Ale swoje zrobiłem.

Rano poszedłem do kwiaciarni zamiast do pracy. Zadzwoniłem do szpitala, że jestem chory. Na pytanie oddziałowej, co mi jest, odparłem, że mam halucynacje.

– Udaje pan wariata? – zapytała złośliwie.

– Nikogo nie udaję – odparłem z kontrolowanym spokojem. – Ale jakiś głos mówi mi, że niedługo zwariuję. Co pani na to?

– Nie znam się na tym. Naprawdę pan nie przyjdzie?

– Naprawdę.

– A ma pan jakieś zaświadczenie od psychiatry?

– Po co mi zaświadczenie? Uduszę sąsiada i już będzie wiadomo o co chodzi. Tak czy nie?

– Chyba tak.

– No, właśnie. Do zobaczenia!

Kwiatów kupiłem ogromny pęk. Niech się Karolina cieszy. Gdy miałem długi, nie stać mnie było na bukiety. Teraz nie ma problemu. Trzeba kwiatów – są kwiaty.

Siedziałem przy tych kwiatach do wieczora. Wieczorem zajrzałem do skrzynki pocztowej. Czekał tam na mnie list od żony. Pisała, że tęskni, kocha i że jak wróci, to nasze życie zamieni się w jedną radość. Data była zatarta, więc nie miałem pojęcia, kiedy ten list przyszedł.

Następnego dnia pojechałem do teściowej, żeby pochwalić się listem. Drzwi otworzyła mi Karolina. Rzeczywiście przyjechała wczoraj. Tyle że nie do mnie. Wyciągnęła sztywno rękę na powitanie i zaprosiła mnie do małego pokoju.

– Wiesz co? – zaczęła. – Doszłam do wniosku, że powinniśmy wziąć rozwód.

Nic nie odpowiedziałem.

– Masz coś przeciwko temu?

– Nie mam – odrzekłem krótko.

– W takim razie cieszę się. Dziecko, oczywiście, zostanie ze mną.

– Oczywiście nie – przedrzeźniłem ją jeszcze spokojnie.

– Chcesz odebrać matce dziecko?

– Nic podobnego! – zawołałem. – Ja tu przyjechałem w odwiedziny do najsympatyczniejszej teściowej pod słońcem! Przepraszam cię.

Ominąłem ją i wszedłem do większego pokoju, który pełnił funkcję salonu. Ale heca! W salonie siedziało piętnaście osób. Cała familia mojej teściowej. Bracia, siostry, ich synowie, córki i dziadkowie. Ustawili się naprzeciw mnie jak do fotografii okolicznościowej z okazji zjazdu przestępców gospodarczych.

– Szczęść, Boże! – zawołałem po gospodarsku.

– Bóg zapłać! – odpowiedział Franek, najstarszy z grupy braci.

– Tyle was tu zjechało – rozmyślałem głośno – to i myślę, że wam gospodarkę skonfiskowali. A co? Nie chcieliście pracować na roli, tylko czekaliście na dolary Karoliny! Tak? Leniuchy z was, oj, leniuchy! Ja też bym mógł wam coś dać, ale dolarów nie mam, więc najwyżej w mordę!

– Tyś chyba zwariował, Bartek! – krzyknęła Balbina. – To grzech tak mówić do prostych ludzi.

– A co was tak wyprostowało? zakpiłem. – Dziś nie niedziela. Pracować trzeba, a nie zjazdy rodzinne organizować.

– Coś ci się nie podoba? – zapytał opryskliwie Janek.

– Ty mi się nie podobasz, sieroto!

Coś mnie ponosiło. Sam nie wiedziałem już co. Orientowałem się, że mówię głupstwa i że chętnie wytłukbym wszystkich, ale trudno mi było nad sobą zapanować. Nawet przerażenie czułem na myśl o tym, do czego jestem zdolny. Byłem kierowcą, który ma szybki samochód, tyle że bez hamulców.

A tu Janek wysforował się naprzód.

– No i co? – powiedział kręcąc zaczepnie głową. – Uspokoić cię?

– Ty, żłobie! – wrzasnąłem. – Ty, meblu koński!

Nie wytrzymał obelgi. Wziął zamach i walnął jak cepem. Uchyliłem się, wsadziłem mu pięść w żołądek. Wysypał się na podłogę, a baby zapiszczały. Ale miałem radość! Poszedłem gwałtownie do przodu. Nigdy nie przypuszczałem, że jestem taki zdolny. Franek o mało nie wyfrunął przez okno, a Precelka wbiłem w lukę między szafą i telewizorem.

Załatwili mnie jednak po partyzancku. Od tyłu. Najpierw teściowa chlusnęła garnkiem zimnej wody, a później cała reszta uczepiła się ze wszystkich stron.

– Bandyci!!! – darłem się z całej siły. – Zaraz wstanę z miejsca i was pozarzynam!

Potem zacząłem się śmiać głośno i wcale mi ten śmiech nie przechodził. Dostałem nawet czkawki.

– Kołtuny!!! – częstowałem ich epitetami, chociaż żadne z nich nic złego bezpośrednio mi nie zrobiło. Poza żoną i teściową oczywiście.

Później już w ogóle nic nie mówiłem, tylko się śmiałem. Oni myśleli chyba, że ja się śmieję

z nich, a ja się przecież śmiałem z samego siebie. Bo dałem się tak głupio nabrać na miłość. A dobrze mi tak! Naiwnych powinno się przerabiać na nawóz do pieczarkarni.

Tak sobie rozmyślałem, ale jednocześnie martwił mnie mój nieustanny śmiech, którego w żaden sposób nie mogłem zatrzymać.

– Naciśnij hamulec! – krzyknąłem wreszcie do najbliższej postaci. – Na co się gapisz? Naciągaj ręczny!

Precelek, który stał naprzeciw mojej twarzy, strachliwie wycofał się. Najodważniejszą osobą okazała się teściowa.

– Sami widzicie – powiedziała. – Zwariował. A taki dobry człowiek był z niego.

Zachichotałem tak przeciągle jak diabeł przy otwartych drzwiach w piekle. To dopiero słodziutka istota. Mówi o mnie w czasie przeszłym. Niech mnie szlag trafi, ale zrobię wszystko, żeby ją własnoręcznie upchać w trumnie. Cha! cha! cha! Już naprawdę nie miałem siły śmiać się.

I wtedy zbliżyła się Karolina.

– Jesteś chory, Bartek – powiedziała czule.

Roześmiałem się ostatkiem sił.

– Zawieziemy cię do szpitala.

Jeszcze jeden uśmiech, ale już na pół gazu.

– Najlepszy będzie szpital gdzieś na prowincji. Tam wypoczniesz i wszystko będzie dobrze.

Co za wspaniała kobieta z tej mojej żony! Tak o mnie dba, a ja jej tyle wstydu narobiłem. Muszę wstać i przeprosić całe towarzystwo. Janka przeproszę za to, że go wyzwałem od żłobów. Franka przeproszę za ten cios w żołądek. I jeszcze Precelka przeproszę za to, że użyłem go jako klina międzymeblowego.

Wstanę? Chyba jednak nie wstanę. Coś mnie trzyma w bezruchu, ale jeszcze nie wiem co. Wobec tego później przeproszę moją poszkodowaną rodzinę. Kupię pół kilo cukierków, rozdam je pośród nich i znowu będziemy się razem śmiali. A gdyby trzeba było urządzić część artystyczną, to udusimy wspólnie kogoś spoza rodziny. Trzeba tylko wyjść na ulicę i upolować jakiegoś samobójcę. Taki samobójca powinien chętnie zgodzić się na uduszenie. Będzie mu lżej, jeśli ktoś inny załatwi sprawę za niego.

Ale mi się chce spać! Ta nocna pogawędka telefoniczna tak mnie zmęczyła. Wobec tego wszystko w porządku. Teraz się trochę prześpię, a później pójdę na polowanie. Cześć, chłopaki! Nie gniewajcie się, że was tak urządziłem. Jakby co, to możecie mi oddać. Ale każdy po kolei i niezbyt mocno. Żebym się nie obudził za wcześnie. Sen to najprzyjemniejsza sprawa na świecie. Ciekawe, kto w ogóle wymyślił sen. Taki z pewnością zasługuje na pomnik. Rety! Życie jest jednak piękne!

.....

Dreptanie w kółko

1

Tego dnia obudziłem się o piątej rano. Za oknem ciemno, bo koniec listopada, a w mieszkaniu ciepło, bo kaloryfery grzeją. Za osiem godzin ma się rozpocząć nasza sprawa. Co robić przez tyle godzin? Wskazówki budzika nieruchomo stały na tej samej pozycji. Aby dostrzec jakąkolwiek zmianę, trzeba było wpatrywać się nieustannie w zegarową tarczę. Ale przez to czas leciał jeszcze wolniej.

Wstałem. Otworzyłem szufladę i wydostałem z niej arkusz papieru, na którym wydrukowana była moja mowa do sądu. Bez żadnego bałacha, wszystkiego tyle, co trzeba. Że kocham dziecko i że dziecko uważam za coś, co jest nierozerwalnie związane ze mną. I jeszcze, to, że żonę również kocham, ale jeśli ona mnie nie chce, to hak jej w smak. Ten „hak" to taki okolicznościowy skrót oczywiście, bo i tak wiadomo, co jest grane.

Potem się ogoliłem. Oczy miałem podkreślone sińcami, wargi były spieczone, a policzki wymięte. Nie podobało mi się to moje odbicie. Może moja żona ma rację? Może w ogóle nie nadaję się na męża? Mąż z taką mordą? Ba! Jestem przecież jeszcze ojcem! A dziecku wszystko jedno, jaką mordę ma tata o piątej rano. Byleby tylko ten tata figurował w domu. Co robić? Uniosę się męską ambicją i wyrażę zgodę na rozwód. Nie! Jak dziecko dorośnie, powie, że tata był dupa. Wobec tego nie zgodzę się na rozwód. Też źle, bo żona powie przy najbliższej okazji, że miała mnie za mężczyznę, a nie za dziada, który chodzi z wyciągniętą ręką i prosi o miłość.

Jakie mam jeszcze możliwości? Zażyję pięć tabletek relanium i prześpię sprawę. Wtedy wyznaczą mi następny termin a tymczasem odejdzie mi apetyt na tabletki. W zasadzie powinienem wygrać sprawę, bo słuszność leży po mojej stronie. Ta strona ma jednak tę wadę, że jest męskiego rodzaju. Praktycznie rzecz biorąc, nie mam więc szans. Wysoki Sąd, oczywiście rodzaju żeńskiego, załatwi mi rozwód, nie licząc się z moimi poglądami na życie. Mogą też wspólnie uchwalić, że wszystko odbyło się z mojej winy. Potem wyrzucą mnie z mieszkania, odbiorą samochód i dadzą żeton do państwowej garkuchni. Niewiele trzeba już później, by przyzwyczaić się do pełnienia funkcji dziada.

Szósta. Umyłem się, ogoliłem i założyłem ubranie. I co teraz? Chyba znowu się położę. Nastawię budzik na dziesiątą. Zasnąć trudno, ale kto tu mówi o normalnym zasypianiu! Rozebrałem się i połknąłem dwie tabletki. Od razu lżej. Za dziesięć minut będę gwizdał na wszystkie sądy i rozwody. Cztery godziny odfajkuję w jednym, równym rytmie…

Dzwonek u drzwi. Z niedowierzaniem spojrzałem na zegar. W głowie już mi się kręci, więc może mam halucynacje? Znowu dzwonek. Cholera wie, co się dzieje! Może to nie jest ranek, może to jeszcze wczorajszy dzień?

Weszło ich dwóch. Dzidek i Adolek. Futrzane czapy, kożuchy, rękawice.

– Cha! cha! cha! – zawołał Dzidek. – Ale numer, no nie?

Pierwszy raz w życiu nie roześmiałem się. Psiakrew! Ziewnąłem.

– Podobno bierzesz rozwód? – wychylił głowę Adolek. – A dobrze jej tak, dobrze! Z babami trzeba ostro! Pogłaskać i w łeb! I w łeb!

– To ona bierze rozwód – wyjaśniłem sennie.

Adolek usiadł. Tam, gdzie stał, na podłodze.

– Ona?

Nie mieściło mu się to w głowie. Zdjął czapkę i przegrabił palcami włosy. Potem spojrzał nieśmiało i wyjaśnił:

– My prosto z zabawy. Nie mieliśmy zamiaru cię budzić, ale światło się paliło. Myśleliśmy, że się jakiegoś wiersza na pamięć uczysz. No nie, Dzidek?

Dzidek nastawiał w kuchni herbatę.

– Tak jest! – zawołał. – Na pamięć! Cha! cha! cha!

Dzidek o każdej porze jest w formie. Do tej pory zdążył już chyba wyśmiać wszystkie panny na tej zabawie.

– To co robimy? – zapytał Adolek.

Usiadłem na łóżku, oczy mi się zamknęły na dłuższą chwilę.

– Herbatę – mruknąłem. – Wypijemy herbatę.

– No i dobrze! – zatarł ręce Adolek i poszedł powiesić kożuch w przedpokoju.

Kiwnąłem się raz, drugi raz i klapnąłem głową na poduszkę. Oczywiście próbowałem otworzyć oczy, ale ani ręce, ani powieki nie dały się do tego namówić. Nie ma co kryć. Zasnąłem.

Terkot budzika uniósł mi głowę znad poduszki o dwunastej. Wyprostowałem mocno nogi, trzasnęło dwa razy. Stawy kolanowe wyraźnie się zużyły. Ciekawe, jak to jest u Dzidka. Te ciężary powinny mu już zupełnie rozkalibrować kolana. Ale może nawet nie. Może w tej kulturystyce jest jakieś lecznicze działanie? Przy okazji muszę zapytać o to Dzidka. O! Przecież oni gdzieś muszą być. Przyszli, więc są.

Nie. Przyszli i poszli. Na stole leżała kartka. „Trzymaj się, stary, i nie rób sobie za dużo przykrości z powodu tej sprawy. Najlepiej zerżnij sąsiadkę i zażyj od razu vibramycynę. Im szybciej, tym lepiej. Twój przyjaciel, Dzidek". Poniżej była dobra rada od Adolka: „Pogłaskać i w łeb! Adolek".

Zastanowiłem się przez chwilę. Jeśli chodzi o rżnięcie, to zupełnie się nie nadawałem. Nawet nie zdążyłem się zorientować, czy którakolwiek z moich sąsiadek była w ogóle w wieku tartacznym. Co do głaskania, to owszem. Głaskałem tę moją żonę-doktórkę bardzo często. Ale w łeb ani razu. Może właśnie z tego wywodzi się mój pech?

Do sądu przyszedłem punktualnie o trzynastej. Naprzeciw mnie szczerzyła się w uśmiechu teściowa. Nieco dalej stała moja żona i wyjaśniała coś panu w czarnej todze. Adwokat! Tego nie przewidziałem. Miało być sam na sam, a zanosi się na spektakl. Cmoknąłem teściową w rękę i też się wyszczerzyłem. Powinienem właściwie już od dawna poćwiczyć obłudny uśmiech, aż szkoda, że jeszcze nie rozpocząłem treningów. Na pewno wypadłbym znacznie lepiej. W każdym razie najwyższy czas. Startuję od dziś. Może mi od tego uśmiechu strzelanie w kolanach przejdzie?

Potem ukłoniłem się żonie.

– To twój adwokat? – zapytałem.

– Tak. Nie mówiłam ci…

– Nie szkodzi. Witam pana mecenasa! – podałem rękę. – Bartłomiej Zadura jestem.

– Dzień dobry – odpowiedział adwokat. – …ski jestem. Bardzo mi przyjemnie.

Początek niezły. Jeżeli jest mu tak przyjemnie, to niech może najpierw zorganizuje rozwód sobie? A maże już mu to ktoś zrobił? I teraz mści się na innych!

– Proszę pana – powiedział poważnym tonem. – Sąd nie da rozwodu, jeśli na siebie trochę nie nagadacie.

Uśmiechnąłem się nijako.

– A co ja właściwie mam powiedzieć? Niech żona mówi.

– Żona też nie chce mówić za dużo. Dlatego przyprowadziliśmy teściową. Rozumie pan: mniejsze opory!

Zgadza się. Nie tylko mniejsze, ale w ogóle ich nie ma. Jeżeli wysypie na mnie swoje poglądy, to zginę jak pies na jarmarku.

– Widzi pan, mecenasie – zacząłem – mnie ten rozwód nie pasuje.

– Człowieku! – zawołał adwokat. – Rozwód panu nie pasuje, to co panu pasuje? Takie jest życie, a żona już pana nie chce!

– Ale mamy dziecko.

– Dziecka wam nikt nie odbierze. Dziecko zawsze będzie wasze.

Zamilkłem, bo ogarnęła mnie nagła ciekawość, ile taki bierze za swój bałach.

– Chciałbym jeszcze dwa słowa z żoną – poprosiłem niezdarnie.

– Proszę bardzo! – zgiął się uprzejmie. – Trzeba wszystko uzgodnić.

– Wiesz co? – powiedziałem głosem raczej drżącym. – Ten rozwód nie jest najlepszym wyjściem z sytuacji. Przecież ja cię kocham. Mamy dziecko.

Uśmiechnęła się tolerancyjnie jak nauczyciel wobec dziecka, któremu kreda wypadła z ręki przy tablicy.

– Ja z tobą nie byłam szczęśliwa. Rozwód jest najlepszym wyjściem.

– Ale mamy dziecko.

– Oczywiście, że mamy – poparła mnie poważnie. – Będziesz mógł je zawsze odwiedzać.

– Będę mógł? – zapytałem spokojnie, chociaż w środku miałem dymiący granat. – Nie zgadzam się na rozwód!

– Coś ty! – krzyknęła. – Przecież już zapłaciłam adwokatowi.

– Nie szkodzi – zdecydowałem się już na blachę. – Ja nie chcę rozwodu i koniec!

– Przecież zostawiam ci mieszkanie i samochód – przypomniała.

– Bo obie te rzeczy były przeze mnie kupione. Ale to mało. Zostaw mi siebie i dziecko.

– Niemożliwe! Przecież nie lubiłeś mojej mamy!

– Polubię ją – powiedziałem z błyskiem w oczach, chociaż ten błysk nie tyle lubienie oznaczał, ile morderstwo. Zrobię wszystko, bylebyś tylko została.

– Musimy wziąć rozwód! – zaprotestowała głośno.

– Nie musimy – zaprzeczyłem – i nie weźmiemy.

Nie powiedziała nic. Poszła na skargę do mecenasa. Był oburzony. Miał wyraźną chęć pogrozić mi pięścią, ale przemógł się w ostatniej chwili. Za to, gdy weszliśmy na salę rozpraw, od razu przystąpił do sprawy.

– Wnoszę o orzeczenie rozwodu z winy pozwanego! – zawołał i wskazał ręką mnie, a wskazał tak, jakbym mu przed chwilą odebrał talerz zupy.

Na wniosek bardzo wysokiego damskiego sądu głos zabrała teściowa. Po raz pierwszy od lat znalazła się nagle na deskach niemal scenicznych, więc zadbała o to, by jej prapremiera wypadła interesująco.

– Jak układało się pożycie małżonków? – zapytał sąd.

– W ogóle się nie układało – rozpoczęła teściowa. – Oni ciągle mijali się. Nie rozmawiali ze sobą dniami, tygodniami… miesiącami.

Powie „latami” czy nie powie? Nie. Przyhamowała. Ten kalendarz prowadził donikąd. Z przytupem, ale donikąd.

– A córka bardzo się żaliła na męża? – padło następne pytanie.

– O tak! – rozpromieniła się kobieta. – Ciągle się żaliła. Za każdym razem, gdy się spotykałyśmy, mówiła, że nie może już wytrzymać. I że ten mąż raz o mało jej nie udusił. Bo on ją nawet od czasu do czasu dusił, proszę sądu!

– Jak to? – zdumiał się sąd. – Dusił i nie zadusił?

– Widocznie w ostatniej chwili zrezygnował – odparła ze zmartwieniem teściowa. – On zawsze taki był, do niczego!

Miała rację. Powinienem udusić. Tyle że nie Karolinę, ale ją!

A potem jeszcze skopać pośmiertnie.

– Co jeszcze?

– Poniżał ją. Mówił, że jest głupia. Raz sama słyszałam, jak mówił jej to przez całą godzinę.

Znowu kłopoty z kalendarzem. A przecież mogłaby jak przedtem: „Mówił jej to dniami, tygodniami…” Byłaby przynajmniej literatura sądowa. Zastrzelić ją osobiście czy nasłać jakichś kolesiów? Do pierwszej sprawy potrzebny jest pistolet, do drugiej pieniądze. Tak więc na razie nic nie da się załatwić. Co ja później powiem sądowi? Że zawsze uważałem żonę za mądrą? A kto mi uwierzy? Ta babula w todze? Bo ławnikom i tak jest wszystko jedno. Najwyraźniej śpią, mimo że oczy mają otwarte. Po jednej stronie sędziny tkwił nieruchomo stróż nocny, a po drugiej woźna. Przynajmniej na kogoś takiego wyglądali. I było im wszystko jedno nawet wtedy, gdy teściowa rozwijała tu swój talent aktorski.

Było jeszcze o tym, że własnej matce kupiłem trzy razy większe mieszkanie i samochód, a córce tylko kawalerkę. Diabli wiedzą, skąd ona wyniuchała u mnie tyle pieniędzy na mieszkanie, ale to drobiazg. Co jej przyszło do głowy z samochodem? Przecież moja matka w życiu nie siadłaby za kierownicą. A ja nie miałem forsy nawet na rower dla matki. Zresztą na rowerze też nie jeździ.

Potem zaczęło się branie sądu na litość. Córka płacze nocami, bo mąż tyle krzywd jej wyrządził, a jak ludzie powiedzieli, że puszcza się za granicą, to mąż od razu głośno opowiadał, że już nigdy z tą dziwką nie będzie miał do czynienia.

Tym razem ze smutkiem zwiesiłem głowę. Oszczerstwo miało kaliber nie do zniesienia. Dobra była ta teściowa. Jeszcze jeden tego rodzaju świadek i natychmiast uwierzę, że warto żyć. Chociażby po to, by ponownie usłyszeć taki koncert!

Już nie słuchałem dalszego ciągu bredni. Zastanawiałem się tylko, czy ona będzie mogła spojrzeć mi w oczy, kiedy za dwa dni przyjadę odwiedzić dziecko. A jak powinienem zachować się ja sam? Pogłaskać i w łeb! Ale to nie ja. To Adolek. Przede mną jeszcze przynajmniej jedna rozprawa. Za trzy tygodnie. Co można robić przez trzy tygodnie? Szukać nowej panny? Byłoby to najlepsze wyjście, a w świat natychmiast poszłaby wieść, że jednak nie załamałem się. Jeszcze tylko nie wiadomo, kto mnie uchroni przed następną klęską. Nowy ślub – nowa teściowa. Nie! Tym razem nie dam się nabrać. Ani na ślub, ani na teściową. Chyba że panna będzie sierotką.

2

Muszę przyznać, że straciłem równowagę. Nawet drzwi sali rozpraw pchnąłem mocno przy wychodzeniu, zamiast pociągnąć. Czułem się jak skopany baranek wielkanocny. Do domu miałem blisko i natychmiast po otwarciu mieszkania otworzyłem apteczkę. Ręce mi się trzęsły, serce waliło głośno, a twarz była blada jak ta apteczka. To był naprawdę ogromny sukces teściowej. W ciągu pół godziny zrobiła ze mnie kompletną szmatę. Zjadłem jedną tabletkę i popiłem. Odczekałem pięć minut i połknąłem dwie następne. Po kolejnych pięciu minutach jeszcze dwie. Oszczędzać nie było sensu. Ordynator ze szpitala psychiatrycznego podarował mi na drogę dwa słoiki. Nie zażywałem dotychczas, mogę więc posilić się teraz. No, więc jeszcze raz! Z ulgą odczułem lekki szmerek w głowie. Odetchnąłem głęboko i sięgnąłem po papier. Na luksusowym arkuszu podaniowym pierwszej klasy napisałem list do adwokata mojej żony. Kilka zdań, bez żadnych opowieści o swoim samopoczuciu. Zresztą czułem się coraz lepiej. Wykaligrafowałem, że zgadzam się na rozwód bez orzekania o winie i że będę zobowiązany, jeśli o tej decyzji pan mecenas zawiadomi sąd. Jest to bowiem decyzja ostateczna.

Włożyłem papier do szuflady i zdjąłem czapkę z głowy. Kurtki jeszcze nie zdjąłem, zresztą nie chciało mi się zdejmować. Podszedłem do kanapy i położyłem się. Zasnąłem szybciej, niż przewidywałem. Zresztą, prawdę mówiąc, przewidywałem, że w ogóle nie zasnę. Człowiek nigdy nie wie, co go czeka.

Obudziłem się na drugi dzień koło południa. W ustach miałem sucho, natychmiast wypiłem dwie szklanki wody. No i wreszcie zdjąłem swoją ciepłą kurtkę. Należało teraz wysłać albo zanieść mój list adwokatowi. Wysłać czy zanieść?

Zadzwonił telefon.

– No i jak? – zapytał Dzidek.

Poważny był. Chyba mu ostatni trening kiepsko wyszedł.

– Dostałem w dupę – zakomunikowałem.

– Od kogo?

– Od teściowej.

– I co zrobisz?

– Mam już wszystkiego dosyć. Poddaję się.

– Teściowej?

– Nie teściowej, ale adwokatowi.

– Aha… To znaczy teściowej.

Poczułem rozdrażnienie.

– To nie ma znaczenia! Chcę się wreszcie uwolnić od tej babskiej szajki!

– W taki sposób? – Dzidek o mało się nie roześmiał. – Miałem cię za chłopa, ale widzę, że z ciebie tylko smród pozostał!

– Co byś zrobił na moim miejscu?

– Zrobiłbym to samo z nimi, co one zrobiły z tobą. Masz jakąś forsę?

– Mam.

– Więc wynajmnij adwokata. Albo nie! Adwokatkę!

– Adwokatkę?

– Oczywiście! Niech się baby piorą! A ty będziesz sobie patrzył z boku na ten cyrk.

– I co ja z tego będę miał?

– Przede wszystkim wygrasz sprawę. Niewykluczone, że teściowa dostanie w tym czasie zawału i umrze.

– Stary! Jaki ja bym jej wspaniały pomnik wyrzeźbił! – przerwałem z rozrzewnieniem.

– A twoja żona zmięknie albo zgłupieje i wtedy wystąpisz z prośbą o przyznanie opieki nad dzieckiem.

Ten Dzidek coraz bardziej zaczynał mi się podobać.

– Jakie przewidujesz zakończenie?

– W krótkim czasie żona klęknie ci na wycieraczce pod drzwiami i poprosi o przebaczenie.

– Tak?

– Tak. A ty popatrzysz na nią, zmarszczysz brwi z zastanowieniem i powiesz: „Skądś panią znam". Dobre, co? Cha! cha! cha!

No tak. Teraz można już trochę się pośmiać. Może naprawdę jeszcze nie wszystko stracone? Dzidek to jest wielki człowiek. Mięśnie ma ogromne, ale mózgu jeszcze mu nie zarosły. Jeszcze tylko nie wiem, jak mam się na następnej rozprawie bronić.

– Jak mam się bronić? – huknąłem do słuchawki.

– Nijak. Opowiesz sądowi, jak bardzo kochasz żonę, dziecko i teściową, sąd nie da rozwodu, a na następnej rozprawie z kolei udowodnisz, że żona to dziwka i wobec tego ty powinieneś wychowywać dziecko. Przecież to proste, no nie?

Proste było o tyle, że Dzidek płynnie mówił. Argumentację miał jednak kołkowatą. Już mnie emocje opuściły, mogłem krytycznie myśleć.

– Skąd wezmę świadków na to, że ona jest dziwka?

– Z tym nie będzie kłopotu. Pod sądem stoją całe gromady. Świadkują za tysiąc złotych. Niektórzy nawet za pięćset. Napisz tekst i daj im do nauki. Mają dobrą pamięć, więc wykują na blachę.

– Nie leży mi taka metoda.

– To nie jest metodą! To jest konieczność! Zresztą najpierw będzie o miłości, a dopiero potem o łajdactwie. Masz kogoś, kto poświadczy, że bywałeś z żoną w kinie, w teatrze albo u znajomych?

– Nie mam. Przecież ciągle siedziałem z dzieckiem, a ona w tym czasie chodziła do kina albo na dyskoteki.

– No to… – Dzidek jeszcze się namyślał. – Tak jest! Ja stanę za świadka!

– O, cholera! – wyrwało mi się bezwiednie.

– Przestań kląć, idź do adwokata. Nie! – przypomniał sobie. – Do adwokatki. Potem przyjedź do mnie i wypijemy za zdrowie teściowej.

3

Była sobota i akurat jechałem w odwiedziny do dziecka. Czyli: do teściowej. A jeszcze wczoraj był piątek i wczoraj do teściowej nie jechałem. Wczoraj poszedłem do zespołu adwokackiego, wybrałem sobie z listy nazwisko damskiego mecenasa i ukłoniłem się czterdziestoletniej pani, która z mety zażyczyła sobie, abym ją przekonał, że faktycznie kocham żonę, bo w przeciwnym wypadku opieranie się rozwodowi nie miałoby sensu.

Natychmiast dokonałem selekcji wszystkich cech osobowości, które zaobserwowałem u żony, odrzuciłem złe, przyczepiłem je gładko do teściowej – wyszło, że kocham żonę nad życie. Ba! Nawet się wzruszyłem. Lewe oko zaszło mi mgłą, prawe mrugało nerwowo, o mało się nie usmarkałem. Gdybym tak dla odmiany z teściowej spróbował pozdejmować niekorzystne cechy, pozostałaby najwyżej klepsydra. Ale żona nie była aż taka zła. Najwyżej głupia. Fakultet niby ukończyła, ale medycyna to fakultet pamięciowy, myśleć tam specjalnie nie trzeba, wkuwanie spłyca wyobraźnię, moja żona była płytka. I na tym polegało całe nieszczęście. Przedtem chciała mieć wszystko od zaraz, a ponieważ ja tego nie dostarczyłem, więc poszukała takiego, który miałby więcej możliwości. Nie liczyła się dla niej satysfakcja z własnych osiągnięć, wypracowanych i uczciwie zdobytych. Wprost przeciwnie – trafia się okazja, no to siup! Jak w bajce o rybaku i złotej rybce. A teściowa tylko podkręcała sprawę. Masz rację, córuś, jesteś piękna jak królewna, powinnaś być królową.

No więc piątek minął, jest sobota, a ją podjeżdżam akurat pod zamek, w którym mieszka królewna, matka królewny i królewski bękart, czyli dziecko poczęte w stuprocentowym mezaliansie, bo nie z królem, ale z jakąś pielęgniarką o nazwisku Bartłomiej Zadura.

Niech to diabli! Teściowa w ukłonach i w skowronkach. Więc ja również. Widocznie tak trzeba. Sytuacja jest niemal patologiczna. Jeśli ona nie zdaje sobie sprawy z tego, jakich świństw nagadała na rozprawie, to nie ma sensu, abym ja robił problem. Mogę się wściekać w sądzie, ale tutaj obowiązuje uśmiech. Niech będzie.

– Co tam słychać w polityce? – zapytała uprzejmie.

– Nic szczególnego – odpowiedziałem pogodnie. – W najbliższym czasie powinna wybuchnąć bomba atomowa, ale chyba jeszcze nie w tym roku.

– W razie czego – spoważniała od razu – to my zaraz wyjeżdżamy na wieś do mojej mamy.

– Racja – przytaknąłem. – Bomby będą padać tylko na miasta. W tym czasie ludzie powinni organizować wycieczki rowerowe na wieś.

– A to dobre! – roześmiała się. – Ty, Bartek, masz zawsze dobry humor! Zjesz coś? Mam trochę szynki.

Zrobię jej przyjemność. Był dopiero początek sprawy sądowej, więc szynka nie powinna być jeszcze zatruta. Po czwartej wycieczce do sądu natomiast będę przysięgał, że nie jestem głodny.

Przyszła żona z drugiego pokoju i podała mi rękę. Usiadłem, dziecko weszło mi na kolana i zaczęło opowiadać o tym, co wydarzyło się w ostatnim czasie. Babcia mianowicie przebrała się za dziada i zaczęła straszyć, bo wnuczek dostał czkawki i babcia chciała przerwać tę czkawkę metodą uderzeniową. Dopiero po dwóch godzinach żonie udało się przekonać teściową, by przerwała straszenie, i że wystarczy jakiś prosty lek uspokajający. Gdy już lek zadziałał, wtedy babcia uśmiechnęła się triumfalnie i powiedziała, że jej wysiłek nie poszedł na marne. Dawniej w ogóle było łatwiej, bo dzieci pozwalały się nastraszyć od razu, a teraz potrzeba odczekać aż dwie godziny. Ale to nic nie szkodzi, bo ona jest gotowa zrobić wszystko, byle tylko dziecko było zdrowe.

Teściowa zadała mi później kilka uprzejmych pytań na temat literatury pięknej, telewizji, kolejek pod sklepami i mojego zdrowia. Skrupulatnie wyrażałem swoje poglądy na zadany temat,

a następnie przystąpiłem do zabawy z dzieckiem. Bawiliśmy się w konia, w pociąg, w chowanego, w wojnę, w piłkę, w krowę, w berka, w klocki i w koguta. Potem dziecko poszło spać, a ja złożyłem ukłon władczyniom tego królestwa i wyjechałem. Było bardzo przyjemnie.

4

W połowie tygodnia skończył mi się urlop zdrowotny. Trzeba było znowu iść do roboty. Trudna sprawa. Wciąż nie mogłem się zdecydować, czy wejść do szpitala na czworakach, czy udawać poważnego, czy też wymyślić jeszcze coś. Przecież w każdym wypadku będą mnie świdrować oczami, dziury mi wyświdrują w plecach. Może nawet przekwalifikują mnie na salowego z obawy, że w napadzie szału uduszę pacjenta, a takiej na przykład szczotce w niczym już nie zaszkodzę! To był naprawdę trudny dzień, niemal tak trudny jak podczas występu teściowej w sądzie, tyle że tutaj wszystko zależy ode mnie. Od tego jak się zachowam na oddziale. Nie miałem żadnego doświadczenia w tym względzie i nie orientowałem się, jak powinien prezentować się wariat, aby zostać uznanym za normalnego.

Wstałem o czwartej rano i całe dwie godziny rozbiłem miny przed lustrem. Zupełnie zapomniałem, że czeka mnie rozwód. Kiedy później opuszczałem mieszkanie, byłem już tak zmęczony, że w tramwaju bez skrupułów zająłem miejsce przeznaczone dla matki z dzieckiem.

Dobrze się stało, że pierwszą osobą spotkaną na oddziale był Mustafa. Sprawiał wrażenie tak zaspanego, że nie zdziwiłem się, gdy wcale mnie nie zapytał o przyczynę długiej nieobecności.

– Cześć, Bartek! – powiedział i wyciągnął rękę na powitanie. – Dzisiaj mamy od cholery roboty. Wytrzymasz ze mną pięć operacji?

Poczułem się od razu znacznie lepiej.

– Jeśli doktor wytrzyma, to i ja.

– W porządku. Przebieraj się i zaczynamy.

Spojrzałem na zegarek. Była dopiero za dwadzieścia ósma. Oddziałowa jeszcze nie przyszła, innych dziewczyn też nie zauważyłem. Dobrze jest. Zaczynamy więc natychmiast. Przebrałem się błyskawicznie i za trzy minuty stanąłem na sali operacyjnej. Mustafa już był gotów. Głową wskazał mi leżącą pacjentkę.

– Zaczynamy od niej – mruknął – bo nie może spać ze strachu. Potrafisz ją uspokoić przed zabiegiem?

Jakaś nieznana instrumentariuszka grzebała w narzędziach. Popatrzyła na mnie obojętnie, natomiast pacjentka z zainteresowaniem. Ale strachem wiało jej z oczu na wszystkie strony. Ładna była, mogła mieć najwyżej trzydzieści lat, a może nawet mniej.

– Boi się pani? – zapytałem z uprzejmą wyrozumiałością. – To normalne. Ale doktor tak znieczuli, że żadnego bólu nie będzie.

Poruszyła ustami, głos nie wyszedł jednak od razu. Chrząknęła. Dopiero teraz zapytała chrypliwie:

– Czy to się uda?

Wzruszyłem ramionami.

– Gdyby się miało nie udać, to doktor Mustafa nie podjąłby się tej roboty.

Mustafa spojrzał na mnie zdumiony. Akurat trzymał w ręku ampułkę. Kiedy dotarł do niego sens mojej wypowiedzi, sięgnął po jeszcze jedną ampułkę. Coraz lepiej. Teraz mogłem być pewny, że dziewczyna naprawdę nie poczuje bólu.

Odwróciłem się do niej znowu.

– Będzie miała pani głos jak śpiewaczka operowa.

Wyglądała na zdumioną.

– Bo gdyby trzeba było teraz zaśpiewać, to wypadłaby pani jak sam Armstrong – wyjaśniłem.

Zauważyłem coś w rodzaju cienia uśmiechu. Dobre i to.

Trzeba było robić cięcie na tchawicy. Mustafa robił to precyzyjnie i płynnie. Dziewczyna

miała podbródek ostro zwrócony ku górze i cały czas patrzyła na mnie. Pomyślałem przez jedną chwilę, że gdyby miała okazję popatrzeć na to, co dzieje się z jej szyją, natychmiast zemdlałaby ze strachu. Patrzyła więc na mnie. A ja byłem z siebie zadowolony jak nigdy dotąd. Z Mustafą tworzyłem tak zgraną parę, jak gdybym razem z nim grał w duecie na pianinie.

Dopiero pod koniec mój Arab przemówił:

– Gdzieś ty był tyle czasu?

– Na urlopie zdrowotnym.

– Chorowałeś? Co ci było?

– Baby mnie zniszczyły.

– Tak? A co jest z twoją doktorką?

– Właśnie bierzemy rozwód – odpowiedziałem spokojnie i zdjąłem ostatni sączek z rany pacjentki. Wyglądała na zainteresowaną moim rozwodem.

– A co z dzieckiem? – pytał dalej lekarz. Już się nauczył, że w Polsce przy okazji rozwodu zadaje się również pytanie o dzieci.

– Walczymy o nie.

– Masz jakieś szanse? – zdziwił się. – Przecież nie jesteś matką. Nawet kobietą nie jesteś!

– Na dyplomie mam napisane, że jestem.

– Tak? – roześmiał się. – Jak to się stało? Biurokracja?

Dla niego wszystko, co złe, sprowadzało się do biurokracji. Nawet gdy mu któraś z pielęgniarek nie pozwoliła się pocałować, to też zwalał sprawę na biurokrację.

Spojrzałem w oczy pacjentce. Zrobiła minę, jakby chciała coś powiedzieć.

– Nie, nie! – ostrzegłem ją z uśmiechem. – Porozmawiamy sobie dopiero za tydzień. Chyba że nauczy mnie pani rozmowy na migi.

Uśmiechnęła się ostrożnie, jakby ją coś zabolało. Zauważył to Mustafa.

– Co się stało? – zapytał. – Przecież znieczulenie jeszcze działa. Operacja skończona i na razie nie ma powodu do zmartwień.

– To tak na wyrost, doktorze – wtrąciłem uspokajająco.

Nie zrozumiał.

– Na co? – zapytał.

– Na wszelki wypadek.

– Aha. – Tego określenia dobrze się już nauczył. – Niech będzie. – Odwrócił się do okna. No dobrze. Robimy sobie dziesięć minut przerwy i zaczynamy od nowa. Zawołaj kogoś – zwrócił się do mnie. – Niech ją odwiozą na salę.

– Sam zawiozę – powiedziałem.

– Jak chcesz – mruknął obojętnie.

Przeniosłem dziewczynę na wózek i okryłem troskliwie kocem. Nieustannie wpatrywała się we mnie, jakby od mojej inicjatywy zależało bliższe i dalsze zdrowie. Miałem nawet chęć pogadać sobie z nią, ale przecież Mustafa, jak na złość, robił operację na jej „głosie". Jeżeli nie zapomnę, to wpadnę do niej za kilka dni i zapytam o nastrój.

To była naprawdę harówka. Skończyliśmy po drugiej, a ja zupełnie zapomniałem, że jako były wariat powinienem obawiać się ciekawości współpracowników. Weszliśmy z Mustafą do gabinetu zabiegowego i przysiedliśmy na leżance. Oddziałowa wybałuszyła oczy.

– Oho! Kogo my widzimy!

– Dzień dobry – odpowiedziałem sennie, bo przecież wstałem o czwartej rano.

– Jak się pan czuje? – zapytała z ciekawością.

– Zmęczony jestem – odparłem i machnąłem niedbale ręką.

– Dajcie nam spokój – dodał Mustafa. – I herbaty dajcie, jeśli łaska.

Nawet nie czekaliśmy długo. Dobra była ta herbata.

– Bartek się rozwodzi – poinformował Mustafa, kiedy dopił do połowy.

– To niedobrze – zawyrokowała oddziałowa. – Co pan chce od swojej żony?

Każdej babie wydaje się, że to mężczyzna organizuje imprezę rozwodową. Oddziałowa nie była wyjątkiem.

– Nic od niej nie chcę – powiedziałem. – Ale rozwód trzeba wziąć. Przynajmniej raz w życiu, bo taka jest moda – dodałem. – Żeby potem nikt nie mówił, że byliśmy zacofani!

5

Jeżeli chodzi o program dnia, to nie mam powodów do zadowolenia. Rano wędruję do pracy, po południu wracam do domu, przeglądam się w czterech ścianach pokoju i za każdym razem dochodzę do wniosku, że jestem diabelnie osamotniony. W zasadzie mógłbym wyjść na rozstajne drogi i podrywać dziewuchy. Chyba co dziesiąta dałaby się skusić, do wieczora uzbierałbym kilkanaście, potem zorganizowałbym konferencję na mój temat i w końcu – kto wie – może jedna zostałaby z facetem, który nie jest ani wolny, ani żonaty, ani bezdzietny, ani dzieciaty. Cholera wie, kim ja teraz jestem. Raz w tygodniu robię za ajenta. Dzisiaj na przykład jest sobota, a ja mam dzień wolny. Wobec tego zjawiłem się u teściowej i wziąłem w ajencję moje własne dziecko. Na dwa dni, bo inaczej się nie da.

– Lepiej niech on dziecka nie zabiera – powiedziała teściowa mojej żonie.

– Lepiej pobaw się z nim tutaj – powiedziała żona.

– Nie – odparłem zdecydowanie. – Jestem ojcem i wcale w to nie wątpię. Wobec tego wypożyczam sobie dziecko na dwa dni.

Dyskutowaliśmy tak godzinę. W końcu postawiłem na swoim, bo mały zaczął krzyczeć, że chce jechać ze mną.

– Ten mały cholernik wdał się w tego starego cholernika! – mruknęła teściowa z pokoju, podczas gdy już przy drzwiach zakładałem małemu palto.

– Kiedy go przywieziesz? – zapytała żona.

W jej oczach błyszczała nadzieja, że gdzieś na trasie wysadzę dziecko, a sam rozpędzę się do setki i rąbnę w najbliższy słup.

– Jutro wieczorem.

– O dziewiątej?

– Tak, o dziewiątej.

– Szerokiej drogi wam życzę.

– Dziękuję. Do widzenia.

Tak mniej więcej wygląda rozmowa pomiędzy małżonkami pozostającymi w stanie zawieszenia. Rzeczowo.

Powędrowaliśmy z Kracusiem na pływalnię, bo tam akurat odbywała się impreza dla dzieci. Balet, skoki i różne takie pajacowanie na wodzie. Dzieciak się cieszył, przyjemnie było na niego popatrzeć.

– Fajnie było, tata – powiedział na zakończenie.

Odwiedziliśmy Fredka. Akurat stał naprzeciw swojego obrazu zaczętego przed miesiącem. Odwalił wtedy chmury, teraz pewnie nadsłuchiwał grzmotów z płótna.

– To jak? – zapytałem, wskazując głową obraz.

– Nareszcie wyschło – odpowiedział Fredek.

– A kiedy będzie reszta?

– Trudno powiedzieć – powiedział Fredek konspiracyjnie. – Na razie pieszczę.

Z kuchni przydreptał przedmiot do pieszczenia. Taka sobie dziewczyna. Anastazja jej było. Szczupła i powiewna. Fredek mógł ją pieścić, bo mieścił się w standardowym metrażu i dziewczynie nic nie groziło. Ale gdyby tak Dzidkowi przyszło ją popieścić, to ho, ho. Naleśnik. Naleśnik i nic więcej! Na szczęście ludzie dobierają się zwykle metrażem lub wytrzymałością powłoki, więc rzadko się od pieszczot ginie.

– Kracuś – powiedziała Anastazja. – Mam dla ciebie rower, możesz sobie pojeździć.

I Kracuś jeździł. Aż do wieczora. Tak mu było dobrze z tym rowerem.

W zasadzie nie było o czym gadać. Patrzyliśmy cały czas na rozbawione dziecko.

– To głupia dziwka! – nie wytrzymał w końcu Fredek. – Takie fajne dziecko zmarnować! Bo przecież ono się zmarnuje!

– Z nią na pewno – odpowiedziałem niechętnie. – Dlatego właśnie nie wyraziłem zgody na rozwód.

– I mógłbyś jeszcze mieszkać z nią pod jednym dachem? – zapytała Anastazja.

– Chyba mógłbym – powiedziałem powoli. – Bo dla Kracusia gotów jestem jeszcze nawet udawać, że ją kocham. To dziecko warte jest takiego poświęcenia.

– Przecież możesz się jeszcze zakochać w kim innym! – zaprotestowała Anastazja.

– Na razie nie potrafię.

– Głupia dziwka! – powtórzył Fredek. – Tak ją ogłupiły te dolary!

– Jak każdą babę – mruknąłem filozoficznie.

– Wypraszam sobie! – zawołała Anastazja.

– Możesz sobie wypraszać! – zaperzył się Fredek. – Baba i tak myśli przede wszystkim dupą zamiast głową. Gdyby tak traktor sypał forsą z komina, to też baby za takim polecą i będą gadać, że to interesujący przystojniak! A ta twoja doktórka to wyjątkowo głupia dziwka.

– Zgadza się – potwierdziłem.

– Facet podłożył jej pod dupę dziesięć dolarów, a u niej nogi od razu na boki! – piał dalej. – Jak u pajaca. Tak było?

– Nie wiem – zastanowiłem się spokojnie. – Może nie dziesięć. Może pięćdziesiąt?

– Głupio gadacie – podsumowała Anastazja. – Lepiej skończcie. Dziecko was słyszy. Nauczy się na pamięć i będzie później opowiadać ludziom.

Skończyliśmy. Niech ma. Kracuś zmęczył się i powiedział, że mu się chce spać. Tak zakończyła się sobota.

W niedzielę buszowaliśmy na sankach. Po południu przyszedł Fredek z Anastazją. Bolała ją głowa, więc dałem jej dwie piguły i położyła się na tapczanie. We dwóch zajęliśmy się dzieckiem. Było tak wesoło, że zupełnie zapomniałem o żonie.

Nagle dzwonek u drzwi. Otworzyłem i oprzytomniałem. Weszła ta moja. Za nią wtoczył się ojczym Precelek. Spojrzałem na zegarek, była piąta. Przecież dopiero o godzinie dziewiątej miałem oddać dziecko! Po co ona tu włazi? I po co jeszcze ten Precelek?

– O! – powiedziała Karolina zamiast powitania. – Jakaś dziewczyna leży na kanapie. Będzie do rozwodu.

– Tak jest – mruknął Precelek z głupim uśmiechem.

– Przyjechałam po dziecko – zawiadomiła mnie energicznie. – Wyjeżdżamy do babci na wieś i muszę zabrać Kracusia.

– Odwiozę go za dwa dni! – zaprotestowałem. – On tutaj czuje się dużo lepiej niż u twojej babci. Zostaw mi go jeszcze.

– Tutaj? – zawołała. – W tym burdelu?

– W jakim burdelu?

– O! Leży tutaj baba! Nie wolno dziecka demoralizować.

Fredek zerwał się jak tygrys.

– Co takiego? – wrzasnął. – Czy to znaczy, że ona jest kurwa?

– Nie wiem – mruknęła przestraszona Karolina, a Precelek nasrożył się na wszelki wypadek.

– Bo ja słyszałem, że to pani robiła za prostytutkę we Włoszech! – rozjuszył się Fredek. – A teraz ma się doświadczenie i wie się, jak wygląda burdel! Tak czy nie?

Karolina zawyła z wściekłości. Łzy pociekły jej z oczu na zawołanie. Kracuś siedział mi cicho na kolanach i nawet się do niej nie odwracał.

– Ja na tej kanapie spałam przez cały czas! – wrzeszczała żona. – To moja kanapa!

Ciągle nie potrafiła zmienić stylu. „Moja kanapa”. „Mój dom”. „Moje pieniądze”. Przede wszystkim pieniądze. Gdyby miała dziesięcioro dzieci, wynajęłaby sklep, powsadzałaby bachorów za szybę z wypisanymi na kartkach cenami.

– Ja mogę pani zapłacić za noclegi! – Fredek umiał się znaleźć. – Ile to kosztuje?

– Niepotrzebne mi pana pieniądze! – rozwrzeszczała się znowu. – Chodź, Kracuś! Ubieramy się! Zostaw tego kretyna!

Kracuś nie reagował. Może się zastanawiał, czy „kretyn” to rodzaj cukierka?

– Kracuś, słyszysz?

Zaczęła mnie szarpać. Z wrzaskiem i z płaczem. Spojrzałem na Precelka. Chciałby jej pomóc, ale miał pietra. Bo może któryś z nas zaprawi go w mordę!

I nagle Kracuś nie wytrzymał.

– Chodź, tata, jedziemy! – zawołał z płaczem.

Zmiękłem natychmiast. Co miałem zresztą robić? Jeszcze niejedno przed tym dzieciakiem. Oszczędzę mu wrzasków przynajmniej.

Wstałem i założyłem palto dziecku.

– Jedź ze mną, tata! – prosił, a łzy ciekły mu nieustannie.

– Nie mogę, Kracusiu – powiedziałem smutno. – Przyjadę do ciebie w drugą sobotę. Nie zapomnisz taty do soboty, prawda?

– Nie – odparł krótko, połykając strumienie łez.

Porwała go dramatycznie i wyskoczyła na korytarz. Za nią wysunął się zmaltretowany sytuacją Precelek.

Zamknąłem za nimi drzwi. Fredek i Anastazja patrzyli mi w oczy.

– Wesoło było – ustalił Fredek.

– Wesoło – powtórzyłem.

– Ja bym ją zarąbał na śmierć! Nie myślałeś o tym?

– Myślałem. Kto by się wtedy zajął dzieckiem?

– Teściowa – podpowiedziała Anastazja.

– Ja bym zarąbał obie! – upierał się Fredek.

– Za duża strata – pokiwałem głową. – Dwadzieścia lat murowane.

– A za ile byś zaryzykował? – zapytał poważnie Fredek.

– Za piątkę.

– Naprawdę?

– Tak.

– We Włoszech tyle by ci chyba dali. Rok za teściową i cztery za żonę. Daj jej rozwód i wal za nią do Włoch! Niech cię potem sądzą według tamtejszych praw.

Roześmiałem się. Nawet dość luźno. Fredek ma dobre pomysły. Trzeba mu podsunąć Dzidka do konsultacji. A potem jeszcze mogliby obaj dokonać mordu zamiast mnie. Dwadzieścia lat? Dostaliby po dziesięć, a ode mnie co tydzień paczkę do więzienia. Z podziękowaniem!

6

Minęło znowu kilka dni, a jedyną atrakcją tej codzienności był mróz na dworze i zimno w domu. Dziesięć stopni ciepła pozwalało wprawdzie na uginanie nóg w kolanach, ale gdy już posiedziałem godzinę bez ruchu przed telewizorem, to mi ręce w łokciach sztywniały. Fakt, że łokcie już nie te, co dziesięć lat temu, ale zawsze łokcie. W epoce braku części zamiennych musiałem liczyć się z tym, że łokcie będą musiały wystarczyć jeszcze na długie lata. Chyba że mój rodzinny kontredans zdemoluje mi nerwy do wartości złomowej, co w efekcie pozwoliłoby na znacznie szybsze przejście do wieczności. Ale obecnie wycieczka w tamtą stronę nie bardzo mi pasowała. Muszę przecież załatwić sporo spraw na ziemi, a to wymaga czasu. Człowiek jest niestety tworem o zdolnościach ograniczonych w zakresie wydawania sobie nakazów dotyczących zmiany zainteresowań lub nastroju. Z tego powodu w okresie chociażby obniżonego nastroju trudno się nagle roześmiać. Trudno też nakazać sobie sposób bycia, który nie wypływa z wewnętrznego przekonania. To tylko naiwni lekarze tłumaczą grubym głosem swoim naiwnym chorym na serce pacjentom, że nie wolno się denerwować. A co ma taki robić, jeśli w domu siedzi głupia żona, a córka akurat nie siedzi, bo się puszcza? Niby racja, że do wszystkiego można się przyzwyczaić, ale taki pacjent może akurat nie zdążyć wyrobić sobie takiego przyzwyczajenia przed śmiercią. To co? Ma się uspokajać na siłę? A jeżeli się przy tym zdenerwuje?

Coś trzeba z tym zrobić. Obliczyłem wszystkie swoje szanse i zrobiłem mocne postanowienie poprawy. Postanowiłem mianowicie absolutnie nie denerwować się. Wprawdzie w momencie podejmowania takiego postanowienia zatrzęsły mi się ręce z nerwów, ale dokonałem dzieła. Teraz należałoby tylko wkręcić się w sytuację, która by prowokowała do wybuchu. I wtedy się sprawdzę. Za pierwszym razem będzie mnie jeszcze rzucało od środka, za drugim już mniej, a za trzecim może już wcale. Najchętniej zacząłbym od tego trzeciego razu, ale nie miałem jeszcze żadnego doświadczenia w omijaniu kolejności. Tak więc musiałem jechać od początku.

Najkorzystniejszą sytuację do treningu nerwów stworzyć mi mogła oczywiście rodzina mojej żony. A ponieważ już mocno stęskniłem się za Kracusiem, wobec tego zdecydowałem się natychmiast wyruszyć na wieś. Ba, ale na którą wieś? Karolina, porywając dziecko, nie poinformowała mnie, dokąd się wybiera. A ta rodzina rozsypana była przecież po całym województwie. Jak ja znajdę dziecko?

Pomyślałem, że trzeba wyruszyć rano, żeby z tej loteryjki wyłuskać coś dla siebie do wieczora.

Następnego dnia zamieniłem się z oddziałową na dyżur nocny i pojechałem do Małkowa. Na widok samochodu cała rodzina przykleiła się do okna. W podwórku stał samochód Precelka. Dobry znak. Trafiłem w dziesiątkę.

– Dzień dobry! – zawołałem nieco sztucznie, wchodząc do ciepłej izby. Był Franek, jego żona, Zosia, ciotka Balbina, Grażka i jeszcze jacyś ludzie.

Ktoś słabym głosem odpowiedział na powitanie, reszta chrząkała. Zrobił się ruch jak przy wjeździe pociągu na stację. Trzy pokolenia latały w kółko, jakby im ktoś nagle ukradł wszystkie pieniądze. Pierwszy znalazł się na miejscu Precelek.

– Siadaj, Bartek! – powiedział jowialnie i podsunął mi stołek.

Ale ani żony, ani dziecka, ani teściowej nawet tutaj nie było.

– Myślałem, że Kracuś jest u was… – zacząłem niechętnie.

– Nie ma – odpowiedział Precelek. – Zawiozłem ich do Troków.

Psiakrew! Sto kilometrów stąd.

– Napijesz się? – zapytał Franek. – Zimno dziś.

– Najwyżej herbaty – mruknąłem niedbale.

– Więc jak to teraz będzie? – nie wytrzymała Zosia. – No powiedz, Bartek!

Wzruszyłem ramionami.

– Normalnie.

– Normalnie to będzie dla was, ale co z dzieckiem?

– Zapytaj mojej żony.

– Już pytałam. Mówiła, że ty byłeś draniem. Że ją biłeś i cały czas kazałeś jej siedzieć w domu. A ona chciała na zabawy, sam rozumiesz, jak to kobieta.

Wziąłem głębszy oddech i odprężyłem się. Spojrzałem na Precelka. Miał niewyraźną minę. Jak zwykle zresztą. Klepnąłem go w kolano.

– Nie martw się, Kazik! Dobrze jest!

Aż podrzucił głowę w górę.

– Mówisz, że jest dobrze?

– Oczywiście. Dotychczas ty byłeś draniem, a teraz ja nim jestem! Cha! cha! cha!

Precelek nie wiedział, jak się zachować. Frankowi oczy rozeszły się na boki, a Zosia spojrzała ze zdziwieniem na Grażkę.

– No i co się tak gapicie? – zawołałem swobodnie. – Przecież wiem, że od miesięcy już jestem u was na plotkarskim warsztacie! Dawniej był Kazik, a teraz jestem ja! Teatru na wsi nie macie, to wolno wam plotkować! Sami robicie teatr! Ja pretensji nie mam – zakończyłem spokojnie.

Precelek jeszcze nie chwytał. Może myślał, że mam do niego pretensję? A gdybym nawet miał, to i tak mu tego nie przetłumaczę. Za głupi, żeby chwycił sens wszystkiego.

Zosia postawiła przede mną szklankę herbaty. Wypiłem łyk i znowu rozparłem się swobodnie.

– No więc powiedzcie, co ustaliliście? – zapytałem i popatrzyłem w oczy każdemu po kolei. – Bo sam zgadnę! – ostrzegłem groźnie.

Nie odzywali się, więc wypiłem jeszcze parę łyków. Znowu odwróciłem głowę w stronę Precelka.

– Widzisz, Kazik, na co nam przyszło! – powiedziałem z patosem. – Obaj wyszliśmy na sukinsynów. Cha! cha! cha! My jesteśmy sukinsyny, a nasze żony to najbardziej niewinne aniołki na ziemi! Dobre co?

Precelek o mało nie spadł z krzesła. Nigdy by mu to do głowy nie przyszło.

– Ale ja jestem większy sukinsyn niż ty! – perorowałem dalej. – Bo ja się wypisuję z tego małżeństwa, a ty siedzisz dalej na swojej wycieraczce.

– Na jakiej wycieraczce? – oburzyła się Zosia.

– Na swojej! – odparłem z przekonaniem w oczach. – Przecież Kazik pełni w swojej familii funkcję psa pokojowego! Cha! cha! cha!

Precelek uniósł się groźnie z miejsca, a ja sięgnąłem po szklankę. Zrobiło się cicho. Powiedziałbym nawet, że trochę za bardzo cicho. Franek najwyraźniej przygotowywał się do wygłoszenia mowy. Za chwilę powie, że jestem w jego domu. I że obrażam jego rodzinę.

Wstałem, zanim ktokolwiek zabrał głos.

– Fajnie tu u was – uśmiechnąłem się zjadliwie. – Ale ja muszę jechać dalej. Tak się stęskniłem za żoną, że koniecznie muszę ją zobaczyć jeszcze dziś! Cha! cha! cha!

Trzasnąłem lekko drzwiami i wchłonąłem zapas mroźnego powietrza. Czułem się zupełnie dobrze. Śmiech to jednak najważniejsza sprawa w życiu. Od razu garb się prostuje. W takim momencie pierś idzie do przodu nawet wielbłądowi. Roześmiałem się jeszcze dwa razy, zanim

rozgrzał się silnik. W żołądku miałem herbatę, grzało mnie jak trzeba, czego jeszcze wymagać od życia!

Przejechałem kilka kilometrów. Szron na szybie zamienił się w grube krople wody. Te krople wyglądały, jak łzy. Takie wielkie łzy widziałem ostatnio na twarzy mojego dziecka. Tutaj wszystko wzięło się z różnicy temperatur, tam – z różnicy poglądów na świat.

Znowu zrobiło mi się smutno. Moje dziecko płacze, bo ma głupią matkę. A co mogę teraz zrobić ja? Mogę się nie denerwować! I nie tylko! Mogę się jeszcze śmiać. Ale to już wszystko. Jak zrobić, by przywrócić uśmiech na twarz mojego dziecka? Przecież nawet nie wiem dobrze, gdzie ono jest.

Na zegarku dopiero wpół do jedenastej. Mam pięć godzin czasu do zmroku. Mnóstwo czasu. Zdążyłbym jeszcze pochować teściową, gdyby było trzeba. Żonę puściłbym w ajencję. Najlepiej gdzieś za granicą. Dziecko zabrałbym do siebie, a Precelka mianowałbym u mnie kamerdynerem. Grunt to rodzinką!

W Trokach wylądowałem przed pierwszą. Zaśnieżona droga nie pozwoliła na szybką jazdę, wlokłem się więc jak zdezelowany traktor, ale w końcu dojechałem. Drzwi otworzył mi Kracuś. Był uśmiechnięty i zadowolony z życia.

– Tata przyjechał do mnie? – zapytał szczebiotliwie.

– Oczywiście, że do ciebie – odpowiedziałem podając mu rękę. Kracuś zawsze tak się ze mną witał. Nie lubił, gdy go kto brał na ręce albo podnosił do góry.

Za stołem siedział Jasiek, mąż Balbiny. Fajny był z niego chłop, w kapciach nigdy nie chodził, żonę regulował dwa razy w tygodniu i widać było zawsze, że on tu jest gospodarzem.

– A co ty, Bartek, sobie myślisz? – powiedział już później. – Że ja pozwoliłbym, aby mi ktoś po głowie chodził? Ja nie Kazik ani nie Franek. Jak mi baba do oczu skacze, to biorę sztachetę w garść i robię pałowanie. Wybijam jej głupoty ze łba i taki masaż wystarcza co najmniej na trzy dni. Nie masz pojęcia, jak ona mnie kocha po tej kuracji!

Tak powiedział dopiero później, bo na początku nic nie mówił, tylko się uśmiechał. Wziąłem dziecko za rękę, podszedłem do Jaśka i przywitałem się z nim.

– Przykro mi – rzekłem – że cię tak nachodzę w środku zimy, ale tak się stęskniłem za żoną i teściową, że już wytrzymać nie mogłem. Co ty na to?

– Bardzo dobrze – pochwalił Jaśko. – Uczucia rodzinne muszą być podtrzymywane. Zaraz każę zrobić coś do jedzenia. Siadaj!

– Siadaj, tata – powtórzył za nim Kracuś.

No więc usiadłem i w tym momencie z drugiego pokoju weszła teściowa razem z moją żoną. Uśmiechnęły się do mnie, bo tak im dobry obyczaj nakazywał, chociaż oczy ich błyszczały wyrokiem śmierci dla mnie. Złożyłem ukłon, garb wyszedł mi ponad głowę w tym ukłonie, wszystko było więc jak trzeba.

– Jak się jechało? – zapytała teściowa.

Wyczułem smutek płynący z jej ust. Ba! Gdybym tak znalazł się na środku szosy pomiędzy dwoma walcami drogowymi! Co za radość! A tu nic. Kultura jeno i nic więcej.

– Dziękuję, dobrze – odpowiedziałem. – Dużo śniegu, ale jakoś poszło.

– Niełatwo jest teraz jeździć – rozmyślała głośno. – Ślisko i zaspy po bokach.

– Oj, tak – potwierdziłem z miną takiego, który dopiero po trzech dniach wydostał się z zaspy i teraz włazi do niej z powrotem, bo mu tam buty zostały.

– Nie gadajcie tyle! – burknął Jaśko. – Dajcie jeść chłopakowi, bo głodny!

Zakrzątnęły się przy kuchni bez słowa. Na stół wjechały półmiski z wędliną. To mi się podoba! Mnie i moje dziecko powinny obsługiwać właśnie takie kobiety. Jedna z dyplomem, a druga z przeszłością. Od razu wszystko lepiej smakuje.

– Dobrze, że wpadłeś – odezwał się znowu Jaśko. – Zostaniesz z nami kilka dni.

– Tak – powiedział Kracuś. – Tata zostanie. Ja lubię tylko tatę.

Popatrzyłem na obie służące. Ich oczy nabrały płomiennego wyrazu. Jeszcze chwila i dostaną gorączki przeze mnie.

– Dziękuję ci – odwróciłem głowę do Jaśka. – Jeszcze mam kilka spraw do załatwienia. Przyjadę za kilka dni. Ale dzisiaj muszę wracać. Pobawię się trochę z dzieckiem i lecę z powrotem.

– To przyjedź na Wigilię! – zawołał nakazująco.

– Nie wiem, czy wszyscy na to się zgodzą.

– Ja tu rządzę! – wrzasnął i stanął za stołem.

Taki był ten Jaśko.

– Tak – odezwała się Karolina. – Wszyscy cię zapraszamy. Nasze spory to jedna sprawa, a Wigilia to druga.

– No, widzisz – rozluźnił się Jaśko. – Powiedziałem ci, że ja tu rządzę.

Teraz nie miałem już żadnych wątpliwości. A Karolina zaproponowała mi rozmowę. Że niby w drugim pokoju i bez świadków.

Niech będzie. Tyle że Kracuś poszedł ze mną. Ale on jeszcze niegramotny, więc można rozmawiać przy nim.

– Dlaczego nie chcesz zgodzić się na rozwód? – zapytała od razu.

– Sam nie wiem – odparłem ostrożnie, bo jak powiem coś głupiego, to wykorzysta w sądzie.

– Nie wiesz? Znaczy, że ci na mnie już nie zależy.

– Zależy! – zawołałem patetycznie. – Moje dziecko powinno mieć służącą, a najlepiej będzie, jeśli tą służącą pozostanie jego matka. Dobrze mówię?

Przełknęła spazm wściekłości. Na zdrowie!

– Co mam zrobić, żebyś nie oponował?

– Zaproponować sądowi, by oddał mi opiekę nad dzieckiem.

– Nigdy! – krzyknęła z gniewem.

– W takim razie możesz mnie nadal uważać za kochającego męża.

– Przecież to nienormalne! – tłumaczyła machając rękami. – Ja i tak pozostanę u mamy w domu. Razem z dzieckiem!

– Cieszy mnie to – uśmiechnąłem się spokojnie. – A siano dla wielbłąda masz?

– Jakie siano?

– Zwyczajne. Jeszcze tego nie rozumiesz? Kazik to garb twojej mamy, a ja zacznę być garbem twoim. Będziecie mieć w domu dwa garby, bo w ciągu najbliższych piętnastu lat postaram się regularnie was odwiedzać. Dwa garby to przecież jeden wielbłąd, no nie? Bez siana nie ruszy z miejsca.

– Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć! – Była już ordynarnie zła. – Jakie siano?

– Przyjdzie czas, to ustalimy – odpowiedziałem spokojnie. – A na razie niech sąd rozstrzygnie nasze wątpliwości.

– Przecież ty przegrasz! – zawołała.

Uśmiechnąłem się bez słowa i pogłaskałem Kracusia po głowie.

– Chcesz iść ze mną na sanki? – zapytałem dziecka.

– Tak, na sanki! – porwał się entuzjastycznie z miejsca.

– To ruszamy.

Wyszliśmy z pokoju, nie oglądając się na Karolinę. Moja doktórka płonęła od środka, ale na zewnątrz wciąż jeszcze trzymała fason. Wydaje mi się, że takie hamowanie naturalnych reakcji może w niedługim czasie zmaltretować jej centralny układ nerwowy. Gdyby tak zwariowała, to

i rozwodu nie potrzeba. Oddałbym ją mamusi w opiekę i po krzyku. Ale by się gryzły!

7

Dniem naszej trzeciej już z kolei rozprawy był wtorek. Na świadka zafundowałem sobie Mikołaja, który był człowiekiem światłym i niezmiernie bystrym. Z moich wcześniejszych obliczeń wynikało, że Mikołaj zdeprymuje adwokata mojej żony na tyle, aby tamten przynajmniej stracił fason. Przeciwko mnie wystawiła Karolina największą szmatę rodzinną, czyli Grażkę. Grażka zawsze zdolna była zrobić wszystko, byleby tylko dostać w nagrodę przynajmniej ochłap pięciodolarowy. Zresztą przypuszczam, że moja żona obiecywała jej także zagranicznego męża w zamian za zgnojenie mnie. A zagraniczny mąż dla Grażki to przecież niebo na ziemi. Taki to dopiero nakupuje jej majtek! A może nawet do swojego samochodu ją wpuści? Alfa-romeo dla Grażki. Rety, co za szyk! Taka „alfa" to dla Grażki czarna tablica, za to Romeo już w sam raz. Grażka by nawet łeb ogoliła na pałę, gdyby trafił jej się mąż, na którego wołają Romeo. Sama by się wtedy przechrzciła. Może nie na Julię, ale na… na… jak by tu przerobić rodzimą Grażkę? Może na „Grandę"? Tak, Romeo i Granda. Ale granda!

Tymczasem „Granda" stanęła za wąską poręczą i baranim wzrokiem spojrzała na sąd. Za chwilę zacznie zarabiać na wyjazd do Włoch. Jeżeli dobrze pójdzie, to już jutro obie z Karoliną polecą w świat. Ciekawe, która z nich pierwsza się wyda.

– To było tak – zaczęła klarować Grażka. – Bartłomiej Zadura namawiał mnie wielokrotnie do łajdactwa…

– Konkretnie proszę – upominał sąd.

– Mówił, że jestem piękna i że drugiej takiej nie ma.

– Do pani tak mówił? – zapytał z niedowierzaniem sąd.

– Tak, do mnie.

– I co dalej? Co było po tym gadaniu, że pani taka piękna?

Grażka zawahała się.

– Nad rzekę wziął mnie raz.

Sąd skinął głową. Była nadzieja, że coś się zacznie.

– Tam też Bartłomiej Zadura opowiadał, że jestem piękna.

Sąd zwrócił się do adwokata:

– Panie mecenasie, czy tylko takie ma pan dowody zdrady małżeńskiej? Może zaoszczędzimy sobie dalszych pytań?

Mecenas ożywił się.

– Proszę powiedzieć – zwrócił się do Grażki. – Ile pieniędzy proponował pani pozwany za to, by mieszkała pani u niego razem z jego dzieckiem?

– Dziesięć tysięcy – wyrecytowała Grażka.

To było mocne. O mało nie spadłem z ławy. Ceni się dziewczyna, nie ma co!

– Tak dużo? – zdziwił się sąd. – A za co ta opłata?

– Tego nie wiem.

– Jak to, nie wie pani? A może chciał panią wziąć za kucharkę?

Grażka aż się zachwiała. Coś podobnego! Ją na kucharkę! Szczęka opadła jej na dół. Równocześnie zmarkotniał mecenas. Jedynie moja żona trzymała dumnie uniesioną twarz. Tyle że coś głupio ta twarz wyglądała. Aż się zdziwiłem. Gdzie ten urok, który mnie kiedyś tak ujmował? Co pozostało? – Pospolita, bezmyślna buźka i nijaka figura w beznadziejnie skrojonym włoskim kostiumiku. Po co ona włożyła na siebie taką szmatę? Czyżby w domu stłukło się lustro? Aha! Zagraniczna metka pod spodem. Że też nie naszyła jej sobie na wierzch! Od razu wszystko poszłoby w górę.

Moja adwokatka nie uznała za stosowne zadawać zbyt wiele pytań Grażce. Uznała widać, że

dziewczyna nagadała tylko trochę bezwartościowych głupot. Rozeszło się po kościach i tyle. Kolej na Mikołaja.

Stanął skromnie na środku i popatrzył niewinnymi oczami na zespół sędziowski. Mecenas miał już w oczach wyraz triumfu. Mikołaj to żaden świadek!

No i zaczęło się.

– Nazwisko, wiek i zawód świadka? – zapytał stereotypowo sąd.

– Mikołaj Zaborski, 39 lat, psycholog.

Przy słowie „psycholog" sąd wyraźnie ożywił się, a mecenas równie wyraźnie oklapł.

– Co pan wie o małżeństwie Zadurów?

– Według mnie – skromnie ukłonił się Mikołaj – tak zakochanej pary nie ma nigdzie na świecie.

– Ale biorą rozwód.

– Uważam to za nieporozumienie. Przecież jeszcze przed wyjazdem Karoliny do Włoch oboje byli u mnie z dzieckiem i Karolina ciągle tylko opowiadała mojej żonie o tym, jak bardzo kocha męża.

Dobry był ten Mikołaj. Jeżeli mojej żony szlag nie trafi teraz, to znaczy, że będzie żyć wiecznie. Popatrzyłem na nią dyskretnie. Oburzenie wyłaziło z niej nawet uszami. Nikt tego nie widział, ale ja tak. Na szczęście głos ma akurat Mikołaj, a nie Karolina.

A Mikołaj mówił dalej:

– Najbardziej zadowolona z tego małżeństwa była teściowa Bartka. Spotkałem ją u nich trzy razy. Tak się zachwycała Bartkiem, że aż mi było głupio.

Wysoki sąd jakby się przełamał. Nie do wiary. Dotychczas leciała na mnie sama gnojówka, a tu nagle z gnoju zaczął wyłaniać się kryształ.

– Proszę, panie mecenasie – westchnął sąd. – Niech pan pyta.

– Tak… – zaczął mecenas. – Proszę powiedzieć… proszę powiedzieć… czy świadkowi wiadomo, jak często pozwany zdradzał żonę?

Wyjątkowo głupie pytanie. Przecież jeżeli cokolwiek wiadomo, to tylko to, że mój świadek nigdy nie powie o moich zdradach.

– A jak się pozwany zachowywał wobec dziecka?

– Normalnie. A nawet nie tylko normalnie, bo dziecko nie dawało się Karolinie dotknąć i wszystko koło niego musiał zrobić Bartek. Mojej żonie nawet wydawało się dziwne, że dziecko nie ciągnie do matki, tylko do ojca.

– A pozwany za granicę jeździł?

– Jeździł.

– Na wczasy?

– Nie, do pracy.

– A z jakimi kobietami nawiązywał tam kontakty?

Mikołaj zwrócił swe niewinne oczęta na sąd i zapytał:

– Chodzi o cudzoziemki czy o Polki?

– O Polki, o Polki! – wyjaśnił szybko mecenas.

– Po co miałby jeździć za granicę, jeśli chodzi o Polki? – odparł zdumiony Mikołaj. – Przecież u nas w kraju mieszka więcej Polek niż za granicą.

Wysoki sąd odruchowo skinął głową i spojrzał na mecenasa:

– Coś jeszcze?

– Tak. Proszę mi podać adres pańskiej żony.

– Ten sam co mój – odparł uprzejmie Mikołaj.

Sąd zwrócił się w naszą stronę.

– Czy pani mecenas ma jakieś pytanie do świadka?

– Nie – odparła moja papuga. – Dziękuję.

Trochę się zaniepokoiłem. Mogłaby przecież o coś zapytać. Czyżby chciała mnie zrobić w konia? Z babami nigdy nic nie wiadomo.

Mikołaj wyszedł. Moja żona szepnęła coś na ucho adwokatowi.

– Proszę sądu! – zawołał szybko mecenas. – Proszę o powołanie na świadka żony Mikołaja Zaborskiego, ponieważ powódka twierdzi, że nigdy w życiu nie była u nich w domu!

A to heca! I żona Mikołaja miałaby taki nonsens poświadczyć?

– Proszę bardzo – powiedział sąd. – Powołamy.

Karolina znowu nachyliła się mecenasowi do ucha.

– Przepraszam – zabrał głos jeszcze raz. – Powódka mówi, że przypomniała sobie o swoich dwu wizytach u państwa Zaborskich. Wobec tego odwołuję panią Zaborską.

– Ale my powołujemy! – odezwała się moja papuga.

Popatrzyłem na nią z podziwem. Skąd u tej babki taki refleks?

Sąd uśmiechnął się aprobująco i skinął głową. Za trzy tygodnie nasza impreza rozwodowa zacznie się od nowa.

Za to mecenas używał sobie teraz na mojej żonie, ile tylko się dało. Na korytarzu odstawił taką pantomimę, że aż przyjemnie było popatrzeć. Wznosił ręce do góry, zaciskał pięści, tupał i pukał się w czoło. Chodziło chyba o to, że z tymi wizytami nie dogadali się na czas. Wreszcie Karolina wybuchnęła płaczem i był to dobry znak. Przeciwnik traci panowanie. Nadszedł mój czas. O wspaniałej przyszłości naszego małżeństwa mówić będzie za trzy tygodnie dwoje moich świadków. Żona Mikołaja i malarz Fredek. Z Dzidka na razie zrezygnowałem. Rozśmieszyłby sąd i ta rozprawa nigdy nie miałaby końca. A Fredek zaproponował, że jeśli trzeba, to przed sądem gotów jest rozpłakać się w trakcie własnej opowieści o tym, jak my się kochamy i jak teściowa pod niebiosa wychwalała nasze małżeństwo. Zasugerował też, że jeśli trzeba, to on udowodni, że Karolina była kurwą, a ja ministrantem. Z trudem przekonałem go, że na razie o to nie chodzi, ma gadać tylko o kochaniu. Kurwę zrobimy z niej na nowej sprawie, ale dopiero wtedy, gdy się ta rozwodówka skończy.

Na razie oczywiście nie wiadomo, kiedy się skończy i jak. Jedno było pewne. Zrobiłem taki obiad, że nawet mecenas przeszedłby na naszą stronę, gdyby tylko został zaproszony do półmiska.

8

Jutro jest dzień wigilijny. Gdybym się uparł, to śpiewałbym sobie kolędy do lustra i byłaby to naprawdę oryginalna uroczystość. Na razie jednak nie jestem taki uparty. Zapraszali mnie do siebie wszyscy, od Adolka poczynając, a na Mikołaju kończąc. Podziękowałem i odmówiłem. Muszę przecież w odpowiednim czasie podzielić się opłatkiem z moim synkiem. Muszę i koniec! Choćby moja teściowa miała nagle zmienić płeć i zamienić się w milicjanta z długą pałą. Tak! Taki jestem niezłomny.

Wybrałem się więc w drogę. Tym razem autobusem, bo wszystkie trasy zawiało mocno, i gdyby ta moja samochodzina ugrzęzła gdzieś w zaspie, toby jej stamtąd żaden diabeł przed nastaniem wiosny nie wyciągnął.

A kiedy już wysiadłem w Trokach i rozejrzałem się wokoło, natychmiast zazdrość ogarnęła mnie aż do spodu. Było fantastycznie. Biały puch okrył całą wioskę tak malowniczo, jak w rysunkowej bajce dla dzieci. Jak to więc jest, że takim wrednym istotom jak moja żona i teściowa trafiło się bajkowe życie? No jak? Szedłem zasypaną drogą i rozmyślałem. I pretensje miałem do świata o to, że drańst wo zostało aż tak wysoko nagrodzone. Dopiero koło samego domu rozjaśniło mi się w głowie. Nie ma czego zazdrościć. Przecież obie kobiety występują w tej bajce jako wiedźmy. No bo czy w ogóle do pomyślenia byłby fakt, że bajka mogłaby obyć się bez wiedźmy? Nie! A tutaj siedzą aż dwie. Znaczy, że jest to bajka z dubeltowym zasobem grozy. Odetchnąłem z ulgą, ale jednocześnie ogarnął mnie lekki niepokój. Dwie wiedźmy i jedno małe dziecko. Może być niebezpiecznie. A może już jest źle? Trzeba ratować małego, póki jeszcze żyje. O ile w ogóle żyje.

Szybko otworzyłem drzwi. Żył i uśmiechał się do mnie.

– Czekałem na tatę – powiedział od razu.

Za nim stała Karolina i też się uśmiechała. Odebrała kulturalne wychowanie na studiach, więc już wiedziała, że na widok wchodzącego gościa należy się uśmiechać. Gdybym natomiast opowiedział jej bajkę o zaklętym zamku strzeżonym przez dwie wiedźmy, kultura od razu przepadłaby bez śladu. W momentach złości Karolinie pęcznieje nos, rozdymają się obie dziurki, grubieją wargi a oczy nabierają blasku świeżo spłukanego nocnika. Z ust leje się fontanna nieczystości. Co wrażliwszy czuje wtedy nawet smród rozchodzący się naokoło.

Tym razem jednak w powietrzu unosił się zapach włoskich perfum. Nie najlepiej to pachniało, ale – zagranicznie. Złożyłem ukłon, nawet w rękę pocałowałem, niech wie, że ja też jestem światowiec. Teściową też tak podcelebrowałem. Z rozpędu buchnąłem w mankiet nawet dziadka. Dziadek od razu się przeżegnał. Takiego gościa jeszcze tu nie było.

A później siedliśmy do obiadu. Coś tam wypytywali mnie, ale nic nie słuchałem, bo Kracuś nie schodził mi z kolan i ani na chwilę nie przerywał swoich opowieści o najciekawszych wydarzeniach dnia. A więc udrapał go kot. Potem on nadepnął temu kotu na ogon. Wobec tego kot podrapał go jeszcze raz. Kracuś natomiast nie mógł kota podrapać, bo ma za małe paznokcie i w ogóle kotu nie można dobrać się do skóry z powodu grubego futra. Potem było o psie. Pies też podpadł. Jeżeli chodzi o mnie, to mam przywalić kotu, kogutowi, psu koniowi i Karolinie. Karolinie za to, że bije Kracusia paskiem, a koniowi za to, że zawsze ustawia się tyłem, natomiast kogutowi za wygląd. Kracuś nie lubi dziobatych.

Wieczorem obie panie spreparowały mi z fotela łóżko i poszedłem spać. Wszyscy domownicy zaś przystąpili do gry w karty. Najgłośniej kłóciła się Karolina, a najtragiczniejsze przemówienia o nieuczciwości pozostałych graczy wygłaszała teściowa. Z tego to powodu w ogóle nie mogłem zasnąć. Wysłuchałem wszystkich racji zawodników i doszedłem do wniosku, że na samą grę niewiele mają oni czasu. Usiedli zatem, by pogadać sobie przy kartach.

Przestali dopiero o piątej rano.

9

Następnego dnia o poranku, to znaczy o jedenastej przed południem, bo wcześniej w tym domu panowała głucha noc, rozpoczął się koncert na dwa głosy w wykonaniu Karoliny i jej matki.

– Wstawaj, córuś – zaproponowała matka – bo trzeba dziecku śniadanie zrobić.

– A mama nie może? – burknęła córuś, nie otwierając nawet oczu.

– Ależ, Carla! Przecież już jedenasta.

– To trzeba było nie gadać tyle przy kartach!

– A kto gadał najwięcej? – przypomniała sobie teściowa. – Czy nie ty?

– Niech się mama odczepi! Ja chcą jeszcze spać!

– Dziecko głodne.

– No, więc niech mu mama coś zrobi! Ja chcę mieć wreszcie święty spokój!

Teściowa wygramoliła się z łóżka, założyła szlafrok i ukryła twarz w dłoniach. Siedziałem na wprost okna, ale w szybie całkiem dobrze było widać ten teatrzyk. Głowa teściowej kiwała się z góry na dół. Rozpacz przybrała rozmiary apokaliptyczne. Będzie zawał czy nie będzie? Własna córka potraktowała ją jak służącą.

– Bartek! – zawołała wreszcie głosem cmentarnym. – Masz może nitroglicerynę?

Najchętniej poczęstowałbym ją porcją nitrogliceryny w płynie, z tym, że najpierw wolałbym zabrać dziecko i odejść ze sto metrów od miejsca kuracji. Niestety, ani płynu, ani tabletek nie miałem.

– Nie mam – odpowiedziałem uprzejmie, a tę uprzejmość opanowałem już do tego stopnia, że w każdej sytuacji mogę za kołtuna robić. – Ale mogę zaparzyć mamie herbaty.

– To zaparz, dziecko moje, bo ja już chyba nie dożyję do końca tego roku!

Aż szkoda, że eutanazja nie weszła dotychczas w modę, bo natychmiast pojechałbym do swojego szpitala po tabletki usypiające. Potem mógłbym preparować teściową w prosektorium, żeby chociaż raz przekonać się, co ona ma naprawdę pod skórą. Tymczasem jednak sprawa dotyczyła opieki nad osobą chorą, która ma jeszcze długą drogę do śmierci. Uniosłem się z krzesła. Zrobię jej herbaty, niech wie, jaki jestem dobry.

– Niech mama przestanie histeryzować! – odezwała się nerwowo Karolina. – Już nie można słuchać tego głupiego gadania! – Cholera! – zamarudziła unosząc głowę. – Człowiek nie może się wyspać przez to mamy biadolenie!

– Już nic nie mówię, córuś! – zapłakała matka. – Jeśli chcesz, to do końca życia nie odezwę się już ani razu!

Otworzyłem delikatnie drzwi i wyszedłem. W zasadzie teściowa nie robi żadnej łaski. Do końca roku brakuje tylko tydzień i wobec tego, jeśli ma zamiar umierać, to milczenie przez siedem dni nie wymaga aż tak wielkiego poświęcenia. Podejrzewam jednak, że nie ma lekko. Wszyscy wiedzą, a najlepiej wie o tym teściowa, że pożyje do stu lat.

Przydreptała do kuchni za dwie minuty. Bosa i przygarbiona.

– Nie widziałeś moich kapci? – zapytała.

– Nie, ale może Karolina widziała?

– Ona jest taka złośliwa, że nie chcę z nią w ogóle rozmawiać.

– Więc dam mamie swoje.

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie. – Niech wszyscy widzą, jak ja się męczę i jak jestem traktowana przez własną córkę.

Jeśli tak, to trudno. Trzeba doceniać ekshibicjonizm zbolałej mamusi.

Weszła Karolina.

– No i czego chodzi mama na bosaka? Zaziębi się mama i będzie nowy koncert histerii! Gdzie są kapcie?

– Sama nie wiem.

– Dlaczego mama nie wie? Przecież wieczorem mama w nich chodziła! Może są pod poduszką?

Miała ta moja żona sadystyczne skłonności, oj miała. A może po prostu znała możliwości regeneracyjne swojej matki? Jeśli tak, to krzywda nikomu się nie dzieje. A teściowa ćwiczy może wprawki do udramatyzowanej ballady „Powrót taty”? Skąd ja mogę wiedzieć, czy one nie umówiły się, że będą mi obrzydzać rodzinę? Kracuś jak zwykle siedział mi na kolanach, nic nie mówił, przyglądał się tylko obu mamusiom i nic z tego nie kapował. No, bo choinka wesoło pobłyskiwała pod oknem, a tu kobiety, zamiast się cieszyć, marudzą coś płaczliwie i nie wiadomo dlaczego.

Po południu przyjechała babcia.

– Proszę pana – powiedziała do mnie – tak się cieszę, że mam dobre dzieci. Pan wie, jakie porządne i szczere są moje córki?

O! Nikt nie wiedział tego lepiej ode mnie. Szczerość mojej teściowej graniczyła ze świętością pierwszych chrześcijan. Szkoda, że w miejskim cyrku nie mają lwa do wynajęcia.

– A dlaczego właściwie rozwodzi się pan z Karoliną?

– Nie mam pojęcia – odparłem rozkładając ręce.

– Dlaczego więc nie wziął pan rozwodu wcześniej? Czy naprawdę musiał ją pan dusić, bić i wypędzać z domu?

Uśmiechnąłem się. Babcia była rozkoszna.

– Wie pani co? – powiedziałem słodko. – Dzisiaj Wigilia. Może wrócimy do tego tematu po świętach? Obiecuję, że do tej pory Karoliny nie uduszę.

Zgodziła się, ale niechętnie. W każdym razie dotrwaliśmy w zgodzie do samej Wigilii. Wieczorem wszystkie panie wystąpiły w odświętnym makijażu. Na twarzach żony i jej matki nie było nawet śladu porannej kłótni. Wdzięczyły się do siebie jak dwa koty na dachu. Dziadek przyniósł duży metalowy krzyż. Teściowa wzięła krzyż w ręce i wygłosiła przemówienie. Oczy błyszczały jej uniesieniem i pokorą. Kilkakrotnie powoływała się na Boga, który dał jej siły do postępowania zgodnie z sumieniem. Światem rządzą siły nieczyste, ale teściowa i jej cała rodzina nigdy nie zboczy ze świętej drogi. Potem pocałowała krzyż i puściła go w obieg. Z trudem wybrałem miejsce najmniej oślinione.

Później były życzenia. Mojej żonie życzyłem trzech worków pieniędzy. Reszty nie pamiętam. Tylko synowi powiedziałem, aby nigdy nie został kołtunem. Nie pojął słowa, ale przyrzekł, że nie zostanie. Cała rodzina natomiast życzyła sobie zdrowia. Albo czuli się zagrożeni, albo też uważali, że rozumu to już na pewno im nie przybędzie.

Jeszcze nigdy podczas Wigilii nie czułem się tak źle. Wszyscy wiedzieli, że jestem tu natrętem, i wszyscy uważali za stosowne uśmiechać się do mnie serdecznie. Sam już nie wiedziałem, ile w tym racji. Może tak właśnie trzeba? Ale przecież każdy z nich był przekonany, że maltretowałem Karolinę i że to ja chcę się pozbyć jej, a nie ona mnie. Jak dotychczas nie znalazła się żadna osoba, która by odważyła się zapytać mnie, ile w tym prawdy. Zresztą nie ma na co wyrzekać. Powinienem cieszyć się przynajmniej tym, że jak dotąd cała ferajna nie rzuciła się na mnie z widelcami, aby jednoznacznie zakończyć sprawę. Wobec tego cieszę się, bo jak wiadomo, życie jest piękne!

10

W tydzień później Adolek obchodził mnie w kółko i przyglądał mi się trochę dziwnie.

– Jak ty się czujesz – pytał – kiedy tak siedzisz w środku pomiędzy tymi dwiema wiedźmami? Nie mogę sobie tego wyobrazić! No powiedz, jak się wtedy czujesz?

– Przeżywam długotrwały orgazm – odparłem pocieszająco.

– No tak – zgodził się Adolek. – Podniety masz ze wszystkich stron. A co myślisz w trakcie orgazmu?

– Myślę, że mogło być gorzej.

– Hm! – zastanowił się chwilę. – Przy takim podejściu do życia można przetańczyć sto lat. Tak ci zależy na długowieczności?

– Oczywiście. Moim świętym obowiązkiem będzie osobiście zamknąć w trumnie oczy Karoliny. Niech ma tę ostatnią posługę od nieustającego w miłości męża.

– Rzeczywiście ideologia godna podziwu. A jak żyje ten zagraniczny amant twojej żony?

– Chyba dobrze – odpowiedziałem niepewnie. – We Włoszech cieplej niż u nas. Może już się opalił?

– Nie musi się opalać! – machnął ręką Adolek. – Ludzie już go widzieli. Był trzy razy u Karoliny. Śniady jak Arab! A twoja teściowa rozklepała już nawet jego życiorys!

– I co wyszło? Order budowniczego ma?

– Chyba ma. Przecież swoje fabryki zbudował.

– Co poza tym?

– Księdza ma w rodzinie. Temu księdzu wciskają kit, że Karolina to panienka. O dziecku ani słowa. Brałeś z nią ślub cywilny, a taki się nie liczy we Włoszech, wobec tego jest panienką. A więc o dziecko możesz się nie martwić. Panienka do Włoch go nie zabierze.

Przez moment poczułem napływ sympatii dla Karoliny. Nie mogła sama powiedzieć mi o tym? Jeśli chce jechać bez dziecka, to droga wolna i nie ma sprawy. W sądzie oświadczę, że już od urodzenia jestem zwolennikiem rozwodów. I że zaraz po ślubie chciałem nawet wziąć rozwód, ale nie wypadało. Za to teraz jak najbardziej!

– Naprawdę tak mówiła teściowa?

– Wszyscy ludzie w miasteczku to powtarzają. I śmieją się z niej, że nauczyła Karolka mówić do siebie „mama”. Gdy córka wyjedzie, to i tak „mama” zostanie na miejscu… Chyba że…

Przygryzłem wargi i na chwilę wstrzymałem oddech. Adolek przestał mówić. Prawdopodobnie w tym samym momencie pomyśleliśmy o tym, czego nikt nie powiedział.

– Sądzisz, że to podpucha? – zapytał po cichu.

– A ty tak nie myślisz? – parsknąłem nerwowo.

– Właśnie zacząłem. Ta fama została rozpuszczona po to, by trafiła do ciebie.

– I żebym wreszcie zgodził się na rozwód – skinąłem głową.

– Tak. Potem ona pojedzie do Włoch, weźmie ślub i zaprosi teściową z dzieckiem.

– Z dzieckiem teściowej – podchwyciłem.

– No, jasne! Przecież mały mówi do niej „mama”.

– Zanim się włoska familia skapuje, co jest grane, sprawa rozejdzie się po kościach.

– A ty wyjdziesz na superjelenia z wielkimi rogami. Od dziś będę ci mówił „rogalu”!

– Odczekaj jeszcze trochę. Za trzy dni mam kolejną rozprawę.

– A jakieś argumenty do tej rozprawy też masz?

– Nie mam.

– Znowu muszę za ciebie myśleć. O telegramach przychodzących z Włoch na panieńskie

nazwisko twojej żony słyszałeś?

– Nie.

– To pogadaj z dziewczynami na poczcie. Wysyła telegram co tydzień, Włoch dwa razy w tygodniu. Piszą sobie stale o miłości. Powinieneś mieć taki dowód.

– Przecież nie dostanę odpisów. Obowiązuje tajemnica korespondencji.

– Niech sąd się o to troszczy! Po to jest sprawiedliwość, żeby bronić jeleni. Adwokat twojej żony podstawia lewych świadków, preparuje fałszywe zarzuty, a ty czekasz na cud. Trzeba działać, bo cię zjedzą! Już i tak masz w sądzie opinię dusiciela. Twoje wiedźmy nie znają skrupułów. Zapach forsy wprawia je w stan przewlekłej rui, więc gotowe są zrobić z ciebie bandytę, wampira i zboczeńca, byle tylko dostać to, czego chcą. Broń się i nie wierz wcale w urzędową sprawiedliwość. Adwokaci to najgroźniejsza banda w społeczeństwie. Żyją z oszustwa. Po co wziąłeś tę babę? Trzeba było zapytać woźnego w sądzie, który z adwokatów jest tam największym bandytą. Taki by ci załatwił wszystko!

– Cholera! – powiedziałem z podziwem. Adolek to człowiek, który od lat powinien być ministrem sprawiedliwości. Tylko że nie miałby wtedy, niestety, czasu na dziewczyny. Dla Adolka dziewczyny są ważniejsze niż sprawiedliwość. Co on by robił w łóżku ze sprawiedliwością?

11

A ja zaryzykowałem jeszcze raz. Zaryzykowałem mianowicie to, że pojechałem na drugi dzień w odwiedziny do dziecka. Był wtorek, a już we czwartek rano miała rozpocząć się kolejna ceremonia sądowa.

Karolina, a jakże, drzwi otworzyła, ale natychmiast odwróciła się tyłem i poszła do stołu, gdzie przy kartach siedziała już matka. Zanosi się na to, że obie doktorat zrobią z gry w tysiąca. Kiedy tylko przyjeżdżam – grają.

Kracuś wyszedł naprzeciw mnie i przywitał się serdecznie. Precelka jak zwykle nie było w domu. Pił gdzieś wódę albo obracał lokalne prostytutki, o ile mu jeszcze w ogóle po chlaniu świtała w głowie jakakolwiek potrzeba seksualna. Ostatnio przyznał mi się po pijanemu, że obie panie namawiały go, aby wystąpił w sądzie przeciwko mnie. Podobno oburzyła go ta propozycja.

– Bartek! – zawołał. – Jak ja bym ci później w oczy spojrzał!

Wobec tego mogłem się przynajmniej nie obawiać dodatkowych kłamstw z tamtej strony. Do diabła z Precelkiem! Niechby mi ktoś wywróżył, ile jeszcze czasu będę musiał spotykać się z całą Precelkową familią. Powinienem po prostu ukraść dziecko i wyjechać na bezludną wyspę.

Tymczasem jednak siedzimy z Karolkiem ma kanapie i ustawiamy klocki. Dziecko co chwila łapie mnie za ręce, jakby przewidywało, że zaraz się wyniosę i nie wiadomo, kiedy znowu przyjadę.

Kątem oka dostrzegam, że teściowa nie wie, co ze sobą zrobić. Nie odzywają się do mnie obie, nawet herbaty mi nie proponują. Sytuacja jest głupia i trudno w takiej atmosferze wytrzymać. Ale ja wytrzymuję. Tutaj nie mogę się zdenerwować. Jeśli powiem coś niestosownego, wtedy obie wylecą na schody i zaczną wrzeszczeć, że je tłukę. Byłaby okazja do sprowadzenia nowych świadków na sprawę. Wobec tego trzymam nerwy na wodzy, chociaż czasem brakuje mi już tylko sekundy do popełnienia morderstwa. Bo oto dziecko chce zaprowadzić mnie do drugiego pokoju, a wtedy Karolina krzyczy:

– Tam nie wolno wchodzić!

Dobrze. Jeżeli nie, to nie. Atmosferka robi się coraz rzadsza. Zobaczymy, kto pierwszy zacznie narzekać na brak tlenu.

Już się zaczęło. Teściowa podeszła do kanapy, wyciągnęła koc i poduszkę. Wzięła te pakunki ze sobą i ułożyła je pod stołem. Czyżby rychtowała sobie tam leżankę? Tak! Układa się jak pies pokojowy na wycieraczce. Dotychczas funkcję pokojowego pieska spełniał Precelek. Teraz go nie ma, ale funkcje domowe muszą być spełniane.

– Co mama robi? – zapytała po chwili Karolina.

– Serce mnie boli – słabym głosem odpowiedziała matka.

– To nie lepiej położyć się na kanapie?

– Tutaj mi dobrze.

– Zgłupiała mama do reszty! – nie wytrzymała córka.

Oho! Po takim komplemencie teściowa przyklei się do posłania co najmniej na godzinę. Teraz dopiero znalazły się powody. Córka ją zrugała, córuś ukochana, jak córuś mogła? Żal serce ściska, znowu potrzeba nitrogliceryny, no bo czego. Jak dobrze pójdzie, to zrobi córce na złość i dostanie zawału. A jeśli jeszcze córuś coś powie brzydkiego, to umrze i córuś pozostanie sama na świecie.

Tyle treści wyzierało z umęczonych oczu teściowej. Z oczu i z całej twarzy. Smutna była ta twarz jak kwit na węgiel. Dobrze, że Kracuś nie patrzył na tę tragedię, bo też by się zasmucił. Karolina zaś przyoblekła swoje oblicze w ponure barwy i od czasu do czasu łypała na mnie spod oka. Rozprawa sądowa nie układała się po jej myśli, więc ostatki przychylności wobec mnie

znikały z każdym dniem. Teraz takie łypnięcie mojej żony zwiastowało przynajmniej bombardowanie. Co za szczęście, że Karolina nie jest zmilitaryzowana! Wystrzeliłaby do mnie z tysiąca luf. Oczywiście już po zrzuceniu bomb.

A tymczasem w mieszkaniu panuje spokój. Kracuś szczebioce tylko radośnie, duże postępy zrobił już w mówieniu, potrafi opowiadać o wszystkich ciekawych rzeczach, jakie wydarzyły się w domu podczas mojej nieobecności.

– Tata! – zwrócił się do mnie po cichu, gdy weszliśmy obaj do łazienki. – Tata mnie nie zadusi?

– Nie, synku – odpowiedziałem po bardzo głębokim wdechu. – Dlaczego pytasz?

– Mama powiedziała, że jak tata przyjedzie, to mnie zadusi.

– A ty w to wierzysz?

– Nie. Ja nie wierzę. Ja tatę bardzo lubię. Ja bym chciał mieszkać u taty.

– Będę się starał, żebyśmy zamieszkali razem. Teraz musisz jeszcze tu pozostać. Ale pamiętaj, że tata cię bardzo kocha – wyjaśniłem dziecku powoli. Dlatego powoli, żeby powstrzymać ogarniającą mnie wściekłość.

Wyszedłem stamtąd po dwóch godzinach. Byłem z siebie dumny. Nie udusiłem ani żony, ani teściowej. Czyż nie jest to wystarczający powód do dumy?

12

Już za piętnaście dziewiąta. W kolejce do szatni sądowej stanęliśmy we trójkę: żona Mikołaja, Fredek i ja. Za kwadrans rozpoczyna się moja czwarta już z kolei rozprawa, na której protokolantka dorzuci kilka kłamliwych rewelacji do naszych rozwodowych akt. Powiedziałem Mikołajowej i Fredkowi, by mówili tylko to, co wiedzą. Niech nie silą się na żadne fantazjowanie. Mają mówić prawdę i to powinno wystarczyć.

Rozejrzałem się po zatłoczonym hallu. W głębi stało znajome towarzystwo. Uśmiechnięte, zadowolone z siebie. Była to Karolina w swoim włoskim futrze, jej matka przybrana również w coś zagranicznego, adwokat w czarnej todze i… Precelek. Biedny, głupi Precelek przyszedł tu niewątpliwie po to, by świadczyć na moją niekorzyść. A przecież jeszcze nie tak dawno z ręką na sercu zastrzegał się, że on by nigdy nie wystąpił w sądzie przeciwko mnie. W oczy nie mógłby mi później spojrzeć.

No cóż! Dostał widocznie kilka dolarów na okulistę i występuje. Wzrok ma teraz z pewnością lepszy i bardziej wytrzymały.

Przed salą rozpraw zapragnąłem nagle skontrolować jego spojrzenie. Przespacerowałem się obok ławki, na której siedział, i uśmiechnąłem się pogardliwie. Poczerwieniał tak niebezpiecznie, że aż przystanąłem na chwilę. Jego oczy zrobiły się wąskie niczym ostrza żyletek. Przypominał debilną małpę, którą wsadzi się za chwilę do złotej klatki. Nie, nie było w tych oczach swobody, jaką można demonstrować, kiedy ma się kieszenie wypchane dolarami. Precelek dostał widocznie za mało. Nie dostał ani do kieszeni, ani do portfela. Dostał najwyżej do butonierki.

Za to żona i teściowa wyglądały wspaniale. Głowy uniesione do góry, plecy wyprostowane, spojrzenia pełne surowości. Ich wzrok wyrażał naganę wobec mojej nieustającej żywotności. Oburzenie, że w ogóle jeszcze żyję. Powinienem oddać dziecko, zgodzić się na rozwód, przekazać mieszkanie i samochód na ręce teściowej, a samemu – zamieszkać w namiocie pod mostem. W wolnych chwilach miałbym tam może przyznane mi rodzinne prawo do kopania sobie dołu. W tym dole byłoby w sam raz na dokończenie żywota. Ewentualnie mógłbym się spodziewać społecznego wsparcia ze strony Precelka. W domu i tak niepotrzebny, a pod tym mostem stałby na straży i rejestrowałby uważnie moje poczynania. Bo przecież nigdy nie wiadomo, co z takiego zesłania wyniknie. A nuż człowiek, czyli ja, nie zechciałby od razu umierać! I zamiast dołka dla siebie, zrobiłby dołek dla zainstalowania moździerza wycelowanego na pełną szlachetności rodzinkę. Hę? Trzeba się ubezpieczać ze wszystkich stron.

– Jak stoimy? – zapytałem mojej adwokatki.

– Nie najlepiej – przyznała. – Te kłamstwa pańskiej teściowej i tamtej dziewczyny z pewnością zrobiły wrażenie na sądzie.

– Ale przecież było widać, że to kłamstwa!

Adwokatka uśmiechnęła się pobłażliwie.

– Pan nigdy przedtem nie uczestniczył w rozprawach sądowych?

– Nie.

– Więc jeszcze wolno panu wierzyć w obiektywizm sprawiedliwości.

– Ale do mojej żony przychodzą telegramy z Włoch. Świadczy to, że rozwód może być tylko z jej winy!

– Ma pan te telegramy?

– Nie mam. Są na poczcie.

– W takim razie nie mamy dowodów. W sprawach cywilnych poczta nie jest obowiązana wydawać odpisów telegramów.

– Więc mam się poddać?

– Nie. Zobaczymy, co powiedzą pańscy świadkowie. Niech mówią, że wiedzą o tych telegramach. Powiedział im pan to?

– Nie.

– Proszę powiedzieć. I to szybko, bo za chwilę wchodzimy.

Adwokat mojej żony zażądał zaprzysiężenia moich świadków. Zauważyłem, że na Mikołajowej zrobiło to nawet wrażenie. Fredek natomiast potraktował swoją przysięgę obojętnie.

Mikołajowa opowiadała o moich zaletach. To dobrze, bo już niemal straciłem wiarę w siebie. Podejrzewam jednak, że na sądzie nie zrobiło to specjalnego wrażenia. Mówiła też o przywiązaniu dziecka do mnie, co na pewno było już taktycznie lepszym posunięciem, a na koniec wyrecytowała fakt, że do mojej żony przychodzą telegramy z Włoch.

– Skąd pani wie? – zaperzył się adwokat.

– Od Bartka.

– Aha. Ale sama pani nie widziała żadnych telegramów?

– Nie.

– Bo ich nie było – wyjaśnił adwokat sufitowi. Po prostu tak wysoko podniósł głowę.

Na tym skończył się występ Mikołajowej. Wszedł Fredek. Poznałem po oczach, że ma zamiar bić adwokata. Niechby jeszcze uświadomił sobie, że jest w sądzie! Adwokata można przecież pobić na ulicy.

Stanął na środku i zamiast na sąd, zapatrzył się w mecenasa. Mecenas miał twarz zarysowaną miękkimi liniami fałdów tłuszczowych. Każdy cios w taką mordeczkę wyzwalałby pacnięcie. Mniej więcej takie, jakie powoduje krowi placek spadający znienacka na marmurową posadzkę.

– Co pan wie? – zapytała pani sędzia.

– Wiem wszystko, proszę sądu – odparł Fredek. – Bartek tak bardzo kocha swoją żonę jak Romeo kochał Julię.

Sąd uniósł brwi. W ponurej sali powiało prozą epoki Odrodzenia. Fredek mógł tak nawijać dwie godziny bez przerwy. Mówił szybko, bo wiedział, że mu wkrótce odbiorą głos. Wiedział, że muszę wygrać ten proces, bo inaczej będę stał na straconej pozycji. Ograniczą mi prawa do dziecka, ograniczą mi przez to możliwości w zakresie dobrego humoru.

Walił z grubej rury. Że zdjęcie mojej żony oprawiłem sobie w ramki i kilkanaście razy dziennie na nie patrzę. Że piszę wiersze na jej cześć. I że dla dziecka kupowałem zwykle mnóstwo prezentów, z czego teściowa niesamowicie była ucieszona.

Wydaje mi się, że te prezenty mógł sobie darować. Niestety, mecenasowi też się tak wydawało.

– Proszę sądu – odezwał się mecenas. – Jest tutaj teściowa na korytarzu. Czy mogę wezwać ją na konfrontację w sprawie tych prezentów?

– Proszę bardzo – zgodził się znudzony sąd.

Weszła teściowa. Niepokój szklił się w jej oczach, ale postawą nadrabiała tak, że aż przyjemnie było popatrzeć. Co za reprezentacyjna kobieta!

– Proszę pani – zagaił mecenas. – Czy pan Zadura. kupował dla dziecka jakieś prezenty?

– Nigdy! – powiedziała teściowa z mocą.

Moja adwokatka uniosła głowę i poprosiła o głos.

– Skorzystam z tego, że pani już tu jest – zwróciła się do teściowej. – Proszę powiedzieć, czy pani córka otrzymuje telegramy od pewnego Włocha?

Aż westchnąłem. Pytanie było tak głupie i tak proste, że wystarczy powiedzieć od razu „nie” i wszystko przepadnie, a żona przygotuje sobie później bardziej wyrafinowaną odpowiedź. Nagle…

– Tak – powiedziała teściowa, a ja otworzyłem usta podziwiając jej absolutną głupotę. –

Dostaje telegramy, ale to nie są telegramy do niej, tylko do jej kuzynki, Grażyny.

O mało nie roześmiałem się ze szczęścia. Jak to dobrze, że teściowa przybyła na rozprawę! Tak naiwny wykręt od razu wzbudzi podejrzenie sądu, a przychodzenie telegramów stało się faktem zarejestrowanym w dokumentacji.

– A bezpośrednio do tej Grażyny telegramy nie mogą dochodzić? – zapytał sąd.

– Nie, bo Grażyna nie zna włoskiego.

Niby logiczne, tyle że głupie. Tak głupie, że bardziej już nie może być.

A Precelek nie wystąpił tego dnia. Był nie planowany przez sąd, a sąd nie miał już dzisiaj czasu. Karolina prosiła jak opętana. Niech sąd zezwoli! Przyjechał, więc niech już mówi, co wie!

Bała się, że Precelek zrezygnuje drugim razem. Albo że trzeba go od nowa połechtać zielonym banknotem. Strach pomyśleć, ile tych banknotów marnuje się przez mój upór! Życie byłoby wspaniałe, gdybym ja okazał się bardziej miękki. A tu nic. Twardnieję z każdą rozprawą. Miękki byłem tylko na początku. Kiedy mnie teściowa zbluzgała podczas swojego pamiętnego występu. Nigdy przedtem nie zetknąłem się z taką lawiną podłości, więc gdy już do tego spotkania doszło, miałem prawo poczuć się znokautowany.

– Ty uważaj! – powiedział znowu któregoś dnia Adolek. – Kobiety to potwory! Mężczyzna nigdy nie posunie się tak daleko jak kobieta. Baba, jeśli chce osiągnąć cel, to pójdzie po trupach, ale swoje weźmie. Taka jest babska natura.

– Nie przesadzasz? – zapytałem z ironią. – Mówisz o kobietach jak o barbarzyńcach.

– Przekonasz się – poklepał mnie dłonią po plecach. – Stawka nie jest mała. Włoch ma wielką forsę, a twoje baby pazerne są jak niedźwiedzie na miód. Przyjdzie jeszcze czas, że zrobią z ciebie bandytę, zboczeńca i dzieciobójcę.

– O rety!

– Śmiejesz się? Pogadamy później. Musisz sam na sobie doświadczyć, ile warta jest kobieta, kiedy już nie uśmiecha się do ciebie. Kapujesz?

Wtedy nie kapowałem jeszcze tak, jakby sobie Adolek życzył. Trochę zacząłem pojmować dopiero w momencie, gdy sędzina zapytała mecenasa, na jaką okoliczność zeznawał będzie Precelek. Nie powiedziała „Precelek”, powiedziała „ojczym powódki”. Ale i tak wynika z tego jedno barachło!

– Ojczym powódki złoży zeznanie o tym, jak często pozwany zdradzał swoją żonę, ile razy katował dziecko, jak bardzo wyśmiewał się ze swojej teściowej oraz …o handlu pornografią.

– O jakim handlu? – zdziwił się sąd.

– Pornografią! – ze zgorszeniem podkreślił mecenas. – Pozwany ma również i to na sumieniu, proszę sądu.

Sąd zamilkł, popatrzył na mnie z nieokreślonym wyrazem twarzy i zakończył rozprawę. Z podziwem oglądałem wychodzącą dumnie Karolinę. Handel pornografią! No, no, no! Tylko patrzeć, jak na następnym seminarium w tej sali padnie informacja, że któregoś dnia przeleciałem wszystkie kury i kaczki, jakie łażą na podwórku u ciotki Balbiny. Mecenas nawet dowód spreparuje na tę okoliczność.

– Proszę sądu! – zawoła. – Takie wielkie jaja, jakie znoszą obecnie kury i kaczki mogą być jedynie dziełem tego oto barbarzyńcy! Żaden kogut i żaden kaczor nie sprostałby temu zadaniu!

Mecenas to jest mecenas. Jeśli sąd mu nie uwierzy, gotów będzie rzucić na stół odpowiednie zaświadczenie z punktu skupu jaj. A jeśli i to nie pomoże, wówczas, kto wie, czy nie sprawi, że na oczach sądu z jajka wykluje się mały Zadura!

– O! – powie wtedy mecenas, wyciągając triumfalnie rękę. – Wina pozwanego jest oczywista! Zrobił dziecko nawet kaczce! Taki z niego drań!

13

Mój Kracuś rośnie z dnia na dzień. Rośnie i coraz mniej chętnie wychodzi mi na powitanie. Nie był już u mnie w domu prawie dwa miesiące. Karolina nie zgadza się, abym zabierał go na sobotę i niedzielę.

– Po rozprawie – oznajmiła ostatnio, kiedy zapytałem, czy mogę wypożyczyć sobie dziecko.

Taka sytuacja musiała dać oczekiwane efekty. Jeszcze dwa, trzy miesiące i mój syn zostanie przerobiony na janczara. Pod wpływem celowego mącenia w jego małej głowie dojdzie do tego, że najpierw odwróci się tyłem do ojca, a później, być może, przywali temu ojcu kopniaka i powie „zjeżdżaj, stary!"

Myślałem już nawet o tym, by porwać dziecko. Ale gdzie je ukryję? Karolina zna wszystkich moich przyjaciół. Gdybym miał kogoś daleko stąd, nie zawahałbym się ani chwili. Na razie pozostaje mi więc demonstrować cierpliwość, bo tylko tym mogę zgnębić moje wiedźmy.

Ostatnio u teściowej zebrał się tercet. Przybyła mianowicie Grażka. Wpiła swoje ładne, chociaż bezmyślne oczy we mnie i zapytała porywczo:

– Dlaczego stale tu przyjeżdżasz? Przecież to nie jest twój dom?

– Kucharka nie powinna zabierać głosu w sprawach dziejowych – oznajmiłem jej surowo.

– Jaka kucharka? – uniosła się złością.

– Przecież sąd mianował cię moją kucharką, ty tłumoku! – nie wytrzymałem, ale zaraz złapałem się na tym, że hamulce puściły i już postanowiłem milczeć.

– To ty jesteś tłumok! – zaryczała, trafiona w ambicję. – Ty jesteś krwiopijca! Męczysz te dwie kobiety jak wyzyskiwacz!

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem na teściową. Chodziła w kółko po pokoju, jakby szukała czegoś, ale nie wiedziała czego. Karolina wysunęła złą twarz w moją stronę i próbowała zastrzelić mnie spojrzeniem. Miała czerwone oczy, spuchnięte wargi i zakatarzony nos. Wyglądała trochę debilowato. Przypomniało mi się, że zawsze, kiedy tylko okazywała złość, albo chociaż niewielkie zdenerwowanie, cała jej uroda rozmywała się w sekundzie. Taką już miała naturę. Spod skóry wyłaził potworek i modelował jej nowy kształt rysów. Zupełnie nie dostrzegałem takich zmian w okresie przedmałżeńskim. Albo się kryła, albo też stale patrzyłem na nią przez mgłę. Pamiętam, że jeden jedyny raz Precelkowi zebrało się na szczerość. Powiedział wtedy tak:

– Bartek, to nie moja sprawa, ale ty uważaj! Ja znam Karolinę dłużej niż ty. Ona przy tobie jest taka świąteczna, ale przy mnie jest codzienna i zwyczajna. Znasz moją żonę i wiesz, jaka potrafi być, ale gwarantuję ci, że Karolina będzie trzy razy gorsza niż jej matka.

Potem Precelek sięgnął po kieliszek, wypił jednym haustem i nigdy więcej na ten temat nie mówił.

A teraz przyszło mi weryfikować jego poglądy. Patrzę sobie na Karolinę i nieprzerwanie zapalam w sobie czerwoną lampkę.

– Uważaj! – sygnalizuje ta lampka do mojej świadomości. – Nie daj się sprowokować! Siedź spokojnie nawet wtedy, gdy wszystkie trzy rzucą się na ciebie i będą cię szarpać. Jeśli zareagujesz, wszystkie wylecą na korytarz i zawrzeszczą, że je bijesz. Siedź i czekaj!

Bardzo sugestywne było to czerwone światło. Nie odpowiadam już ani słowem na zaczepki Grażki. Grażka też szykowała się do wyjazdu za granicę. Razem z Karoliną. A ja byłem wciąż tą przeszkodą, która mogła przekreślić wszystkie plany. Zabita dechami wiocha albo Włochy! Stawka jest tak duża, że warto rzucić na szalę nieomal wszystko.

Ale inicjatywa ciągle pozostaje w rękach teściowej. Zwróciła się nagle do mnie:

– Powiedz, Bartek, jakie lekarstwo dałeś Karolkowi ostatnio, kiedy mu tak boleśnie

wykręciłeś rękę?

Spojrzałem na dziecko. Bawiło się spokojnie obiema rękami. Całe szczęście, bo może czerwona lampka nie wystarczyłaby mi już. Ukręcenie głowy teściowej zajęłoby mi najwyżej pięć sekund. Na razie jednak nie trzeba. Dziecko jest żywe i zdrowe.

– Nie przypominam sobie ani wykręcania ręki, ani też leczenia tej ręki – odpowiedziałem spokojnie, chociaż lodowato.

– Nie pamiętasz? – Tym razem zdziwiła się tak bardzo, że powinienem natychmiast sobie przypomnieć. – Przecież ostatnim razem zaraz po twoim wyjściu dziecko zemdlało z bólu. Pojechaliśmy do lekarza.

– Bardzo interesujące – pokiwałem głową. – I co?

– Lekarz prześwietlał Karolka sześć razy! Staw nadgarstkowy do niczego!

– Niedobrze – odpowiedziałem z naganą w głosie.

– Powinien prześwietlić tylko raz. Karolina jako lekarka wie, że promienie Roentgena działają rakotwórczo.

Teściową zatkało. Przez długi moment milczała, bo nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– W każdym razie ręka jest uszkodzona – wyrzekła wreszcie.

– Widocznie zrobiłyście mu krzywdę – powiedziałem tak obojętnie, że aż się w duchu uśmiechnąłem.

– Ty, łobuzie! – zaryczała Karolina. – To ty zmaltretowałeś dziecko!

– Ja? – zapytałem nie tracąc spokoju. – Może nawet i ja. Ale teraz widzę, że jest zdrowe i całe.

Jeszcze piętnaście minut trwała dyskusja w tym stylu. Ledwo trzymałem się na nogach. Musiałem zrobić coś, co zmieni ich postawę, a przynajmniej temat.

– Słuchajcie – powiedziałem poważnym tonem. – Wczoraj zaproponowano mi pracę na placówce dyplomatycznej. Będę sanitariuszem w ambasadzie polskiej za granicą. Wobec tego przyjechałem tutaj umówić się z wami w sprawie dziecka. Mnie zależy na wyjeździe, a Karolinie zależy na Włochu, wobec tego powinniśmy przeprowadzić rozwód w jakiś kompromisowy sposób.

Zamilkły na chwilę, bo sytuacja mogła okazać się korzystna. A nuż coś wyniknie, że da się wykorzystać dziecko wyłącznie dla siebie?

Karolina jednak jeszcze raz postanowiła zademonstrować swój upór i twardy charakter.

– Mnie nie zależy na żadnym Włochu – powiedziała. – Włoch jest narzeczonym Grażki.

– Tak – powiedziała kucharka. – To mój narzeczony.

– Wobec tego nie było rozmowy – zakończyłem z uśmiechem i przystąpiłem do zabawy z dzieckiem. Kracuś uśmiechał się, ale nie był to już taki niefrasobliwy, spontaniczny uśmiech jak przed miesiącem. Malec często oglądał się i patrzył na Karolinę. Najwyraźniej zabraniano mu mieć ojca. Ustawialiśmy klocki, później graliśmy w karty, a później pociągnął mnie do małego pokoju i powiedział szeptem:

– Karolina nie chce, żeby tata przyjeżdżał!

– Ale ja przyjeżdżam tylko do ciebie, Kracusiu – powiedziałem łagodnie. – Wiem, że one mnie nie lubią. Chcesz, żebym przyjeżdżał do ciebie?

– Tak. Ja chcę mieszkać u taty w domu.

– Jeszcze trochę pomieszkasz tutaj, a później cię zabiorę – powiedziałem, jak kiedyś.

– Dobrze, bo ona mnie leje.

– Za co?

– Za wszystko. Za to, że ja lubię tatę.

Znowu moja czerwona lampka zgasła na dłuższą chwilę. Nie mówiąc ani słowa, liczyłem do

dziesięciu. Potem jeszcze raz do dziesięciu. I znowu zapaliło się moje ostrzegawcze światełko. Muszę wytrzymać przynajmniej do czasu ostatecznej rozprawy.

Nagle wpadła teściowa.

– Przecież ty narażasz dziecko na niebezpieczeństwo! – zawołała.

– Jakie niebezpieczeństwo?

– Powiedziałeś, że będziesz pracował w jakiejś konspiracji!

– Nie w konspiracji, tylko w dyplomacji.

– Nie oszukuj! Mówiłeś: w konspiracji. Prawda, dziewczynki? – krzyknęła do drugiego pokoju.

Pojąłem, że głupota teściowej doszła do zenitu już po raz nie wiadomo który. I przyjąłem grę.

– Tak. Przyznaję, że mam zostać asem wywiadu.

– No właśnie! – triumfowała baba. – Mówiłam, że niebezpiecznie! Konspirację powinni uprawiać tylko bezdzietni.

– Racja – przytaknąłem. – Demokracja zawsze jest groźna.

– Co takiego? – zamrugała oczami.

– Kalkulacja – odparłem spokojnie. – Przecież cały czas tylko o tym mówimy.

– Nie rozumiem.

– Niemożliwe – uśmiechnąłem się uprzejmie. – Przecież sama mama była łaskawa powiedzieć przed chwilą, że kopulacja to straszna rzecz i że powinni zajmować się nią tylko bezdzietni.

– Jaka kopulacja? Co ty mówisz? – dawała się ciągnąć jak cielę na sznurku.

– Przecież mówię wyraźnie: de-gra-da-cja! No! – odetchnąłem głęboko. – Teraz już mama wie, a ja zgadzam się całkowicie. Najgorsza jest ewakuacja!

Ogłupiłem ją zupełnie. Twarz zrobiła jej się sztywna jak u manekina. Pochyliłem się znowu nad dzieckiem.

– Niedługo do ciebie przyjadę – powiedziałem ciepło. – A później pojedziemy do mnie do domu.

Malec objął mnie za szyję i pocałował kilka razy. Łzy zabłysły mu w oczach.

– Nie jedź, tata! – zapłakał. – Nie jedź!

– Niedługo wrócę, synku. Teraz muszę zrobić ewakuację – dokończyłem głupio, ale było to już pod adresem teściowej. – Do widzenia!

Wyszedłem z mieszkania i zamyśliłem się na moment. Jeżeli teraz biją dziecko, to stać je z pewnością na coś więcej. Nie mogę dopuścić do żadnego „więcej”.

Podreptałem na posterunek milicji.

– Kłaniam się! – podałem dłoń znajomemu komendantowi. – Ma pan trochę czasu? Chcę złożyć skargę.

– Co się stało? – zapytał komendant, krzywiąc twarz i przyciskając rękę do serca.

– Teściowa zamierza złamać rękę mojemu dziecku, aby tylko jej córka mogła później zwalić winę na mnie, odebrać mi prawa ojcowskie i wyjechać z dzieckiem za granicę.

Podał mi kartkę papieru.

– Niech pan to opisze.

Zapisałem cały arkusz. Komendant czytał i nadal trzymał się za serce.

– Czy to ta sama kobieta, która przychodziła ze skargą na swojego męża, że ją chce zamordować?

– Ta sama.

– W takim razie nie dziwię się panu. Ostra baba! Będę musiał ją upomnieć.

– Co panu jest? – zapytałem. – Serduszko?

– Tak. Wysiada od wczoraj.

– Ma pan aspirynę?

– Mam.

– Niech pan wrzuci dwie tabletki do szklanki. Po piętnastu minutach ból znacznie się zmniejszy.

Pokazał mi fiolkę z tabletkami nasercowymi, które już przepisał mu jakiś lekarz. Roześmiałem się.

– To świństwo niech pan odda mojej teściowej. Panu to nie pomoże. Aspiryna co cztery godziny i będzie spokój. Ból ustąpi.

– Bardzo dziękuję! – kiwnął głową z wdzięcznością. – A ja tam wyślę zaraz człowieka!

Uścisnąłem mu rękę. Zdrowie dziecka miałem zabezpieczone. Byle tylko komendant nie umarł przed wydaniem rozkazu swojemu dzielnicowemu!

14

Nigdy nie uważałem się ani za specjalnie odważnego, ani też za zdecydowanego na wiele czy chociażby – za upartego. Ale kiedy Fredek wpadł któregoś dnia do mnie i powiedział, że należy mi się przynajmniej krzyż walecznych, wprawiło mnie to w nastrój pełen refleksji.

– Ja bym tak nie potrafił! – zdecydowanie podsumował sprawę podekscytowany malarz.

– Przecież ty się nieustannie narażasz! – dołożył swoje Adolek, który siedział wtedy u mnie już od dwóch godzin, starając się zasugerować mi barwy i smaki obiadu restauracyjnego, który można by ewentualnie zjeść na jego koszt.

– To jest banda! – wykrzykiwał Fredek. – Pakujesz się bez przerwy do tygrysiej klatki wygłodniałych bestii! Zeżrą cię, zanim się dobrze rozejrzysz!

– Szczególnie teraz, po wystąpieniu twojego teścia – kontynuował Adolek. – Wyrzucą cię przez okno, a potem powiedzą, że wypadłeś podczas zaczepiania firanki u gzymsu.

– Nie! Nie! Nie! – kręcił głową Fredek. – Bez milicjanta nie odważyłbym się tam jeździć. Weź przynajmniej Dzidka!

– Nie mogę! – roześmiałem się dziwnie swobodnie. – Dziecko mi wystraszy!

– Ale bandę też!

Męczyła mnie ta dyskusja. Byłem im wdzięczny za to, że mnie odwiedzali i martwili się o moje zdrowie, ale przecież chciałem wyłączyć swój umysł od całego problemu, kiedy tylko można. Niech już lepiej składają mi raporty o katastrofach lotniczych albo o tym, że jakiś malarz z pokolenia Fredka dostał „Order Uśmiechu", byle tylko przestali wreszcie wałkować moje zapaprane życie. Znajdowałem się już przecież na granicy wytrzymałości nerwowej. Bałem się, że zwariuję i do tego nie wiadomo, za czyją sprawą. Koledzy mi dopomogą czy też jakiś nowy świadek mojej żony?

W zasadzie nie powinienem już przejmować się nowymi zarzutami padającymi pod moim adresem na wokandzie sądowej. Przynajmniej tak mi się wydawało, że po wystąpieniu teściowej zdobyłem już odporność na wszystkie podłości tego świata. Niestety, przeceniłem siebie. Jestem po prostu zbyt wrażliwy i zbyt delikatny jak na mężczyznę. I chyba wcale nieprzypadkowo na moim dyplomie pielęgniarskim przypięto mi płeć kobiecą. To nie była pomyłka. To była wyrocznia losu. Jestem delikatny jak dziewica, którą zgwałciło po kolei czterdziestu rozbójników z legionu Ali Baby.

Precelek nie musiał patrzeć mi w oczy podczas składania swoich zeznań. Patrzył w oczy sądowi. Patrzył i nadawał swój program opracowany uprzednio przez żonę i teściową.

– Ja sam tego nie widziałem – zastrzegał się w każdym zdaniu – ale wiem to od mojej żony, a moja żona nie miała przecież żadnego interesu w tym, aby kłamać.

– Wobec tego, co pan wie? – pytał znudzony, jak zwykle zresztą, sąd.

Precelek wiedział wszystko, co trzeba. A więc przede wszystkim przyjeżdżałem do dziecka, wyżerałem to, co było w garnkach u teściowej, na dziecko nawet nie spojrzałem i wracałem do siebie. Z wycieczek zagranicznych przywoziłem cały bagażnik pornografii, z czego należy wyciągnąć wniosek, że pozostawałem w zmowie z celnikami. Potem przybijałem taką pornografię do ściany nad łóżkiem i zmuszałem swoją żonę do stosunków płciowych według schematu podanego na sprośnych obrazkach. Ale największą moją zbrodnią było to, że brałem dziecko na wycieczki nad rzekę, łowiłem ryby, a dziecko w tym samym czasie przywiązywałem sznurkiem do samochodu. I jeszcze jedno. Jestem okropnym materialistą. Kiedy Precelek przyjeżdżał do mojego domu, to nigdy nie postawiłem mu nawet kieliszka wódki. Tylko herbatę i kanapki. Przecież to okropny człowiek ten Bartłomiej Zadura!

Świat wirował mi przed oczami, a moja adwokatka tylko powtarzała co chwila:

– Niech pan będzie spokojny! Trzeba im pozwolić na wygadanie się. Niech mówią, przecież nie będą tak kłamać bez końca.

No i co z tego? Gdy poprosiłem sąd o wydanie oficjalnego pozwolenia na zabieranie dziecka do siebie przez dwa dni w tygodniu, otrzymałem w rezultacie trzy godziny pod nadzorem matki. I bądź tu spokojny! Pozwól im się wygadać! Jestem w miarę spokojny, bo mam wystarczający zapas tabletek, które mi ten spokój regulują, ale na tych tabletkach apetyt zupełnie straciłem i teraz czuję, że na dodatek tracę siły. Żadne dowcipy już do mnie nie docierają, postarzałem się o dwadzieścia lat, chciałem nawet kupić sobie laskę, ale w sklepie nie było, przestałem golić się przez trzy dni, by nikt nie miał wątpliwości, że zszedłem na dziady, ale pani docent wydała kategoryczny zakaz noszenia brody przez jej personel, więc sam już nie wiem, co robić.

– Cha! cha! cha! – roześmiał się po swojemu Dzidek, widząc, że kumpel zdziadział mu kompletnie. – Graj w toto-lotka, to cię nadzieja przywróci do życia!

Dał mi kupon i z tym kuponem pojechałem w odwiedziny do dziecka. Czasu dużo nie miałem, bo sąd ograniczył już moje możliwości w tym zakresie do trzech godzin.

Banda siedziała przy kawie, paliła papierosy i grała w karty. Dziecko podbiegło do mnie, ale w ostatniej chwili zawahało się, spojrzało z obawą na Karolinę i odsunęło się na bok. Co miałem robić? Wydobyłem kupon toto-lotka i długopis.

– Co tata ma? – zapytało dziecko, nie zwracając już uwagi na bandę.

– To jest kwit, synku – odpowiedziałem. – Na ten kwit można wygrać tyle pieniędzy, że tymi pieniędzmi wydusiłoby się niejedną bandę.

– Co to jest banda?

– Banda to źli ludzie – wtrąciła szybko teściowa.

– Dlaczego on uczy dziecko takich brzydkich wyrazów? – zapytała nie wiadomo kogo. – Masz swój kupon, to wypełniaj, a dziecko zostaw w spokoju! Jest mu u nas dobrze i jak dorośnie, będzie mógł ogłosić wszystkim, że na taką rodzinę zawsze można stawiać.

– I ja też tak myślę – powiedziałem pokornie. – Wobec tego stawiam na was. Za całe dziesięć złotych! – dokończyłem głośniej. – Ile mama ma lat?

– Czterdzieści dziewięć – odparła zaskoczona, ujmując sobie zresztą nie tak znów wiele.

– Dobrze. Skreślam czterdzieści dziewięć. Zobaczymy, jak mi się rodzina sprawdzi. A ty, Kazik?

– Czterdzieści pięć.

– Też skreślam. Karolina dwadzieścia dziewięć. To już trzy liczby.

– Jeszcze nie skończyłam! – porwała się z pretensją Karolina.

– Dobrze. Wobec tego skreślę jeszcze dwadzieścia osiem.

– Ja też dopiero za dwa miesiące będę miała czterdzieści dziewięć – upomniała się o swoje teściowa.

– Tym lepiej. Mam więc dodatkowo czterdzieści osiem. A ty, Kazik, skończyłeś już swoje?

– Skończyłem i zacząłem! – zarechotał Precelek. – Czterdziesty szósty.

– No to mamy ostatnią liczbę – stwierdziłem. – Zobaczymy, co jesteście warci – powiedziałem z kpiną. – Dużo na was nie stawiam. Powiedziałem, że najwyżej dychę.

– Ty nas nie obrażaj! – uniosła się teściowa. – Sąd wyznaczył ci trzy godziny, to pilnuj tego terminu z zegarkiem w ręku.

Pilnowałem. Spoglądałem na zegarek co piętnaście minut. I tylko końcówka była smutna. Dziecko uczepiło się mojej nogi i prosiło, żebym nie wychodził. Że da mi swoje miejsce w łóżeczku, a samo będzie spała na fotelu.

Wyszedłem ze łzami w oczach. Dobrze, że było już ciemno. Dopiero byłoby widowisko! Niby mężczyzna, a płacze. Żebym chociaż ten swój damski dyplom na plecach nosił! Ale tak?

Nie wypada.

15

W trzy dni później zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Miałem dzień wolny, bo dyżur szykował mi się dopiero od ósmej wieczorem, więc wstałem o dziewiątej i zrobiłem sobie kilka kanapek do jedzenia. Ustawałem wszystkie na stole, popatrzyłem kilka chwil, potem zaniosłem kanapki do kuchni i wyrzuciłem je do kosza ze śmieciami. W zamian za to zjadłem tabletkę od doktora Kaweckiego i popiłem herbatą. Zrobiło mi się błogo jak zwykle po tabletce, powyglądałem przez okno napatrzyłem się na pryzmy brudnego śniegu zalegającego chodniki, aż wreszcie klapnąłem na kanapę i zacząłem rozmyślać o przyszłości.

Myślenie o przyszłości nie jest sprawą łatwą, tym bardziej że akurat nie miałem jasno sprecyzowanych zamiarów. Zastanawiałem się głównie nad tym, czy zostać premierem, czy też wystarczyłaby mi teka ministra spraw wewnętrznych. Nie byłem odpowiednio przygotowany teoretycznie do pełnienia tak zaszczytnych funkcji, a poza tym chodziło mi przede wszystkim o to, by mieć wpływ na surowe karanie obywateli za podłość i kołtuństwo. Słowem: za sukinsyństwo. Swoją rodzinę na przykład, której cechy metrykalne dzielnicowy toto-lotek oznaczył wczoraj na przypadkowym kuponie przypadkową banderolą za dziesięć złotych, wysłałbym do pracy galerniczej w rejon Oceanu Spokojnego. Precelek by wiosłował, teściowa zajęłaby się kucharzeniem, a żona wyznaczałaby położenie geograficzne łodzi. Biorąc pod uwagę zdolności orientacyjne Karoliny, mógłbym mieć nadzieję, że nie dobiliby do jakiegokolwiek brzegu przed upływem dwudziestu lat. Oczywiście nie wytrwałbym tak długo w bezlitosnym i nieograniczonym karaniu tej bandy i dlatego wydaje mi się, że już po roku przyznałbym skazańcom regularne stypendium pod postacią paczek miesięcznych, dostarczanych za pośrednictwem najbardziej spasionych gołębi pocztowych. W paczkach tych posyłałbym zdjęcia, na których figurowałbym ja oraz Kracuś z rękami wyciągniętymi w geście pozdrowienia. Oznaczałoby to, że jest nam dobrze, zdrowia nie brakuje i niech się więcej o nas nie martwią, a następna przesyłka za miesiąc. Niewykluczone, że będą to zdjęcia w kolorze. I tak dalej aż do końca wyroku.

Człowiek jest tylko człowiekiem, więc moje sumienie pozwoliłoby również na pewne odstępstwa od surowego regulaminu, jakim podlegają galernicy. Tak więc dodatkową pocztą wysyłałbym od czasu do czasu haczyki na ryby, nylonowe żyłki i przypony metalowe, bo gdyby tak trafili na stado rekinów w rejonie Oceanii, to zwykła żyłka trzasłaby od razu na ostrych zębach tych wysmukłych rybek, natomiast metalowy przypon trzymałby mocniej. Ciekawe, na co te rekiny najlepiej biorą. Na muchę z pewnością nie, ale może wzięłyby na teściową? Przecież Precelek nie musiałby od razu zakładać teściowej na haczyk w całości. Wziąłby wtedy taki ludojad, że żadna wędka by mu się nie oparła. Teściową trzeba zapuszczać po kawałku. Niech biorą rekiny półmetrowe, no, najwyżej metrowe. Żarcia by wystarczyło wtedy na dłuższy czas, a Precelek zyskałby nowe siły na dalsze wiosłowanie w myśl wskazówek nawigatorki Karoliny Zadury. A zresztą po co ja się martwię o takie rzeczy! Niech organizują sobie życie ci, którym będzie wyznaczona trasa akurat na tamtych szerokościach geograficznych.

Dzwonek u drzwi. Niedobrze. Znowu przyjdzie Adolek albo Fredek albo też obaj razem i będą mnie pytać o zdrowie bandy. Kiedy tylko marzę sobie o życiu w tropiku, zawsze coś musi mi przeszkodzić. Niechętnie podniosłem się z kanapy, zresztą w głowie szumiało mi już wystarczająco dużo, aby w ogóle tej kanapy nie opuszczać.

W drzwiach stała rozradowana teściowa. Powiedziała „dzień dobry” i zdjęła futro, zanim jej to zaproponowałem. Potem skoczyła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę.

– Przyjechałam tu w tajemnicy! – zakomunikowała szeptem, który od biedy mógłby być słyszalny w ratuszu miejskim, gdyby nie fakt, że o tej porze wszyscy urzędnicy

najprawdopodobniej mieszają cukier w herbacie i robią przy tym znaczny hałas.

– A co? – wymamrotałem niewyraźnie. – Milicja mamę szuka?

– Nie! – zawołała i pociągnęła mnie za sobą do pokoju. – Chodzi mi o was!

Rozejrzałem się po pokoju. Było „nas” dokładnie jedna sztuka. To znaczy ja. No i teściowa, ale ona się nie liczy, bo przybyła tu jako rachmistrz chyba, a poza tym przeznaczona już została na ratowanie świata przed plagą rekinów. Ale wizyta to wizyta. Kultura obowiązuje. Nawet wobec teściowej.

– Słuchaj! – rzuciła się zachłannie w moje półprzymknięte oczy. – Co wy właściwie robicie?

– Kto? – zapytałem ze wzruszeniem ramion. Może Fredek i Adolek coś tam wywinęli? Bo Dzidek na pewno nie. Dzidek nie ma już siły na nic po swoim treningu.

– Przecież wy! Ty i Karolina! Przecież wasze dziecko zmarnuje się dokumentnie!

– Racja – potwierdziłem. – Trzeba je ratować – zgodziłem się, chociaż senność nie ustępowała. Czego ona chce? Przecież na te galery dziecka nie wysyłałem. Dziecku żaden rekin nie grozi.

– Obudź się! – zawołała znowu energicznie. – Miałeś chyba nocny dyżur! Tu chodzi o waszą przyszłość! Wy nie powinniście brać tego rozwodu!

Oho! Teraz rzeczywiście zaczynało mi się robić jaśniej pod pokrywką. Co się tym babom stało? Wyrzuty sumienia poczuły czy jak? A może wzruszył je Karolek, który powiedział, że bierze manatki i wyprowadza się do taty? Albo… Albo? No tak! Garbarnia we Włoszech się spaliła, była nie ubezpieczona i kandydat na reprezentacyjnego męża został dziadem. Otóż to!

– Karolina nigdy nie zgodzi się na rozwód! – piała teściowa już z kuchni, gdzie parzyła herbatę. – Nigdy! Przecież najważniejszą rzeczą dla niej była zawsze rodzina! Ty i dziecko. – Przyjrzała mi się z niepokojem. – Co tobie, Bartek? Nie masz jakichś leków na obudzenie się? A może jesteś chory? Przy omawianiu tak ważnych spraw ludzie nie powinni chorować!

Kiwałem głową ze zrozumieniem. Tak jest. Sprawa ma niesamowity ciężar i dlatego trzeba ją szczegółowo omówić.

– Najlepiej w niedzielę! – zaszczebiotała na odchodnym. – Czekamy na ciebie z obiadem. Będzie budyń czekoladowy! – dodała jeszcze w drzwiach. – I konfitury z wiśni!

Niesamowite! Po jej wyjściu zjadłem jeszcze jedną tabletkę. Normalna sprawa. Musiałem przecież zaryglować dokumentnie mój pobudzony nagle apetyt. Na te konfitury leciałbym natychmiast!

16

Obiadek właśnie się skończył. Minęło pół godziny, dolegliwości żołądkowych nie mam, moje oczy patrzą bystro przed siebie i żaden kabłąk na plecach też się nie robi. Oznacza to, że jednak wyżyję. Bo naprawdę obawy miałem przeogromne. A nuż do mojej pieczeni, zamiast papryki, dosypano arszeniku! Nie wiem jeszcze, jaki podstęp kryje się w tym zaproszeniu na obiad. Jeszcze do niedawna nie było dla mnie nawet herbaty, nie mówiąc już o jakimkolwiek dobrym słowie. A teraz? Uśmiechy, wyszczerzaki i najwygodniejsze miejsce przy stole.

Na razie nikt nie kwapi się z podjęciem właściwego tematu. Jest miło, niech tak będzie dalej. Co użyjem, to dla nas! – głosi stara i podobno kolonialna piosenka kresowa.

Precelek czyści sobie buty w przedpokoju, Kracuś ustawia klocki na stole, a ja przeglądam gazetę. Karolina z teściową rozmawiają o zakupach. Miny mają poważne, słowa wyważone, a ruchy niezbyt zamaszyste. Jeśli już, to dystyngowane.

– Ten materiał w brązowe groszki! – zawołała teściowa. – Córuś! Nie masz pojęcia, co za cudo! Koniecznie muszę ci to kupić przy najbliższej okazji!

– Ależ, mamo! – uniosła wysoko brodę moja żona. – W groszki to nie dla mnie. Wolę w kratę.

– Szkoda, że nie powiedziałaś wcześniej. Kratę miałam przed tygodniem. Pokroiłam ją, będzie sukienka dla Zosi.

– Ojej! Ale się mama pospieszyła! Przecież nic nie pasuje mi tak dobrze jak krata! W ogóle to najlepiej pasuje mi niebieska krata na jasnym tle.

– Może i masz rację, córuś. Bo ja kiedyś miałam czarną kratę na szarym tle i wszyscy mężczyźni się za mną oglądali.

– Tak, tak, mamo! Krata jest najbardziej praktyczna i najbardziej elegancko wygląda. Zastanawiam się jednak, czy czarna krata na szarym tle nie wygląda zbyt ponuro.

Wycofałem się do łazienki. Czarna krata na szarym tle! Dobre. W rogu prycza, a przy drzwiach kibel z pokrywką. Na pryczy obie moje panie w pasiakach. Jedna ma suknię w pionowe pasy, druga w poziome. Chodzą sobie od drzwi do okna. Dwa metry w przód i dwa metry w tył. Chodzą i mijają się. W momencie mijania pionowe pasy krzyżują się z poziomymi. Na krótką chwilę rysuje się nowa krata. Potem znowu tup-tup, tup-tup. Koce w grochy, podłoga w ciapki, sufit w motylki, teściowa w kajdanki! O, przepraszam! Nigdy w życiu! Za taki obiad? A ten tort przepyszny? A ten budyń pachnący czekoladą? A konfitury? Nie, w kajdanki nie można. Wystarczą same kraty.

Wyszedłem z łazienki, w przedpokoju stał fotel, bo go tam akurat przyniósł Precelek, widocznie nie mógł dosięgnąć czegoś z pawlacza i potrzebował podstawki. Tfu! Zawadziłem kolanem o ten fotel. Niech go wszyscy diabli na ognisku piekielnym spalą! Cholera by wzięła tego, co wymyślił fotel! Dupa tylko rośnie od czegoś takiego, a miał rosnąć dobrobyt. Teściowa wprawdzie na nic nie narzeka, budynie czekoladowe pitrasi, ale Karolinie zawsze wszystkiego było mało. Czyżby jej się cokolwiek odmieniło? Może Kracusia ma zamiar wysłać do roboty? Niechby i on dołożył się trochę do budżetu rodzinnego. W przedszkolu za stróża nocnego niech popracuje. I tak nigdy nie chce chodzić pierwszy do łóżka. Tyle czasu się traci, aby go namówić do spania, więc warto ten czas spożytkować. Ja tak bynajmniej nie myślę. Ale Karolina praktyczna jest, wszystko potrafi wymyślić. Już wymyśliła, że rozwodu nie będzie. Wszyscy czekają, żebym zapytał, dlaczego zmieniły się zamiary. A ja nie! Ja wcale nie jestem ciekaw. Interesuje mnie najwyżej fakt, w jaki sposób Karolina potrafi naprawić to wszystko, co zepsuła od momentu swojego wyjazdu do Włoch. Jeżeli chodzi o mnie, to nie mam najmniejszego pojęcia. Ale może ona ma? Kobieta światowa, urodziła się wprawdzie na wsi, ale przecież we

Florencji pomieszkała, to chyba coś wie. Może nawet istnieją jakieś włoskie albo jeszcze łacińskie sposoby naprawiania atmosfery, którą się psuło miesiącami! Ja tam nic nie wiem…

– Toto-lotek! – zawołała Karolina z pokoju. – Interesuje cię, Bartek?

– E! – mruknąłem niechętnie. – Jak będzie sześć numerów od jedynki do szóstki, to mnie zawołaj! Nic innego mnie nie interesuje.

– Przecież wypełniałeś kupon!

– No to co? Tyle ludzi zawsze wypełnia, więc i ja mogę dołożyć swoją składkę. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

– Dwadzieścia osiem! – zawołała wesoło teściowa.

Niech będzie. Nawet dwadzieścia dziewięć mnie nie ruszy z miejsca.

– Dwadzieścia dziewięć!

– Czterdzieści dziewięć! – nerwowym głosem oznajmiła teraz teściowa. – Bartek, chodź prędko! Ty naprawdę wysłałeś ten swój kupon?

– Czterdzieści osiem!

Precelek przestał czyścić buty. Otworzył usta, najchętniej wpakowałbym mu do środka całe pudełko pasty.

– Czterdzieści sześć!

Poczułem nagłe drętwienie skóry. Precelek zrobił się siny, chyba w ogóle nie oddychał. Najprawdopodobniej dostanie apopleksji, jeżeli wyjdzie teraz czterdzieści pięć.

Nagły rumor w pokoju wyrwał mnie z korytarza. Teściowa leżała na podłodze razem z krzesłem. Karolinie trzęsły się ręce i nie wiedziała chyba, co z tymi rękami zrobić.

– Co się stało? – zapytałem.

Otworzyła usta, ale nie powiedziała ani słowa. Pokazywała tylko ręką na telewizor.

– Powtarzamy numery – oznajmił sympatyczny spiker – w takiej kolejności, w jakiej zostały wylosowane.

Teściową ocuciliśmy szybko, ale gdy tylko spojrzała na mnie, zaraz zemdlała po raz drugi. Zaproponowałem, by wpakować ją do wanny w ubraniu. Ubranie dobrze trzyma wilgoć i teściowa by się trochę nawodniła. Karolina wydostała jednak amoniak z apteczki. Amoniak pomógł definitywnie.

– Czy ja dobrze widziałam? – zapytała natychmiast pod dojściu do przytomności.

– Dobrze, mamo – powiedziała córka. – Bartek postawił na nasze metryki i został milionerem.

To była prawda. Szóstym numerem okazało się czterdzieści pięć!

– A nie wierzył mi! – dobrotliwie wyrzucała matka mojej żony. – Nie wierzył! Ciągle mówiłam mu, że takiej rodziny nie trafiłby nigdy w życiu, gdyby na swojej drodze nie napotkał Karoliny! A teraz co? Postawił na nas wszystkich i zdobył fortunę! Znaczy to, że nam zawdzięcza wszystko! Karolku! – zawołała z rozczuleniem do dziecka. – Tata wygrał tyle pieniędzy, że kupi ci cały samochód cukierków!

– Ja chcę jechać do taty domu! – powiedziało dobitnie dziecko.

– Oczywiście, dziecko kochane! Pojedziesz, kiedy tylko zechcesz! Carla, dzwoń do Zosi i powiedz, co się stało!

– Ależ, mamo! Po co mają wiedzieć?

– Niech wiedzą! – sarknęła matka. – Dzwoń, niech zazdroszczą! Nie zasną dzisiaj w nocy. Naprawdę, przysięgam wam, że nie zasną!

Radość zapanowała przeogromna. Nic już nie mogło zamącić podniosłego nastroju. Podejrzewam, że był to najlepszy moment, w którym wybaczono by mi wszystko, co najgorsze. Mogłem na przykład przywiązać Precelka do samochodu, najlepiej za fajfusa. Teściową mogłem

udusić, nawet by się nie opierała, a Karolinę mógłbym przelecieć w półmisku wypełnionym budyniem czekoladowym. Wszystkie te czyny uszłyby mi na sucho, a teściowa uśmiechałaby się nawet i po śmierci.

Po prostu każdy człowiek ma w życiu swój dzień, a ja miałem taki dzień akurat dziś.

– No i jak? – zapytał Adolek, bo już mnie nie widział od tygodnia.

– Coraz lepiej – odpowiedziałem szczerze. – Moje akcje poszły w górę!

– Czyżby? – pobłażliwie popatrzył Adolek. – Zostałeś ambasadorem w Ameryce?

– Nie, ale rodzina nagle mnie polubiła.

– Aha! I tobie wydaje się, że to twoja zasługa. Tak?

– Nie wiem, czy moja. Myślę, że po prostu sumienie ich ruszyło. Ludzie przecież mają sumienie…

– Przestań mnie denerwować, Bartek – przerwał Adolek. – Już sam nie wiem, co o tobie myśleć. Albo jesteś głupi od urodzenia, albo masz przewlekły napad ciemnoty!

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – rzekłem trochę obrażony.

– Ty naprawdę wierzysz w sumienie? Uważasz, że twoja banda ma sumienie?

– Więc dlaczego nagle odechciało im się rozwodu?

Adolek westchnął ciężko i pokręcił głową.

– Ale mi się kumpel trafił! Powiedz, jak to jest, że ja wiem o twojej sprawie więcej niż ty sam?

– Nie mam pojęcia. Widocznie w tej mojej sprawie zamieszane są jakieś twoje baby. Tylko dlatego.

– Widzę, że zdolności logicznego myślenia jeszcze nie zatraciłeś! – zarechotał zadowolony Adolek. – Tam, u nich, wiesz… w miasteczku pracuje taka jedna. Chyba ci kiedyś opowiadałem o niej? Taka z poczty. Pamiętasz? Nie? To nie! Nieważne. W każdym razie ten Włoch przysłał twojej żonie zaproszenie…

– No, widzisz? – ucieszyłem się. – I nie pojechała! Mówiłem, że sumienie! Szczęście dziecka to jest, bracie, duża sprawa dla kobiety! A nasze dziecko powinno mieć zarówno ojca, jak i matkę!

Adolek wykrzywił się tak, jakby, go nagle dentysta złapał za goły nerw w spróchniałym zębie. Usiadł ciężko na krześle i spojrzał na mnie z politowaniem. Musiałem widocznie cholernie głupio wyglądać.

– Wiesz co, Bartek? – zaczął po namyśle. – Gdybyś tak został milicjantem, to by ci już pierwszego dnia czapkę ukradli. Drugiego dnia mundur. A trzeciego… trzeciego przyodzialiby cię w pasiaki i odstawili do więzienia za gwałt na zającu, który ci się podłożył gdzieś w lesie. Lubię cię, bo świństw nie potrafisz robić, ale co to właściwie za sztuka nie robić świństw, jeśli się nie umie!

– Może ci herbaty zrobić? – zapytałem ugodowo.

– Zrób, zrób! – pokiwał głową. – Bo jak się z tobą gada, to koniecznie trzeba czymś popijać. Na czym to ja skończyłem?

– Na… na zającu – podpowiedziałem głupawo.

– Dawaj tę herbatę! – zeźlił się Adolek. – I przestań pieprzyć o zającach!

– Ja? Przecież to ty zacząłeś.

– Ale przedtem mówiłem o czymś innym!

– No tak. O zaproszeniu.

– Właśnie. Mówiłem, że Włoch przysłał twojej żonie zaproszenie.

– Zgadza się. A ona nie pojechała. Tak?

– Tak.

– No więc wszystko w porządku – powiedziałem pogodnie i poszedłem do kuchni nalać herbaty.

Herbata była dobra. Piliśmy powoli, bo gorąca. Adolek ziewnął, zastanowił się krótko i zapytał:

– A wiesz, na co ją ten Włoch zaprosił?

– No jak to?

– Na swój ślub!

Otworzyłem usta, ale herbaty nie doniosłem tak wysoko.

– Z pewną Włoszką – dokończył Adolek i znowu ziewnął. – Widocznie znudziło mu się czekanie na twoją żonę.

Piliśmy już w milczeniu. Dopiliśmy tak do samego końca. Adolek rozejrzał się po ścianach. Na jednej wisiała doniczka z paprocią, a na drugiej rozciągał się cissus.

– Ładne – powiedział. – Sam wyhodowałeś?

– Sam.

– Często podlewasz?

– Zimą częściej, bo kaloryfery grzeją i powietrze jest suche. Ale latem wystarczy dwa razy w tygodniu.

– Taaak… Ciekawe, jakie będzie lato w tym roku.

– Trudno powiedzieć. Ale chyba słoneczne.

– Tak myślisz?

– Aha.

– Jak stoisz z forsą? – zapytał nagle i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Bo mam parę groszy i mógłbym ci trochę pożyczyć.

– Nie, dziękuję. Ostatnio wygrałem w toto-lotka.

– Dużo?

– Tak sobie. Jeden milion. Ale dla mnie wystarczy. Adolek przyjrzał mi się z niepokojem i wstał z krzesła.

– Pójdę już – powiedział. – Nie gniewasz się, że tak szybko?

– Nie. Wpadnij, jak będziesz miał czas.

– Naturalnie! Cześć! – uścisnął mi rękę. – Trzymaj się! A gdyby ci naprawdę brakowało forsy, to zadzwoń! Wiesz, że u mnie zawsze coś się znajdzie!

– Dziękuję ci. Na razie ten jeden milion mi wystarczy. Grabula!

Wyszedł, ale jakoś nie tak jak zawsze. Przygarbił się trochę, jakby się bał, że głową zawadzi o framugę drzwi. A przecież miał jeszcze pół metra rezerwy! Dziwak zrobił się z tego Adolka, nie ma co! Może go już baby nie chcą? Chyba mi trochę zazdrości, bo mnie akurat chcą.

18

Dzidek przyszedł już następnego dnia. Nawet z treningu zrezygnował. A minę miał tak poważną, jakby go nagle z kadry wypisali.

– Niesamowita sprawa! – wysapał i usiadł. – Zaraz przyjdzie tu Fredek – powiedział jeszcze i wyprostował swobodnie nogi.

Byłem akurat po swoim dyżurze. Chciałem odpocząć przynajmniej z pół godziny, ale jeśli się nie da, to trudno.

– Woda mineralna jest w lodówce – zakomunikowałem.

U drzwi odezwał się dzwonek. Wyszedłem do przedpokoju, uścisnąłem grabulę Fredka i wprowadziłem go do mieszkania. Za stołem siedział Dzidek i otwierał butelkę z wodą mineralną.

Fredek pokręcił głową niecierpliwie.

– Nie możesz założyć sobie jakiegoś specjalnego wodociągu? – zwrócił się do Dzidka. – Powinieneś mieć w domu wytwórnię wód gazowanych!

– Mam kolegów – mruknął Dzidek i wskazał ręką szklanki. – Częstujcie się!

Co było robić? Zaprosił, częstował, wypiliśmy po szklance.

– Cała banda ma tu zamieszkać? – odezwał się nagle Dzidek.

– Nie. Tylko Karolina. Tamci mnie nie obchodzą.

– Ja bym jej już nie przyjął! – uniósł się Fredek. – Przecież to dziwka!

– Ale również matka mojego dziecka.

– Nie szkodzi. Powinieneś chociaż w sądzie powiedzieć, co o niej myślisz! Masz przecież jeszcze jakąś rozprawę?

– Mam, ale Karolina powiedziała, że złoży wniosek o rezygnację z rozwodu.

– Niedobrze! – zaperzył się znowu Fredek. – Włoska mennica jej nawaliła, to spokorniała! A nie możesz powiedzieć w sądzie, że chcesz tylko dziecko, a babę mogą oddać na przetarg nieograniczony?

– W zasadzie mógłbym, bo już się od niej odzwyczaiłem.

– To zrób tak! Sprawiedliwości powinno stać się zadość!

Dzidek podniósł rękę i poprosił o głos.

– Chciałem ci przypomnieć – zwrócił się do Fredka – że Bartek nie idzie do sprawiedliwości, ale do sądu. A to jest różnica!

Fredek chwycił butelkę i nalał sobie nerwowym ruchem.

– No więc w jaki sposób sąd dochodzi prawdy?

– Sąd opiera się na zeznaniach świadków – wyjaśnił cierpliwie Dzidek. – Jeśli świadek powie, że Bartek jest nie oskrobana świnia, to sąd może uwierzyć, może też nie uwierzyć, ale trochę smrodu z tego zostanie. Im więcej takich świadków, tym gęściej od smrodu.

– A wentylacja nie działa? – zapytał jeszcze Fredek z nadzieją.

– Często się zacina. I dlatego z przykrością należy stwierdzić, że powrót Karoliny jest dla Bartka wyjściem nie najlepszym, ale optymalnym. Było przecież, że dusił. Było czy nie było? Jak udowodni, że nie dusił? Przywiązywał dziecko do samochodu? Przywiązywał. Jak udowodni, że nie przywiązywał?

– Ale sprawiedliwość…

– Nie wygłupiaj się, Fredek! Ta instytucja, po której od miesięcy włóczy się Bartek, ma inną nazwę. Nazywa się „sąd rejonowy” i na tym koniec. To jest, mój drogi, sprawa cywilna, a nie karna. Gdyby Bartek został ukatrupiony przez teścia, wtedy by wygrał.

– Jak wygrał?

– Normalnie. Teść poszedłby do więzienia, a Bartek do nieba. Tymczasem jednak musi zadowolić się tym, co ma na ziemi. Niewiele wprawdzie ma, ale mineralną ma. Podaj, Bartek, jeszcze jedną butelkę.

Otworzyłem lodówkę i postawiłem drugą butelkę na stół.

– Szczęście to taka abstrakcja zrozumiała jedynie dla filozofów – odezwał się Dzidek po nowym łyku. – Normalny człowiek musi się nauczyć przeżywać swoje szczęście. Ja na przykład patrzę na ludzi i myślę sobie, że wokół mnie pałętają się same zdechlaki, wobec tego mam prawo myśleć, że jestem wybrańcem losu. Mam czy nie mam?

– Masz – powiedziałem uspokajająco.

– Właśnie. Bartek może na przykład skakać z radości, że znowu będzie mieszkał razem ze swoją rodziną, bo mógłby mieszkać z kotem lub z kanarkiem, a sąd mógłby mu wyznaczyć jedną godzinę miesięcznie na widywanie dziecka pod nadzorem matki. Tak czy nie?

– Tak – powiedziałem i podskoczyłem z radości.

– No, to w górę serca! – zawołał Fredek i podniósł szklankę z wodą mineralną. – Radujmy się, przyjaciele, bo tak się złożyło, że jak dotąd żaden z nas nie złapał syfa!

Tego popołudnia wypiliśmy wodę mineralną do końca. W moim domu dawno już nie było tyle radości. Szkoda tylko, że zabrakło Adolka. Adolek mógłby wyznaczyć nam jakiś relaksowy program na najbliższe lato. Życie ma przecież wiele uroku. Trzeba tylko nauczyć się, jak żyć. Z nas czterech najlepiej uczył się zawsze Adolek. Adolek to najpewniejsza deska ratunku dla całego świata. Jedna dobra podpowiedz i – każdy dzień rozpocząć można od uśmiechu.

Epilog

W zasadzie wszystko układa się jak trzeba. Znowu założyłem pancerną obrączkę na serdeczny palec, śpię na tej samej kanapie co moja żona, a obok, na łóżeczku, śpi nasze wspólne dziecko. Kiedy budzę się o szóstej rano i patrzę raz na lewo, a drugi raz na prawo, to momentami wzruszenie chwyta mnie za gardło. Jest to uczucie pozytywne i nadające sens mojemu życiu. Gdyby było inaczej, gdyby tak na przykład nie wzruszenie, ale teściowa chwyciła mnie za gardło, wówczas kwestia sensu życia miałaby inny wymiar. A gdyby jeszcze chwyt teściowej był na tyle mocny, że nie zdołałbym przekazać jej, co w tym momencie czuję, to patrzyłbym teraz z góry na żonę i na dziecko, a za pomocą białych skrzydełek regulowałbym w pokoju wymianę świeżego powietrza.

Niestety ułożyło się zupełnie inaczej. Regulacja dokonuje się w zależności od tego, jak szeroko otwarte jest okno. Na dworze wróble wyśpiewują psalmy na cześć rozpoczynającego się lata. W mieszkaniu jest ciepło, moja żona śpi bez niczego i nawet nie przykrywa się kołdrą. Podziwiam jej piękne ciało i staram się nie wnikać, co siedzi u niej pod skórą. Może dolary, a może biżuteria i właśnie ta biżuteria nadaje tyle prężności mięśniom Karoliny?

Zwróciłem oczy na spokojną twarz dziecka. Spało jak Bóg przykazał, bez dewizowego podkładu i bez złotej obrączki na serdecznym palcu. Od czasu do czasu uśmiechało się przez sen. Widocznie śni mu się kotek, który razem z nim pije mleko z jednej miski. Jeśli tak, to dobrze. Gdy się obudzi, od razu będzie miało dobry apetyt.

Znowu przenoszę wzrok na żonę. Westchnęła przez sen i wyprężyła się bezwiednie. Krew zaczęła mi pulsować żywiej w całym ciele. Coś podobnego! Takie prężenie wdzięków to normalna prowokacja. Dotknąłem ręką piersi Karoliny i zaraz objąłem ją przez pół. Zareagowała natychmiast, nie otwierając nawet oczu. Oplotła rękami moją szyję i wsunęła się pode mnie. Wdarłem się w nią z całą mocą, jakby od tej gwałtowności zależeć miało moje życie. I niemal od razu poczułem szelest twardej waluty. A to dopiero! Czyżby właśnie tam? Adolek kilka już razy wyjaśniał swoim nie dokształconym erotycznie kolegom, że nie jest ważne, na jakiej leży się babie. Ważna jest wyobraźnia! Trzeba tylko zacisnąć mocno oczy i skupić całą uwagę na radości, jaką daje akt płciowy. Im przyjemniej, tym łatwiej wyłaniają się z mroku piękne twarze, ponętne ciała i wymarzone barwy. Trzeba się tego nauczyć. W trakcie nauki absolutnie zabronione jest otwieranie oczu. Coś takiego grozić może bowiem szokiem, a w konsekwencji urazem na tle seksualnym. O ile szok był rozległy, wówczas uczeń dostaje takiej nerwicy płciowej, że później żaden najtęższy psycholog nie wyprowadzi go z nieszczęścia.

Nie ma powodów, by nie wierzyć Adolkowi. Adolek co drugi dzień ma w łóżku nową dziewczynę, więc należy go traktować jako eksperta. Gdyby były jakieś wątpliwości, to najwyżej te, że Adolek mimo wszystko nie ma żadnej stałej panienki, a wszystkie dochodzące mogą w pełni satysfakcjonować każdego nawet bez specjalnego wysiłku wyobraźni. Są to jednak tylko teoretyczne rozważania i nie powinienem tak bez reszty w nich się zatracić. Wprost przeciwnie. W tej chwili powinienem zatracić się w Karolinie, ale nieustannie fascynuje mnie tajemniczy szelest banknotów. Jest to szelest tak rytmiczny, jak rytmiczne są moje poczynania z Karoliną. Psiakrew! Do czego ta moja wyobraźnia doszła! Jak pozbyć się tej waluty? Podniecenie już mi trochę opadło, bo chociaż robiłem te rzeczy na różne sposoby, to jednak zawsze bez użycia twardej waluty. Coś trzeba z tym zrobić.

Zaciskam oczy tak mocno, jak tylko mogę, zęby zresztą też, i od razu czuję się wzmocniony na duchu i na ciele. Mam nawet wrażenie, że stałem się opancerzonym transporterem wjeżdżającym bez obawy w ciemną czeluść. Ha! Tego mi było trzeba. Szelest ciągle trwa, ale ja już zagłębiam się swoim transporterem aż do najdalszych krawędzi, wysuwam automatyczne

przyssawki i wchłaniam raz za razem całą walutę do pustego pomieszczenia transportera. Już wkrótce odczułem, że szelest znacznie się zmniejszył. Lawirowałem po wszystkich kątach, nie przepuściłem ani jednemu banknotowi. Wybrałem wszystkie i kiedy już poczułem, że jestem wypełniony po brzegi całym znaleziskiem i że lada chwila kontener pęknie od nadmiaru obfitości, a wtedy cała moja praca poszłaby na marne, szybko i oczywiście bezszelestnie wycofałem się na zewnątrz.

A po dłuższej chwili mogłem już pozwolić sobie na swobodny oddech i nawet otworzyłem oczy. Widok szeroko rozrzuconych ud Karoliny szybko przywrócił mnie do rzeczywistości. Uśmiechnęła się do mnie i zapytała:

– Kochasz mnie?

Ba, jakżebym śmiał nie kochać!

– Więc dlaczego zrobiłeś tak… nie do końca?

Powiedzieć jej czy nie powiedzieć? Powinienem w zasadzie powiedzieć, ale co zrobię, kiedy wyskoczy z pretensjami, że oskubałem ją z całej gotówki? Znowu przeniesie się z dzieckiem do matki i znowu pozostanę sam. Lepiej nic nie mówić. Z czasem sama wykryje, co się stało. Mam nadzieję nawet, że po namyśle i ona ucieszy się, bo chyba dla niej też jest przyjemniej, kiedy nie słychać żadnego szelestu w trakcie kochania. Taki szelest cholernie drażni. Człowiek nie może się skupić i pańszczyznę odrabia zamiast pieścić z polotem. A przecież mam do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Chodzi mianowicie o biżuterię, która przecież też jest gdzieś tam upchana. W zasadzie nie ma potrzeby interweniować, dopóki jest spokój. Ale na jak długo? A nuż przy najbliższej okazji coś zacznie dzwonić o poranku. I co wtedy? Przecież nie będę telefonował do złomowni z prośbą o przysłanie ciężarówek. Sam wywiozę cały towar. Tak jak to zrobiłem teraz z walutą. Człowiek powinien być samowystarczalny, a kiedy osiągnie już odpowiedni poziom, powinien też pomagać innym. I kto wie, czy tak właśnie nie zrobię w przyszłości? Założę firmę i dam ogłoszenie w gazecie, że taka a taka firma transportowa świadczy usługi dla ludności. Likwidacja dzwonków i szelestów na życzenie. W domu klienta należy się dopłata, powiedzmy – dwudziestoprocentowa, a dla odmiany za przywóz do własnego warsztatu można otrzymać pięcioprocentowy rabat. Gdy mi się interes wyreguluje, to myślę, że mogę całkiem nieźle żyć z tych piętnastu procent, które pozostaną między dopłatą a rabatem.

Wszystko to jest oczywiście tylko przymiarką do zmiany zawodu. Tymczasem jednak nie wolno mi zapominać, że jestem pielęgniarką i że muszę natychmiast wstać, aby zdążyć na ósmą do roboty.

Karolina idzie dzisiaj na dziewiątą, dziecko może spać, bo skombinowaliśmy sobie niańkę. Niańka przychodzi o wpół do dziewiątej i wygłupia się już od progu.

– Och, ty mój malutki dziewiąty cudzie świata! – woła do dziecka.

Kracuś spogląda na nią wilkiem i zakopuje się głęboko pod kołdrę. Nie leży mu taka wrzeszcząca niańka, ale i tak nie ma wyboru. Zresztą niańkę sprowadziła nam teściowa, która w ten sposób stara się mieć wgląd w nasze życie. Niańka to nie jest żadna niańka. Niańka to człowiek teściowej. Nosi bluzkę z wielkimi kieszeniami, czarne spodnie i białe drewniane trepy. Jejku! Ileż to ja razy miałem chęć szarpnąć niańkę za bluzkę! Bo nie ulega wątpliwości, że po takim szarpnięciu z którejś kieszeni wyleciałby mały japoński magnetofon i od razu wszystko by się wydało. Tylko że takie szarpanie nie jest najlepszą metodą. Ja to załatwię inaczej. Zorganizuję po prostu kontrwywiad. Na członków tej organizacji wyznaczę kierowcę pogotowia Janunia i portiera Dąbka. Nie wyglądają na antyszpiegów, więc najlepiej będą się do tej roboty nadawać. Marny będzie los teściowej, kiedy już zbiorę wszystkie dowody przeciwko niej.

A póki co, to do teściowej uśmiecham się tak uprzejmie, że aż niebezpiecznie. Normalnie czuję, jak mi ta uprzejmość wchodzi w krew. Jest to oczywista obłuda, ale kto ze mnie zrobił

obłudnika? Moja rodzina. I nic mnie już nie uchroni przed zmianą mojej drogi życiowej. Człowiek powinien się rozwijać, powinien w trakcie tego rozwoju kształtować swoje możliwości. Postanowiłem zatem, że zostanę sukinsynem. Będę musiał jeszcze tylko podpatrzeć teściową, żonę oczywiście też, aby zapewnić sobie kompletny napływ wiedzy potrzebnej w zakresie sukinsyństwa. Kiedy już zdobędę określone kwalifikacje, ruszę w świat na poszukiwanie wiernych. Teściową wezmę sobie na suflera. Gdy już nie będę umiał w pewnych okolicznościach przyjąć postawy sukinsyna, wtedy mój sufler podpowie mi najlepszy sposób. Zresztą uważam, że już jestem zupełnie niezły. Przedwczoraj na przykład odwiedził nas Precelek. Pochwaliłem mu się, że wylosowałem pierwszą nagrodę za rozwiązanie krzyżówki w gazecie. Precelek długo zastanawiał się nad moim sukcesem, aż w końcu uścisnął mi serdecznie dłoń i powiedział:

– Bartek, ty jesteś naprawdę wyjątkowo porządny człowiek. Nikt jeszcze nie szanował cię tak, jak ja cię szanuję!

– To samo chciałem powiedzieć o tobie, Kazik! – zawołałem wylewnie. – Jesteś cholernie fajny facet!

Obaj mieliśmy łzy w oczach. O mało go nie pocałowałem. Na nieszczęście nie był w moim typie. Wyciągnąłem więc dwa kieliszki, wódkę i wino. Precelek pił wódkę, a ja wino. Wznosiliśmy toasty za nasze zdrowie i za nasze kochane żony. Wspaniały człowiek ten Precelek. Gdyby jeszcze zechciał ustawić się tyłem przy oknie. O, rety! Jakbym go kopnął w dupę, to by tak długo leciał w powietrzu, że jeszcze zdążyłbym za nim kilka komplementów puścić.

Natomiast Precelkowi wiało z oczu ciepłą dobrocią. Myślał zapewnie o sporym kociołku, w którym można by ugotować mnie na twardo. To było naprawdę bardzo wiążące spotkanie.

Muszę się spieszyć. Ledwo zdążyłem przegryźć kawałek chleba na śniadanie.

– Pa, mój najdroższy skarbie! – wyszeptałem do Karoliny. – Spotkamy się dopiero wieczorem. Nie będę mógł spokojnie pracować, kiedy pomyślę, że tyle czasu jesteś z dala ode mnie!

– Jesteś czarujący! – zawołała rozmarzona. – Ugotuję ci dzisiaj budyń czekoladowy!

Podskoczyłem zgrabnie i mocno pocałowałem ją w szyję. Budyń czekoladowy był zawsze moim największym przysmakiem. Tyle że nie w wykonaniu mojej żony. Była tak niecierpliwa przy tej robocie, że lała papkę na gotujące się mleko, zamiast odstawić garnek z ognia i poczekać parę chwil. W efekcie robiły się zawsze wstrętne kluchy, które dla ratowania twarzy mieszała z jakimś sokiem.

– Przepadam za tobą i za budyniem! – chuchnąłem jej do ucha jednocześnie pożądaniem i apetytem. – Ty i ten budyń…

Przerwałem, bo poczułem, że za chwilę zacznę głupio mówić. Popatrzyłem gwałtownie na zegarek!

– Coś strasznego! – krzyknąłem. – Spóźnię się! Do zobaczenia wieczorem!

Wybiegłem szybko, aby przypadkiem nie przypomniała sobie czegoś, co by mnie później w pracy męczyło. Robię, co mogę, by atmosfera była miła, lekka i przyjemna, ale przecież z babą nigdy nic nie wiadomo. W najmniej spodziewanym momencie można otrzymać wiązankę.

Swobodny oddech złapałem dopiero na ulicy. Wyciągnąłem notes z kieszeni i przeczytałem spis moich powinności domowych. Prawdę mówiąc, byłem już nieźle obkuty, ale powtórka materiału jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Wyczytałem więc, że przede wszystkim muszę codziennie mówić żonie, jak to ona ładnie dziś wygląda. Przez telefon powinienem codziennie rano zapewniać, że kocham więcej ją niż całą biżuterię świata, a po południu nie wolno mi zapomnieć o nowym telefonie z zapytaniem, czy jej czegoś nie trzeba. Po powrocie do domu obowiązkowo mam dostarczyć prezent. Dlatego też muszę brać dodatkowe dyżury, aby wyrobić się z forsą. Zresztą dyżury nie zawsze są konieczne, wystarczy zagrać z Dąbkiem i z Januniem

w oczko. Od dawna już chcą się odegrać. Muszę któregoś dnia zrobić pełny bilans, który uzmysłowiłby mi, ile na tym odgrywaniu już stracili. Na pewno niemało, ale nie ma w tym tragedii, bo dzięki przegranej mają mniej pieniędzy na pijaństwo.

Jeszcze tylko parę minut i już szpital. O, proszę! O wilku mowa. Z portierni wychyla się Dąbek. Obraca szyję w moją stronę.

– Panie Bartek! – woła miękko z przymilnym uśmiechem.

– Cześć, panie Dąbek! Jak leci?

– Dobrze leci, panie Bartek! Kiedy zagramy?

Spojrzałem na jego siwe włosy i żal mi się go zrobiło.

– Panie Dąbek – rzekłem. – Przecież pan wie, jakie ja mam szczęście do kart. Znowu chce pan przegrać?

Dąbek wyprężył pierś i przyjął obrażoną minę.

– Panie Bartek! Jak pan może tak mówić? Ja jestem człowiekiem honoru. Liczy się tylko hazard, a pieniądze w ogóle nie są ważne. Zresztą gdyby to kto inny mnie ogrywał, to co innego, ale panu życzę zawsze jak najlepiej!

Znowu mnie wzruszył.

– W takim razie biorę jutro nocny dyżur – oznajmiłem. – Pasuje panu?

– Jak najbardziej – przytaknął zadowolony. – A ile ma pan, że tak powiem, pieniążków do gry?

– A co? Chce pan podnieść stawkę?

– Nie, ale sam pan wie. Oczko to poważna gra.

A to sukinsyn! Myśli, że się odegra. Dopiero by sobie urządził pijaństwo! Nic z tego, mój staruszku. Umoczysz swoje i znowu będziesz się łasił, żeby pograć. Ale może to i dobrze? Wyleczę cię z nałogu, będziesz dłużej żył.

– Nic się pan nie bój, panie Dąbek – powiedziałem głośno. – Biorę pięć patyków i przychodzę na całą noc. Dobrze będzie?

– Pan jest naprawdę facet na poziomie, panie Bartek.

– Pan też, panie Dąbek – odciąłem się po dżentelmeńsku. – A która to godzina?

– Piętnaście po ósmej.

– Cholera! Muszę lecieć. Trzymaj się pan!

Oddziałowa na mój widok pokiwała protekcjonalnie głową.

– Znowu się pan spóźnił – oświadczyła z uśmiechem politowania.

– Nic na to nie poradzę. Taki już urodziłem się spóźniony.

– A nie może pan wcześniej wychodzić z domu?

– To nic nie da – uprzedziłem z przekonaniem.

– Dlaczego nie da?

– Taką już mam naturę. Choćbym nawet wyszedł wczoraj wieczorem, to i tak nie zdążyłbym na dziś rano.

– Nic z tego nie rozumiem – odpowiedziała bezradnie.

– Pożyjemy, zrozumiemy – wyrzekłem sentencjonalnie. – Najważniejsze, że pani docent nic o moich spóźnieniach nie wie. Tak czy nie?

– Racja – pokiwała głową. – Ale kiedyś może się dowiedzieć.

– Ja jej tego nie powiem – oświadczyłem zdecydowanie. – A i tak przychodzę wcześniej niż ona. Zresztą zawsze zdążę wykonać wszystkie swoje obowiązki, prawda?

– To się zgadza – przyznała znowu. – Nie ma takiej rzeczy, której by pan nie zrobił.

– No widzi pani – uśmiechnąłem się z zadowoleniem. – Kiedy pani zechce, to zawsze zostaję po godzinach. Lubię panią, więc nie ma sprawy…

Weszła pani docent. Zwróciłem się uprzejmie w jej stronę i skłoniłem głowę. Zatrzymała się trzy kroki przede mną i spojrzała surowo.

– Co się z panem dzieje, panie Bartku?

– Wszystko w porządku, pani docent – wyjaśniłem uprzejmie.

– W porządku? Nie jestem taka pewna, bo oddziałowa już kilka razy meldowała mi, że pan często się spóźnia.

Przełknąłem ślinę. Raz, drugi raz i jeszcze raz.

– Tak – odparłem niepewnie. – Czasami nie mogę zdążyć.

– To niedobrze. Pana obowiązuje godzina ósma. Trzeba się tej godziny trzymać. Bałagan tu się robi. Wszyscy są punktualni i z wielką pilnością wypełniają swoje obowiązki, a pan taki niewydarzony. Chyba nie chce pan być zakałą naszego oddziału, prawda?

– Nie, pani docent, nie chcę. I na pewno się poprawię.

– No to dobrze. Cieszę się, że pan zrozumiał. Aha – uczona kobieta zwróciła się teraz do oddziałowej – czy doktor Czajęcka jest już gotowa do zabiegu?

– Doktor… doktor Czajęcka – zająknęła się oddziałowa. – Jeszcze nie przyszła.

Usiadłem sobie spokojnie w fotelu. Patrzyłem oddziałowej w oczy. Ładne miała te oczy.

– Nie przyszła? – zdziwiła się pani docent. – Nic nie rozumiem. A doktor Sawicka jest?

– Nie ma. Powinna już być, ale widocznie coś jej…

– Tyle to ja sama wiem! – przerwała gniewnie pani docent. – Powinna być o ósmej. Wczoraj była punktualnie?

– Nie pamiętam – oddziałowa powoli traciła głowę. Na policzkach pojawiły się kolory. Naprawdę ładna z niej dziewczyna. Gdyby tak rozebrać ją z tych szmatek…

– Doktora Mustafy też jeszcze nie ma? – padło następne pytanie.

Oddziałowa potrafiła już tylko pokręcić przecząco głową.

– Dlaczego więc zameldowała mi pani tylko o spóźnieniach pana Zadury?

Policzki stały się purpurowe. Cudowna jest ta Wandeczka. Dlaczego ja jej dotychczas nie przeleciałem? Chyba ma piękne ciało. Ciekawe, czy słychać w niej szelesty, czy dzwonki. A może klekotanie? Bo taka to za każdym razem spodziewa się dziecka. Kto jej w końcu to dziecko spreparuje? Trzeba mieć odwagę, by zająć się kapralem w spódnicy. Nawet Mustafa omijał ją z daleka. Oho! Właśnie wszedł.

– Uszanowanie dla pani docent! – zawołał od progu.

Podniosłem się z fotela i podreptałem w stronę sali operacyjnej. Może jakaś przegroda nosowa czeka na szybkie załatwienie? Tak? To pod obcas ją! Zademonstruję takie tempo, że Mustafa nie zaśnie z wrażenia przez dwa tygodnie. Dwie sekundy i po krzyku! To ci dopiero operator! Nowy rekord szpitala. Tylko że… O, do diabła! Nic by z tego nie wyszło. No jasne, że nic! Przecież do tych dwóch sekund doliczyliby mi piętnaście minut spóźnienia…

Jest sobota i szykuje nam się wycieczka. Jedziemy mianowicie najpierw po mamusię mojej żony oraz po Precelka, aby później solidarnie udać się na wieś do Balbiny. Balbina obchodzi akurat swoje czterdzieste piąte urodziny, zaprosiła całą familię i licznych przyjaciół. Ma być przyjemnie, bo Jasio, małżonek Balbiny, dwa razy obracał koniem do sklepu monopolowego i z powrotem. Jasio wie, jak rozruszać naród.

Przyjemnie było już po wylądowaniu u mamusi. Wzięła naszego Kracusia na ręce i wrzasnęła:

– O Jezu! Jakiś ty wielki!

Pojęcia nie mam, do kogo w tym momencie piła. Kracuś szybko wlazł mi na kolana, podczas gdy teściowa poganiała Precelka, by się organizował. Precelek bowiem pakował butelki w papier i układał je w torbie. Kiedy już je ułożył, od razu zaczął żałować, że tak mało kupił.

– To leć, Kazik, do sklepu i dokup jeszcze! – poradziła teściowa.

Poleciał. Przydźwigał całą naręcz i zapakował mi do bagażnika. Wszystko wskazywało na to, że jedziemy na jakiś sabat pijaków. Na wszelki wypadek o nic nie pytałem. Zresztą mnie akurat nie suszyło. Suszyło Precelka – niech ma!

– Nasz wyjazd musi być reprezentacyjny – pouczyła teściowa nie wiadomo kogo, bo twarz miała akurat skierowaną w stronę bagażnika.

– Bartek! – Karolina nachyliła się do mojego ucha. – Mama pytała mnie, czyby nie można udekorować samochodu wstążkami.

– Ależ oczywiście! – odpowiedziałem z uśmiechem. – Nie widzę problemu, niech będą wstążki.

– A balony? – zapytał Kracuś.

– Mogą być i balony – rzekłem z rezygnacją.

Karolina wzięła matkę pod ramię i poszła z nią do mieszkania. Zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, do wycieraczek były już przywiązane szerokie wstęgi w kilku kolorach. Jaka szkoda, że Karolina nie przyczepiła kilku par swoich majtek! Też ma ładne i w różnych kolorach.

Nareszcie ruszyliśmy. Kokardy migotały mi przed oczami. Ludzie przystawali na nasz widok i pukali się w czoło.

– Ale zazdroszczą! – warknęła teściowa. – Zazdroszczą, bo stoją, a my jedziemy. Oni się zwyczajnie sfrustrowali na nasz widok! – zakończyła mocnym akcentem.

Uśmiechnąłem się aprobująco. Mama oceniła hołotę na odległość. Chwała jej za to! Sądzę, że na jej pogrzebie będą bić dzwony w całym województwie.

Przycisnąłem trochę pedał. Zanim się spostrzegłem, już byłem po lewej stronie szosy. Wstążki zasłoniły mi widok. Jadący z naprzeciwka motocyklista ominął mnie po mojej prawej.

– A to cholernik! – zdenerwowała się mama. – Po angielsku jeździ czy jak?

– Nie, to my zjechaliśmy za bardzo na lewo – skorygowała Karolina.

Znowu złapałem właściwy azymut. Jechałem już dobrze, ale dużo wolniej.

– Przyspiesz, Bartek, bo się nie wyrobimy – odezwał się Precelek.

No to w gaz! Wstążki w oczy, samochód na lewo. Dokąd można tak jechać?

– Mamo – odezwała się Karolina. – Bartek nie może jechać, bo te wstążki jednak przeszkadzają. Może byśmy przyczepili je gdzieś z tyłu?

O tak! Najlepiej do rury wydechowej. Dekoracja będzie w sam raz. Jak krawat dla świni.

– To już lepiej zrezygnujmy z tych wstążek – ustaliła niechętnie teściowa. – Jeszcze wpadniemy gdzieś na drzewo i wszystkie butelki się potłuką.

Miała rację. Gdybyśmy wpadli na drzewo, to butelki by nie wytrzymały. No a wtedy – z czym do gości?

Zajechaliśmy więc skromnie, ale bez uszczerbku. Paru podpitych kuzynów plątało się po obejściu. Precelek wypakował butelki i zaniósł je do przestronnej kuchni. Balbina wypadła z domu i rzuciła mi się w objęcia.

– Jak to dobrze, że przyjechaliście! – zawołała. – Nareszcie spotkamy się całą rodziną przy jednym stole! Tfu! – splunęła ostentacyjnie za siebie. – Co za idiota poradził wam brać rozwód! Dobrze, że macie własny rozum. Nikogo nie trzeba słuchać.

Poklepałem ją delikatnie po ramieniu. A zza tego ramienia już czaił się do uścisku Jasio.

– Ty, Bartek – oznajmił – jesteś najfajniejszy w naszej rodzinie. Chodź, napijemy się. Wiem, że nie lubisz wódki, ale mam dla ciebie dobre wino.

Pozwoliłem podprowadzić się do dużego stołu. Obok niezliczonej ilości butelek wódki stała skromnie flaszka lichego sikacza. Było to wyróżnienie dla mnie. Wkrótce dołączył Franek. Ściskał mi wylewnie rękę i czule patrzył w oczy. Zosia ucałowała mnie serdecznie w oba

policzki, a Grażka przytuliła się nieśmiało, ale zachęcająco. Gdyby nie rodzice, pobiegłaby ze mną do stodoły.

Wypiłem trochę z kieliszka, podczas gdy oni wydoili już chyba po ćwiartce. Tak się mną zachwycali, że aż sobie dolałem i znowu wypiłem. Na wyścigi opowiadali, jak im było smutno, kiedy się rozeszło, że ja chcę się rozwodzić z Karoliną.

– Byłby to ogromny cios dla naszej rodziny – powiedział Jasio. – W naszej rodzinie ludzie zabijali się toporkami, ale nie było takiego, co by się rozwiódł.

Wokół mnie robiło się coraz rojniej. Po dwóch kieliszkach wina zrozumiałem, że otaczają mnie sami przyjaciele. Teściowa przysięgała, że to ona odwiodła nas od rozwodu.

– Oni są jeszcze młodzi! – wykrzykiwała. – Ktoś starszy musi za nich myśleć!

– Brawo, Lusieńka! – wykrzyknął Jasio, a cała zbieranina podjęła okrzyk ze wzruszeniem.

Było rozkosznie. Po jednej stronie miałem dziecko, po drugiej kochającą żonę, a naprzeciwko rój przyjaciół. Zrozumiałem, że oto nastał najlepszy moment, by założyć TS, czyli Towarzystwo Sukinsynów. Należy tylko posłać po księdza, by poświęcił nową organizację społeczną. Byłem wzruszony jak rzadko kiedy. Uniosłem się z miejsca, przeprosiłem na chwilę i poszedłem za stodołę. Czekała tam już na mnie Grażka. Oderwaliśmy szeroką deskę w ścianie i wleźliśmy do środka. Dziewczyna zadarła spódnicę wysoko i opuściła majtki na klepisko. Wyrwałem wiązkę siana z dużej kupki i ułożyłem Grażkę elegancko. Dyszała jak parnik gotujących się kartofli. Rytm naszych ciał wyzwalał u niej równocześnie szelesty i dzwony. Zapach siana owiewał nas przy każdym ruchu, a eksplozja, która już wkrótce targnęła Grażką, była tak wzniosła, że czułem się dumny jak paw. Bo przecież ja to sprawiłem. Ha! O mało klepiska piętami nie rozwaliła.

Czułem się rześki. Zamachałem ramionami jak ptak po burzy. Zrozumiałem, że nie był to zwykły przelot, a Grażka nie była zwykłą Grażką. Grażka była wróżką, dzięki której dokonało się moje pełne pasowanie na sukinsyna.

– Idź, Grażka, do gości – powiedziałem dziewczynie, bo zastygła w urokliwym rozkroku na tym klepisku. – Bo zauważą, że nie ma nas obojga.

– Ja bym chciała jeszcze – wymamrotała.

– Zgoda – kiwnąłem głową. – Przyleć za pół godziny, zrobimy jeszcze raz.

No bo co mi to szkodzi? Będę dubeltowym sukinsynem!

– Idę – zgodziła się. – Ale czekaj tu na mnie.

Stałem z rękami splecionymi na piersiach i patrzyłem ufnie w przyszłość. Moment był przełomowy. Niedługo wkroczę w sam środek tego zbiegowiska i powołam Naczelną Radę Towarzystwa Sukinsynów. Właściwie wszyscy się do tej Rady nadawali. Żona, teściowa, wszystkie ciotki i kuzynki też. Nie wiem jeszcze, czy do Towarzystwa zapiszę mojego Kracusia. Chyba jest jeszcze za mały. Na razie nie podoła zadaniom. Muszę chyba wyznaczyć granicę wieku. Niech to będzie osiemnaście lat. Z czasem, być może, Rada Naczelna ustali staż kandydacki dla osób, które ukończyły lat szesnaście. Ale to dopiero projekt na dalszą przyszłość. W tej chwili najbardziej liczy się moja rola. Nie ulega wątpliwości, że będzie to rola historyczna. Jestem prawie pewien, że rodzina obwoła prezesem mnie. Prezes Towarzystwa Sukinsynów to nie jakiś tam „Bartek". Natychmiast po rejestracji urzędowej naszego stowarzyszenia każę sobie zrobić odpowiednią wizytówkę. Taka wizytówka zobowiązuje. Mustafa nie będzie już bezczelnie wołał: „Cześć, Bartek"! Byłoby to uwłaczające dla mojej nowej funkcji. Będzie za to musiał pochylić głowę z pełnym szacunkiem. Nie od rzeczy byłoby też jakieś bardziej dostojne powitanie. Na przykład: „Moje uszanowanie dla pana prezesa"! Ludzie muszą się liczyć z pozycją społeczną nowego prezesa.

Powinienem też zadbać o zwiększenie prestiżu. Mam doświadczenie, więc nie zawaham się

opracować w sposób naukowy podręcznika pod tytułem „Jak zostać sukinsynem”. O ile życzliwość ludzka nie zawiedzie, temat ten posłuży mi do zrobienia doktoratu. Wizytówka miałaby wtedy o wiele przyjemniejszy wygląd. „Doktor Bartłomiej Zadura, prezes Towarzystwa Sukinsynów”. Serce rośnie, kiedy się o tym wszystkim pomyśli. Ale to przecież jeszcze nie wszystko. Taki podręcznik jestem w stanie ukształtować literacko co znowu wyjdzie z korzyścią dla mnie. Dwie dobre książki dają podobno prawo kandydowania do Związku Literatów. Wobec tego mój sukinsyński poradnik napiszę w dwóch tomach. Liczba zaszczytów natychmiast się powiększy. Moja wspaniałomyślność rozszerzy się na wszystkie osoby, które pomogły mi osiągnąć tak wysoki status społeczny. Teściowa co roku na imieniny otrzymywać będzie złoty medal z napisem „Sukinsyn sezonu”. Inni też po medalu. W zależności od zasług. Jedni złote, inni srebrne, a jeszcze inni brązowe. Liczba członków na pewno będzie się regularnie zwiększać, a więc powstanie problem, czy stowarzyszenie ma pozostać prywatne, czy też należy je z czasem upaństwowić. Tak czy inaczej na pewno pozostanę prezesem, a majestatowi mojej osobowości nie dorówna żaden inny sukinsyn. Wydam zresztą jeszcze kilka innych dzieł poszerzających wiedzę o naszym stowarzyszeniu. Opracuję aspekty prawne, filozoficzne, psychologiczne i socjologiczne funkcji sukinsyna w życiu doczesnym.

Tak, życie ma jednak swoje dobre strony, trzeba tylko po prostu dobrze się ustawić. Jeżeli chodzi o mnie, to na razie ustawiłem się w stodole na klepisku, ale przecież za chwilę wejdę do przestronnej izby i ogłoszę wszystkim mój akt dobrej woli. Bo przecież wszyscy bez wyjątku dostąpią zaszczytu przyjęcia do nowego stowarzyszenia twórczego!

Uff! Sikać mi się zachciało i to tak mocno, że ledwo wytrzymywałem. Mimo to postanowiłem wysikać się dopiero za pięć minut. Trzeba kształtować w sobie cierpliwość i w ogóle charakter. Najpierw obowiązek, później przyjemność.

– Hurra!!! – zawołała familia, gdy ukazałem się znowu w drzwiach domu.

Skłoniłem dostojnie głowę. Jako zwyczajny Bartek mogłem sobie na to i owo pozwolić. Ale jako prezes? Trochę dystansu nie zaszkodzi.

Majestatycznie wlazłem na stół i skrzyżowałem ręce na piersi. Wyglądałem zapewne jak Napoleon. Powiem swoje, kiedy już lud wyczerpie swoje nabrzmiałe gardła.

– Brawo, Bartek! – wykrzyknął najbliżej stojący Precelek i chwycił w rękę napełniony kieliszek. – Oj, jak mnie suszy!

Napór na pęcherz momentalnie dał się odczuć. Biedny Precelek! Suszy go? No, to lu!

Rozpiąłem spodnie i pociągnąłem ostrym strumieniem po całym zbiorowisku. Najwięcej dostało się akurat Precelkowi. I do kieliszka mu nakapało, i na głowę, i na całą sylwetkę. Już go chyba nie suszy. Radośnie polewałem swoją kochaną rodzinę niczym ogrodnik pielęgnujący umiłowane grządki ze wschodzącym szczypiorkiem. Strach pomyśleć, ile to się w człowieku wilgoci nazbierało!

Pouciekali w najdalsze kąty. Widocznie nie każdego suszyło tak dalece jak Precelka. Zbliżyli się dopiero wtedy, gdy wyczerpałem wszystkie zbiorniki. Podeszli poważnie, a niektórzy nawet ze łzami w oczach. Po bliższej obserwacji pojąłem jednak, że to nie łzy, ale krople życiodajnego deszczu, który wytworzył się w tej izbie za moją sprawą.

Uśmiechnąłem się raz jeszcze. Teraz dopiero usłyszą, do jakich zaszczytów wyniósł ich szanowny pan prezes…

.....

ODPIS AKT SĄDOWYCH

Wyciąg z historii choroby nr 313/13/13.

Pacjent, Bartłomiej Zadura, przywieziony został do tutejszego szpitala przez karetką pogotowia. Osobą towarzyszącą była żona pacjenta, Karolina Zadura. Pacjent jest już hospitalizowany po raz drugi. Poważne dolegliwości nerwicowe, które spowodowały pierwszą hospitalizację, pogłębiły się, dając nowy syndrom patologiczny. Obecnie przebywa już sześć tygodni, ale nietrudno zaobserwować, że w jego osobowości nie następuje żadna poprawa. Nieustannie twierdzi, iż ludzkość dzieli się na dwie kategorie. Do pierwszej kategorii należą ludzie szlachetni, natomiast do drugiej sukinsyny. Zdaniem pacjenta, liczba sukinsynów jest o wiele większa niż liczba pozostałych osobników, którzy są już na wymarciu i powinni przebywać w rezerwatach pod ścisłą ochroną. Sam pacjent również uważa się za sukinsyna, ma jednak na tym tle wyraźny kompleks małowartościowości, ponieważ – jak sam twierdzi – nie jest sukinsynem z dziada pradziada, co uniemożliwia mu powoływanie się na odpowiednie pochodzenie herbowe. Został sukinsynem z awansu społecznego i uważa teraz, że wszyscy wytykają mu okoliczności, w jakich dochrapał się nowego tytułu. Boi się też, że ludzie będą posądzać go o karierowiczostwo. Twierdzi, że ludzie to teraz takie buraki. Nieustannie żałuje, że samorzutnie, bez demokratycznie przeprowadzonych wyborów, obwołał się prezesem jakiejś Rady Naczelnej Towarzystwa Sukinsynów. Jego poczucie winy wypływa stąd, że – jak sam głosi – prezesem tego stowarzyszenia powinna być teściowa pacjenta, a w najgorszym wypadku żona lub teść. Sam pacjent natomiast gotów byłby zarezerwować dla siebie posadę woźnego przy Radzie Naczelnej, aby nigdy więcej nie targał nim już ten ogromny żal, jaki odczuwa obecnie.

Sytuacja w mniemaniu chorego komplikuje się coraz bardziej, ponieważ teściowa, która przybyła ostatnio razem z żoną pacjenta celem złożenia wizyty u niego, nie zgadza się na objęcie funkcji w Towarzystwie Sukinsynów. Wprost przeciwnie. Nazwała lekarza prowadzącego impertynentem i obiecała, że zaskarży go do prokuratora. Lekarz prowadzący nie wie teraz, co robić. Jego rozterki powiększyły się niedawno znacznie, ponieważ bezskutecznie leczonemu pacjentowi Zadurze zastosował elektrowstrząsy z nadzieją, że jest to już ostatni sposób na ożywienie umęczonej psychiki pacjenta. Niestety, natychmiast po przeprowadzeniu terapii, pacjent podniósł się z kozetki i trzęsąc głową na wszystkie strony, zawołał przy świadkach do lekarza prowadzącego:

– Ty, sukinsynu cholerny! Teraz ja tobie podłączę elektrykę!

Na szczęście lekarz uciekł, ale pacjent w porywach nagłej energii spowodowanej niewątpliwie terapią voltową, rozwalił cały aparat na drobne kawałki, potem zabrał notes pielęgniarzowi oddziałowemu, przeszedł się po wszystkich salach i zapisywał ochotników do Towarzystwa Sukinsynów. Dobrowolnie zapisała się połowa pacjentów, a drugą połowę pacjent Zadura wcielił do swojego stowarzyszenia przymusowo. Niedawno opracował on kodeks honorowy Towarzystwa, regulamin i system nagród. Ustalił też wysokość składek miesięcznych. Ostatnio zabrał się do robienia notatek, które posłużą mu do pracy naukowej wyjaśniającej różne aspekty genealogii sukinsyństwa. Przygotował ponadto kilka projektów w zakresie powszechnie obowiązujących czynów społecznych. Z ogromną troską należy tu podkreślić, że jego propozycja ugotowania kucharza w potrawce z zarobaczonym ryżem została przyjęta większością głosów. Wywołało to poważną dezorganizację w pracy oddziału, ponieważ wspomniany kucharz wyskoczył z piętra przez okno i złamał nogę. Pacjent Zadura jednak nie przejął się tym i zapewnił swoich współtowarzyszy, że kucharza ze złamaną nogą łatwiej będzie upchać w garnku. Oczywiście poczynione zostały odpowiednie kroki mające na celu zabezpieczenie zdrowia i życia nieszczęśliwego kucharza.

Istnieje jeszcze delikatny problem natury finansowej, Otóż żona pacjenta Zadury, która, jak

zdążyłem zauważyć, pała do swojego małżonka nieograniczoną miłością, twierdzi, że wspomniany już wielokrotnie Bartłomiej Zadura zdeponował w banku znaczną kwotę pieniężną. Stan umysłowy pacjenta nie pozwala na rozsądne manipulowanie tak wielką sumą, dlatego też żona wniosła do sądu pozew o ubezwłasnowolnienie swojego ukochanego męża oraz o przyznanie jej prawa do korzystania z tych pieniędzy, aby w przyszłości zapewnić luksusowy byt swojemu nieszczęśliwemu małżonkowi.

Jest to nad wyraz humanitarne podejście rodziny do spraw pacjentów psychicznie chorych i nie ulega wątpliwości, że po niedługim już terminie obserwacji należy taki wniosek podpisać. Wprawdzie pacjent Zadura nie zgadza się na dysponowanie kwotą przez swoją żonę, ponieważ – jak powiada – musi mieć fundusz zakładowy do dyspozycji swojego stowarzyszenia, a jego żona jest zakałą ludzkości, ale – sprawiedliwości powinno stać się zadość. Na świecie nie ma ludzi złych, są tylko sami dobrzy, a jeżeli dzieje się już jakieś zło, to wynika ono jedynie z pomyłki. Powinnością ludzi dobrej woli jest więc prostować pomyłki.

Pacjent Bartłomiej Zadura sklasyfikowany został w rubryce pod nazwą p a r a n o i a c h r o n i c a. Jest to choroba nieuleczalna, dlatego też dożywotnim opiekunem tegoż pacjenta zobowiązała się pozostać jego małżonka Karolina Zadura. Osobiście zostałem też poinformowany, że aktywną współpracę w zakresie opieki zadeklarowała jeszcze matka Karoliny Zadury.

Opiniodawca:
dr nauk medycznych Józef Kawecki
specjalista psychiatra
ordynator oddziału XII

Na podstawie:
Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
Warszawa 1983
Wydanie I
Redaktor: Jolanta Łodykowska-Sulima
Redaktor techniczny: Ewa Rorbach
Korektor: Ewa Wierzchowska
Copyright by Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
ISBN 83-205-3508-5
Skład, opracowanie i konwersja do epub: P.W. 2014